

P. 9786 chr. Arch.

DLP INP EG-9-79016778

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/376-2/377

1979



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

CZ. MIŁOSZ - T. VENCLOVA : **DIALOG O WILNIE**

T. TERLECKI :

AMERYKAŃSKI EKSPERYMENT « WIELOKULTURY »

J. BIEREZIN : **AUTOBIOGRAFIA**

J. ŁOBODOWSKI : **WYPRAWA DO AMERYKI**

J. KURON : **DROGI I PODZIAŁY**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz —		
Tomasz Venclova:	<i>Dialog o Wilnie</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	37
Tymon Terlecki:	<i>Amerykański eksperyment „wielokul-</i> <i>tury”</i>	51

WIERSZE

Anka Kowalska:	<i>Illuminacja</i>	74
----------------	--------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Bohdan Osadczyk:	<i>Między Szanghajem a Chabinem</i> ..	75
Włodzimierz Ledóchowski:	<i>Afryka bez złudzeń</i>	80
J. Mirski:	<i>Kościół katolicki w Bułgarii</i>	88
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli, Mordowii i Tel</i> <i>Avivu</i>	91

KRONIKA KULTURALNA

—	<i>Profesor Lipiński</i>	102
Stanisław Barańczak:	<i>Na 60-lecie Witolda Wirpszy</i>	102

K R A J

Jan A. Szponder:	<i>Węgiel</i>	108
Józef Wróblon:	<i>O niszczeniu środowiska na Śląsku</i> ..	119
—	<i>Najnowsze wiadomości z Polski</i>	123

SĄSIEDZI

Józef Łobodowski:	<i>Wyprawa do Ameryki</i>	126
Marek Wobasz:	<i>List z Berlina</i>	140
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	145
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	148
Włodzimierz Brylewski:	<i>Kronika białoruska</i>	152

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Wschód i Zachód — światy nienormalne</i>	156
---------	---------------------------------------------	-----

Z PUSTYNI I Z PUSZCZY

Jacek Bierezin:	<i>Autobiografia</i>	161
-----------------	----------------------------	-----

SPRAWY I TROSKI

—	<i>List Dyrektora Polskiej Sekcji RWE</i>	166
---	-------------------------------------------	-----

POLEMIKI

Jacek Kuroń:	<i>Drogi i podziały</i>	168
--------------	-------------------------------	-----

KSIĄŻKI

St. B.:	<i>Odrębna gałąź</i>	183
Janina Katz Hewetson:	<i>Między brzegami</i>	185
Michał Heller:	<i>Przyszłość ostatniego imperium</i>	191
Tadeusz Żenczykowski:	<i>Czy naprawdę wiadomo „Kto jest kto”?</i>	197
Witold Wirpsza:	<i>Listy Romana Ingartena</i>	202
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	202

(Ciąg dalszy na str. 240)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1979

INSTYTUT




LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Marian J. Błachaczek, Chicago, Ill. (USA), po raz piąty	F. 13,00
Inż. Mieczysław Bornek, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dwunasty	F. 100,00
Dr Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 19-ty	F. 88,00
Manfred Dąbrowski, Audincourt (Francja), po raz trzeci	F. 30,00
Czesław Deminet, Kent, Wa. (USA), po raz ósmy	F. 61,50
T. Farbisz, Hidas (Szwecja), po raz ósmy	F. 80,00
L. Fulmyk, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz trzeci	F. 18,00
Stefan Jan Ginilewicz, Brownsville, Texas (USA), po raz czwarty	F. 57,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz szesnasty	F. 130,00
Karolina Górecka, Sao Paulo (Brazylia)	F. 35,00
Marek Hurvic, Paryż, po raz jedenasty	F. 100,00
W. Iwanowski, Milton, Ma. (USA), po raz osiemnasty	F. 44,00
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada), po raz dwunasty ..	F. 140,00
Dr Jacek Jędruch, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz trzeci	F. 35,00
Klub Kultury im. H. Modrzejewskiej, Los Angeles, Ca. (USA)	
— dla uczczenia pamięci Dr. Andrzeja Mikulskiego	F. 215,00
Prof. Jerzy S. Langrod, Paryż, po raz trzydziesty	F. 100,00
Jerzy Lubiejewski, Caracas, po raz ósmy	F. 80,00
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA), po raz	
siódmy	F. 35,00
Ilse Maybach, Heilbronn (RFN), po raz piętnasty	F. 391,70
Jan F. Morelewski, Chicago, Ill. (USA), po raz siódmy	F. 110,00
Stefan Nęczyński, Genewa, po raz ósmy	F. 250,00
Jan Pawłowski, Bois Colombes (Francja), po raz szósty	F. 140,00
Dr Gotthold Rhode, Mainz (RFN), po raz trzeci	F. 100,00
Franciszek Strociak, Parkridge, Ill. (USA), po raz dziewiętnasty	F. 154,00
Ewa Szpikowska, Willowdale, Ont. (Kanada)	F. 100,00
Tadeusz Walczak, Londyn	F. 425,00
Janusz S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piętnasty ..	F. 75,00
Cz. Wróblewski, Zurich (Szwajcaria), po raz drugi	F. 2000,00
Z. T. Żukotyński, Phoenix, Ariz. (USA), po raz trzynasty	F. 110,00
Bezimiennie z Australii, po raz siódmy	F. 21,50
Bezimiennie z Canberry (Australia), po raz drugi	F. 450,00
Bezimiennie z Chicago, Ill. (USA)	F. 44,00
Bezimiennie z Flushing, N.Y. (USA), po raz czwarty	F. 61,50
Bezimiennie z Mali	F. 11,00
Bezimiennie z Nyack, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 35,00
Bezimiennie z Los Angeles, Cal. (USA), po raz siódmy	F. 110,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz szesnasty	F. 50,00
Bezimiennie z Toronto (Kanada), po raz dziewiąty	F. 169,50
Zapis testamentowy Stanisława L. Brudnickiego, Stevens Point, Wisc. (USA), przekazany przez Biuro prawników: Anderson, Fisher, Shannon, O'Brien and Rice w Stevens Point, Wisc. \$ 950,00	F. 4180,00
ZMK, Zoetermer (Holandia), po raz trzeci	F. 21,22
Bezimiennie z Brisbane, Qld. (Australia), na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 596,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada), na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 169,50
T. Omiński, Sydney, na Studencki Komitet Solidarności w Kra- kowie	F. 249,00
Tadeusz Rytko, Winterthur (Szwajcaria), na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 326,94
Ewa Szpikowska, Willowdale, Ont. (Kanada) — zamiast wieczer- zy wigilijnej na więźniów politycznych w PRL	F. 100,00

1979 W 2356

P. 9786 

Dialog o Wilnie*

Drogi Tomas,

Dwaj poeci, jeden litewski, drugi polski, wychowali się w tym samym mieście. To chyba dostateczny powód żeby o swoim mieście rozmawiali i nawet publicznie. Co prawda miasto które ja znałem należało do Polski, nazywało się Wilno, szkoła i uniwersytet używały języka polskiego, twoje miasto było stolicą Litewskiej SSR, nazywało się Vilnius i przeszedłeś przez szkołę i uniwersytet w innej epoce, po drugiej wojnie. Niemniej jest to to samo miasto, jego architektura, krajobrazy jego okolic, jego niebo ukształtowały nas obu. Nie można wykluczać pewnych wpływów, żeby tak rzec, tellurycznych. Poza tym odnoszę wrażenie, że miasta mają swojego ducha czy aurę, i chwilami, chodząc ulicami Wilna, zdawało mi się, że tę aurę czuję w sposób niemal zmysłowy.

Niedawno ktoś z przyjaciół zapytał mnie dlaczego z takim uporem wracam we wspomnieniu do Wilna, do Litwy, co widać w moich wierszach i pismach prozą. Na to odpowiedziałem, że, jak mi się zdaje, nie chodzi tu o sentymentalizm emigranta, bo nie chciałbym tam pojechać. Działa tu na pewno poszukiwanie rzeczywistości oczyszczonej przez upływ czasu, jak u Prousta, ale jest i inne wytłumaczenie. W Wilnie przeżyłem swój wiek chłopięcy kiedy myślałem że życie ułoży mi się jakoś zwyczajnie i dopiero później wszystko w tym życiu zaczęło się przekreślać, tak że Wilno zostało dla mnie punktem odniesienia jako możliwość, możliwość normalności. Tam też zresztą, czytając polskich romantyków, miałem już niejasne przeczucie swoich przyszłych

* Powyższy dialog był pisany z myślą o warszawskim *Zapisie* i ma się w nim ukazać, w jednym z najbliższych numerów.

nienormalnych losów, choć najbardziej wybujała fantazja nie mogłaby wtedy podsunąć obrazów i mojej indywidualnej i historycznej przyszłości.

Chcę tutaj wprowadzić postać nie mającą nic wspólnego z Wilnem, ale ważną dla wszystkich Europejczyków „stamtąd” tj. z pogranicza języków, wyznań i kultur. Stanisław Vincenz pochodził z Podkarpacia, spod Czarnohory, dokąd jego rodzina wyemigrowała w wieku XVII z Prowancji. Poznałem go w roku 1951 kiedy moje Wilno już nie istniało, we Francji, pod Grenoble — jako emigranta ciągnęło go do gór, tak zamykało się jakby koło wędrowców Vincenzów. Otóż byłem wrażliwy na jego nauki. Bo niezależnie od dzieła jakie po sobie zostawił, Vincenz był wędrownym mędrce, gadułą, nauczycielem i niemal cadykiem dla ludzi różnych narodowości. Był w opozycji do dwudziestego wieku — choć, czy właśnie dlatego że — przed pierwszą wojną zrobił w Wiedniu doktorat z filozofii Hegla. Dla Vincenza najważniejsze było to, co Simone Weil nazywa *enracinement* a co jest niemożliwe bez ojczyzny. Ale ojczyzna-państwo to za duże i kiedy Vincenz marzył o „Europie ojczyzn”, miał na myśli małe jednostki terytorialne, jak jego ukochana Huculszczyzna, zamieszkała przez Ukraińców, Żydów i Polaków, kraik wstawiony zresztą tym, że tam żył Baal Szem Tow, twórca chasydyzmu. Byłem wtedy, w czasie naszych pierwszych rozmów, bardzo obolały, i Vincenz pomagał mi odnaleźć sens słowa ojczyzna. Nie jestem pewien czy napisałbym w kilka lat później, dla celów auto-terapii, *Dolinę Issy*, gdyby nie te rozmowy. I tak jak Vincenz całe swoje życie pozostał zakorzeniony w swoich Karpatach, tak ja, w każdym razie moja wyobraźnia, pozostałem wierny Litwie.

Ale wracam do naszego szczególnego miasta. Może uda się odnaleźć jakąś w nim ciągłość mimo przemian. Zajmiemy się też chyba uniwersytetem na którym studiowaliśmy obaj i który teraz obchodzi swoje 400-lecie. Dobra to też okazja żeby bez ogródek i dyplomatycznych wybiegów wymienić nasze poglądy na stosunki polsko-litewskie.

Wilna nie da się wyeliminować z dziejów kultury polskiej, a to ze względu na Mickiewicza, na Filomatów, Słowackiego, Piłsudskiego. Nieraz zastanawiałem się nad pewnym podobieństwem Wilna mojej młodości i Wilna sprzed górą stu lat, które miało najlepszy uniwersytet w Imperium z łaski Aleksandra I-go. Wtedy to było miasto masonerii — właściwie rozgromienie Filomatów zbiega się czasowo ze zwróceniem się Aleksandra przeciwko masonerii w całym cesarstwie. Filomaci mieli swoje masońskie powiązania przez Kontryma, bibliotekarza uniwersytetu. O lożach masońskich w moim, nowszym, Wilnie wiedziałem,

i organizacja tajna „Pet”, do której zostałem przyjęty będąc uczniem gimnazjum, też swoje powiązania miała, politycznie zwrócona była przeciwko endecji. Ale kiedy nie tak dawno temu spotkałem mego byłego profesora, jednego z najmłodszych profesorów prawa u nas, Stanisława Swianiewicza, dowiedziałem się od niego, że loż masońskich było dużo i prawie wszyscy profesorowie do jakichś loż należeli. W ogóle masońskość Wilna w jego relacji (a on jest człowiek absolutnie prawdomówny) mnie zdumiała. Czy można w tym dopatrywać się jakichś trwałych powołań Wilna, nie wiem. W każdym razie już w szkole średniej trafiłem do czegoś w rodzaju „loży” — tego słowa używam nie w znaczeniu dosłownym, tylko na oznaczenie spiskowań elity, do której trzeba być przyjętym. I ta elita była usposobiona pogardliwie do „dobrze myślących”, tj. do całego spłotu: polskiego nacjonalizmu, Sienkiewicza, korporacji studenckich w deklach etc. Taką „ložą” był też Akademicki Klub Włóczęgów, w którym znalazłem się zaraz po wstąpieniu na uniwersytet, a nieco później, podczas wielkiego, choć krótkotrwałego przybrania fali lewicowej we wczesnych latach 1930-tych, K.I. czyli Klub Intelktualistów, rodzaj komórki koordynującej i planującej posunięcia, tudzież urządzającej dyskusje w lokalu Związku Prawników czyli studentów prawa. W tych „ložach” widzę dziedzictwo romantyczne — marzenie o zbawianiu ludzkości „od góry”, przez tych, którzy „wiedzą lepiej”.

A prawica, zwolennicy hasła Bóg i Ojczyzna, „stuprocentowej polskości”? Taka była większość mówiących po polsku. Językowo Wilno tamto, z czasu Filomatów, musiało być polskie bardziej niż moje, nie wiem tylko czy polska przeważnie była wieś okoliczna jak w moich czasach, czy białoruska. A może litewski język (jak wiadomo w tamtych okolicach stopniowo wypierany przez białoruski) bliżej wtedy do Wilna podchodził. W samym mieście wiek dziewiętnasty, rosyjskiego panowania, wycisnął swoje piętno i dlatego mówię, że tamto dawniejsze Wilno było bardziej polskie. Bo przecie niemal połowę ludności mego Wilna stanowili Żydzi, a znaczna ich część przejęła język rosyjski czy też do tego języka ciążyła. Stąd rosyjskie gimnazja w moim Wilnie, obok polskich. Było też jedno, jeżeli się nie mylę, hebrajskie, i jakieś w *yidish* szkoły. (Jak pewnie wiesz, było jedno gimnazjum litewskie, im. Witolda Wielkiego, i jedno białoruskie). Do rosyjskich szkół posyłała swoje dzieci inteligencja żydowska do kultury rosyjskiej przywiązana — bo przecie Rosjan było w Wilnie mało, trochę tych, co z carskich czasów zostali, plus garstka emigrantów. Były i inne rosyjskie pozostałości, ta brzydka architektura właściwa rosyjskim miastom garnizonowym, tak kontrastująca ze starym Wilnem wąskich zaułków. Główna ulica

Mickiewicza „Litwo, ojczyzna moja” co znaczyłoby tworzyć literaturę litewską w języku polskim, jako równoległą do literatury litewskiej w litewskim. Ale przecie nikt tego nie chciał — ani Litwini, najeżeni obronnie wobec kultury polskiej jako wynaradawiającej, ani ci wszyscy mówiący po polsku, uważający siebie po prostu za Polaków, i odnoszący się pogardliwie do „kłausiuków”, do narodu chłopów. Jednostki myślące inaczej były nieliczne — choć bardzo ciekawe i cenne i energiczne. W moim Wilnie byli to tzw. „krajowcy”, marzący o utrzymaniu tradycji Wielkiego Xięstwa Litewskiego jako jedynej przeciwwagi wobec Rosji czyli o federacji narodów wchodzących niegdyś w skład Wielkiego Xięstwa. Te koła pokrywały się mniej więcej ze środowiskiem wileńskiej masonerii. Historia tej swoistej ideologii powinna być kiedyś napisana, ale jeżeli mówię, że to ciekawe, nawet fascynujące, to mówię teraz, *ex post*, bo jako młody człowiek ze wszystkimi awangardowymi ciętami, zajęty nowoczesną poezją, francuskim ruchem intelektualnym etc. nie udzielałem temu co na miejscu większej uwagi. Zresztą to był ruch już wtedy przegrany, ostatnie echa. Ze strony litewskiej nie mógł liczyć nawet na cień sympatii, bo przedstawiał się jako przedłużenie „idei jagiellońskiej”. I niewątpliwie poza sentymentalnym przywiązaniem do idei Wielkiego Xięstwa kryło się u wielu szlachciców z pochodzenia marzenie o dominacji. Tym niemniej Ludwik Abramowicz i paru innych „krajowców” to byli ludzie głębcocy i szczerzy w swoim oporze wobec polskiego nacjonalizmu. Byli to spadkobiercy szerokiego myślenia, na miarę ludzi oświeconych w osiemnastowiecznej dawnej Rzeczypospolitej. Nie myślę żeby po stronie litewskiej był jakiś odpowiednik — tam chyba wszystko było nowym nacjonalizmem, siłą rzeczy spazmatycznym. Tak czy owak, jedyni spośród mówiących po polsku wilnian, „krajowcy” Wilno uważali za *stolicę*, nie za prowincję. A ja teraz myślę, że ktokolwiek dobrze życzy temu miastu, powinien chcieć żeby było stolicą — co automatycznie usuwa jakieś polskie roszczenia do „polskiego Wilna”.

Muszę tutaj poruszyć zagadnienie zdrady narodowej. Jak wiesz, tam gdzie są obolałe uczucia łatwo o taki zarzut i pewnie doświadczyłeś tego na własnej skórze. Idea „krajowa” była narażona na zarzut „zdrady” z obu stron — i ze strony polskiego i litewskiego nacjonalizmu. Wiele mi się przypomniało kiedy byłem w 1967 roku na *Rencontre mondiale de poésie* w Mont-realu, razem z Adamem Ważykiem, i trafiliśmy w środowisko intelektualne Québec’u z jego francuskim fanatyzmem. Ale także kiedy w kilka lat później brałem udział w zjeździe poetyckim w Rotterdamie, na którym poznałem wielu Belgów języka fla-

mandzkiego. Woleli mówić po angielsku niż po francusku, zresztą już lepiej angielski znali niż francuski. Przed wojną, w moim roku studenckim w Paryżu, trochę pachniały „zdradą” moje wizyty w Poselstwie Litewskim u Oskara Miłosza. No, ten był dla Polaków „zdrajcą” i obserwować mogłem jak przemosi się, niby prąd elektryczny, taka wrogość, bez słów właściwie. Tutaj zbiorowość ma swoje tajemnicze sposoby porozumiewania się. Ale listy Oskara Miłosza do Christiana Gaussa, które odkryłem w Bibliotece Uniwersytetu Princeton i ogłosiłem w osobnej książeczce w Paryżu dają odpowiedź na pytanie jak i dlaczego ogłosił się Litwinem. Kiedy to zrobił, w roku 1918, nic o ruchu narodowym litewskim nie wiedział, po prostu wpadł w gniew dowiadując się, że Polacy nie chcą uznać niepodległości Litwy (pewnie tu chodziło o nacjonalistycznych Polaków spod znaku Dmowskiego, działających dyplomatycznie podczas Konferencji Pokojowej). Następnie pracował na rzecz Litwy na forum międzynarodowym. Dzisiaj, z perspektywy, widać, że jego stanowisko w sprawie Wilna było słuszne. Niemniej, jeżeli Litwini go szanowali, to jednak odnosili się do niego nieufnie, bo nie był człowiekiem języka litewskiego, tylko polskiego. Prawdę mówiąc, francuskiego, przez co mógł zrobić wybór. Gdybym ja ogłosił się Litwinem, to jakież ja Litwin, jeżeli po polsku piszę? Ta nieufność była powodem jego dobrowolnej rezygnacji z kariery dyplomatycznej i zadowoleniem się skromnym stanowiskiem radcy w Poselstwie, choć przecie raz proponowano mu stanowisko Ministra Spraw Zagranicznych. Zauważ pamiętliwość Polaków — to z drugiej strony. Niedawno, kiedy w Polsce Artur Międzyrzecki przetłumaczył Oskara Miłosza powieść *l'Amoureuse Initiation* i zaczęto o twórczości Oskara pisać, pojawił się list do redakcji w *Tygodniku Powszechnym*, którego autor przypominał, że z polskością Oskar Miłosz nie miał nic wspólnego, bo wyrzekł się jej.

W litewskiej prasie emigracyjnej zdarzały się ataki na mnie, za to że, choć krewny Oskara Miłosza, jestem Polakiem, nie Litwinem. Natomiast wśród Polaków nieraz natrafiałem na podejrliwość, że niby coś tam z moją polskością nie w porządku. I muszę przyznać, że cień racji w tym był, choć jako dziecko, w Rosji, recytowałem: „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały”. W Rosji, w ogóle wobec Rosjan, zawsze czułem się Polakiem stuprocentowym, ale to nie sztuka. Co innego w starciu z etnią rdzenną, z Polakami „z Królestwa”. Moje stosunki z Polską były obolałe, nie mniej, a może bardziej niż u Gombrowicza, i byłoby przesadą dopatrywanie się w tym jakiegoś ciężenia ku Litwie, podczas kiedy naprawdę decydował mój indywidualny los, uchylanie się od pełnego włączenia się

w jakąkolwiek ludzką wspólnotę czyli mój garb, kalectwo. Ale też trzeba w tym zobaczyć konflikt z polską inteligencją przedwojenną, bo moja umysłowość była o wiele bardziej międzynarodowa czy kosmopolityczna.

Dość trudno jest to teraz odtworzyć. Działyły różne wpływy już w latach szkolnych, jak lektura pism literackich, które nie były właściwie pismami inteligencji polskiej, tylko polsko-żydowskiej — mówię o pismach wydawanych w Warszawie, jak *Wiadomości Literackie*. Stąd może mój wczesny bunt przeciwko Sienkiewiczowi i duszy polskiej, będącej *anima naturaliter endeciana*. A w latach studenckich przyszedł wpływ Oskara Miłosza, w którego tekstach politycznych, ogłoszonych pośmiertnie, możesz znaleźć bardzo trzeźwą ocenę sytuacji — w roku 1927 pisał, że Polska miałaby dane na zgrupowanie wokół siebie, przez ścisłe alianse, państw bałtyckich, Finlandii, Czechosłowacji, tak żeby stworzyć przeciwwagę wobec nacisków niemieckich, ale że na to Polska musiałaby wyrzec się swego *messianisme national outre-cuidant et chimérique*, czego nie potrafi, tak że za jakieś 10 lat dojdzie do katastrofy. O jeszcze jednym wpływie muszę powiedzieć, i to będzie dłuższa historia. Nie jesteś moim pierwszym przyjacielem Litwinem. Faktem jest że w latach studenckich silnie oddziaływał na mnie przyjaciel Litwin, i to nie z Wilna, ale, jak się wtedy mówiło, z „Litwy kowieńskiej”. Skąd do nas trafił? Jak wiesz stosunki dyplomatyczne pomiędzy Polską i Litwą wtedy, za mego pobytu na uniwersytecie, 1929-1934, nie istniały, kordon był zamknięty i oba państwa płatały sobie figle — Polska podtrzymując finansowo „polskość” na Litwie, Litwa robiąc to samo wobec „litewkości” na Wileńszczyźnie. Poznałem go w 1929 roku na proseminarium z filozofii prawa, prowadzonym przez docentkę Ejnikównę: raptem zabiera głos duży drab, w rogowych okularach, ze strzechą konopianych włosów, niby próbuje mówić po polsku, ale to jest właściwie rosyjski przeplatany niemieckim. Nazywał się Pranas Ancevičius czyli Franciszek Ancewicz. A oto jego dzieje, bardzo smutne. Pochodził z ubogiej chłopskiej rodziny, dostał się do gimnazjum, zachwycał się rewolucyjną literaturą rosyjską (Gorki, etc.) i został rewolucjonistą. Wziął udział w 1926 roku w przegranej puczu socjalistycznym. Pleckajtisa i musiał z Litwy uciekać. Uciekł do Wiednia, gdzie mieszkał w kompleksie domów robotniczych im. Karla Marksa i gdzie pomagali mu socjaliści. W ogóle Pranas, czy Draugas, jak go nazywałem, miał całe życie być socjalistą radykalnym w stylu wiedeńskiego marksizmu, i w tym jego tragedia. Bo niewątpliwie był to człowiek spragniony politycznego działania, a skazany na los emigranta. W Wilnie wobec miejscowych Litwinów był „spalony”, jako że oni byli lojalni wobec

rządu w Kownie, a on dla tego rządu był politycznym przestępcą. Z kolei litewscy komuniści szczególnie go nienawidzili, bo okropnie im dopiekał swoją dobrą znajomością spraw Związku Sowieckiego i wypowiedaniem swego zdania bez ogródek, tak że zastosowali zwykłą u nich metodę oczerniania, ogłaszając go „polskim agentem”, prowokatorem itd. Rozpowszechniali pogłoski, że jest kupiony, opłacany, bo skąd miał pieniądze na studia? Ale ja mieszałem z Draugasem na tym samym piętrze Domu Akademickiego, na Bouffałowej Górze, i wiedziałem, że jego skromne środki utrzymania (a Wilno było niezwykle tanim miastem) przychodziły z Ameryki, z litewskiej prasy, bodaj antyklerykalnej i lewicowej, do której pisał korespondencje (był zacieklej ateistą). Kiedy przesyłka pieniędzy spóźniała się, Draugas żył na kredyt. Byłem też świadkiem jego długotrwałych i ciężkich depresji, bo z dużymi zdolnościami szła u niego w parze neurotyczność. Otóż moje rozmowy z Pranasem — zważ, że przypadły na moje lata formacyjne — wyjaśniają dłaczego, kiedy przenieśliśmy się do Warszawy, wiedziałem dziesięć razy więcej o komunizmie niż wszyscy moi literaccy koledzy wzięci razem, bo przecie Pranas śledził wszystko co się odbywało za wschodnią granicą. I oczywiście moja perspektywa na Polskę i polskość, z natury endecką i parafialną, musiała być inna wskutek tego mego treningu.

Nie chciałem przesadzać z moim upolitycznieniem. Nie nadałem się do żadnej politycznej decyzji ani działalności, co sobie wyrzucałem, ale nigdy nie umiałem pokonać mego indywidualizmu i poddać się dyscyplinie organizacyjnej. Pranas był prezesem ZNMS czyli Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej na uniwersytecie, a jednak ja nie zapisałem się do tej organizacji czyli on jako przyjaciel to było dla mnie jedno, a jego wiara rewolucyjna to drugie.

Pranas zrobił doktorat z prawa i zaczął wykładać w Instytucie Badań Europy Wschodniej. Tutaj jest dobra okazja, żeby dotknąć spraw na pewno już dzisiaj zagadkowych tj. niekonsekwencji w polskiej polityce wobec Litwinów, Białorusinów, Ukraińców. Rzecz w tym, że podobnie jak to widzimy w Ameryce, ścierały się w Polsce ze sobą różne siły, choć w latach trzydziestych z każdym rokiem wzmocniała się prawica i jej program „polonizowania” przy pomocy środków policyjnych, aż do okrutnych pacyfikacji wsi ukraińskich włącznie. W Wilnie nękanim Litwinów zajmował się wojewoda Bociański — to było już po śmierci Piłsudskiego. A równocześnie powstał Instytut Badań Europy Wschodniej, który został założony przez siły zupełnie inne, co prawda już wypierane przez wojujący nacjonalizm o faszystow-

skim zacięciu. Siły które można określić jako liberalne, nie bez masonskich powiązań, i wierne federacyjnym marzeniom Piłsudskiego. Niekoniecznie socjalistyczne czy masonskie — na przykład Swianiewicz był w Instytucie, podobnie jak szereg innych profesorów Uniwersytetu Stefana Batorego, a on całe życie gorliwy katolik. W pewnej chwili administracja województwa zaczęła deportować siłą niektórych Litwinów, po prostu przerzucając ich przez granicę do Litwy, chciała też deportować Pranasa, a tam w Kownie naturalnie wsadziliby go do mamra. Właśnie ludzie Instytutu go wybroniли. Pomysł założenia Instytutu był znakomity — gdzie jak gdzie, ale w Polsce powinno się było uczyć o sąsiadach, przynajmniej ludzi przygotowujących się do służby w administracji i dyplomacji. Wykładano w Instytucie to, co nazywa się dzisiaj sowietologią, na ileż lat wcześniej niż ta gałąź wiedzy rozwinęła się w Ameryce, tj. uczonego ekonomii, geografii, zagadnień ustrojowych Związku Sowieckiego, ale także historii i języków naszego obszaru: litewskiego, łotewskiego, estońskiego, białoruskiego. Dość charakterystyczne, że wtedy kiedy ex-członkowie naszej grupy „Żagary”, Henryk Dembiński i Stefan Jędrzychowski byli w Wilnie okrzykami jako komuniści, a także nieco później, kiedy występowali jako oskarżeni w procesie, władzom Instytutu nie przeszkadzało to ich zatrudniać. Sekretarzem Instytutu był mój kolega poeta Teodor Bujnicki, dojeżdżał na wykłady z Warszawy Stanisław Baczyński (ojciec późniejszego poety Krzysztofa Baczyńskiego), bardzo lewy, dość typowy dla pewnej mentalności: Piłsudczyk, legionista, uczestnik polskiego powstania na Śląsku, z tej polskiej inteligencji która poszła walczyć o niepodległą Polskę w imię swoich radykalnych idei. Wydaje mi się, że Pranas Ancevičius i Baczyński szczególnie sobie przypadli do gustu, i że to on namówił Pranasa na przeniesienie się do Warszawy, z dala od sztykan miejscowej administracji, a także pomógł mu dostać pracę, już nie pamiętam w jakim instytucie badawczym czy bibliotece. To było zresztą tuż przed wybuchem wojny.

W latach studenckich Wilno było dla mnie przyległościami Katedralnego Placu — z jednej strony uniwersytet, z drugiej kawiarnia Rudnickiego na rogu ul. Mickiewicza i zaraz obok Instytut Badań Europy Wschodniej. Na naszym uniwersytecie czuło się ciągłość bardziej niż na innych polskich uniwersytetach, z wyjątkiem Jagiellońskiego. Bo okres jego zamknięcia po powstaniu 1831 roku jakos skracał się, ginął, i żyło się aurą Filomatów. Wychowywać się w Wilnie, znaczyło należeć w pewnym tylko stopniu do XX-go wieku, głównie chyba za pośrednictwem kina. Czasem mi się dzisiaj mieszka Akademicki Klub Włóczęgów, a zwłaszcza Klub Włóczęgów-Seniorów z Towarzystwem Szubrawców złożonym z profesorów młodego Mickiewicza. Nawet

łoza Gorliwy Litwin nadal zdaje się w moich studenckich latach działała.

W porównaniu z Wilnem Warszawa była miastem brzydkim, zżartym w jej środkowych dzielnicach i na niektórych peryferiach przez liszaj nędzy, żydowskiej, chałupniczej i drobno-kupieckiej, albo polskiej, proletariackiej, i nie umywała się do miast cywilizowanych, jak śliczna Praga czeska, niemniej Warszawa to był już wiek XX-ty. Dla przybyszów z Warszawy, takich jak K. I. Gałczyński, Wilno przedstawiało się jako zupełna egzotyka. A mnie Warszawa przerażała. W środku studiów prawa przez rok byłem na uniwersytecie warszawskim i zło to było doświadczenie. Obląłem egzaminy (u profesorów, którzy nie umywali się do wileńskich) i wróciłem do Wilna.

Dotychczas nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zmarnowałem tyle lat na studiowanie prawa. Było tak: wstąpiłem na polonistykę, skąd uciekłem po dwóch tygodniach i z chwilą kiedy zapisałem się na prawo głupi upór (litewski?), wstyd rzucenia czegoś co się zaczęło, zmusił mnie do przemęczenia się aż do dyplomu. Prawo to było wtedy ogólne wykształcenie, jak dziś w Ameryce antropologia czy socjologia, szli na prawo ci, co nie wiedzieli dobrze co ze sobą robić. A humanistyka wymagała, żeby powiedzieć sobie: no cóż, będę belfrem w szkole średniej. W młodości ma się te górne i nieokreślone marzenia, trudno być trzeźwym i wyznaczyć sobie skromny zawód naukowy. Gdybym dzisiaj wybierał, z moją obecną wiedzą, wybrałbym nie polonistykę, ani filozofię (a chodziłem na wykłady i seminaria z filozofii) ale tzw. filologię klasyczną, a także uczyłbym się hebrajskiego i bibliistyki. Tylko że wtedy łacina i greka oznaczały tradycyjnie przepisany program, głównie więc poetów starożytności, a mnie na przykład greckie tragedie czytane w profesorskich przekładach okropnie nudziły, Wergilego miałem dosyć ze szkoły, czyli całą filologię uważałem za nudy na pudy. Dzisiaj łacina i greka, której zacząłem się uczyć skończywszy sześćdziesiąt lat, znaczą dla mnie co innego: dostęp do świata hellenizmu i początków chrześcijaństwa. Gdyby wtedy znalazł się ktoś mądry, kto by mną pokierował, może bym przez nudy przebrnął. Był tam profesor greki z prawdziwego zdarzenia, Stefan Srebrny, i u niego powinienem był studiować. A gdybym jeszcze nauczył się hebrajskiego, byłbym jednym z niewielu dobrze wykształconych literatów. Niemniej prawo w Wilnie było moim zdaniem lepsze niż na innych polskich uniwersytetach, to znaczy co roku w ciągu czterech lat wymaganych do dyplomu jeden przynajmniej kurs był z prawdziwego zdarzenia. Do tych zaliczam: teorię prawa (docentka Ejnik), historię ustroju Wielkiego

Xięstwa Litewskiego (Iwo Jaworski), prawo karne (Bronisław Wróblewski, który właściwie dawał kurs antropologii pod tym pretekstem), historię filozofii prawa (Wiktor Sukiennicki). Tak że w Wilnie, i w szkole średniej i na uniwersytecie, otrzymałem jednak przyzwoite wykształcenie, choć mogłoby być lepsze. Zwazmy, że szkolnictwo po roku 1918 musiało być nagle improwizowane, nie brak więc było postaci, które znalazły się na katedrach jakimś przypadkiem. W każdym razie jednak nie było w Wilnie żadnego tak niepoważnego profesora jak osławiony Jarra w Warszawie, który kazał do egzaminów uczyć się całego swego podręcznika teorii prawa na pamięć, i ścinał jeżeli student odpowiadał „swoimi słowami”, podczas kiedy jego podręcznik był jednym bełkotem.

Ważne, kiedy mówimy o Wilnie: w znacznym stopniu było ono miastem żydowskim. W zupełnie inny sposób niż Warszawa. Dzielnica żydowska w Wilnie to był labirynt wąskich uliczek, zupełnie średniowiecznych, domy połączone arkadami, wyboisty bruk szerokości dwóch, może trzech metrów. A w Warszawie ulice ohydnych czynszowych kamienic z XIX-go wieku. Nędza żydowska w Wilnie mniej rzucała się w oczy, co nie znaczy, że jej nie było. Ale nie na tym polega różnica. Wilno było mocnym ośrodkiem kulturalnym żydowskim, z tradycjami. Przypomnę, że tu przecie, na bazie robotniczej żydowskiej, tych co mówili w *yidish*, powstał przed pierwszą wojną Bund. Jego przywódcy, Alter i Ehrlich, potem zostali rozstrzelani przez Stalina. Wilno miało Instytut Historyczny żydowski, przeniesiony następnie do New Yorku. I myślę, że Wilno szczególnie przyczyniło się do odrodzenia hebrajszczyzny w Izraelu. Mieszkając w takim mieście powinienem był zdobyć jakąś o tym wszystkim wiedzę, ale przeszkodę stanowił obyczaj. Żydowskie Wilno i nie-żydowskie żyły osobno. Posługiwały się też w mowie i piśmie nie tym samym językiem. Jako student byłem uświadomiony bardzo internacjonalnie, co było dość płytkie. Nie wiedziałem nic o historii Żydów w Polsce i Litwie, o ich myśli religijnej, żydowskim mistycyzmie, Kabale. Dopiero nieprędko, w Ameryce, miałem się tego uczyć. To daje miarę oddzielenia dwóch wspólnot, bo cóż mówić o innych miastach w przedwojennej Polsce, jeżeli ja w takim sąsiedztwie zostałem ignorantem. Nikt, o ile wiem, nie odważył się w Polsce zaproponować, żeby hebrajski był wykładany w szkołach jako jeden z języków „klasycznych”, żeby uczono historii intelektualnej Żydów polskich czy nawet żeby czytano i komentowano Stary Testament: ukamieniowano by takiego. I jeżeli nienawiść Żydów do Polaków, przy dziwnym z ich strony wybaczeniu Niemcom i Rosjanom, bardzo mnie razi i boli, to muszę przyznać, że antysemityzm małostkowy, po angiel-

sku rzekłbym *petty*, po francusku *mesquin* — może założyć za skórę nie mniej niż zbrodnie, bo jest czymś na co dzień.

Mam nadzieję, że w moim liście znajdziesz materiał do refleksji. I ty i ja chcemy, żeby stosunki polsko-litewskie ułożyły się inaczej niż w przeszłości. Dwa narody mają za sobą straszne doświadczenia, zostały podbite, upokorzone, zdeptane. Nowe pokolenia inaczej będą ze sobą rozmawiać niż to działo się w latach przedwojennych. Musimy jednak liczyć się z siłą inercji i z tym, że w próżni ideologicznej jaka powstała nacjonalizm czy w Polsce czy w Litwie nieraz będzie wkraczał na utarte tory, jako że w historii każdego kraju istnieją powtarzające się wzory, *patterns*. W końcu XVIII-go wieku nastąpił w Polsce rozłam na obóz Reform i obóz sarmacki i ten rozłam, pod różnymi przebraniami, utrzymał się do dziś, choć w warunkach nie-jawności albo pół-jawności wymyka się definicjom. Być może wydana w Paryżu przez *Kulturę* książka Adama Michnika „Kościół, lewica, dialog” zapowiada koniec tego rozłamu. Bo przecie w naszym stuleciu ostoją mentalności sarmackiej, która zrodziła nowoczesny nacjonalizm, był, przynajmniej do roku 1939, Kościół. Rysuje się teraz nowy sojusz, Kościół w Polsce ogniskuje w sobie wielkie energie postępu, a postęp nie może w tamtym ustroju oznaczać nic innego jak skuteczną obronę człowieka. Ale to są złożone przemiany i nie z dnia na dzień, wcale też nie przesądzą o nagłym zniknięciu nastrojów nacjonalistycznych w wydaniu przedwojennym wśród znacznej części kleru.

Litwini w latach 1918-1939 nie lubili tego wszystkiego, co było w Wilnie mi bliskie: „krajowców”, marzeń federacyjnych, regionalizmu, masonów-liberałów, którzy kiedyś poszli za Piłsudskim. Jak się zdaje woleli mieć do czynienia z *anima naturaliter endeciana*, bo wtedy przynajmniej widać wyraźnie wroga. Może mieli rację, nie będą rozstrzygać. A jednak ta właśnie linia, nie linia sarmacka, daje dzisiaj nadzieję przyjaźni pomiędzy Polakami i Litwinami. I ostatecznie taki jest polityczny rodowód, z tej właśnie linii, Jerzego Giedroycia, redaktora paryskiej *Kultury*, której jestem od wielu lat współpracownikiem.

Czesław MIŁOSZ

Czesławie,

Wyjechałem z Wilna półtora roku temu i nie wiadomo, czy do tego miasta powrócę; w każdym razie nie nastąpi to w bliskiej

przyszłości. Jeden z moich przyjaciół, też niedawny emigrant i dość ambitny sowietolog, twierdzi, że ogromne zmiany we Wschodniej Europie mogą zajść w ciągu dosłownie kilku lat. Wtedy nasza emigracja skończyłaby się w sposób naturalny. Chociaż jestem raczej optymistą, z tym poglądem się nie zgadzam: sprawa niewątpliwie potrwa, musimy się przyzwyczaić do tego drugiego życia na Zachodzie. W pewnym sensie przypomina ono życie pośmiertne. Spotykamy się z ludźmi, których nie mieliśmy nadziei na tym świecie spotkać, a z dawnymi znajomymi jesteśmy rozłączeni mniej więcej na zawsze. Kontakty z nimi mają charakter trochę spirytystyczny. Oddalają się od nas dawne pejzaże; widzimy natomiast rzeczy, o których mieliśmy bardzo mgliste pojęcie. Piszę to w hoteliku wenecjańskim, o kilka kroków od San Marco. Jeżeli pięć lat temu ktoś mi powiedział, że będę tutaj rozmawiał pisemnie z Tobą, odpowiedziałbym, że ma niesłychanie bujną wyobraźnię.

Pamiętam jeszcze każdy zaułek Wilna; mógłbym przejść przez to miasto nie patrząc, myśląc o czymś swoim, a jednak znalazłbym tam wszystko. Czasami zresztą robię to we śnie. Ale odpływa ono ode mnie nieodwracalnie: wiem, że się zmienia, jednak nie uczestniczę już w tych zmianach. Zaczynam widzieć miasto w sposób uproszczony, ogólny, no i może bardziej historyczny. Nie doświadczam nostalgii. Gdy zdecydowałem się na emigrację, niejeden mi mówił, że nostalgia to rzecz straszna; odpowiadałem zgodnie z prawdą, że odczuwam okropną nostalgię za Francją, Włochami i tak dalej — silniejszej już być nie może. Jestem szczęśliwy, słysząc dzwony Wenecji i wiedząc, że za pięć minut mogę znów zobaczyć San Giorgio Maggiore — może najpiękniejszą fasadę na świecie. Nie chciałbym powrócić do teraźniejszego Wilna, właściwie nie mogłem tam wytrzymać. Jednak lubię to miasto i teraz naprawdę zaczynam rozumieć, że ono też jest częścią Europy.

Znamy nie to samo Wilno; nawet można powiedzieć, że to są dwa krańcowo różne miasta. Taka absolutna zmiana nie jest zjawiskiem częstym. Myślę, że Warszawa, mimo że została doszczętnie zrujnowana, zmieniła się mniej. Może częściowo analogiczny do wileńskiego jest los Gdańska albo Wrocławia (i znacznie gorszy — los Królewca). Tam też zmieniła się ludność, język, modele cywilizacyjne; do tego, powiedzmy, przedwojenny Gdańsk miał polskie zaplecze i jakiś polski substrat, podobnie jak Wilno należące do Litwy historycznej ocierało się o Litwę etnograficzną. Jednak wszystko jest nowe. Oczywiście pozostało niebo, Wilią (która nazywa się Neris), nawet piaszczyste łąchy w miejscu, gdzie do Wili wpada Wileńka albo Vilnelė; pozostały niektóre

drzewa — wiele drzew; ale co poza tym? Owszem, pozostała architektura. Jest to ważne.

Sądzę, że właśnie architektura nadaje miastom aurę; wszystko inne — styl życia, nawet krajobraz i klimat jest w jakimś sensie jej pochodną. Wilno to miasto barokowe. Jednak barok na ogół wymaga przestrzeni, dystansu, perspektyw; miasta w tej epoce są planowane już w sposób nowoczesny. Barok wileński — to barok na kanwie średniowiecznej; bo sieć uliczek jest średniowieczna — wszystko tu krzywe, ściśnięte, zagmatwane. Nad tym labiryntem wyrastają potężne kopuły i baszty rodem z zupełnie innego stulecia. Nic tu nie zjawia się w całości: jakieś części kościołów, ukośne mury, przepołowione sylwety wyłaniają się zza rogu; wśród wilgotnych i brudnych korytarzy nagle strzela w niebo wspaniała biała dzwonnica św. Jana albo otwiera się nieduży placik klasycyzy. Dzieje i stosunki ludnościowe miasta — to taka sama gmatwanina. Zresztą znasz to dobrze. Za moich szkolnych czasów połowa tego Wilna stała w ruinach, wszystkie kościoły jednak jakimś cudem ocalały. Ogień artyleryjski zniszczył jedną z dwóch ładnych wież św. Katarzyny, którą zresztą odbudowano po pewnym czasie. Oczywiście władze sowieckie pozamykały większość kościołów — zrobiono tam magazyny papieru i wódki, potem ze zmiennym sukcesem część kościołów przystosowano do urządzania wystaw muzealnych; ale w każdym razie zewnętrzny wygląd pozostał. Miasto jest bardzo zrośnięte ze swym podłożem: w jasny dzień dobrze widać, że linie frontonów odzwierciedlają linię okolicznych lesistych pagórków, albo może to ona je odzwierciedla. Napisałeś kiedyś, że chmury nad tym miastem też są barokowe; owszem, są.

Nie chciałbym zatrzymywać się nad tym barokiem. Wilno ma wszystkie style europejskie (z wyjątkiem romańskiego), i to w dobrym gatunku. Pomieszenie jest naprawdę dziwne, jednak style współistnieją w bardzo żywy sposób. W latach szkolnych interesowałem się tym raczej na serio. Znałem nie tylko wszystkie zabytki wileńskie, ale prawie że każde okno i kolumnę. Zdobyłem pojęcie o architekturze, w każdym razie lepsze niż o innych sztukach; wykształciłem nieco wyobraźnię wzrokową, przestrzenną (muzycznej niestety mi brak). Miałem kilku przyjaciół z takim samym zacięciem architektonicznym: mogliśmy godzinami bawić się w odgadywanie stylów, wieków, nawet dziesięcioleci, albo w wyliczanie z pamięci różnych wileńskich ciekawostek. Ważną pomocą w tym była książka Mikołaja Worobiowa, wydana w roku 1940. Profesor Worobiow po wojnie wyemigrował do Stanów, gdzie popełnił samobójstwo (jego miła córka mieszka w Nowym Jorku, zupełnie nieoczekiwanie spotkałem ją w pierwszy dzień

po przyjeździe do tego miasta). Książka jego, opublikowana wyłącznie po litewsku, jest czymś w rodzaju wileńskiego Ruskina czy Morrisa. Potem widziałem dużo miast, i „choroba wileńska” trochę mi przeszła. Jednak przyznam się, że w najgorsze dni życia, już jako człowiek dorosły, szedłem po prostu na dziedziniec Skargi, na placyk przed św. Anną, albo przed św. Teresą, stałem i patrzyłem; i to zawsze pomagało.

Znajduję coś z tego teraz we Włoszech: topograficznie Wilno jest bardzo podobne do Rzymu. Nawet ma, tak samo jak Rzym, stratum zabytków pogańskich. Zacytuję tu małą anegdotkę. Przed wojną odbyła się wycieczka studentów litewskich do Europy; jeden z uczestników opisał tę wycieczkę bardzo wymownie. W jego opisie znajduje się takie oto zdanie: „Przyjechaliśmy do Florencji: miasto jest ładne, w rodzaju Wilna, tyle że gorsze”. Najśmieszniejsze chyba jest to, że prawie z nim się zgadzam. W każdym razie strefa kulturalna Florencji i Wilna jest ta sama, Wilno należy do tego świata, do którego należy Florencja. Rosja jest zupełnie inna, może z wyjątkiem Petersburga, ale z Petersburgiem to złożona sprawa. Co się tyczy Tartu albo Tallina — moim zdaniem mają z Wilnem bardzo mało wspólnego (poza nieszczęśliwym losem): to Europa raczej skandynawskiego kręgu.

Otóż architekturę wileńską dość wcześnie zacząłem odbierać jako znak. Mówiła o czymś i stawiała jakieś wymagania. Była to wyniosła przeszłość wśród dziwnej i niepewnej terażniejszości, tradycja w świecie nagle odartym z tradycji, kultura w świecie akulturalnym. Kultura, co tu ukrywać, w znacznym stopniu polska. Ale i włoska, niemiecka, francuska; przede wszystkim chrześcijańska (co zrozumiałem później). Mówisz, że dla Ciebie Wilno to możliwość normalności. Dla mnie nigdy normalnością nie było. W dzieciństwie bardzo silnie, choć niejasno odczuwałem, że świat jest zwichnięty, wywrócony, okaleczony. Później zacząłem myśleć — i właściwie myślę dotychczas — że żyjemy już po końcu świata, co zresztą nie zwalnia nas od żadnej odpowiedzialności. W moim Wilnie istniały tylko enklawy dające jakieś pojęcie o tym zaginionym normalnym świecie. Oczywiście normalność w ogóle jest rzeczą względną, i podejrzewam, że życie ludzkie nie układa się zwyczajnie nigdy; każdy o tej zwyczajności od czasu do czasu marzy, chociaż zawsze była to idealna średnia nie przylegająca do faktów. A w naszej epoce najbardziej niewiarygodne losy są może najczęstsze, to znaczy najzwyczajniejsze.

Przeczytałem niedawno esej Tomasza Manna „Lubeka jako forma życia duchowego”. Mówi on o świecie spokojnym, dostojnym, zawsze poszukującym drogi środkowej; ważne w tym

świecie są takie kategorie jak rozum, obowiązek, dom. To się zmieniło na pewno. Kategorie te już nie są nam dane „od początku” przez tradycję; mogą być wyłącznie zadaniem: to znaczy, musimy dorastać do poczucia obowiązku, do rozumnego i dostojnego życia, do jakiegoś własnego, niemechanicznego miejsca jeżeli nie w przestrzeni, to w czasie, i to dorastać z wielkim trudem, zawsze licząc się z przegraną. Jest to skutek przede wszystkim totalitaryzmów dwudziestowiecznych. Jeden z tych totalitaryzmów zjawiał się właśnie w umiarkowanej ojczyźnie Tomasza Manna, co jest kwestią odrębną.

Nie pochodzę z Wilna: urodziłem się w Kłajpedzie, skąd moi rodzice zmuszeni byli wyjechać w roku 1939, kiedy to miasto i okolice zajął Hitler. Miałem wtedy dwa lata. Dzieciństwo, inaczej mówiąc okupację niemiecką, spędziłem w Kownie. Ale potem już zostałem Wileńczykiem, jako jeden z tysięcy Litwinów, którzy za czasów wojny i po wojnie przyjechali do swej historycznej stolicy. Było to miasto dla nich zupełnie nieznane. Przed wojną ruch pomiędzy Wilnem a Litwą niepodległą, jak wiadomo, prawie nie istniał. Istniał natomiast mit Wilna, znaczący dla wyobraźni litewskiej, o czym później; ale to inny wymiar. Istnieli też, i nawet istnieją, Litwini — rodowici wileńscy; ciekawa to grupa ludzi, lecz niewielka i już raczej na wymarcu. Więc życie w Wilnie z początku było trudnym wrastaniem w nową glebę. No i w ogóle było chaosem.

Jak mówiłem, pół miasta zalegały ruiny. Na dawnym „Jerku” został spalony co drugi dom. Straszyla tam jednak drewniane kino „Helios” (teraz mniej więcej na tym miejscu stoi dość pompatyczna nowa opera wileńska). Losy imienia tej ulicy zasługują na oddzielny opis. Władze litewskie przemianowały ją na ulicę Giedymina, zostawiając imię Mickiewicza jej przedłużeniu na Zwierzyńcu. Gdzieś w okolicach roku 1950 oznajmiono, że ulegając prośbom mas pracujących nazwę się zmieni — ulica będzie prospektem towarzysza Stalina. Nosiła to dumne imię do XX-go zjazdu. Wtedy to jeden z moich znajomych, początkujący grafik, napisał do władz petycję, proponując powrót do dawnej nazwy. Wyrzucono go natychmiast z uczelni; starym zwyczajem trafił do rekrutów, czyli do Armii Czerwonej, skąd powrócił złamany. Pracował co prawda potem w swym fachu, ale był chory i zmarł, jak szeptem mówiono z powodu zbyt silnej dawki promieni radioaktywnych, którą otrzymał gdzieś na bazie północnej. Ulica w końcu została, oczywiście, prospektem Lenina. Jednak moje pokolenie zawsze nazywało i nazywa ją „Giedyminką”. Trzeba powiedzieć, że Giedymin oficjalnie też pozostał, bo otrzymał Plac Katedralny. W ten sposób wymazano z mapy

religię, a nacjonalizm litewski, choć niezupełnie zlikwidowany, okazał się na miejscu mu należnym, bo drugim.

Całe getto (oraz ulica Niemiecka, od razu przemianowana na Muzealną) było niesamowitą martwą przestrzenią, prawdopodobnie zbliżoną w wyglądzie do tuż powojennej Warszawy. Ściany starej synagogi stały jeszcze, jednak zburzono ją niezwłocznie. Burzono także różne inne rzeczy niezupełnie odpowiadające nowemu porządkowi. Kiedyś rankiem zobaczyliśmy, że zniknęły Trzy Krzyże — wysadzono je nocą w powietrze. Odremontowano, potem zdjęto trzy figury świętych z frontonu Katedry: prasa wyjaśniła, że nie było ich w pierwotnym projekcie Stuoki-Gucewicza (co nawet jest prawdą, tyle że w tym projekcie był krzyż, który zdjęto również). Przebąkiwano o jakiejś wielkiej magistrali, mającej łączyć dworzec z Antokolem; właśnie na linii tej przyszłej magistrali była Ostra Brama oraz dwa kościoły — podominikański i św. Katarzyny. Mówiono również o budowie prawdziwie radzieckiego drapacza chmur na Łukiszkach, zamiast św. Jakuba (zbudowano podobny drapacz w Rydze). Po śmierci Stalina zapomniano jakoś o tych pięknych projektach. Ale całe miasto zostało otoczone szarymi standardowymi domami, w porównaniu z którymi garnizonowa architektura carska wyglądała raczej przyzwoicie; takie domy dość skutecznie zepsuły Antokol i gdzieś tam poczęły się wciskać również do historycznego centrum, na przykład właśnie do ulicy Muzealnej.

Moja szkoła, dawne gimnazjum jezuickie, stała u wylotu tej ulicy, tworząc jak gdyby wyspę wśród ruin. Była duża, bardzo mroczna, i wyniosłem stąd nie najlepsze wspomnienia. Różne kryzysy wieku młodzińskiego zbiegły się właśnie ze wspomnianym poczuciem nienormalności, jakiegoś przekrzywienia świata. Już pierwszego dnia po szkole zablądziłem w ruinach, i to męczące, bezsilne bląkanie w poszukiwaniu domu, które trwało dobre cztery godziny (nie miałem kogo zapytać o drogę, bo ludzi spotykałem mało, do tego nie mówiących po litewsku), zostało dla mnie czymś w rodzaju prywatnego symbolu. Wileńska ludność była w tym wczesnym okresie bardzo nieliczna; poza tym była niepojętą magmą. Żydzi wyginęli prawie wszyscy; Polacy dość masowo wyjeżdżali do Polski (albo na Syberię), pozostawał raczej proletariatus, no i lumpy; Litwini należeli albo do nowej sowieckiej elity, albo do niedobitków inteligencji, często złamanych lub zastraszonych; zjawiało się sporo rosyjskich oraz innych imigrantów-czynowników, okupacyjnych oficerów z pięknymi córkami, ale także ludzi prostych, wiodących egzystencję żebraczy albo i gorszą. Z „tutejszego”, rosyjskiego, odłamków litewskiego powstawał nowy dziwny żargon. Miasto było bandyckie i niebez-

pieczne. Często wybuchały bójki, przeważnie na tle porachunków narodowych. A przede wszystkim czuło się ciężką rękę władzy.

Odczułem to na pewno inaczej niż większość, bo moja rodzina była częścią sowieckiej elity; a jednak odczuwałem. Korzystając z dość bogatej biblioteki ojca, interesowałem się mnóstwem rzeczy. Ale wkrótce musiałem się zorientować, że są nieistniejące, bo zabronione nazwiska, i nie istniejące, bo zabronione problemy. Drażniło mnie to i poniżało. W kilku książkach, i to z literatury greckiej, wymazano nazwisko tłumacza. Spytałem ojca, co to znaczy — odpowiedział, że takie egzemplarze kupił w antykwariacie moskiewskim, i nic bliższego o tłumaczu mu nie wiadomo. Znacznie później dowiedziałem się, że chodziło o Adriana Piotrowskiego (syna Tadeusza Zielińskiego), który zginął w czasie stalinowskich czystek. Innego tłumacza klasycznej literatury greckiej, tym razem na litewski, też nie wypadało wymieniać z nazwiska, bo był to prezydent niepodległej Litwy Smetona. Ale co tu mówić o Smetonie, kiedy oficjalnie nie istniała (bo była wroga i niedobra) więcej niż połowa literatury litewskiej; potem pojąłem, że rosyjskiej też. Nie istniała problematyka narodowa oraz religijna, co z czasem oczywiście wzbudziło u mnie dość żywe zainteresowanie tak pierwszą, jak i drugą. Nie istniała także większość krajów świata. Francja albo Anglia były dla mnie wyłącznie pojęciem literackim, w rodzaju wysp Jules Verne'a; Polska zresztą też. Były po prostu wymyślone albo w najlepszym wypadku należały do przeszłości; w teraźniejszości pozostał jakiś nieodróżniony i absolutnie niedostępny (bo wrogi) obszar. Już po uniwersytecie trafiła mi do rąk książka „Całe Wilno w roku 1913”. Na jednej z pierwszych jej stron widniał przydługi spis miast zagranicznych, do których z Wilna można kupić bezpośredni bilet kolejowy. Zaciekało mnie, ile tych miast pozostało. Znalazłem dwa: Królewiec i Lwów.

Robiono wszystko, aby wykarzcować przeszłość i zaszczepić nową mentalność. Łatwo zrozumieć, że nie chodziło wyłącznie o burzenie krzyży albo o to, że kina „Casino” i „Adria” nagle stały się „Moskwą” i „Październikiem” (noszą te nazwy dotychczas). Nową ideologię przymusowo wtyłaczano wszystkimi sposobami, i to tak żeby specjalnie upokorzyć, pokazać człowiekowi, że nic nie jest wart. Starzy nauczyciele w szkole i profesorowie na uniwersytecie, dławiąc się od bezsilnej wściekłości, mówili rzeczy, w które nie wierzyli i których człowiek może w ogóle nie powinien mówić. Poeta Putinas, niemłody już i powszechnie poważany, milczał przez jakiś czas, potem jednak zaczął publikować co należy. W powieści o roku 1863 przeszmutłował zdanie, które zrobiło wrażenie na wielu: że naród musi dojrzeć nie tylko

do wolności, ale i do niewoli. Uważam to zdanie za kapitulankę. Nie należy zaprawiać się do roli niewolnika. Zresztą Putinas pisał do szuflady wiersze, które teraz wypływają w czasopiśmie emigracyjnych. Tłumaczył Mickiewicza, zasiadał w akademii nauk i był katastrofalnie nieszczęśliwy; zmarł po wielu latach takiego życia. Urządzono mu oficjalny pogrzeb.

Inny poeta, Sruoga, trafił do kacetu niemieckiego, skąd powrócił do Wilna. Zdążył napisać książkę o swych przejściach, dość ciekawą, cyniczną, trochę podobną w tonacji do Borowskiego. Na zebraniu pisarskim jeden z działaczy partyjnych powiedział dosłownie, że Niemcy prawdopodobnie mieli rację trzymając takich ludzików w kacetach. Sruoga dostał szoku i zmarł wkrótce po tym zebraniu.

Było paru śmiałych albo takich, którzy w każdym razie nie mieli nic do stracenia, jak stary emigrant rosyjski, filozof religijny Karsawin; ci zginęli oczywiście. Ale ginęli i inni. W końcu przyzwyczajono się do wszystkiego — do obowiązkowych defilad, do narzuconych przyjaźni, do specjalnego języka diametralnie przeciwnego temu, co rzeczywiście ma się na myśli. Nastąpiło zmieszanie i względny spokój. Ludzie — i to przede wszystkim warstwa edukowana — uważają codzienne kłamstwo za denary, które trzeba płacić cesarzowi, żeby mieć jako tako znośny żywot, i nie widzą w tym problemu moralnego. Może o to właśnie władzom chodziło.

Jest to zjawisko czasów nowych, już postalinowskich. Ale trzeba pamiętać, że na Litwie stalinizm właściwie nigdy się nie skończył: zmieł w latach sześćdziesiątych nawet bardzo, ale pozostał sobą. Sądzę, że sytuacja w Polsce jednak jest inna. Trochę inna jest nawet w Rosji. Wśród inteligencji na Litwie przeważa poczucie bezsilności i kompletna demoralizacja. Nie wyobrażam sobie członka akademii nauk Litewskiej SSR, który poszedłby za Sacharowem, chociaż na pewno są tacy, co podziwiają go w duchu. Zresztą istnieje wygodny sposób tłumaczenia się: że Sacharow to sprawa rosyjska, że Litwa to kraj okupowany, mający swoje problemy, i że trzeba wszystko poświęcić sprawie ratowania litewskiego języka i kultury, co oznacza siedzieć cicho. Nie wiadomo tylko, czy uratowana w ten sposób kultura będzie coś warta.

Centrum oporu na Litwie leży gdzie indziej. I tu powracam do Wilna powojennego i do osobistych wspomnień. Dość często słyszałem o wojnie partyzanckiej w lasach litewskich. Właściwie też powinna być należeć do zabronionych tematów, jednak przybrała tak potężny rozmiar, że nie sposób było o niej milczeć zupełnie. Władza naturalnie starała się nie tylko zdławić party-

zantkę, ale i wszelkimi sposobami opluć. Robi to dotychczas: najpewniejsza droga do sukcesu w oficjalnej litewskiej literaturze albo w filmach to zozydzenie partyzantki, czasem dość perfidne, bo z jakimś ściśle wyważonym procentem prawdy. Ta wojna była tragiczna i niesłychanie okrutna. Słyszałem także o masowych deportacjach; to już był temat ściśle zabroniony, ale wiedziałem, że ludzi, przede wszystkim wieśniaków, wywożą na Syberię, gdzie mają ciężkie życie. Nie można było tego nie znać. Zniknęło kilku uczniów z mojej klasy; w ich domu dowiedziałem się, że wywieziono ich wraz z rodziną, bo ojciec okazał się oficerem dawnego wojska litewskiego. Został wywieziony na Syberię brat mojego ojca; robiono starania, żeby go stamtąd wydostać, lecz nie miało to żadnego skutku; wkrótce zmarł, dopiero jego żona z córką powróciła po wielu latach. Znikali znajomi, należący do starej inteligencji. Niektórzy powrócili; dość znaczna ich część teraz pisze bardzo prawomysłne rzeczy.

Powiadasz o zbrodni roku czterdziestego. Obaj wiemy, że najgorsze wymiary ta zbrodnia przybrała po wojnie. Zdeportowany został, jak mówią, co szósty Litwin. Miało to związek z kołchozją, ale nie tylko: przede wszystkim starano się raz na zawsze oduczyć naród od wszelkich prób decydowania i nawet myślenia o swym losie. Niezupełnie to się udawało, i teraz można już powiedzieć, że nie udało się w ogóle. Jednak nie z winy władz.

Partyzantka była zrywem beznadziejnym. Zachód, jak wiadomo, nie interesował się sytuacją w krajach bałtyckich. Pisałeś o tej sytuacji w „Zniewolonym umyśle”, za co każdy Litwin powinien Ci być wdzięczny; niestety nie słuchano tego jak należy. Nawet teraz czytuję w prasie zachodniej katastrofalnie głupie elaboraty na temat państw bałtyckich. Jakoś przyzwyczajono się do myśli, że Rosja zawsze była i dla świętego spokoju powinna być na tych terenach, zaś wszystko inne jest nic nie znaczącym epizodem. Co prawda, zdarzają się i rozumniejsze głosy, prawdopodobnie częściej niż wtedy: to już zbawienny wpływ Sołżenicyna i jemu podobnych. Litwa po wojnie wykrwawiła się bardziej od innych państw bałtyckich; jednak, może właśnie z tego powodu, pozostała z nich najbardziej uparta. Wojna leśna trwała do śmierci Stalina, a właściwie dłużej: ostatni partyzanci trzymali się dosłownie do naszych czasów.

Nie pozostało po tej wojnie dużo dokumentacji historycznej, a jeżeli istnieje, to przede wszystkim w głębi wiadomych archiwów. Strach przed taką informacją jest ogromny. Kilka miesięcy temu odbył się w Wilnie sąd nad byłym partyzantem, który się nazywa Balys Cajauskas: dostał wyrok piętnastoletni wyłącznie

za to, że zbierał archiwalne materiały o wojnie leśnej (trzeba dodać, że już przedtem odsiedział swoich dwadzieścia pięć lat). W powojennych czasach słyszeliśmy, że w rękach partyzantów są przede wszystkim okolice na południowy zachód od Wilna, gdzieś opodal Druskienik. Wokół Wilna litewskiej partyzantki nie było albo było znacznie mniej, bo ludność nie poczuwała się do litewskości; istniały tu natomiast przez jakiś czas oddziały Armii Krajowej, których stosunki z Litwinami, zdaje się, nie zawsze układały się zgodnie. Jednak w samym mieście funkcjonowało litewskie podziemie. Nic o nim oczywiście nie wiedziałem i dopiero teraz zaczynam się dowiadywać; ale czułem, że coś takiego jest w powietrzu. Do więzienia trafił poeta, bliski przyjaciel ojca, Kazys Boruta, bo wiedział o czymś i nie doniósł. To nazwisko nie jest Ci obce — o ile wiem, za dawnych czasów tłumaczyłeś Borutę na polski. Po stalinowskim więzieniu Boruta pozostał człowiekiem prawym: kiedy na zebraniu litewskich pisarzy gromiono Pasternaka, on był jedynym, który wstał i wyszedł. Przyjaciółka Boruty, Ona Lukauskaite, trafiła do sądu razem z nim i dostała dziesięć lat. Została zwolniona po śmierci Stalina. Niedawno, mając już po siedemdziesiątce, wstąpiła do litewskiej grupy „Helsinki”.

Podziemie oczywiście było infiltrowane. Sporo nici w rękach trzymał niejaki Markulis, który okazał się agentem KGB; dziś zajmuje się medycyną sądową, ściślej mówiąc preparowaniem trupów. Wiem, że brzmi to zanadto literacko, niemniej jest prawdą. W końcu wszystko zostało rozgromione. Za moich czasów uniwersyteckich była to sprawa przeszłości, ludzie siedzieli w Gułagu albo leżeli pod ziemią; wśród pozostałych zaczynało się jakieś przystosowanie i stabilizacja, tym bardziej że reżym, mówiąc słowami Achmatowej, też przechodził na bardziej wegetariańską dietę. Jednak, bodajże w roku pięćdziesiątym dziwiącym, oznajmiono nam na zebraniu studenckim, że została wykryta organizacja, która na filologii zajmowała się wrogą działalnością. Członkowie tej organizacji rozmawiali między sobą o sprawach Litwy oraz, zdaje się, pisali jakieś odezwy. Nie miałem styczności z tymi ludźmi, nawet nie widziałem żadnego z nich na oczy, ale wtedy już przeszedłem mutację polityczną, więc poczułem do nich sympatię. Zarzewie oporu tliło się przez długie lata: oporu już nie zbrojnego, lecz ideowego. Uważam go za jedynie moralnie dopuszczalny, a także jedynie skuteczny. Naród nie może się zgodzić, żeby go łamano, pluto mu w twarz i kazano za to wszystko radośnie dziękować. Niepodobna wykorzystać normalnych ludzkich odruchów, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z przysłowiowym litewskim uporem i wytrwałością, która liczy sobie dobrych siedemset lat tradycji. Ostatnio nastąpił niewia-

rygodny rozkwit litewskiego „samizdatu”, co oznacza, że opór zdobył nowy i ważny wymiar. Jakoś trudno już nie zwracać uwagi na losy tego kraju. Wiem, że to nie jest zasługą litewskiej inteligencji, w każdym razie nie jest zasługą tej części inteligencji, którą się widzi. Istnieje, i to w sporych ilościach, zmieszczający *homo sovieticus*, który skromnie (albo i nieskromnie) bogaci się, z duszą na ramieniu przyjmuje wizyty zagranicznych rodaków, a z czasem sam zaczyna jeździć za granicę. Cicho i śmiertelnie nienawidzi Rosjan, ale właśnie jako Rosjan; system jest dlań wygodny, bez tego systemu nie wiedziałby co począć, przez pewien czas przynajmniej. Ale istnieją także ludzie inni, przeważnie prości.

Znałem jednego z nich nazwiskiem Viktoras Petkus. Należy do najbardziej niezwykłych osobowości, jakie widziałem w życiu. Ten duży, flegmatyczny Żmudzin spędził w Gułagu piętnaście lat. Pierwszy raz trafił tam jako niepełnoletni za związki z podziemiem, chociaż broni nie trzymał w ręku; po śmierci Stalina został wypuszczony, lecz wkrótce znów aresztowany, tym razem za to, że miał w domu literaturę wywrotową. Należała do wspomnianej literatury Selma Lagerlöf oraz książka poety litewsko-rosyjskiego Bałtruszajtisa, opublikowana w roku 1911. Odsiedział osiem lat (tymczasem Bałtruszajtis, tak samo jak Lagerlöf, zostali zrehabilitowani). Po wyjściu oczywiście nie miał normalnej pracy, ale skolekcjonował jeden z lepszych w Wilnie księgozbiorów lituanistycznych. Wstąpienie do litewskiej grupy „Helsinki” uważał za rzecz najnaturalniejszą w życiu, chociaż na pewno zdawał sobie sprawę, tak samo jak wszyscy, że pierwszy trafi do więzienia. Został aresztowany. Sąd nad nim odbył się jednocześnie z procesami Ginzburga i Szczarańskiego, nawiasem mówiąc jego przyjaciół (przyjaźnił się również z Sacharowem i w ogóle nie należał do rusofobów). Byłem wtedy już na Zachodzie, we Francji; prawie nic nie mogłem zrobić dla niego, tyle że każdego ranka czytałem wszystkie dostępne mi gazety i czułem, jak postać Petkusa z dnia na dzień rośnie. Nie odpowiadał na żadne pytania sądu. Dał do zrozumienia, że jego zdaniem jest to sąd okupacyjny i bezprawny, z którym współpracować i nawet obcować nie należy. Potem po prostu milczał albo spał. Dostał nowych piętnaście lat.

Otóż w Wilnie często miewałem bardzo męczące poczucie, że terazniejsi mieszkańcy jakoś nie przylegają do tego miasta. Nie są na miarę Wilna. Świat widziałem jako zniekształcony po części właśnie dlatego. A przecież okazało się to nieprawdą. Musimy pamiętać, że Wilno jest dziś centrum litewskiego oporu, który nie wahając się ani na chwilę określić jako wielki. Moje

osobiste kontakty z nim były bardzo nieznaczące (choć miałem swoją prywatną wojnę z reżymem i swoją grę *va banque*). Ale był częścią powietrza.

Stosunek władz do nacjonalizmu litewskiego zawsze był podwójny. Oczywiście starano się ukłócić mu kark, jednak drugą ręką jak gdyby po trochu podkarmiano. Robiono dziwne tymczasowe koncesje, i to nawet w epoce stalinowskiej. Mówiłem już o placu Giedymina. W roku czterdziestym nacjonalizm był absolutnie zabroniony, jednak w czasie wojny zaczęto zezwalać na tromtadrację narodową nie tylko rosyjską, ale — w umiarkowanym stopniu — i litewską. Nagle okazało się, że można chwalić litewskich wielkich książąt (no bo dzielnie walczyli przeciwko Niemcom). Wszystko to było bardzo przejrzyste (choć, trzeba powiedzieć, ambiwalentne); po wojnie sprawa zaczęła się gmatwać. Niektóre ustępstwa były taktycznym posunięciem w wielkiej grze o podbój narodu. Innym razem chodziło o manewry litewskiej sowieckiej elity, która w swych własnych interesach po cichu sabotowała rusyfikację (jak wspominałem, w najgłębszym wnętrzu jest szalenie antyrosyjska, chociaż starczy troszeczkę ją nacisnąć, żeby zrobiła wszystko, co trzeba, i nawet więcej). Poza tym naturalnie jest łatwiej rządzić, podjudzając Litwinów przeciw Polakom, Polaków przeciw Litwinom, wszystkich przeciw Żydom i tak dalej (Polakom na Wileńszczyźnie też robiono koncesje, choć może i niewielkie). No, a Rosjanie są dobrym straszakiem: nie róbcie tego a tego, bo Rosjanie nas zdławią. „Piesnia i pliaska” oczywiście prosperuje, nawet w kształcie bardzo zestetyzowanych widowisk dla nielicznych, a „święta pieśni” są tak samo charakterystyczne dla reżymu jak defilady pierwszomajowe. Wielkich książąt już niezupełnie wypada pamiętać. Odbudowano jednak zamek w Trokach; rozniewało to Chruszczowa, ale jego malowniczy gniew pozostał wspomnieniem. Istnieje także moda na dramat historyczny z różnymi niejasnymi aluzjami, zresztą dobrotliwie aprobowany przez cenzurę i krytykę partyjną. Słowem, i na Litwie korzystają z nacjonalizmu jako dodatkowego instrumentu kontroli (oraz klapy bezpieczeństwa): mniej niż w Polsce, a jednak. Stosunek do katolicyzmu jest o wiele bardziej jednoznaczny: katolicyzmu się nie wykorzystuje, po prostu stara się go zniszczyć. A sądzę, że nie tylko nacjonalizm, ale i katolicyzm jest realną siłą na tamtych obszarach.

Pamiętam tragikomiczne, bardzo upokarzające i dość częste wahania tak zwanej polityki narodowej. Zwłaszcza gdy chodziło o symbole (ten reżym jest na symbole nieśtychanie wrażliwy). Czerwony sztandar na baszcie Giedymina został zastąpiony przez trójkolorowy, ale nie przedwojenny litewski, tylko nowy, z prze-

ważającą dawką czerwieni. Przez pewien czas zwracano godła miastom, ale to się skończyło, gdy doszło do herbu Wilna — św. Krzysztofa. Hymn narodowy, *stricte* zabroniony za pierwszej okupacji, znów był grany po wojnie na defiladach wileńskich, i to w najgorszym okresie; potem jednak zastąpiono go nowym, do którego słowa napisał mój ojciec.

Muszę tu powiedzieć parę słów o ojcu. Nie mogę go osądzać i nie będę tego robił. Wiem, że miał bardzo trudne życie. W młodości był lewicującym intelektualistą mniej więcej tego pokroju co Kazys Boruta czy Ona Lukauskaite. Przyjacielem jego, i to dobrym, był także Pranas Ancevičius przed swą ucieczką do Polski. Ten świat kowieńsko-wileńskiej inteligencji naprawdę jest maleńki, wszystko w nim powiązane. Więc o Ancewiczu słyszałem z dzieciństwa, chociaż jego postać istniała dla mnie w dość specyficznej perspektywie. W odróżnieniu od swoich przyjaciół mój ojciec został ortodoksem. Trudno mi powiedzieć, co przeszedł w roku czterdziestym, kiedy to zasiadał w sejmie z Jędrzychowskim. Zdaje się, że decydujący wpływ na niego miała wojna; potem już się nie zmieniał, uznał istniejącą sytuację za jedynie możliwą. Cynikiem nie był. Przyjaźnił się dalej z Borutą, i Litwa nie była dla niego pustym dźwiękiem. Zresztą jego osobista sytuacja (tym samym i moja) odznaczała się niejaką kruchością, bo po śmierci Stalina dowiedział się, że przygotowywano proces dawnych lewicowców z nim włącznie, tyle że nie zdążono. Ciężkie to sprawy. Przyznam się, że ludziom tego pokolenia jestem skłonny wybaczać więcej, niż dzisiejszym arywistom: mieli w każdym razie problemy, czego tym terazniejszym brak.

Uniwersytet Wileński. Zacząłem do niego uczęszczać, jak mówiłem, w epoce względnej stabilizacji. Oczywiście różnił się więcej od Twojego niż Twój od Wszechnicy Mickiewicza. Po roku 1939 przeniesli się do Wilna profesorowie Uniwersytetu Kowieńskiego, który był niezły; ale za moich czasów już nie wykładali. Byli na emigracji, na Syberii, albo nie istnieli w ogóle. Paru, jak wspomniany Putinas, dostali emeryturę. Zrazu po wojnie poziom uniwersytetu — w naukowym i każdym innym sensie — obniżył się katastrofalnie. Co prawda, językiem wykładów pozostał litewski; ale wykłady najczęściej sprowadzały się do ideologicznej sieczki oraz drylu wojskowego. Zaczęło się to zmieniać bardzo powoli. Było paru profesorów, o których zachowałem cieplejsze wspomnienia. Powiedzmy, profesor litewskiego Bałčikonis, leksykograf w starym stylu, wielki dziwak a jednocześnie człowiek odważny: o ile wiem, prawie cały swój zarobek oddawał rodzinom represjonowanym. Ten właśnie był jeszcze z Kowna. Albo taki profesor Lebedys, dobry znawca stuleci

XVI i XVII na Litwie. Z logiki egzaminował mnie profesor Sezeman, dawny emigrant rosyjski, który wrócił ze stalinowskiego łagru (gdzie, jak mówią, potrafił zajmować się jogą oraz tłumaczyć na litewski Arystotelesa). Celowo piszę wyłącznie o nieżyjących. Już po tym jak ukończyłem uniwersytet uformowała się w nim szkoła bałtystyki; przyciągnęła do siebie wielu, bo to sprawa patriotyczna, a jednocześnie jakby neutralna; zresztą widocznie nie taka znów neutralna, bo przywódca szkoły, profesor Kazlauskas, wkrótce utonął w Wilii w dosyć tajemniczych okolicznościach.

Aurę dawnego uniwersytetu przechowały wyłącznie mury, piękne sale biblioteczne i jeszcze piękniejsze dziedzińce. Jest ich dziewięć albo i trzynaście. Mówiliśmy, że istnieją w tym labiryncie miejsca, gdzie nigdy nie stąpała noga człowieka. Pozostał także dom akademicki na Bouffałowej Górze (*Touro kalnas*), gdzie spędzałem sporo czasu. No, może pozostała nie wyłącznie architektura, bo i biblioteka. W przeważającej części była polska (trochę zmieniło się to potem). Dużo książek trafiło do „specfondu”, więc były praktycznie niedostępne; a jednak znajdowałem ciekawe rzeczy. Dość szybko nauczyłem się polskiego, chociaż większość moich kolegów nie interesowała się tym językiem (sprawę miałem ułatwioną, bo moja babka po kądzieli była Polką i zapamiętała miłośniczką Sienkiewicza, ojciec też po polsku potrafił czytać i trochę mówić). Napisałem nawet przydługi referat „Mickiewicz na Uniwersytecie Wileńskim”. Pracując nad referatem przeczytałem mniej więcej połowę tego, co na wspomniany temat można przeczytać, dowiedziałem się więc i o dawnej wileńskiej masonerii (międzywojenna oczywiście to dla mnie *terra incognita*), i o Szubrawcach, i o Kontrymie. Po tym referacie założyliśmy nawet z przyjaciółmi kółko wzorowane na Szubrawcach, co było ryzykowne, zważając na wszechwidzące oko KGB, ale jakoś rozplynęło się w sztubackich figlach, no i w alkoholu. W każdym razie wiedziałem o tradycjach tego Wilna. Lecz czułem równocześnie, że do mojej tradycji należy raczej Poszka (Paszkiwicz), dziwak wyśmiany przez Szubrawców, oraz Dawkantas (Dowkont), który miał filomackie powiązania, jednak poszedł inną drogą zostając pierwszym litewskim historykiem. Wzruszające są losy tego Dowkonta, postaci trochę komicznej i mającej coś ze świętości. Znaczący dla mnie był i pozostał Donelaitis, poeta osiemnastowieczny, moim zdaniem równy największym w Europie. Tu trzeba powiedzieć coś nieco o języku. Wilno, które teraz jest miastem na wpół litewskim, mówi dziwną *koine*, bo zjechali się tutaj przedstawiciele wszystkich dialektów Litwy, a swoją drogą słowiański (i sowiecki) żargon też ma wpływy. Więc nowa poezja litewska częściowo jest buntem prze-

ciwko tej *koine* (w czym pomagają właśnie dawni pisarze), częściowo jej wymyślnym przetworzeniem. *Nota-bene* jamb rosyjski nie wzbudza we mnie sprzeciwu, bo to także jamb litewski, mający dużą tradycję i widać zgodny z duchem języka (prawdopodobnie rzecz tu w systemie akcentacji, ale nie będę tego tematu rozwijał, bo to już lingwistyka). Tak czy inaczej, literatura litewska — w niemałym stopniu związana z Wilnem — to moja własna przestrzeń; jednak z uniwersytetu wyniosłem miłość także do literatury polskiej. Do rosyjskiej też, i to wielką miłość.

Oczywiście nikt mnie tego nie uczył. Tu wspomnę swoje pierwsze przejścia polityczne. W szkole zostałem komsomolcem, i nawet zdawało mi się, że tutaj leży droga do naprawienia świata. Ciągnęło do komsomołu mniej więcej wszystkich, toteż komsomolcy na uniwersytecie prezentowali się w różnorodny sposób — nie zawsze były to tępe głowy i stalinowcy, chociaż ci naturalnie przeważali i zawsze mieli ostatnie słowo. Należałem do tak zwanych wierzących, których, jak się orientuje, nie było wielu. Dwudziesty zjazd dla mnie i paru moich przyjaciół stał się szokiem (i to pomimo tego, co już wiedzieliśmy); ale mogę podać absolutnie ścisłą datę mojej prawdziwej mutacji — było to czwartego listopada 1956 roku, kiedy zdławiono powstanie węgierskie. Potem nastąpiła sprawa Pasternaka. We czworo napisaliśmy do niego list ze słowami zachwytu. Wtedy to przeczytałem wszystkie jego wiersze i połowy wyuczyłem na pamięć. Próbowaliśmy robić studencki almanach literacki, który utknął w cenzurze i został napiętnowany publicznie jako wrogi. Na rok usunięto mnie z uniwersytetu. Rok ten uważam za błogosławiony. Czytałem od rana do nocy. Wtedy to zdałem sobie sprawę, czym jest poezja rosyjska, no i w ogóle czym jest literatura.

Nadieżda Mandelsztam lubi grę, którą sama wymyśliła: proponuje każdemu, żeby wymienił dziesięć naprawdę wykształconych (i niestarych) ludzi w Związku Sowieckim. Okazuje się, że jest takich tylko dwóch: jeden lingwista oraz jeden specjalista od kultury bizantyjskiej. Wtedy pani Nadieżda wyjaśnia w czym rzecz: obaj przechorowali całe dzieciństwo i nie uczęszczali do sowieckiej szkoły. Nie miałem takiego szczęścia. Ale jeżeli zdobyłem jakieś wykształcenie, to zdobyłem je przez ten rok. Uniwersytet dał mi tylko podstawowe wiadomości z lituanistyki (z tym że duże jej obszary pozostały dla mnie niedostępne); zaznajomiłem się tam z Marksem, czego zresztą nie żałuję, oraz zajmowałem się trochę filologią klasyczną. Szukaliśmy z przyjacielem nawet jakiegoś rabina, żeby dał nam pojęcie o hebrajskim, ale gdzież ten rabin w powojennym Wilnie!

W każdym razie okazało się, że można czegoś się nauczyć. Można płynąć przeciw Niagarze kłamstwa i niepotrzebnych informacji, i nawet wypłynąć, tyle że nikogo nie sposób ciągnąć za sobą — każdy musi robić to sam. Tu się przyznam, że poza Wilnem kształtowała mnie Moskwa, miasto bardzo ciekawe bo, jak powiada Zinowiew, jest tam wszystko czego dusza zapagnie: katolicy i buddyści, awangardyści i dysydenci, matematycy i dziewczyny lepsze niż w Paryżu. Co prawda większość tych dziewcząt dzisiaj już jest właśnie w Paryżu. Albo w Londynie. Ale żarty na bok, Moskwa to kawał doświadczenia.

Mam jedno typowe sowieckie kalectwo — nie potrafię rozmawiać w żadnym języku obcym (poza rosyjskim i polskim), nawet teraz, w Stanach, angielski przychodzi mi z trudem. Czytam, co prawda, w kilku, ale zdaje się, że jestem tutaj skazany na bierność, co męczy mnie okropnie. No bo i po co człowiekowi ze Związku te języki? Książki zachodnie są mu dostępne w absurdalnie małych ilościach, periodyki niedostępne w ogóle, o podróżykach szkoda gadać. Tym ważniejszy dla mnie okazał się polski; i nie dla mnie jednego. Znałem kilkanastu ludzi, dla których też był oknem na świat. Przez lata spotykaliśmy się w księgarni polskiej na „Giedymince”, trafiały do naszych rąk także książki, których w tej księgarni nie było, na przykład Twoje. Dyskutowaliśmy albo żartowaliśmy między sobą po polsku, częściowo żeby zmylić osoby niepowołane, częściowo ze snobizmu, częściowo z miłości do polszczyzny, bo temu językowi zawdzięczaliśmy niejedno.

Tutaj zbliżam się do sprawy stosunków litewsko-polskich. Dla mnie osobiście antagonizmy między naszymi narodami wydają się piramidalnym głupstwem, chciałbym uważać je za przezwyciężone. Sądzę, że znaczna, prawdopodobnie większa część młodego pokolenia na Litwie nie odczuwa teraz do Polaków żadnej wrogości. Podejrzewam, że tak samo jest i na odwrót; może pokutuje gdzieś poczucie polskiej wyższości, pańskości, a może i nie. Przetoczyła się nad nami taka epoka, że dawne spory wydają się mało znaczącymi. Jednak może problem jest bardziej złożony.

Litwa zdobywała świadomość narodową dość późno, z niemałym trudem i właśnie w opozycji do Polski. Wpływ polskiej kultury, zwłaszcza po unii lubelskiej, był ogromny; myślę, że na ogół pozytywny, chociaż tutaj prawie nikt z Litwinów ze mną się nie zgodzi. Bez Polski nie znalibyśmy wielu rzeczy, prawdopodobnie także pojęcia praw politycznych. No i nasze odrodzenie narodowe miało typowe polskie obertony, a to sarmackie, a to mesjanistyczne, tyle że te modele w sposób paradoksalny

zwracały się przeciwko polskiej kulturalnej przewadze. Wszystko było „na odwrót”: Jagiełło to zdrajca, Janusz Radziwiłł to bohater i tak dalej. Naród musiał stanąć na własnych nogach. Robił to czasem niezręcznie, popadając w dziecinne kompleksy, co łatwo wybaczyć bo w początkach zdarza się to każdemu. Kompleksy jednak mają szalenie długie życie i stają się balastem. Mówisz o pamiętliwości Polaków: otóż pamiętliwość Litwinów, zdaje się, jest większa, sięga setek lat. Nawet jesteśmy z tego dumni, choć nie wiadomo czy warto. Pamiętamy, że polska kulturalna (oraz społeczna) dominacja na Litwie w osiemnastym wieku zaczęła zagrażać Litwinom utratą języka i własnej historycznej drogi. Dołóż nawarstwione przez kilka stuleci bolesne poczucie podrzędności narodowej i co za tym idzie pewną manię wielkości połączoną z manią prześladowczą. Łatwo się z tego śmiać, chociaż rodzą się tutaj i zdrowe ambicje. Osobiście nie mam zupełnie poczucia podrzędności narodowej; młode pokolenie litewskie od tego się uwalnia, bo Litwa teraz pod każdym względem prezentuje się chyba nie gorzej od innych krajów Europy Wschodniej; ale pewne archetypy pozostają i mogą się odrodzić, zwłaszcza że doświadczenia totalitaryzmu w ogóle nie sprzyjają postawom mądrym i tolerancyjnym. Istnieje jakiś nawyk demonizowania Polaków. Według tej mentalności (mającej wpływ, chociaż szczątkowy), ci Polacy przez wieki myślą wyłącznie o jednym: jakby tu Litwę do Polski przyłączyć, wynarodowić i w ogóle zgnębić. Są bardziej niebezpieczni od Rosjan (bo przecież katolicy oraz europejcy). Pokutuje stereotyp machiawelicznego Polaka ni to z Oszmiany ni to z Alpuhary, który zawsze na swoim postawi, jeżeli nie siłą to perfidią. Tutaj, na emigracji, stykam się z tą mentalnością często, i zawsze odczuwam wtedy okropny wstyd, bo to przecież jakaś niedojrzałość rodem wprost z Gombrowicza. Dojrzałego narodu, jakim Litwa jest teraz niewątpliwie, wynarodowić po prostu nie można, nawet gdyby ktoś tego bardzo chciał. Cały ten stereotyp — to inercja i ciągnięcie do tyłu. Wygodny może być tylko reżymowi. Nie wolno więc o nim zapominać, oraz trzeba wystrzegać się — także Polakom — działań mogących podsycać albo wskrzeszać te uczucia.

Sprawa naturalnie zahacza o Wilno. Istnieje specyficzna litewska mitologia Wilna; sądzą, że ona odgrywała w dziejach tego miasta większą rolę niż na przykład stosunki ekonomiczne. Dla Polaków Wilno było ośrodkiem kulturalnym na Kresach, ważnym, ale przecież prowincją. Dla Litwinów to symbol ciągłości oraz tożsamości historycznej, coś w rodzaju Jeruzolimy. W dziewiętnastym i dwudziestym stuleciu wyobraźnię litewską w znacznej mierze kształtował mit Wilna królewskiego i świętego, wydartego

przemocą. Nie zawsze ten mit do mnie przemawia, zwłaszcza w swej wielkksiążęco-królewskiej części, ale musimy się zgodzić, że coś w tym jest. Na przykład, od Rygi czy Tallina Wilno różni się bardzo, bo nie było centrum hanzeatyckim, ale było właśnie miastem stołecznym, sakralnym, no i siedzibą wielkiego Uniwersytetu. Nie było także ośrodkiem kolonizacyjnym, lecz wyrosło naturalnie ze swego terenu. Więc idzie w sporze o Wilno, jak zresztą zauważyłeś, o rangę historyczną tego miasta: czy musi być regionalnym centrum, czy może znajdować się w rzędzie tradycyjnych stolic wschodnioeuropejskich. Idzie także o rangę i trwałość Litwy. Bo Litwa bez Wilna jest państwem-efemerydą, a z Wilnem zdobywa całą swą przeszłość i całą historyczną odpowiedzialność.

Nie było większych walk między Litwą a Polską, problem Wilna jednak był poważny. Miasto stopniowo stało się polską (także żydowską) enklawą na litewskim terenie. We wspomnianej książce „Całe Wilno w roku 1913” znajdują się tylko dwa litewskie nazwiska: prawda, nie byle kto, bo Smetona i Basanavičius (pierwszy sygnatariusz aktu o niepodległości). Językiem okolic jeszcze w dziewiętnastym stuleciu był przeważnie litewski (właśnie pracując nad Mickiewiczem dowiedziałem się o tym). Do rozsypnięcia tego historycznego, etnicznego, no i społecznego węzła potrzebne były głowy salomonowe, których dzieje nam na ogół skąpiły; zresztą brakło także czasu. Postępowano więc niemądrze. Litwini nie mogli i dotychczas nie mogą wybaczyć ani epizodu z Żeligowskim, ani polonizacyjnych zapędów Bocińskiego i innych; nie mogli także zrozumieć federacyjnych idei Piłsudskiego, no i mieli słuszność, bo nie w ten sposób federacje się robi, nawet gdyby była możliwa, w co powątpiewam. Ale z drugiej strony nie chcieli zrozumieć, że Polacy też mają swoje prawa do Wilna, jako że polska ludność i kultura tam przeważyły. Przymusowa litwinizacja, tak samo jak polonizacja, byłaby grzechem niewybaczalnym. W każdym razie stereotyp „perfidnego Polaka” wtenczas niestety bardzo się rozpowszechnił. Litwa Kowieńska uważała się za coś w rodzaju Piemontu, którego celem jest zdobycie Rzymu, alias Wilna. Nie było to wyłącznie sprawą państwową — raczej należało do sfery masowych uczuć. No i postawiono na swoim, chociaż siłą ironii historycznej upór litewski zwyciężył w najtragiczniejszych okolicznościach.

Obecnie jednak, zdaje się, obaj uważamy ten spór za rozstrzygnięty. Doświadczywszy wieku dwudziestego, Wilno jest nowym miastem. Co prawda, ciągle jest prowincją, i to gorszą, bo cały Związek to okropna prowincja. Ciągle jest enklawą, tyle że teraz litewsko-rosyjską enklawą w polskiej przeważnie okolicy.

Jednak mam nadzieję, że stanie się stolicą Litwy demokratycznej. Litwini, i to w bardzo ciężkiej sytuacji, stworzyli do tego przesłanki.

Trochę za wcześnie jest mówić o tej Litwie demokratycznej. A jednak sądzę, że powinniśmy ją mieć na uwadze jako możliwość i jako zadanie. Musimy także w tej perspektywie myśleć o nowych stosunkach polsko-litewskich. Myśleć właściwie nie o przyszłości, lecz o teraźniejszości, bo najbliższa przyszłość — to ta sama bójka z totalitarnym systemem, tyle że prowadzona w jakichś głębszych formach, których przedsmak mamy już w Polsce. Wilno, ta wieczna enklawa, otrzymuje tutaj nową szansę. Jako miasto stref etnicznych, zachodzących na siebie, jest modelem całej Europy Wschodniej. Współzycie i wzbogacenie wzajemne musi tu zastąpić dawne tarcia, i właśnie ruch antytotalitarny jest w tym główną pomocą. Bo weźmy na przykład kwestię żydowską. Masz rację: Wilno nie może być tym samym bez żydowskiej dzielnicy, zniszczonej częściowo przez Niemców, częściowo przez Sowietów. Jednak nieliczni Żydzi pozostali w Wilnie grupą znaczącą. Stosunki ich z Litwinami nie są łatwe, bo naprawdę część Litwinów — tak samo jak część Polaków, Rosjan i innych — sprowokowano w czasie wojny do zbrodni. Są różnorakie tego przyczyny, w które nie będę wchodził; trzeba też powiedzieć, że setki Litwinów zajmowały się ratowaniem Żydów, narażając przy okazji życie; ale zbrodnia jest zbrodnią, i nic się na to nie poradzi. Ostatnio wśród emigracji litewskiej narobił szumu film telewizyjny „Holocaust”, gdzie mówi się o litewskim legionie SS likwidującym getto warszawskie. Formalnie biorąc nie było takiego legionu, były raczej jednostki; ale zechciano przy okazji „ocalić honor narodu”, jak gdyby można było coś ocalić przez przemilczenia, przekręcania i zwalanie winy na Niemców albo i na Żydów właśnie. Dowodzi to wyłącznie kompleksów i niezupełnie czystego sumienia. Otóż dla mnie, człowieka z tamtej strony, jest to niepojęte. Bo chyba przeciętyliśmy już ten kompleks. Znamy kilka aksjomatów. Przede wszystkim, że o żadnej zbrodni nie wolno milczeć. Po drugie, że byli i są kolaboranci, czasem w mniejszych, czasem w większych ilościach, zależnie od przyczyn historycznych, ale nie ma takiej rzeczy jak naród kolaborujący. Po trzecie, że antysemityzm i sowietyzacja — to na jedno wychodzi. Jest ogromną stratą dla kultury litewskiej, że zlikwidowano wszystkie ślady żydowskiego Wilna, także to, co było do ocalenia; i jest hańbą absolutną, że nie mówi się oficjalnie o wymordowanych Żydach — wspomina się wyłącznie o „niewinnych obywatelach radzieckich”. Zrozumienie tych prostych rzeczy bardzo pomaga w rozwiązaniu problemów litewsko-żydowskich i w codziennej współpracy. Antyse-

mityzm na Litwie — poza oficjalnym — dziś jest bardzo osłabiony, może nawet na wymarciu. Oczywiście Żyd to widzi lepiej, ale słyszałem to także od Żydów.

Ten sam model może służyć do polepszenia stosunków litewsko-polskich, także litewsko-rosyjskich, chociaż różnice w każdym wypadku są znaczne. Sprawa litewkości albo polskości historycznie jest okropnie zagmatwana, bo pojęcie „Litwin”, tak samo jak pojęcie „Polak”, zmieniło się w ciągu wieków. W jednym sensie Litwinami są Mickiewicz i Syrokomla, w drugim Witkacy, Gombrowicz, no i Miłosz, w trzecim Paszkiewicz i Dowkont, w czwartym dzisiejszy pisarz litewski, a przecież Oskar Miłosz jeszcze w innym. Jedno jest jasne, że nasze narody są powiązane i nawet obejść się bez siebie nie potrafią. Stając się narodem i państwem nowoczesnym, Litwa musiała podkreślać, że różni się od Polski. Dzisiaj jednak to nie musi być podkreślane, bo jest zrozumiałe samo przez się; nie musimy także się rugać, bo, jak powiedziałem, to wyłącznie reżymowi na rękę. Powiadasz, że nowy nacjonalizm litewski siłą rzeczy był kurczowy i ciasny; może nie zawsze, bo były jakieś próby dialogu z Polakami, na które zresztą odpowiadano „przenigdy”; były różne nieoczekiwane zbliżenia, w tym osobiste i rodzinne; ale zgadzam się, że był tam niemały procent fanatyzmu i zwyczajnej rozbijającej głupoty, co odnosi się do każdego nacjonalizmu, francuskiego, flamandzkiego, może nawet retoromańskiego, bo ja wiem. Podobno małym narodowościom łatwiej to wybaczyć, ale tak czy inaczej nie powinniśmy tego wybaczać sobie sami. Jednak to raczej dawne czasy. Tak samo, powiedzmy, „Litwa Środkowa” jest *plusquamperfectum*. Do przeszłości należy zaliczyć także marzenia federacyjne „krajowców”: przecież nie ma teraz „krajowców” na Litwie, sam fakt ich istnienia był dla mnie nowością, co może źle o mnie świadczy; ale zgoda, że w tym programie były idee cenne, o czym warto pamiętać. Rozwiązanie typu fińsko-szwedzkiego byłoby dobrą rzeczą, chociaż to prawdopodobnie szansa stracona. To samo odnosi się do literatury litewskiej w języku polskim (choć może taka literatura w pewnym sensie istnieje: byłbym skłonny zaliczyć do niej na przykład *Dolinę Issy*). Przede wszystkim jednak powinniśmy mieć na oku sytuację realną. A realna sytuacja — to dwieście tysięcy Polaków na Wileńszczyźnie oraz ze dwadzieścia tysięcy Litwinów na Suwalszczyźnie. Nie ma już wśród nich arystokracji, prawie nie ma inteligencji: są to rolnicy i robotnicy, ludzie zdeptani przez reżym i mający prawo do ludzkiego życia. Oburzam się widząc traktowanie Litwinów w kraju sejneńskim, tym bardziej że robi to polski Kościół mający tyle zasług. Ale jeżeli kiedyś zacznie się przymusowa, niedobrowolna litwinizacja na Wileńszczyźnie (dziś

raczej nie ma jej, bo zastępuje ją rusyfikacja), to będę pierwszym, który powie „nie”. I mam nadzieję, że nie będę jedynym.

Masz rację, że za fasadą oficjalnego kłamstwa w całej Europie Wschodniej łatwo znaleźć nacjonalizmy. Jest to siła ambiwalentna, ale bardzo niebezpieczna. Cała wartość kultury światowej jest w różnorodności tradycji i języków; ale kiedy język i pochodzenie okazują się amuletem ratującym w czasie rzezi, to już wolę być tym zarzniętym. Humanizacja uczuć narodowych jest sprawą najważniejszą; no cóż, trzeba się do tego w miarę sił przykładać. W litewskim samizdacie są zjawiska bardzo pozytywne, wspominałem już o tym. Ale czasem słychać głosy tradycyjne, podobne do endeckich, tyle że *à rebours*. Zdarza się to jednak nieporównanie rzadziej niż na emigracji, i to całe pocieszenie. Samizdat litewski na ogół nie jest sprawą inteligencji, a jednak dochodzi do inteligentnych wniosków. Co się tyczy mnie osobiście, to na Litwie jakichś dziesięć lat temu bywałem, a na emigracji bywam oczywiście posądzany o coś w rodzaju zdrady narodowej. No bo jestem kosmopolitą, judofilem, polonofilem, rusofilem nawet, a Litwini mnie często irytują, właśnie dlatego, że są moi. Znajdowano na przykład winę litewskiej grupy „Helsinki” w tym, że jesteśmy dysydentami nie litewskimi, ale „ogólnosowieckimi”. A jakże inaczej? Sprawa jest beznadziejna, jeśli nie jest wspólną; poza tym czujemy się emocjonalnie związani ze wszystkim, co się tam odbywa. Tam — to nie znaczy wyłącznie w Związku, ale w całej Wschodniej Europie. Jesteśmy dysydentami wschodnioeuropejskimi. Albo po prostu ludźmi wschodnioeuropejskimi, co na jedno wychodzi. Wilno staje się jednym z ośrodków, gdzie rodzi się na nowa formacja wschodnioeuropejska: może jest do tego przez historię predestynowane. Zresztą Ty także do tej formacji należysz: pisałeś o tym nie raz, i to najlepiej ze wszystkich.

Tomas VENCLOVA

POD AUSPICJAMI
TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU
z KOMITETEM WYDAWNICZYM w składzie:

Czesław Miłosz z University of California — Berkeley, Piotr Wandycz z Yale University, Henryk Wereszycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jacek Woźniakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — KSIĘGARNIA „LIBELLA” W PARYŻU, rozpoczęła nową serię wydawnictw pod nazwą ogólną: „HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ”.

Pierwsza książka tej serii (nosząca numer 2-gi) ukazała się właśnie w druku. Jest to:

ANDRZEJ MICEWSKI

„WSPÓLRZĄDZIĆ CZY NIE KŁAMAĆ” ?

PAX I ZNAK W POLSCE 1945-1976

Stron 269. Cena: F. fr. 50,00 (lub równowartość).

Książka do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na Emigracji, u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

„LIBELLA”

12, rue St. Louis-en-l'Île, 75004 Paris.

Następna książka z tej serii (nosząca numer 1-szy) jest już w druku. Będzie to:

Henryk Wereszycki

„HISTORIA POLITYCZNA POLSKI. 1864-1918”

Dziennik pisany nocą

Neapol, 10 listopada 1978

Nietzsche przyjechał do Turynu 5 kwietnia 1888 roku za radą przyjaciela, który stolicę Piemontu zachwalał jako coś pośredniego między Niceą i Sils-Maria, dwiema ulubionymi miejscowościami filozofa. Wynajął pokój na szóstym piętrze kamienicy obok *Piazza Carlo Alberto*, u zamożnego właściciela kiosku z gazetami Davide Fino. I Turyn rzeczywiście przypadł mu do serca. „Oto miasto, w którym czuć jeszcze powiew dobrego XVIII wieku”. Suche i czyste powietrze, ulice ocienione portykami, cukiernie i jakie wyborne w nich słodczyce i lody, częste koncerty, spacerowanie nad Padem i w ogromnym Parku Michelotti za rzeką, bogata księgarnia wielojęzyczna Loeschera. Spokój, spokój, znikły jak ręką odjął dolegliwości, ani jeden zmarnowany dzień, gorączka pracy. Zaprzyjaźnił się szybko z gospodarzem, miał w domu do dyspozycji fortepian, grywał na nim czasem na cztery ręce z miłą panną Fino. Rosły wcięż sterty zapisanych kartek. Poza światem, jak gdyby w ukryciu, w zaczajeniu, to czerniąc papier gwałtownymi uderzeniami pióra w pokoiku z widokiem na piękny plac, to zanurzając się w turyńskim życiu podobnym do wód leczniczych, łatwiej było przygotować dla świata wyrok. Kto z mijających go na ulicy przechodniów, z rzadkich spacerowiczów nad rzeką i w parku, z sąsiadów przy stolikach w obitych czerwonym pluszem kawiarniach, z nabywców książek myszkujących wraz z nim u Loeschera, mógł podejrzewać że bliżej nieznaną *professore tedesco* kończy już wkopywanie dynamitu i szykuje się do rozwinięcia lontu? Zdarzało się że myśl o tym wrywała mu z gardła krótki charkotliwy śmiech, tak obcy że mimowoli oglądał się za siebie. Nie, nie — był sam i silny w swej samotności.

Zapisał nagle w notatniku 12 maja: „Motyw obrazu. Woźnica. Krajobraz zimowy. Woźnica, z wyrazem wstrętnego cynizmu, odlewa się na własnego konia. Biedne stworzenie, z odparzoną i zdartą skórą, zwraca ku niemu łeb — wdzięczne, bardzo wdzięczne”. Przysnił mu się ten obraz? Czy pochodził z obserwacji? Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że na kilka dni wtrącił go w stan rozdrażnienia i uniemożliwił mu skupienie się nad eksplozywnym dziełem. Bywały w ciągu tych kilku dni chwile, gdy z niepokojem patrzył na manuskrypt.

Niepokój przeszedł, nadeszło za to wczesne i duszne lato piemonckie. Znowu uderzał piórem w kartki papieru, podkreślał coraz gęściej poszczególne słowa, ale łapiąc z trudem oddech i ocierając pot z twarzy wielką chustką. Na początku czerwca, zapewniwszy gospodarza że we wrześniu wróci do Turynu, uciekł do Sils-Maria.

„Odkąd wyjechałem z Turynu, jestem na dnie. Wieczne bóle głowy, wieczne wymioty”. W listach z Sils-Maria skarżył się bezustannie na „głębokie wyczerpanie nerwowe”, na „wycieknięcie siły witalnej”. Walczył daremnie, nie tracąc „jasności w ocenie własnej sytuacji”, z „najsmutniejszymi myślami”. Był sam i słaby w swej samotności. Wspominał o obciążeniu dziedzicznym: „Mój ojciec umarł na całkowity zanik siły witalnej”.

Wrócił do Turynu 20 września. I natychmiast: „Cudowna przejrzystość powietrza, kolory jesieni, rozkoszne poczucie błogości”. Pisał w pośpiechu, prawie zadyszany, nie odrywał się od biurka na więcej niż pięć godzin snu. 30 września eksplozywnie dzieło było gotowe. Zatytułował je *Der Antichrist — Fluch auf das Christentum*. Nie wystarczyło mu „przekleństwo chrześcijaństwa” w tytule, dołączył jeszcze *Dekret przeciw chrześcijaństwu* w siedmiu paragrafach podpisany Antychryst. „Dan pierwszego dnia zbawienia, pierwszego dnia Roku Pierwszego (30 września 1888 według fałszywej chronologii)”. Siedem paragrafów poprzedził kwintesencją dekretu: „Wojna na śmierć i życie przeciw kalectwu, kalectwem jest chrześcijaństwo”.

Turyńska „błogość” sprzyjała delektowaniu się skończonym manuskryptem. Kartkował go wielokrotnie, za każdym razem bardziej z siebie zadowolony. Przymykał oczy, widział w wyobraźni ognik pełną błyskawicznie wzdłuż lontu. Jaki wybuch, jaki wybuch! Zdawało mu się, że słyszy już jego ogłuszający huk. Wpatrywał się długo w niektóre fragmenty dzieła. Na przykład w *Dekrecie*:

„Paragraf szósty. — Historia 'sakralna' niech nazywana będzie imieniem, na które zasługuje: historia *przeklęta*; słowa 'Bóg', 'zbawiciel', 'odkupiciel', 'święty' niech używane będą jako obelgi, jako piętna hańby”.

Albo taki, w samym tekście:

„Chrześcijaństwo nie było 'narodowe', nie było uwarunkowane rasowo, zwracało się do wszelkiego rodzaju wydziedziczonych przez życie, znajdowało wszędzie swoich sojuszników. Chrześcijaństwo ma u swych podstaw *rancune* chorych, instynkt skierowany *przeciw* zdrowym, *przeciw* zdrowiu. Wszystko co jest dobrze zrobione, dumne, zuchwałe, przede wszystkim piękno, obraża chrześcijańskie oczy i uszy. Raz jeszcze przypominam bezcenne powiedzenie Pawła: 'Co dla świata jest *slabe*, co dla świata jest *bezsensowne*, co dla świata jest *pospolite* i *godne pogardy*, to wybrał Bóg'; *taka* była formuła, *in hoc signo* zwyciężyła *décadence*. — *Bóg na krzyżu*, nie rozumie się wciąż potwornego świata myśli ukrytego w tym symbolu? — Wszystko co cierpi, wszystko co wisi na krzyżu, jest boskie... Wszyscy wisimy na krzyżu, wszyscy więc jesteśmy boscy... Tylko my jesteśmy boscy... Chrześcijaństwo odniosło zwycięstwo, z jego przyczyny zginęła umysłowość *bardziej szlachetna*, chrześcijaństwo było do dnia dzisiejszego największym nieszczęściem ludzkości”.

Znakomite, znakomite! Sam dziwił się energii i celności własnych ciosów. Wałęsał się teraz po Turynie w euforii, jak upity, ni stąd ni zowąd przystawał i głośno mówił: Antychryst, przedstawiając się nieświadomemu jeszcze tłumowi nowym imieniem, pokrywając się niekiedy charkotliwym śmiechem. Znowu ten śmiech brzmiał obco, zdawał się dobywać z cudzego gardła. Złudzenie trwało krótko, natychmiast mijało, ale pozostawiało na skórze zadrażnienie lęku, jak gdy w ciemną i martwą noc człowiek pogrążony w zadumie wzdryga się na widok własnego cienia.

Piemoncka jesień, pogodna, łagodna: za dnia miasto pod szaro-złotawym kloszem; w aksamicie wieczorów rozjarzają się białe kule latarń gazowych. Gwaro pod portykami, suną powozy, dochodzą dźwięki orkiestr. Przestał w tym okresie regularnie pracować, powolnym krokiem przemierzał Turyn aż do granic drętwienia nóg, ustawicznie zmieniał kawiarnie i miejsca posiłków. Co dzień niemal wstępował do Loeschera. Ale kupowane książki przeglądał roztargniony i z niecierpliwością, lądowały na rosnącym stosie w kącie pokoju.

W połowie listopada otwarły się upusty niebieskie. Ulewa, szaruga, nawet mgła zakopcona, już wczesnym popołudniem zapada półmrok. Wychodził z domu tylko na posiłki do pobliskiej traktierni, w pokoju zamykał się na klucz, unikał gospodarza i jego rodziny. Euforię wyparła apatia, tak dotkliwa że przestraszył się możliwości nawrotów choroby. A jednak nie myślał o ucieczce z Turynu. W jakiś sposób, odkąd jego dzieło to właśnie przybrało kształt ostateczny, odkąd tu właśnie w pierwszym dniu Roku Pierwszego dał sygnał zbawienia i zagładę chrześci-

jaństwa opieczętował podpisem Antychrysta, Turyn stał się dłań przyszlą stolicą przyszłego uniwersalnego królestwa. Lecz zanim zostanie ustanowione na gruzach wysadzonego w powietrze starożytności, należało pewne elementarne sprawy ustalić wobec nielicznych, *the happy few*, którzy zasługują na wtajemniczenie. Jednym z nich był Brandes. I do Brandesa naszkicował w brulionie list 10 grudnia:

„Drogi przyjacielu, uważam za konieczne powiadomić pana o paru rzeczach niebываłej wagi: niech pan da słowo honoru, że zostanie to między nami... Przygotowuję wydarzenie, które z krańcowym prawdopodobieństwem rozłupie historię na dwie połowy, do tego stopnia że będziemy świadkami narodzin nowej chronologii: począwszy od roku 1888 jako Roku Pierwszego. Wszystko co znajduje się dziś na grzbiecie fali, Trójprzymierze, kwestia społeczna, przejdzie całkowicie na pozycje antagonizmu między jednostkami: będziemy mieli wojny jakich się nie widuje, lecz *nie* między narodami, *nie* między klasami: wszystko roz waliło się i rozprzęgło — ja jestem najniebezpieczniejszym dynamitem świata”.

Przewidywał, jeśli idzie o przekłady *Antychrysta*, „milion egzemplarzy w każdym języku jako *pierwszy nakład*”. I ciągnął dalej:

„Ponieważ będzie to *cios burzycielski* przeciw *chrześcijaństwu*, jasne jest że jedyną potęgą międzynarodową zainteresowaną instynktownie w zniszczeniu chrześcijaństwa są Żydzi... Musimy zatem zapewnić sobie wpływ na wszystkie ośrodki decyzji, jakie rasa ta posiada w Europie i w Ameryce: nie mówiąc o okoliczności, że ruch taki potrzebuje wielkich kapitałów... W rezultacie dynamit rozerwie na strzępy każdą organizację wojskową, każdą konstytucję: wrogowie, nie będąc w stanie nic temu przeciwstawić, okażą się nieprzygotowani do wojny. Po naszej stronie staną oficerowie, wierni swoim instynktom: że jest rzeczą *hańbiącą, nikczemną, brudną* być chrześcijanami... Co do cesarza niemieckiego, wiem dobrze jak się obchodzić z idiotami tego pokroju... Moja książka jest jak wulkan, cała dotychczasowa literatura nie potrafi dać pojęcia o tym co w niej powiedziałem, ani o tym jakimi drogami najgłębsze sekrety natury ludzkiej przebiły się na jej stronicach z przerażającą jasnością. Jest coś po prostu nadludzkiego w głosie, jakim ogłaszam wyrok śmierci... Kiedy pan wreszcie przeczyta dekret *przeciw* chrześcijaństwu, który zamyka książkę i podpisany jest Antychryst, obawiam się że nawet panu zadrżą nogi”.

List, mimo że nieprzepisany na czysto i niewysłany, wprowił go w nieco lepszy humor. Nie na długo. Popłynęły dnie proszącego i tającego na czarnych ulicach śniegu, pluchy, melancholii

zimy-nie-zimy. Przed Bożym Narodzeniem mrozy ścisnęły szklistą obręczą miasto. Ostrzegł już dawniej gospodarzy, że nie chce być w święta pod żadnym pozorem niepokojony. Zamierzał w święta dobrać się wreszcie do stosu książek w kącie pokoju.

Znał Dostojewskiego, cenił go, czytał kiedyś *Zbrodnię i karę*, ale teraz lektura kupionej u Loeschera powieści była wstrząsem. Pochłonał ją najpierw jednym tchem. Potem zaś, leżąc na łóżku, cofnął się do początku i niezliczoną ilość razy odczytywał piąty rozdział. Jeszcze, jeszcze, jeszcze... „W stanach chorobliwych sny częstokroć odznaczają się niezwykłą plastyką, wyrazistością i nadzwyczajnym podobieństwem do rzeczywistości... Straszny sen przyśnił się Raskolnikowowi...”. Siedmioletni Rodion jest świadkiem zatłuczenia przez chłopą nędznej chabety, która nie może pociągnąć przeładowanego wozu. „Z krzykiem przedziera się przez ciżbę do bułanej szkapy, zarzuca ramiona na jej martwy, skrwa-wiony łeb i całuje, całuje w oczy, w pysk...”. Raskolnikow budzi się cały w potach, z mokrymi włosami, zziębnięty. „Boże! Czyż ja naprawdę, rzeczywiście wezmę siekiere, zacznę walić po głowie, zmiażdżę jej czaske?”.

Budził się wtedy i on cały w potach, niepewny pory dnia i nocy, nie umiejąc w chwilę po przebudzeniu odtworzyć i utrwalić swoich snów. Nie wiedział czy były repliką snu Raskolnikowa, czy odpryskami własnych obrazów i majaków. Wiedział tylko że te same słowa — cierpienie, miłość, dobro, zło — mogą być, na przemian, żywym ciałem i pustym dźwiękiem. Słyszał nie upragniony huk wybuchu, lecz cichy i nudny szelest papieru. Czuł wzbierający, rzekłbyś: wsączany kroplomierzem przez mały otwór w skroni, ból głowy.

W tych dniach przestał niemal istnieć dla gospodarzy, o jego obecności w pokoju musieli się upewniać nasłuchując pod drzwiami. 3 stycznia 1889 spadł w Turynie gęsty śnieg. W pokoju sublokatora było cicho od samego rana. Po obiedzie Davide Fino wyszedł z domu. Zaraz za zakrętem ulicy zobaczył z daleka dwóch policjantów prowadzących kogoś pod ręce, a po bokach gromadkę gapiów. Coś go tknęło, przyspieszył kroku. Tak, prowadzonym był Nietzsche. Znalaziono go na *Via Po* uczepionego końskiej szyi i ledwie od niej oderwano. Według relacji świadków podszedł do konia w zaprzęgu, zarzucił mu ramiona na szyję i przywarł twarzą do jego łba. Fino zdołał przekonać policjantów, by w jego ręce oddali zatrzymanego.

Przewieziono go do Bazylei 8 stycznia. Zanim do tego doszło, leżał w swoim turyńskim pokoju i pisywał nieczytelne karteczki. Sygnował je Cezar, Dionisos, Władca Świata. A także — Ukrzyżowany. W dniu wyjazdu stawiał opór, nie chciał rozstać się z „ukochanym” gospodarzem. Ublągano go prezentem: szlafmycą

pana Fino. I w tej szlafmycy jechał na turyński dworzec, jak błazen zbiegły z cyrku. W Bazylei, obawiając się publicznego skandalu na dworcu, wmówiono mu że jest podróżującym *incognito* księciem i musi przez tłum przejść w milczeniu z wagonu do karety.

W marcu umieszczono go w zakładzie dla chorych umysłowo w Jenie. Jego wypełniana codziennie karta kliniczna za okrągły rok, do marca 1890 roku, jest przejmująca w swej monotonii: zjadł własne ekskrementy, wypił własną urynę, wysmarował się własnymi ekskrementami, wybił szybę w oknie...

Z Jeny przewieziono go do rodzinnego Naumburga, gdzie siedem lat wegetował pod okiem matki. Po jej śmierci zabrała go do Weimaru siostra, Elisabeth Förster. Umarł tam w sierpniu 1900 roku, nigdy nie odzyskawszy przytomności, „w stanie kompletnego rozkładu fizycznego i umysłowego”. Z wyjątkiem tej jedynej przedśmiertnej chwili, gdy wobec dopuszczono doń wyjątkowo gościa wskazał na siebie palcem i wymruczał pod obwisłymi węsami po włosku: *un povero cristo*.



Ta mało filozoficzna powiastka o filozofie oparta jest na faktach i dokumentach (zapis Nietzschego w notatniku z maja i brulion jego listu do Brandesa z grudnia odcyfrowano niedawno). Napisałem ją po przeczytaniu książki germanisty włoskiego Anacleto Verrecchia *Katastrofa Nietzschego w Turynie*. Czy potrafiłbym wytłumaczyć, dlaczego uważam „katastrofę” za tak znaczącą? Bardzo wątpię, a zresztą cały sens powiastki polega na jej nie-domówieniach, białych plamach, zawieszeniach głosu; na tym że nie stawia się w niej kropek nad i, nie ryzykuje komentarza, nie zaokrągla wewnętrznych asonansów.

Moje są, naturalnie, wiązania narracyjno-opisowe. Oraz dwa zmyślane elementy. Nie ma dowodów że przed ostatecznym atakiem obłądki Nietzschego przeczytał na nowo w Turynie *Zbrodnie i karę*, chociaż znane jest jego zafascynowanie Dostojewskim. Zmyśliłem też gasnącego Antychrysta, który mówi o sobie: *un povero cristo*. Żaden chyba, poza włoskim, język na świecie nie posiada takiego wyrażenia dla oddania ludzkiej prostracji. Chrystus pisany w nim jest z małej litery.

Koniec listopada

Nasz sąsiad powiedział mi onegdaj, że Suor Cecilia nie żyje. „Nieszczęśliwy wypadek”, dodał; i natychmiast zmienił temat

rozmowy. Nie było sposobu dowiedzieć się czegoś więcej. Ani potrzeby.

Przed wielu laty, w sierpniu, Suor Cecilia przyjechała z klasztoru w okolicach Sieny do rodziny naszego sąsiada. Była bodaj krewną pani domu, oddano jej mieszkanie z ogródkiem na czas wakacyjnej nieobecności. Mówiło się, że po przebytych w klasztorze chorobach poprosiła o „świecki” wypoczynek.

Spędzałem wtedy lato sam w Neapolu. Upały były tak dokuczliwe, że większość dnia i część nocy pracowałem (czy usiłowałem pracować) w altance w rogu ogrodu. Przez szeroką szparę w murze granicznym mogłem oglądać ogródek sąsiadów, nie będąc widzianym.

Suor Cecilia miała nie więcej pewnie niż trzydzieści lat, twarz o regularnych rysach i białą jak kamień w górskim strumieniu; w ogromnych oczach, gdy obejmowała nimi zatokę z małego *belvedere*, nie było żadnego wyrazu poza odbiciem pustki. Ale uderzająco ekspresyjny był właśnie ten brak wyrazu.

Krzątała się w mieszkaniu i ogródku do obiadu. Potem kładła się na ławce pod drzewem. Śpiąc lub nie, w każdym razie bez ruchu, leżała tam do późnej często nocy. W sierpniu wyludnione miasto odzywa się niekiedy tylko przeciągłym, rozdygotanym zawodemieniem domokrażący, dudnieniem autobusu, piskliwą pionką z otwartego okna.

Jest taki niewielki, rzadko reprodukowany obraz Goyi *Martwa mniszka*, zdaje się że w posiadaniu jednej z galerii rosyjskich. Nie znam jego historii, ani okoliczności w jakich powstał. Lecz wiem, że nigdy nie widziałem i nigdy nie zobaczę podobnego cudu z pogranicza życia i śmierci. Raczej niż umarłą kobietę, Goya namalował uśpioną kochankę śmierci.

Którejś nocy pod koniec już sierpnia w ciszy ogródka rozległ się odgłos szybkich kroków, nieledwie biegu. Suor Cecilia krążyła tam i nazad wzdłuż balustrady na krawędzi wysokiego barbakanu, zatrzymywała się co jakiś czas i oparta ramionami o poręcz opuszczała w dół głowę, po czym z większą jeszcze zapamiętałością wracała do swego krążenia. Było w tym coś z objania się o ściany klatki. Nie mogłem powstrzymać okrzyku. Stała w miejscu jak wryta, zwróciła głowę tam skąd dochodził okrzyk i pędem, w popłochu, rzuciła się ku drzwiom mieszkania. Po drodze przecięła pas światła księżycowego, z twarzą zwróconą wciąż w moją stronę, z twarzą martwej mniszki. Do dziś mam przed oczami tę twarz, do dziś dzwoni mi w uszach ten okrzyk: Suor Cecilia! Suor Cecilia!

Vermeer, uwielbiany przez Prousta, był poetą zatrzymanej chwili. Jego światło nie tyle wydobywa kolory malowanej sceny,

co samo jest kolorem. Kolorem chwili ulotnej, niepowtarzalnej, którą artyście udało się zatrzymać *wbrew* czy nawet *przeciwko* czasowi. Stąd u Vermeera, przy całej jego aurze świata uładzonego, podskórne napięcie. Jak gdyby w zatrzymaniu chwili, w zamachu na „prawa” czasu, tkwiła nadzieja ujrzenia z daleka przynajmniej i na mgnienie oka największej i zazdrośnie ukrywanej tajemnicy.

Łatwo zrozumieć zachwyt Prousta dla Vermeera. Prawdopodobnie zachwycała się nim również Virginia Woolf, autorka eseju *The Moment*. Ale prócz tych koligacji bezpośrednich i niejako naturalnych, literatura w ogólności jest ustawicznym wysiłkiem przychwycenia na chwilę nieuchwytnego, skrywanego, umykającego. Kiedy jest literaturą na serio, ma pełną tego świadomość. Żadna wielka powieść nie daje poczucia skończoności, żadna wielka postać powieściowa nie jest portretem zamkniętym. Są i zawsze będą rejony nietknięte stopą artysty, granice których nigdy nie przekroczy inteligencją, wyobraźnią, intuicją. I dotyczy to nie tylko artysty. Kierkegaard lubił powtarzać myśl Pascala: „Ostatnim krokiem rozumu jest uznanie mnogości rzeczy, przewyższających jego siły; jeśli tego nie uzna, okaże się zwykłą słabością”.



W książce kardynała Wojtyły *Segno di contraddizione* (zbiór medytacji wygłoszonych w marcu 1976 roku na rekolekcjach dla Pawła VI i jego współpracowników) czytam: „Straszny jest obraz życia ludzkiego w ustrojach totalitarnych, w których pozbawia się człowieka jego podstawowej racji bytu jako człowieka: wolności własnego sądu i własnego działania. Nie brak dzieł literackich przynoszących smutne świadectwo naszego wieku 'postępowego', który stał się także epoką nowego niewolnictwa, obozów koncentracyjnych i pieców krematoryjnych. Ale i w ustrojach liberalnych, gdzie ludzie chorują na dobrobyt i nadmiar wolności, życie ludzkie przedstawia smutny obraz wszelkiego rodzaju nadużyć i frustracji. Nie potwierdzają tego może zjawiska narkomanii, terroryzmu, porywania niewinnych?”

Przystaje to niezłe (łącznie z przymiotnikiem 'postępowy' w cudzysłowie) do harwardzkiego kazania Sołżenicyna, które tak zirytowało zachodnią lewicę z przyległościami swoim „grzechem uproszczenia”. Trzeba „upraszczać”, upierać się przy „uproszczeniach”, skoro jedną z metod zarządzania umysłami jest komplikowanie spraw dramatycznie prostych. Jak tej, że główny konflikt rozgrywa się między totalitaryzmem i ustrojami liberalnymi (z ich chorobami). Cała reszta schodzi na dalszy plan. Problem socja-

lizmu, na przykład, który walczy się bez przerwy w Zachodniej Europie przeoranej już przecież szeregiem reform i instytucji w duchu mniej lub więcej socjalistycznym, jakkolwiek zdołała ocalić do pewnego stopnia swoją strukturę liberalną z cząstkowymi składnikami konserwatywnymi. No a kto jeszcze, prócz niedobitków marksizmu, bierze dziś poważnie dawną wiarę w „historyczną misję” proletariatu, w socjalistyczną palingenezę rodzaju ludzkiego? Anthony Burgess przesadza z pewnością w swoim *Roku 1985*, roztaczając ponurą wizję Anglii pod dyktatorskimi rządami TUC czyli związków zawodowych. Ale nie można mu odmówić słuszności w dwóch punktach: gdy twierdzi, że Orwell pisał *Rok 1984* z sercem zatrutym niewiarą w „proletów”; i gdy groźbę totalitaryzmu stawia przed kwestią społeczną.

Z okazji wyniesienia kardynała Wojtyły na tron papieski Revel zauważył, że wszystkie idee o jakiejś wartości przychodzą ostatnio na Zachód ze Wschodu. Wszystkie, wypadłoby dorzucić, sprowadzają się właściwie do jednej: do znajomości totalitarnej alternatywy. Ta znajomość pociąga za sobą pozorny paradoks: domagający się wolności na Wschodzie krytykują równocześnie jej nadmiar na Zachodzie. W ich stosunku do wolności jest coś z troski o kruchy skarb. „My, których doświadczenie nauczyło czym jest utrata wolności, kierujemy do was podwójne ostrzeżenie: nie ufajcie za dużo, że nikt wam jej nigdy nie odbierze; nie słuchajcie zgubnych podszeptów, że będąc wolnością musi ona tym samym być absolutna i nieograniczona”.



Zbyt powierzchownie potraktowano w swoim czasie historię Charlesa Mansona i bandy jego wyznawców. Jedna tylko próba analizy sięgnęła głębiej, szkic Jana Józefa Szczepańskiego *Piąty Anioł* w tomiku *Przed nieznanym trybunatem*. W skrócie wyglądało to tak. Banda wraz z szerszym zapleczem: ucieczka spod władzy tradycyjnych autorytetów, tęsknota do Wielkiego Uwodziciela czy Wodza który usankcjonuje egzystencję poza dobrem i złem, trans wszechnegacji w imię wolności bez hamulców, mistycyzm cofający do pierwotnej religijności magii i strachu, kult demonizmu. Społeczeństwo: pobłażliwość dla ekstrawaganckich wybrków młodości, lecz nie wynikająca z wychowawczego impulsu tolerancji; raczej z wahania czy przysługuje jeszcze, wobec kryzysu tradycyjnych założeń cywilizacji i życia zrzeszonego, moralne prawo sądu o granicach używania wolności. Oczywiście wolno o takiej postawie mówić do momentu wykrycia mordów i ich sprawców w Los Angeles. Potem nastąpił szok. Zaleczono go powoli przy pomocy łagodnej perswazji, nadając aferze Man-

sona i jego wyznawców charakter monsturalnej, patologicznej wyjątkowości.

Teraz, kiedy powiało grozą z Guyany, zaleczony szok ożył z ustokrotnioną mocą. I trudno dalej pocieszać się wyjątkowością. Toniemy więc w powodzi indagacji, hipotez, kluczy interpretacyjnych. Dominuje w nich motyw demoniczny, ale obecnie (dziękować Bogu) rozważany bez ironicznego uśmiechu, nie jak po ujawnieniu działalności bandy Mansona. Cień Szatana. *Vox Diaboli*. Lucyfer czyli Niosący Światło. Ktoś pisze o autorze *Poza dobrem i złem*. Ktoś inny o *Biesach*, przypominając zdanie Szigalewa: „Wyszedłszy z założeń absolutnej wolności, doszedłem do absolutnej niewoli” (Dostojewski powinien być uzupełnić to zdanie słowami: „i do absolutnego despotyzmu”). Tutaj ocieramy się o prawdę. Lecz daje sporo do myślenia fakt, że dotychczas powoływano się na *Biesy* wyłącznie w rosyjskim kontekście rewolucyjnym (jeśli nie liczyć sowieckiej edycji wojennej z przedmową o „przecuciu hitleryzmu”). Po raz pierwszy przeprowadziły się za Ocean.



W sierpniu 1888, w roku „katastrofy Nietzschego w Turynie”, weszła w Londynie na deski teatru *Lyceum* przeróbka sceniczna opowieści Stevensona *The Strange Case of Dr. Jekyll and Mr. Hyde*. Opowieść ukazała się drukiem dwa lata wcześniej, dopiero jednak ze sceny trafiła do szerszej publiczności. Wpłynęła na to niewątpliwie okoliczność, że wkrótce po premierze znaleziono któregoś dnia o świcie w pobliżu teatru prostytutkę z rozprutym bruchem; pierwszą z serii dwunastu, których morderca pozostawiał zawsze na trupach wpięty szpilką bilet wizytowy z napisem *Jack the Ripper*, Kuba Rozruwacz. Spektakl teatralny wtargnął do rzeczywistości. Przyjmowała się wersja, że mordercą (nigdy zresztą niewykrytym) jest szanowany lekarz londyński, że słowem twór fantazji Stevensona wcielił się w autentycznego Jekylla i nocą buszuje z nożem po mieście jako Hyde Rozruwacz.

Atmosfera fikcji naśladowanej doraźnie przez życie przytłumiła głębszy wydźwięk opowieści. Czy tylko ona? Ważniejsza może w recepcji *The Strange Case* była mentalność wiktoriańska. Zatrzymywano się na fabularnej powłoce dwoistości człowieka, przy czym dobro i zło miały w nim rzekomo współistnieć niezależne od siebie, na oddzielnych planach. Nie o to, rzecz jasna, chodziło Stevensonowi. Odślaniał zło czynne, z każdą metamorfozą bardziej agresywne, aż do zupełnego zawładnięcia osobą ludzką. Włożył w usta Jekyll'a wyznanie: „Wyzbyłem się instynktu równowagi z pomocą którego nawet najgorsi z ludzi są zdolni

wymijać pokusy zła; w moim wypadku być wystawionym na pokusy oznaczało ulec natychmiast”. Nazwał Hyde'a „synem demona”, a jego ataki furii niszczycielskiej zstąpieniem „ducha demonicznego”. W solidnej i moralizatorskiej epoce wiktoriańskiej, z jej optymistyczną wizją człowieka, z jej zaufaniem do postępu i nauki, prawdziwy głos Stevensona nie mógł być dosłyszany. Przelotny dreszczyk niesamowitości był wszystkim, co kwitowało jego opowieść. Zaslugiwała na więcej, grubo więcej. Zaczynał się czas „dziwnych” metamorfoz człowieka nowoczesnego. W ćwierć wieku później poczciwy kafkowski komiwojażer Samsa obudził się rano w łóżku jako olbrzymi karakon.



Antisemitism in Britain, artykuł Orwella z roku 1945 w *Contemporary Jewish Record*. Konkluzje wyłożone są w czterech punktach. Po pierwsze, więcej jest w Anglii antysemityzmu, niż się sądzi i przyznaje; i wojna go pogłębiła. Po drugie, antysemityzm nie prowadzi w tej chwili do otwartych prześladowań, ale znieczula ludzi na cierpienia Żydów w innych krajach. Po trzecie, hitlerowskie potworności (w które zresztą nie bardzo wierzone, o czym Orwell nie wspomina i co było jedną z przyczyn samobójstwa Szmula Zygielbojma w Londynie) wpłynęły jedynie na ukrywanie uczuć antysemitycznych. Po czwarte, antysemityzm jest zjawiskiem irracjonalnym, nie ustępuje w obliczu argumentów.

Przed kilku laty widziałem w Paryżu, w maleńkim kinie w dzielnicy łańskiejskiej, przeszło czterogodzinny film Maxa Ophulsa *Le chagrin et la pitié* (starania o wprowadzenie go na ekrany wielkich kin i telewizji spełżyły na niczym). Był to drobiazkowy, w znacznej mierze dokumentarny, opis życia codziennego w Clermont Ferrand pod rządami Vichy. Dostyc przerażający. Bez żadnych szczególnych nacisków ze strony Niemców, z własnej i nieprzymuszonej woli, francuski *l'homme moyen* pławił się z lubością w antysemityzmie zadekretowanym przez ekipę Pétaina: tropił, węszył, donosił. Powojenna wersja o narzuceniu przez Niemców polityki antysemitycznej rządowi w Vichy była legendą, wzmiankuje o tym Hanna Arendt w *The Origins of Totalitarianism* na podstawie francuskich badań archiwalnych. Widzowi z naszej części Europy film Ophulsa nasuwał jedyną refleksję: gdyby hitlerowska *Endlösung* wykonywana była we Francji takimi metodami i z użyciem takiego terroru jak na Wschodzie, francuski udział w operacji uradowałby serce Himmlera. Co do Anglii, w razie jej zajęcia przez Niemców, tylko wyobraźnia autora *Roku 1984* mogłaby się była zmierzyć z podobnym tematem.

W czterech konkluzjach artykułu Orwella uderza najbardziej

stwierdzenie, że wojna (z całopaleniem w toku) pogłębiła antysemityzm brytyjski, ten zaś *znieczulił* Anglików na cierpienia Żydów w innych krajach. Zdawałoby się, że powinno być na odwrót. Lecz psychologia zjawisk irracjonalnych, odpornych na wszelkie argumenty, działa po swojemu. Także w Polsce wojna i masowa eksterminacja Żydów wpłynęły na pogłębienie antysemityzmu w pewnych odłamach społeczeństwa; i trujące wyziewy tego procesu snują się dziś jeszcze na cmentarzysku trzech milionów ofiar. Co jednak wymaga podkreślenia, to pomijany na ogół wstydlivym milczeniem na Zachodzie fakt, że jad „rasizmu mistycznego” rozszedł się w latach wojny po całej niemal Europie. A tymczasem jego polskiej odmianie wyznaczono po wojnie rolę antysemityzmu *par excellence*, „patentowanego” i „klasycznego”. I niewiele brakuje, żeby nawet Niemcy zaczęli w bliskiej przyszłości ze znaczącym mrugnięciem oka przebąkiwać o polskim antysemityzmie, skoro we Francji wywołuje się jego upiory z okazji... afery rodzimego nazisty Darquier'a; w zastępstwie czy dla odpędzenia upiorów własnego.

6 grudnia

Pan Samuel Pepys zwykł był w swoim dzienniku wpisywać każdego 31 grudnia coś w rodzaju podsumowania. „Tak tedy kończy się ten rok”, „tak owo kończy się ten rok”. Podsumowanie zawierało też niekiedy rzeczy pominięte we wcześniejszych wpisach. Brak czterech tygodni do 31 grudnia 1978, spróbuję jednak z wyprzedzeniem pójść w ślady pana Pepysa. W jednym od niego się różniąc, jako że mój dziennik nie jest prowadzony szyfrem: nie ma u mnie nadmiernego przemieszania spraw publicznych i prywatnych.

Chiny, nadzieja komunizmu na lewo od ojczyzny proletariatu światowego, przesunęły się zdecydowanie ku centrum, wykonując wielki skok do tyłu dla odrobienia zgubnych skutków pierwotnego wielkiego skoku do przodu. Manewr godny uznania i o doniosłości dlatego historycznej z rozlicznych względów, przede wszystkim dlatego że w ojczyźnie proletariatu światowego podwyższył temperaturę „żółtego niebezpieczeństwa”.

Wódz ojczyzny proletariatu światowego zdołał odroczyć swój powszechnie oczekiwany zgon. Z tym zgonem związane są coraz większe rachuby. Dubczek miał oświadczyć, że dotarła do niego z Moskwy poufna obietnica „rehabilitacji” natychmiast po uroczystym pogrzebie Breżniewa, pod warunkiem że wytrwa w dotychczasowej rezerwie wobec *Karty 77*. Podobno na zgon Breż-

niewa liczy także Ceausescu, któremu obiecano szybkie wyrównanie dysonansów rodzinnych po moskiewskiej stypie, pod warunkiem że wstrzyma się chwilowo od dalszych uścisków z Hua i Tengiem.

Organ Związku Pisarzy Sowieckich *Nasz Sowremiennik* rzucił myśl stworzenia międzynarodowego frontu do walki z żydo-masonerią. „Jeśli się zważy, że byłby to front przeciwko 80 % kapitalizmu światowego, zwycięstwo w tej walce oznaczałoby ostateczne pokonanie kapitalizmu”. *As simple as that*, powiedzieliby rodacy pana Pepysa.

Komuniści włoscy, chorążowie eurokomunizmu, podzielili się na dwa odłamy. Jedni sprowadzają kryzys ideologiczny do pytania: zachować czy usunąć *tiret* w statutowej formule marksizmu-leninizmu? Inni, stosunkowo nieliczni, domagają się definitywnego skreślenia leninizmu. Obu odłomom próbują dopomóc (lub dokuczyć) dynamiczni obecnie nad podziw socjaliści włoscy, organizując sympozjony na temat „marksizmu, leninizmu, socjalizmu”. Oraz wyciągając z naftaliny Proudhona, przeciwstawionego Marksovi. Dokumentem programowym stał się tu list Proudhona do Marksa z maja 1846 roku, w którym mowa o potrzebie tolerancji i antydogmatyzmu; i o groźbie powstania „nowej religii logiki, religii rozumu”.

Minęło zaledwie pięćdziesiąt dni od wyboru Jana Pawła II, a już rodzą się wątpliwości czy *papa Wojtyła* nie jest aby „desbilizujący”. Na bolońskim zebraniu intelektualistów katolickich i laickich, poświęconym temu zagadnieniu, przeważała opinia że jest. Był na tym zebraniu obecny pewien uczyony z Polski, którego nazwiska nie wymieniono w sprawozdaniach prasowych. Poprosił o głos i zapytał: „Czemu się tak boicie destabilizacji w obozie sowieckim?”. Pytanie zbyt zakłopotanym milczeniem. Nowy papież podoba się bardzo na Zachodzie „ludowi”; mniej natomiast „elicie” politycznej i kulturalnej, która z niepokojem dostrzega w nim jak gdyby duchowe podważenie Jałty. Trosze o „stabilizację” na Wschodzie towarzyszy nieodstępnie, w cieniu błogosławionej Jałty, rosnąca „destabilizacja” na Zachodzie. Co wydaje się dość naturalne i zrozumiałe.

Z książek przeczytanych w tym roku poruszyła mnie tylko *Świetlana przyszłość* Zinowiewa. Literacką nagrodę Nobla dostał Isaac Bashevis Singer. Ładny gest uhonorowania ginącego języka *jidysz*, ale nowy laureat jest pisarzem miernym, o zacięciu felietonowym; jedynie parę jego nowel (*Czarne zaślubiny* na przykład) pozwala mówić o literaturze.

Na wystawie Paryż-Berlin w *Centre Pompidou* poczułem się w swojskiej, dla mieszkańca Włoch, atmosferze Weimaru.

W Paryżu udało mi się też zobaczyć *Człowieka z marmuru*, niestety przy akompaniowaniu mętnych i wykrętnych wywiadów z Wajdą w prasie francuskiej. Film świetny. Jego *jedynym* tematem jest permanentne kłamstwo, główny znak tożsamości totalitaryzmu; i główny motor „ideologiczny” opozycji w kraju.

1 października umarł Adam Ciołkosz. Ta śmierć (w miesiąc po śmierci Silonego) ciąży strasznie nad moim upływającym rokiem. Wciąż widzę twarz Adama w trumnie, a potem trumnę znikającą za drzwiczkami w murze krematorium na *Putney Vale Cemetery*. Nie tak dawno wybraliśmy się w trójkę — Lida, Adam i ja — na ten cmentarz, na grób Andrzeja. Był ciemny dzień, zaciął chłodny wiatr z mżawką. W drodze powrotnej do bramy cmentarnej Adam wziął mnie pod rękę, wpijając się w nią kurczowo palcami. Szedł wolno, oddychał z trudem. Po raz pierwszy wtedy pomyślałem, że wkrótce spocznie na zawsze obok Andrzeja. Później, w lutym, objął mnie na pożegnanie i wyszeptał cicho: „Brak mi sił”. Powtórzył to samo wielokrotnie w naszej ostatniej rozmowie telefonicznej, tuż przed śmiercią. Głosem ledwie dosłyszalnym, z akcentem suchego szlochu.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

„SPOTKANIA”

W lutym bież. roku ukaże się w formie książkowej 3 i 4 numer nieocenzurowanego pisma *SPOTKANIA* (Niezależne Pismo Młodych Katolików). Książka zawiera m.in. następujące artykuły: *Dyskusja w KIK „Chrześcijaństwo wobec praw człowieka”*; Nowosław Ustron — *Tak zwana utopia komunistyczna*; Ks. S. Małkowski — *Kościół a totalitaryzm*; Jan Sadek — *Strategia ewangelizacji w Polsce*; Ks. J. Tischner — *Horyzonty apostołstwa świeckich*; *Eurokomunizm i eurokatolicyzm* — rozmowa z O. B. Sorge SJ, oraz liczne dokumenty opozycji demokratycznej w kraju.

Zamówienia oraz wpłaty na fundusz *SPOTKANIA* należy kierować na adresy:

SPOTKANIA c/o C.C.P.W., 26 PONT STREET,
LONDON SW1 — England

lub:

PIOTR JEGLIŃSKI, 95, RUE DE SEVRES,
75006 PARIS — France.

Cena egzemplarza 30,00 F. lub £ 3,00, \$ 7,50, DM 15,00.

Amerykański eksperyment "wielokultury"

Przed niedawnym czasem *The Center for the Study of Democratic Institutions* zaprosił mnie do udziału w dyskusji na temat: *Cultural Pluralism and Education*. Chciałbym tu powtórzyć w pogłębionej postaci, w otwartym tle historycznym, z szerszym uzasadnieniem co przy tej sposobności powiedziałem. Zanim to zrobię, może nie bez pożytku będzie kilka informacji o przyczynie sprawczej i okolicznościach towarzyszących temu wystąpieniu.

LABORATORIUM I FORUM

The Center for the Study of Democratic Institutions jest organizacją może jedyną w swoim rodzaju i może typowo amerykańską. Wolno ją określić jako laboratorium intelektualne, jako ośrodek myśli rozważającej, jednocześnie bardzo bezinteresowny i zorientowany praktycznie, jako — jeśli mogę sądzić — przez nikogo nie inspirowany i nie dozorowany organ świadomości społecznej. Centrum założone w roku 1959 podtrzymuje nieustannie stawianą twarzą w twarz tej świadomości ze współczesnym światem, z jego zagadnieniami i możliwościami, groźbami i obietnicami. Robi to na wiele sposobów.

Jednym z głównych jest zwoływanie ludzi, żeby zbiorowo myśleli i rozmawiali na określony, palący temat, żeby wychodzili naprzeciw sprawom często dopiero wyłaniającym się na powierzchnię, mgliście zwiastującym się na widnokręgu. Obydwa się to na zebraniach noszących rozmaite nazwy: dialog, seminarium, sympozjon, narada (*conference*), zgromadzenie (*convocation*). Granice tych nazw nie są rygorystyczne; oznaczają one ciąg od form kameralnych do form o bardzo szerokim zasięgu.

Oto kilka tematów roztrząsanych na zebraniach organizowanych przez Centrum: *Pacem in Maribus* („Pokój na morzach”), *Urban Crime and Conflict* („Zbrodnicość i źródła starć w środowiskach wielkomiejskich”), *Poverty and the Welfare System* („Ubóstwo i opieka społeczna”).

Inną postacią działania Centrum są wydawnictwa również o wielkiej różnorodności charakteru i przeznaczenia: od *discussion papers* (referatów stanowiących podstawę dyskusji) przez broszury przygodne (*occasional papers*) do wielkich, wielotomowych opracowań jak *Pacem in Terris*, dziennik kilku zgrupowań o światowym zasięgu na temat pokoju we współczesnym świecie. Ogólny nakład tych wydawnictw — sześć milionów egzemplarzy. Prócz druków zwartych, „Ośrodek Badania Instytucji Demokratycznych” wydaje dwa czasopisma ukazujące się na zmianę co miesiąc: *Center Magazine* i *World Issues*.

Jeszcze jedną formą szerokiej popularyzacji jest udostępnianie zdobytego materiału. Każde słowo wypowiedziane z inicjatywy Ośrodka nagrywa się na taśmę magnetofonową i dostarcza się blisko 500 stacjom radiowym, zainteresowanym instytucjom, nawet pojedynczym osobom.

Cała ta koncepcja zrodziła się w głowie jednego człowieka nazwiskiem Robert Maynard Hutchins. Był to człowiek nietuzinkowy. W trzydziestym roku życia został wybrany „prezydentem” (rektorem), jednej z czołowych szkół wyższych Ameryki, *The University of Chicago* i zajmował to stanowisko prawie przez ćwierć wieku. Był filozofem i krytykiem wychowania. Jego poglądy wywołały wiele namiętnych sporów, bo Hutchins nie cofał się przed podnoszeniem spraw kontrowersyjnych. Powstał przeciw jednostronnej specjalizacji nauczania i kultowi sportu, gorąco upominał się o podtrzymywanie i rozszerzanie zachodniej tradycji kulturalnej. Wymownie bronił nonkonformizmu i prawa do sprzeciwu, upatrując w nich siły napędowe rozwoju społecznego. W roku 1947 stał na czele *Commission on Freedom of the Press* i był *magnus parens* ważnego raportu o „wolnej i odpowiedzialnej prasie”.

Po wyjściu z uniwersytetu poświęcił się dwu wielkim przedsięwzięciom. Jednym była monumentalna seria *Great Books of the Western World* (ponad pół setki tomów) i dopełniająca ją, gigantyczny przewodnik o średniowiecznie, tasiemcowo długim, wyczerpującym tytule *Great Ideas: A Synopticon — a guide to synoptical reading and index based on 102 great ideas with 3.000 subtopics and 163.000 references to material in the set*. Drugie przedsięwzięcie Hutchinsa koronujące żywot to *The Center for the Study of Democratic Institutions*.

Na jego kwaterę główną obrał on miejscowość Santa Barbara w środkowej Kalifornii. Ma ona w sobie coś z ustawionej pionowo muszli i szeroko rozwiniętego wachlarza, znad niebieskiej, krętej zatoki wspina się urwistymi płaskowyzami, wązami, zielonymi dąbrowami na pochyłość gór Santa Ynez. Jest to azyl zamożnych i sławnych rentierów. Hutchins stworzył w nim ośrodek myślenia wprzód, intelektualnego prowokowania rzeczywistości. Ustawił jego miejsce „między wieżą z kości słoniowej i areną polityczną”, między pracą myśli i kształtowaniem konkretnego życia.

Hutchins umarł dwa lata temu. Przed śmiercią otworzył oddział chicagowski (*Chicago Program*) swego Ośrodka. Nie naruszając uprawnień Centrali ten oddział zdobył sobie znaczne stanowisko dzięki umiejscowieniu w mieście, które ma kilka uniwersytetów, kilkanaście *college'ów*, wiele instytutów badawczych, bibliotek, złożoną mieszaną ludnościową i oczywiście wyborowy bukiet problemów. Wspomniany na początku dialog o pluralizmie kulturalnym i wychowaniu był jedną z ostatnich imprez oddziału chicagowskiego.

Wprowadził mnie do niego mój przyjaciel Mark Krug, profesor zwyczajny *University of Chicago* i *distinguished visiting professor* uniwersytetu w San Diego (spędza trzy kwartały w pierwszym, jeden w drugim). Krug jest Żydem bez kompleksów. Urodził się w Wiedniu, wychował się w Polsce (otrzymał maturę w moim rodzinnym mieście Przemysłu, czyta i rozumie po polsku, a jeśli nie mówi, to przez zbytek skromności), przeżył okres heroiczny w Palestynie pod mandatem brytyjskim, osiągnął wysoką pozycję naukową w Stanach Zjednoczonych. Jest człowiekiem trzech kultur, organizacją doskonale harmonijną, osobowością sokratyczną, otwartą na ludzi i dla ludzi, świetnym pedagogiem.

Krugowi zawdzięczam inicjację w pewne aspekty życia amerykańskiego i przewodnictwo w lekturach, ale za sądy tutaj wyrażone sam ponoszę odpowiedzialność.

TROCĘ FAKTÓW MNIEJ LUB BARDZIEJ ZNANYCH

Nasamprzód truizm, który warto zgruntować i mieć stale w pamięci: „Ameryka jest krajem imigrantów”, „w Ameryce mieszkają tylko imigranci” (*nota-bene* za słownikiem Doroszewskiego przyjmuję i konsekwentnie stosuję ten termin na określenie kogoś, kto przesiadła się z jednego kraju do drugiego i osiada w nim na stałe; słowo „emigrant” w naszej epoce wielu emigra-

cji politycznych i ideowych ma inne znaczenie i zabarwienie; w piśmiennictwie amerykańskim niekiedy używa się terminów „emigracja” i „imigracja” na oznaczenie ruchu w przeciwnych kierunkach: z jakiegoś kraju i do jakiegoś kraju). Paradoks o „kraju imigrantów” jest prawdziwy. Poza Indianami — małą, dramatycznie szczątkową mniejszością — nie ma w dwustomilionowej Ameryce autochtonów.

Ciąg imigracyjny na olbrzymi podkontynent północno-amerykański, ziemię wielkiej i, kiedyś mogło się wydawać, niewyczerpanej obfitości zaczęły na początku XVII-go wieku Hiszpanie. Potem zagarniali ją Francuzi i w ślad za nimi Brytyjczycy. W połowie XVIII-go wieku ich stan posiadania na kontynencie amerykańskim był mniej więcej równy. Wszystkimi powodowały złożone pobudki: gospodarcze, religijne i polityczne, występujące w rozmaitych proporcjach.

W następstwie wojen, układów dyplomatycznych i transakcji pieniężnych, francuski stan posiadania po drugiej stronie Atlantyku zredukował się do kanadyjskiego Quebecu, na który w tej chwili są zwrócone oczy świata. W Stanach Zjednoczonych pozostały po Francuzach tylko nazwy: Louisiana nazwana na cześć Ludwika XIV i sprzedana za gotówkę przez Napoleona, bezlistnie angliczowane imiona miejscowości Fond du Lac („Fondulak”) czy Terre Haute („Terrot”) i marka luksusowego samochodu „Cadillac”, wywodząca się od założyciela Detroit, późniejszego gubernatora Louisiany Sieur de la Mothe Cadillac (Detroit, wymawiane teraz po angielsku, wywodzi się zresztą od francuskiego słowa *le détroit* — cieśnina).

Hiszpanie wypchnięci nawet z Florydy utracili wszystkie tytuły polityczne, ale przetrwali jako problem narodowościowy i językowy, o którym jeszcze będzie mowa. Ostali się przybysze z Anglii, wsparci przez imigrantów z zachodniej i północnej Europy, z niemieckiego obszaru językowego, Holandii i Skandynawii. Ten amalgamat to Pierwsza i Druga Ameryka, Ameryka Kolonialna i Republikańska. Był to kraj rolniczy, używający jeszcze rzymskiego drewnianego pługa, twór mieszany ale stonkowo jednolity, o wielkiej dynamice i samowiedzy politycznej, poruszany potężną, ale urzeczywistnianą praktycznymi sposobami wizją rozwoju. Pierwszy federalny spis ludności w roku 1790 obliczył ją na cztery miliony.

Wzrost od tej liczby do dzisiejszej odbył się, z gruba biorąc, w dwu etapach. Pierwszy z nich zamknął się w przeddzień Wojny Domowej (1860) trzydziestu jeden milionami. Złożyły się na ten przybytek, jak poprzednio, Anglia i Szkocja, w mniejszym stopniu Niderlandy i Skandynawia, ale także dwie wielkie fale, jedna wzbudzona przez katastrofalny „głód ziemniaczany”

(*potato famine*) w Irlandii, druga wypchnięta przez zaburzenia polityczne z obszaru niemieckojęzycznego. W tym czasie również rozwinął się na wielką skalę przywóz czarnych niewolników z Afryki do pracy na plantacjach bawełny (cztery i pół miliona dusz).

Ale wielka amerykańska epopeja imigracyjna zaczęła się w drugiej połowie XIX-go wieku. Między rokiem 1880 a początkiem pierwszej wojny światowej na wschodnie wybrzeża Ameryki kolejne fale płynące Atlantykiem wyrzuciły 35 milionów ludzi rodem głównie z Europy wschodniej i południowej. Był to gigantyczny przypływ niosący co rok mniej więcej milion ludzi. Mówili oni coś czterdziestu językami i dialektami, wyznawali rozmaite religie, przynosili z sobą rozmaite dziedzictwa historyczne.

Ludzie wyrzucani tym przypływem zapełnili kopalnie węgla i rudy żelaznej, stalownie, stocznie i rzeźnie (po amerykańsku eufemistycznie nazywane *meat packing industry*), młyny i browary, przędzalnie i tartaki, budowali koleje, które powiązały siecią olbrzymie puste przestrzenie i poruszyły ukryte na nich bogactwa, wczepili się gołymi rękami w ziemię, zanim jeszcze zaczęły się na niej poruszać maszyny rolnicze. To ci imigranci zbudowali wielką Amerykę Przemysłową (przed końcem XIX-go wieku przegoniła ona Wielką Brytanię w produkcji żelaza i stali). Dzisiejsze supermocarstwo wspiera się na ich bezimiennym trudzie jak na żelazobetonowym fundamencie. Przed Kapitołem i Białym Domem powinien płonąć znicz i oświetlać napis: NIEZNAŃNEMU IMIGRANTOWI.

Budowniczo Trzeciej Ameryki byli masą bierną i niemą. Werbowani jak biali niewolnicy przez agentów i przedsiębiorców, często niepiśmienni, nieznający języka, nieświadomi odrębności praw Nowego Kraju przywozili doń siłę kości i mięśni, moc potulnych zwierząt pociągowych. Trzymali się rodziny, gromady i parafii, mowy rodzinnej, religii i obyczaju. Byli zdani na siebie, co znaczyło zdani na łaskę i niełaskę eksploatatorów, póki przeciw królom przemysłowym: królowi nafty Rockefellerowi, królowi stali Morganowi nie stanęli „rycerze pracy” (*Knights of Labour*). Już w ósmym dziesiątku XIX-go wieku zaznaczyli się jako siła: w roku 1886 zorganizowali tysiąc strajków obejmujących sześćset tysięcy robotników.

Gdy nauczyli się czytać w obcym języku, zrozumieli wymowę sonetu Emmy Lazarus, którego końcowe wersy są wyrte na cokole pomnika w porcie nowojorskim wznoszącym się na wysokość 176 stóp (ok. 58 m.), podciągniętym w górę o drugą taką wysokość kolosalną figurą Wolności, ofiarowaną Ameryce przez Francuzów:

„Keep ancient lands, you storied pomp!” cries she
 With silent lips. „Give me your tired, your poor,
 Your huddled masses yearning to breathe free,
 The wretched refuse of your teeming shore
 Send these, the homeless, tempest-tossed to me,
 I lift my lamp beside the golden door!”

(Wolność woła milczącymi wargami: „Dzierż twe starożytne włości, legendarna parado! Mnie oddaj twoje znużone, ubogie, słończone gromady, tęskniące do swobodnego oddechu, odeszlij do mnie żebracze odpadki twoich rojących się wybrzeży, tych ludzi bezdomnych, miotanych burzami — trzymam pochodnię u od drzwi złotej bramy!”).

Przez lata przechodziłem kilka razy w tygodniu obok wiktoriańskiego domu z tynkowanej cegły i na czarno spatynowanego drzewa w śródmieściu chicagowskim. Jest on teraz ciasno obrosnięty żelbetonową dzunglą *Chicago Circle*, jednego z campusów uniwersytetu utrzymywanego przez stan Illinois. Ten staroświecki, anachroniczny budynek nazywa się Hull House i do dziś zdaje się promieniować wewnętrznym ciepłem. W nim grandilokwentna, egzaltowana frazeologia późnej romantyczki Emmy, została zaledwie w sześć lat później przetłumaczona na działanie praktyczne przez inne zdumiewające stare panniszcze, Jane Addams.

Do spółki z towarzyszką nabyła Hull House, zaczęła w nim skupiać ludzi pokrewnego pokroju i opiekować się imigrantami, całą wielkomięską biedą. Wokół macierzystego domu narosło osiedle, *the settlement*, złożone z kilkunastu budynków, dziś rozniesionych przez buldozery, żeby zrobić miejsce żelbetowi. Zamieszkałi w nich ludzie zarażeni duchem Miss Addams, dr Judyne w spódnicy (we wczesnej młodości chciała studiować medycynę). Na codzień uprawiali oni swoje zawody prawników, nauczycieli, artystów, biznesmenów, a wolny czas poświęcali upośledzonym i potrzebującym, ucząc ich języka, obyczaju i ustroju, uświadamiając społecznie i politycznie, dając poczucie opieki, zapewniając kulturalną rozrywkę.

Jednocześnie „osiedle” Hull House stało się ośrodkiem badań społecznych, kuźnią projektów ustawodawczych i wzorem dla innych, dla całego ruchu, tzw. *Settlement Movement*. Z niego wzięło początek całe dzisiejsze ustawodawstwo opiekuńcze (*welfare*). Jest ono oczywiście ciągle niewolne od braków i stwarza możliwości do nadużyć, ale to ono przeobraziło oblicze Trzeciej Ameryki. *Magna pars* tego wszystkiego była niezmordowana Miss Addams. Stała na czele wielu organizacji międzynarodowych i krajowych, wspierała sufrażystki angielskie, walczyła o po-

kój, napisała kilkanaście książek, wygłosiła bezlik odczytów, na kilka lat przed śmiercią otrzymała pokojową nagrodę Nobla.

Jane, tytan woli i aktywności, jej towarzysze i naśladowcy to byli amerykańscy imigranci, ale poruszani pobudkami humanitarnymi.

WASPS versus PIGS

Obok tego impulsu pozytywnego tak samo silnie, jeśli nie silniej i szerzej działał impuls negatywny. Wyraża go podwójny akronim, podwójny symbol literowy, wprowadzony w tytule tego rozdziału. Pierwsza jego połowa rozwiązuje się następująco: *White + Anglo + Saxon + Protestant* (co znaczy: Amerykanie białej rasy, pochodzenia anglosaksońskiego, protestanci z wyznania). Literę drugiej połowy są skrótami nazw: *Poles* (Polacy) + *Italians* (Włosi) + *Greeks* (Grecy) + *Slavs* (Słowianie).

Nie umiem powiedzieć kto i kiedy wykoncytował pierwszy akronim. Autorem drugiego był imigrant włoski, ksiądz Geno Baroni. Wydaje się on mniej szczęśliwy, bo tautologiczny przez połączenie nazw „Słowianie” i „Polacy”, którzy przecież mieszczą się w pierwszej ogólniejszej kategorii. Bezstronnie trzeba stwierdzić, że ten drugi skrót jest w rzadszym użyciu niż pierwszy, choć bardzo być może, iż należało by go używać manifestacyjnie. Przewiska pejoratywne noszone z dumą zmieniają się w określenia chlubne, jak wyzwisko „impresjoniści”, które dziś oznacza jedną z największych szkół malarskich świata, jedno z największych objawień jego kolorowości. Mimochodem warto dodać, że nazwanie figurujące w nagłówku brzmi jak tytuł i *promythion* (temat) bajki Ezopa: akronimy czytane i rozumiane jako słowa oznaczają: „osy” i „świnie” — osy przeciw świniom. Jest to wcale malowniczy i wymowny apolog zwierzęcy.

Ameryka była od dawna siedliskiem ksenofobii i natywizmu, odrzy do obcych i samouwieblenia siebie i swoich. Purytanie, pierwsi osadnicy na wybrzeżu atlantyckim, odrzucali katolickich Irlandczyków, pierwszą historycznie „mniejszość”, tylko dlatego, że nie przyjeżdżali oni z Anglii i nie wyznawali ich wiary. Przez długi czas obok ostrzeżenia *Beware Bad Dog* (uwaga zły pies) było w obiegu ostrzeżenie „*No Irish Need Apply*” (Irlandczycy niech się nie zgłaszają).

Z tego ducha zrodził się *Hooded Americanism* („Amerykanizm zakapturzony”), jak go nazywa tytuł książki D. M. Chalmersa (1965).

Wpierw jego ostrze mierzyło przede wszystkim w Irlandczy-

ków i katolicyzm, uważany za instytucję obcą i wroga, nieamerykańską w swojej ideologii i charakterze. W kilku dziesiątkach lat przed wybuchem Wojny Domowej agitację antykatolicką i antyirlandzką rozwijała zamaskowana *Know-Nothing Party*. Jej nazwa (zmieniona w 1845 na *American Party*) wywodziła się stąd, że jej członkowie, związani przysięgą na wzór wolnomularzy, zasłaniaли się twierdzeniem, iż nic o niczym nie wiedzą.

Później, po Wojnie Domowej wrogie ostrze obróciło się przeciw własnololnionym, choć ciągle jeszcze pozbawionym praw obywatelskich Murzynom. *Ku-Klux-Klan* i inne pokrewne organizacje tajne: „Rycerze Białej Kamelii”, „Biała Liga”, „Niewidzialne Koło”, „Blade Twarze” (*Pale Faces*) podminowały całe Południe i prowadziły terrorystyczną, posługującą się dziwacznym rytuałem walkę o polityczną i społeczną supremację białych. Te objawy paradoksalne w jawnej demokracji i moralnie odstręczające minęły, choć nie od razu: *Ku-Klux-Klan* podrywał się czy wychylał na powierzchnię jeszcze po pierwszej, a nawet drugiej wojnie światowej.

Jak bardzo jest zaraźliwa, jak głęboko tkwi ta skłonność świadczy fakt, że Irlandczycy przeszedłszy przez doświadczenie brutalnej dyskryminacji sami stali się dyskryminatorami. Imię „Ajryszów” źle się zapisało w pamięci zbiorowej Polaków amerykańskich. Jest tajemnicą poliszynela, że katolicki arcybiskup Chicago, kardynał Cody (także „Ajrysz” z pochodzenia) patrzy krzywym okiem na polsko-amerykańską odrębność etniczną i ukróca ją twardą, choć ostrożnie i podstępnie manipulującą ręką. Może „Ajryszem” był nauczyciel — smutno-groteskowy symbol — każący włoskim dzieciom siedzieć na rękach, żeby się odczyły nieamerykańskiej gestykulacji.

Natywistyczne skłonności, czucia i odruchy rozjątrzyła masowa imigracja przemysłowa końca XIX-go i początku XX-go wieku. Czysto statystycznie rzecz biorąc mogło się to wydawać usprawiedliwione, a przynajmniej zrozumiałe. W następstwie powtarzającego się przypływu imigranci ze wschodu i południa Europy zaczęli tworzyć jedną trzecią ludności Ameryki Przemysłowej. Proporcja 60 : 35 milionów przybrała w panicznej wyobraźni wymiary nieomal apokaliptyczne. Tak narodził się rasizm amerykański, doktrynalny, ortodoksyjny „waspizm”. Wspiera się on na kilku mitach i urojeniach. Warto się im przyjrzeć bliżej.

Pierwszym jest mit czystości i wyższości rasowej. Ma on formę przeciwstawienia: *Anglo-Saxon Nordic vs. Alpine Mediterranean*. To przeciwstawienie nie wytrzymuje krytyki z punktu widzenia antropologicznego i historycznego.

Antropologia odróżnia wysokich, jasnowłosych długogłowców i często nazywa ich „nordykami”, krępych, ciemnowłosych długo-

głowców, określanych jako „rasa śródziemnomorska”, szeroko-głowców o pośrednim kolorze uwłosienia i krótkiej figurze oznaczanych jako „typ alpejski”, ale zastrzega się, że te wszystkie rozróżnienia są sztuczne i nie implikują odrębnych początków. Wielu Anglosasów stanowi grupę pośrednią między grupą nordycką a śródziemnomorską, dogmatyczna opozycja „nordycki-śródziemnomorski” nie ma więc rzeczywistego uzasadnienia.

Historycznie rzecz biorąc czystość rasowa „Waspów” jest jeszcze bardziej oczywistym nonsensem. Amerykę Kolonialną i Republikańską stworzyli Anglicy i tzw. *Scotch-Irish* (mieszanka szkocko-irlandzka), rdzenni Szkoci (*Scotch Highlanders*), duża domieszka niemiecka, mała francuska (Hugenoci) i równie mała szwajcarska, Szwedzi i Holendrzy. O roli tych ostatnich świadczy choćby to, że Nowy Jork nazywał się pierwotnie New Amsterdam, póki rząd królewski w Londynie nie narzucił mu angielskiej nazwy wraz z gubernatorem, księciem Yorku, bratem Karola II i pod tą nazwą był on później stolicą Stanów Zjednoczonych (ówcześnie 13 a nie jak dzisiaj 50) aż do czasu, gdy w roku 1860 objął tę funkcję Washington D.C.

Charakter zupełnie irracjonalny ma wiara w supremację kultury anglosaskiej. Poczucie wyłącznej własności kontynentu amerykańskiego ze wszystkim co było, jest i będzie — ukazuje się uzurpacją w świetle gigantycznego skoku ludnościowego i ekonomicznego na przełomie dwu ostatnich stuleci. Tę uzurpację można podtrzymać tylko traktowaniem budowniczych Ameryki Przemysłowej jako rasy niższej, służebnej, jak ludzkiej mierzwy.

Louis Adamic, Słoweniec z pochodzenia, autor dwu książek *Nation of Nations* („Naród nad narodami”, 1945) i *Laughing in the Jungle* („Śmiech w dżungli”, 1969), ostro widzący obserwator życia amerykańskiego, odważny wyraził jego widzenia imigranckimi oczami, wypowiedział to w drugiej z tych książek w tak aż boleśnie dobitny sposób: „Kiedyś nazywano imigrantów w Ameryce „gnojem” (*dung*) — jest to stosowne dla nich nazwanie. Byli sztucznym nawozem, żywiącym korzenie teraźniejszej i przyszłej wielkości Ameryki. Ciągłe stanowią nawóz. Korzenie Ameryki ciągle się nimi żywią”.

Szczytowym wcieleniem tej uzurpatorskiej postawy, a przynajmniej najwymowniejszym jej *porte-parole* był Madison Grant, autor alarmistycznej książki *Passing of the Great Race* („Zmierzch wielkiej rasy”, 1916). Ten antropolog i przewodniczący Towarzystwa Zoologicznego w Nowym Jorku, noszący generalskie i prezydenckie nazwisko (choć, zdaje się, nie krewny Ulyssesa Granta) a na dokładkę nazwisko innego prezydenta Stanów jako imię — wyłączył ze wspólnoty amerykańskiej nie tylko Murzy-

nów, Indian, hiszpańsko-indiańskich *mestizos* (mieszkańców) i Żydów, ale również wszystkich nowych przybyszów pracujących na jej bogactwo, siłę i wielkość. Przeciwwstawiał się małżeństwu mieszanemu i mieszanemu się nowych Amerykanów do czegokolwiek. Apostołował Amerykę jako monopolistyczną własność „czystych” Anglosasów. Nie wierzył w anglosaksonizację elementów napływowych, zalecał ich forsowną amerykanizację. Głosił *apartheid* przed powstaniem tego terminu i jego praktykowaniem. Piętnował jako „młodą czułość” (*maudlin sentimentalism*) demokrację panny Lazarus czy panny Addams.

Nie należy się łudzić, że stanowisko Granta jest dzisiaj stanowiskiem historycznym, całkowicie przewyciężonym. Jego książka miała wiele wydań. Ostatnie ukazało się w 1970 roku czyli wczoraj. Widać było na nie zapotrzebowanie; w Ameryce nikt nie wydaje książek, których się nie sprzedaje. Wydawca i komentator jednej z ostatnich edycji, Henry Fairchild Osborn, profesor zoologii z zawodu, podpisał się pod poglądami Granta w całej ich rozciągłości. Wolno więc mówić o pewnym stereotypie amerykanizmu, głęboko osadzonym w świadomości i podświadomości.

TYGIEL HUTNICZY DLA LUDZI

Do współzawodnictwa z nim stanęła inna koncepcja znana pod nazwą *melting pot*. Można to określenie przełożyć na „tygiel hutniczy”, oznaczający kocioł, w którym topi się rudę żelazną i z mieszaniny wytapia się jednolity surowiec. Była to metafora w duchu i stylu Trzeciej Ameryki, Ameryki Przemysłowej, sugerująca podobny proces w świecie ludzkim. I geneza jej była nie naukowa (czy pseudonaukowa), ale literacka i teatralna.

Rzucił ten slogan w roku 1909 z desek któregoś teatru nowojorskiego Żyd brytyjski Izrael Zangwill. Przedstawia on zjawisko dość zagadkowe. Trudno w tej chwili wyjaśnić jak, jaką logiczną drogą ideowy syjonista, epik gett żydowskich w Anglii doszedł do idei, że Ameryka jest miejscem wybranym przez Boga, w którym ma się dokonać przemieszanie wszystkich jej elementów składowych w stop wysokiej próby, niepodobny do niczego.

Nasuują się dwa przypuszczenia. Może Zangwill był żydowskim Wallenrodem, pragnął ominąć zapory „waspizmu”, przezwyciężyć antysemityzm głoszony przez ludzi pokroju Granta. To jedna hipoteza. Można także podejrzewać, że nazywał się Nietzschego i poenił proroków hebrajskich z nietzscheańską ideą nadczłowieka. Tonem profetycznym brzmi diatryba głównej postaci

w sztuce: *America is God's Crucible, the great Melting Pot, where all the races of Europe are melting and reforming... God is making the American... The real American, perhaps the coming Superman* („Ameryka jest tygłem Pana Boga, wielkim Tygłem Hutniczym, w którym wszystkie rasy europejskie topią się i przekształcają... Bóg stwarza Amerykanina... Prawdziwego Amerykanina, może nadchodzącego Nadczłowieka”).

Tak czy owak, ta zagadka z zakresu psychologii twórczości nie jest ważna dla niniejszego przewodu. Ważne jest to, że prenośnia Ameryki-tygla hutniczego zrobiła zawrotną karierę, przeniknęła do jej języka potocznego i trwa w nim do dzisiaj z podwójnym zabarwieniem: ujemnym, ale także i dodatnim. Jeszcze niesławnej pamięci Spiros Anagnostopoulos *vel* Spiro Agnew, wiceprezydent-łapówkarz, głosił uroczyste: „Jesteśmy narodem z tygla hutniczego (*melting pot nation*), który w ponad dwie setki lat wytworzył (*distilled*) coś nowego i, wierzę w to, coś świętego (*sacred*)”.

Nie od razu zdano sobie sprawę, że idea wyrzucona w orbitę przez doszczętnie dziś zapomniany utwór Zangwilla jest dokładnym przeciwieństwem amerykanizacji zarówno w rozumieniu szlachetnych liberałów z Hull House, jak i w rozumieniu rasistów. Amerykanizacja wychodziła z założenia absolutnej wyższości kultury ukształtowanej na subkontynencie (do dziś używa się na jego określenie nazwy *Anglo-America*, przeoczącej obecność Francuzów na północy i „Latynosów” na południu). Koncepcja *melting pot* opierała się na przesłance, że wszystkie kultury naniesione na ziemię amerykańską, są składnikami jednakiej wagi, mającymi się złożyć na amalgamat nowej, syntetycznej amerykańkości.

Wspólne obu koncepcjom było hasło: *For whites only* (Tylko dla białych). Poza wręby tygla nie mogli się precyzyjnie Murzyni, nie mówiąc już o mniejszości meksykańskiej i mniejszościach pochodzenia azjatyckiego: hinduskiej, chińskiej, japońskiej. Zresztą nie było sobie czym zaprzętać głowy, jeśli w roku 1880 w Stanach Zjednoczonych mieszkało 148 Japończyków. Dziś mieszka ich blisko 300 tysięcy (nie licząc takiej samej ilości na Hawajach) i stanowią oni *super-minority*, bijącą dorobkiem wszystkie inne mniejszości z „mniejszością” anglosaską łącznie.

„Wasps” nie kwapili się do tygla, przeciwnie zwalczała go i w tym jednym należy im przyznać słusność. Grant uważał *melting pot* za katastrofę dla Ameryki. Odrzucał „waspizację” imigrantów ze wschodu i południa Europy, chciał ich amerykanizować na prawach obywateli drugiej kategorii, członków niższej rasy. Jego ideałem było zachowanie w nieskażonej czystości *the type of native Americans of colonial descent, old stock Americans*

jako rasy panów (*master race*). Trudno sobie wyobrazić coś bardziej anachronicznego i niezestrojonego z etosem amerykańskim.

W naiwnym, tylko mimowiednie demonicznym pomysle Zangwilla było coś głęboko antyhumanistycznego i antykulturalnego. U jego podstawy tkwiło wyobrażenie człowieka nie jako niepowtarzalnego, organicznego bytu, ale jako rzeczy, jako blendy do mechanicznej przeróbki. Przeoczał on również kulturę jako wytwór organicznie narastający w określonych warunkach, przedłużający się tradycją w czasie, wyznaczający pewien pogląd na świat i życie, pewien styl bycia.

PLURALIZM KONTROLOWANY

Amerykanizacja dobrowolna czy narzucana, anglosaksonizacja, *melting pot* — wszystkie te koncepcje teoretyczne i ich zastosowanie praktyczne przyniosły tylko częściowy, często wątpliwy, nieraz zgoła ujemny wynik. Zgagę po niepowodzeniu, wyrażoną językiem racjonalnym odśłania książka dwu autorów, z których drugi jest jedną z najbardziej dynamicznych i kolorowych postaci współczesnej Ameryki — Nathana Glasera i Daniela Patricka Moynihana *Beyond the Melting Pot* („Poza koncepcją tygła hutniczego”, 1963). Pozostał na placu prosty, nieodparty, obiektywny fakt mnogości i różnorodności składników tworzących ludność Ameryki Północnej — pluralizm demograficzny. Ale i on przeszedł różne koleje.

W pewnej chwili, gdy zelżał nacisk przemysłu na przywóz siły roboczej, gdy gdzieś w głębiach pośpiesznie rozbudowanego mechanizmu gospodarczego zaczęły się zapowiadać pierwsze ruchy zbliżającej się depresji, wkroczyło ustawodawstwo z reglamentacją dopływu nowych imigrantów. Po kilku przygrywkach, wprawkach czy balonach próbnych (w latach 1917 i 1921) Kongres Stanów Zjednoczonych głosami obu partii uchwalił w roku 1924 słynną ustawę o „kwotach” — *Immigration Act*. Ograniczyła ona ilość imigrantów w przemyślny, a znamieny sposób: miała ona odtąd stanowić 2 % dotychczasowego stanu posiadania poszczególnych grup etnicznych. Skutek był oczywisty: na grupę anglosaską przypadły trzy czwarte, na wszystkie grupy „rasowo niższe” niewiele więcej, niż jedna czwarta rozdrobiona na małe, nieraz znikome ułamki. Ustawa z 1929 potwierdziła, nawet zastrzyła te postanowienia. Oznaczało to zamknięcie na kilkadziesiąt lat historycznej polityki wolnego wstępu (*free entry policy*) i zastąpienie jej polityką zamkniętych drzwi (*closed door policy*).

Inaczej i ściślej mówiąc był to pluralizm względny, kontrolowany, reglamentowany w duchu rasizmu. Wyrósł on z posiewu i stanowił pośmiertny triumf Granta i legionu jemu podobnych natywiwistów. Inspirowana przez nich nauka odegrała niechlubną rolę dostarczając *lobby*’istom i za ich pośrednictwem ustawodawcom argumentów o niższości wszystkich ras poza mityczną, istniejącą tylko w pobożnym czy niezbożnym urojeniu rasą anglosaską. Z tej głęboko zawstydzającej literatury wystarczy przytoczyć tylko dwie „ekspertyzy”. „Pasażerowie z dolnego pokładu — brzmi jedna z nich — przybywający z Neapolu zdradzają przynębiającą częstotliwość występowania niskich czoł, otwartych ust, słabych podbródków, skrzywionych twarzy, małych lub guzowatych czaszek i głów ściętych z tyłu”. Autor drugiej, doktor medycyny, specjalista od eugeniki popierał danymi statystycznymi i wykresami uogólnienie, że Włosi, Polacy i Żydzi to „biologiczni zwyrodnialcy (*biological degenerates*), nie nadający się do produktywnego życia w wolnym, demokratycznym kraju”.

Nie rozporządzam liczbami i ich zrekonstruowanie jest jeszcze sprawą mozolnych badań, ale jestem skłonny przypuszczać, że dopiero ten walec reglamentacyjny w połączeniu z niekiedy brutalnymi naciskami oficjalnymi i półoficjalnymi, jawnymi i ukrytymi doprowadził do stanu rzeczy, który można dziś obserwować.

W grupie polsko-amerykańskiej dość jest wskazać masową — oczywiście z wyjątkami — dezercję kleru i zgromadzeń religijnych (jedno z nich w masochistycznym samoponizowaniu posunęło się tak daleko, że publicznie, w druku zapiera się swego rodowodu, a więc i swojej świątobliwej założycielki podając, iż pochodzi nie z Warszawy, nie z Polski, ale „z Europy”, co także jest prawdą, tylko również upokarzającą jak kłamstwo).

Zewnętrzny znakiem stało się nagminne zmienianie nazwisk. Ilekroć spotka się nazwisko zakończone na „e” lub „y” można mieć pewność, że „Abramovske” to Abramowski, „Zelinske” to Zieliński, „Zukovsky” to Żukowski (gra tu dodatkowo głupekowaty snobizm na rosyjskość), ale w „Gray’u” nikt nie zgadnie Kamińskiego (przypadek rzeczywisty, doświadczony osobiście). Nie wiadomo jak historia zapisze rolę Zbigniewa Brzezińskiego, ale jego historycznym tytułem jest już to, że zachował nie tylko nazwisko, ale nawet imię, co stanowi zupełną rzadkość i przydykt Stanów Zjednoczonych osobnym okólnikiem nakazał ich poprawne „spellowanie”. Skutek jest taki, że nie tylko w *Time (Magazine)*, w którym miesiącami nie podobna upolować błędu korektorskiego, ale powszechnie to bardzo swoiste, „trudne” nazwisko i imię przytacza się bez błędu.

To wszystko są drobnostki w porównaniu ze stratami w językowym stanie posiadania. Jeden przykład wystarczy: w chicagow-

skich szkołach średnich działających pod nadzorem miejskim (*Chicago Board of Education*) język hiszpański jest w obecnej chwili nauczany w 60 klasach (czyli we wszystkich szkołach), polski w 3 (słownie: trzech).

Ale to może nie będzie koniec sprawy, w każdym razie być nie musi.

KROK NAPRZÓD, KROK WSTECZ

Mark Krug zwrócił moją uwagę na jednoczesność, lub przynajmniej chronologiczną bliskość dwu zjawisk: reglamentowania imigracji i pluralizmu kulturalnego. Da się to wyjaśnić całkiem przyziemnie. Kiedy apokaliptyczna groza „zmierzchu wielkiej rasy” została ograniczona mechanicznie i biurokratycznie, można było sobie pozwolić na zbytek irzyko mniej lub bardziej niechętnego uznania innych nie-anglosaskich obywateli, przyznania im prawa do ludzkiej tożsamości.

Za patrona postawy pluralistycznej można uważać Williama Jamesa, jednego z twórców i postać czołową pragmatyzmu, znakomitego psychologa, autora fundamentalnych *Principles of Psychology*, filozofa religii, pierwszego Amerykanina, który zdobył w filozofii światową sławę. Jego ostatnie dzieło nosi tytuł *A Pluralistic Universe* („Pluralistyczny wszechświat”, 1909). Rozwija ono przeplatające się przez całą twórczość przekonanie, że świat jest mnogością wielu rzeczy różnych, że stanowi nie *universum*, ale *multiversum*, wszechświat pluralistyczny. Części składające się na rzeczywistość są zależne tylko od części sąsiednich, przenikają się wzajemnie; są niezależne od całości. Wynika stąd konsekwencja: w świecie jest miejsce na wolność i powstawanie nowych wartości. I druga: zarówno świat myśli jak i świat rzeczy zasługują na *fair play*, na traktowanie lojalne i pełne szacunku.

Z tego pluralizmu metafizycznego zapewne wywodzi się pluralizm kulturalny. Jego ojcem jest filozof akademicki mniejszej rangi niż James Horace Kallen, autor książek *Culture and Democracy in the United States* („Kultura i demokracja w Stanach Zjednoczonych”, 1924) i *Cultural Pluralism and the American Idea* („Pluralizm kulturalny i idea amerykańizmu”, 1956). Bodaj pierwszy lub jeden z pierwszych wskazał on, że nie tylko czystość rasy anglosaskiej jest mitem, także przeoczeniem faktu obiektywnego jest czystość jej kultury. Jeśli u genezy Ameryki widoczny jest spływ i sprzęg rozmaitych oddziaływań kulturalnych, nie ma

dobrego powodu, nie uznać procesu ich mnożenia się i ostatecznego wyniku tego mnożenia się w jej dzisiejszym kształcie. Nic oczywiście nie wiedząc o Witkacowskiej „Jedności w wielości”, zawarł on to rozpoznanie w hasle *Unity in Diversity* (jedność w różnorodności). Więź jednoczącą wskazywał w „Idei Amerykańskiej”, w dziedzictwie wartości, zasad i norm ustrojowych, które doprowadziły do wyzwolenia z zależności kolonialnej i stworzenia Drugiej Ameryki, Ameryki Republikańskiej, takich jak Deklaracja Niepodległości, Konstytucja, *Bill of Rights*, „tradycja pogranicza” (*frontier tradition*) tzn. tradycja pionierskiego, we wczesnych fazach bohaterskiego osadnictwa na Zachodzie. Także Kallen pomijał Murzynów i Latynosów. Nie chciał Ameryki wielokulturowej — postulował bogatą, atrakcyjną, głęboko wkorzoną, ale jedną jedyną kulturę amerykańską, co najwyżej dopuszczając „stałe przenikanie się kultury górującej z wkładem kulturalnym grup mniejszościowych”.

Stanowisko sformułowane przez Kallena nie przeszło bez sprzeciwu i nie jest powszechnie przyjęte. Choć zastrzegał się przeciw separatyzmowi i *tribalization*, rozszczepianiu Ameryki na elementarne składniki, „jedność w różnorodności” ciągle straszy utajonych lub nieświadomych rasistów.

Przeciwnikiem Kallena stosunkowo oświeconym i stosunkowo umiarkowanym jest John Higham z książką o tytule odwołującym się do napisu na nowojorskim pomniku Wolności: *Send These To Me — Jews and Other Immigrants in Urban America* („Przyszlizcie ich do mnie. Żydzi i inni imigranci w urbanistycznej Ameryce”, 1975). Higham uważa pluralizm za postawę pogłębiającą różnice, parafiańską, potencjalnie niebezpieczną dla Ameryki i — niemoralną, bo jakoby ogranicza niezależność i wolność drugiego i trzeciego pokolenia imigrantów.

Na miejsce pluralizmu Higham wprowadza termin *pluralistic integration* („pluralistyczne scalenie”). Gdy się ten termin usiłuje uziemić i ukonkretnić, staje się jasne, że jest on wybiegiem, przesłoną dla „górującego społeczeństwa” i „górującej kultury”. Grupy etniczne winny mieć tylko „ograniczone zadania jako rozpoznawalne jednostki” (*limited functions as identifiable entities*). Nad mętną terminologią Highama zdaje się górować precyzją i rzetelnością formuła polsko-francuskiego socjologa Hyżego *l'intégration sans identification* („scalenie bez utraty tożsamości”).

Te dwa głosy — spośród wielu — wskazują jak trudno przełamać zastarzałe narowy myślenia albo przewyciężyć atawistyczne skłonności. Idea pluralizmu kulturalnego niewątpliwie zapuściła korzenie w Ameryce, ale jej uznanie jest ciągle niedostateczne. Każdemu krokowi naprzód towarzyszy krok wstecz.

THE NEW ETHNICITY

W ten mozolnie przebiegający i zamacony proces brutalnie wkroczyło życie kilku interwencjami.

Najgłębiej w przeszłość sięgnęło wystąpienie Michaela Novaka, profesora filozofii, teologa, publicysty słowackiego pochodzenia, dyrektora EMPAC (Ethnic Million's Political Action Committee) *The Rise of the Unmeltable Ethnics* (1971). Największą, trwałą zdobyczą tej gniewnej, gorzkiej, niestety mało przejrzystej, zbyt drobiazgowej, niezbyt składowo skomponowanej książki jest ów *unmeltable ethnic* z tytułu i najkrótsza, opisowa definicja „nowej etniczności”: „*What the immigrant's son wants to forget, the grandson wants to remember*” („To co syn imigranta pragnie zapomnieć, jego wnuk chce sobie przypomnieć”). Ten „późny wnuk” oznacza *a hyphenated American*, „Amerykanina z kreszczką (z łącznikiem)” rodowodu polskiego, ukraińskiego, serbskiego, litewskiego itd., który okazał się i okazuje odporny na każdą temperaturę i każdą mieszaninę tygla hutniczego, nie dał się i nie chce się dać przetopić — jest *unmeltable*. (Nota-bene słownik Doroszewskiego nie zna rzeczownika „etnik”, tylko przymiotnik „etniczny”, w znaczeniu „ludowy, narodowy, właściwy danemu narodowi, związany z jego kulturą”, ale ten rzeczownik ma w Ameryce powszechny obieg i oznacza wielolitą masę, odróżnianą od Amerykanów anglosaskiego pochodzenia i określaną także nazwą „mniejszości” — *minorities*).

O wiele większą rolę w otwarciu „nowej etniczności”, w rozbudzeniu samowiedzy etnicznej odegrały dwa procesy: emancypacja kulturalna Murzynów i agresywne parcie *Latinos*, mówiących po hiszpańsku mieszkańców Południa amerykańskiego. Przez dziesiątki lat od Wojny Domowej i uwłasnowolnienia czarnych niewolników wizja kulturalna Ameryki nie znała tego koloru, choć jest to kolor skóry ponad 10 % jej ludności. Również poza obrębem *spectrum* albo co najwyżej na jego dalekim marginesie znajdowali się „Latynosi”. Teraz jakby obudziło się w nich poczucie współwłasności, zagrała pamięć historyczna o hiszpańskich kolonizatorach, którzy w XVIII-tym wieku wyprzedzili na południu angielskich osadników na wschodzie i prąc wybrzeżem Oceanu Spokojnego dotarli aż do San Francisco na długo przed podbojem posuwającym się ku zachodowi od środka łądu.

Przez ten obrót rzeczy wszystkie nie-anglosaskie grupy etniczne nabrały innego ciężaru gatunkowego, uprawomocniły się, a nawet upotrębniły jako czynnik równoważący. Podobnie w Kanadzie napór francuskiego Québecu stworzył innym mniejszościom szan-

sę, z której np. Ukraińcy, zagrożeni ludobójstwem na swojej ziemi, zrobili wspaniałą użytek. Układ rzeczy, stworzony przez „nową etniczność”, przez „odrodzenie etniczne” nie snił się Grantowi i jemu podobnym nawet w najbardziej panicznych snach, w najbardziej megalomańskich urojeniach. Tolerancja tego układu przez monopolistów anglosaskich może być manewrem taktycznym, odruchem samoobronnym, może być wskaźnikiem pogłębiającej się świadomości. Jest zapewne tym wszystkim po trochu.

Tak czy inaczej pluralizm etniczny urosł — ostrożniej mówiąc: urasta, może urosnąć — do wagi konieczności historycznej. Wszystkie inne narzędzia kształtowania narodu, w tym lub owym stopniu skuteczne w przeszłości, dziś są okazami zabytkowymi, broniami przestarzałymi, które nadają się do muzeum starożytności lub do straszenia dzieci: „Jak nie będziesz grzeczny, pójdziesz do tygla”.

Nawet narzędzia mniej moralnie wątpliwe niż anglosaksonizacja i *melting pot*, przeciwnie, legitymujące się szlachetną intencją jak system kwot, które nadają specjalne przywileje nie większości, ale jednej — czarnej — mniejszości, w świetle opisywanego rozwoju wydają się anachroniczne. Moje wystąpienie w *Center for the Study of Democratic Institutions*, spotkało się z żywą aprobatą czarnoskórych dyskutantów (było ich czworo na szesnastu obecnych i jednym z nich był senator stanowy). Ale zakwestionowanie „kwot za doznane krzywdy”, kwot gwarantowanych (np. na uniwersytetach) przeszło mimo ich uszu, niedosłyszane lub dyskretnie pominięte. Trzymanie się kwot preferencyjnych może prowadzić do „odwróconej dyskryminacji” i szkodzić pluralizmowi. Nie służy bodaj samym Murzynom, bo nie wydobywa z nich ambicji, hoduje bierność, petryfikuje kompleks upośledzenia.

„Nowa etniczność” nie jest wcale sprawą prostą. Wielu ludziom wydaje się ona czymś samoczynnym, o co nie trzeba się troszczyć i walczyć. U wielu ogranicza się do konwencjonalnych symbolów lub zwietrzałych tradycji, podpada pod kategorię, którą Michael Novak celnie określił jako *Saturday ethnic* (etnik od święta, coś w rodzaju francuskiego *peintre de dimanche*). Są ciągle i tacy (cytowany Kamieński-„Gray”), dla których jest ona czymś niewygodnym i żenującym, spychanym w podświadomość i przez stłumienie czymś dezintegrującym osobowość. Odstraszający przykład stanowi Spiro Agnew, którego Novak trafnie ocenił: *one of the most meltable of ethnics, an easy number to americanize*. Takich strat nie warto żałować, ale są straty nieodzwołane we wszystkich grupach, w grupie polskiej bardzo wielkie, których „odrodzenie etniczne” nie zdoła już odrobić. Tym bardziej, że zdaniem niektórych obserwatorów *the new*

ethnicity movement zaczyna nie zwiększać, ale jakoby tracić rozpęd.

oczywiście ma on zaprzysięgłych wrogów. Wystarczy przytoczyć jednego z nich, niejakiego Gunnara Myrdala. Jego zdaniem nowa etniczność jest „romantycznym pomyleniem (*romantic aberration*) etnicznych intelektualistów pochodzących z klas wyższych” i ma na celu odciążenie ludzi pracy od walki o poprawę bytu materialnego. Trudno to inaczej skwalifikować jak marksizm od siedmiu boleści, albo jeszcze jeden odruch anglosaskiej hipokryzji, albo wyznanie ignorancji. W cenzusie z roku 1969 bez wpływu „intelektualnych pomyśleńców” 75 milionów obywateli Ameryki stwierdziło swoją osobowość etniczną — co prawda pośrednio, stwierdzając znajomość obcego języka, bo cenzus nie zawiera specjalnej rubryki dotyczącej przynależności etnicznej. Wolno sądzić, że liczba stwierdzona pośrednią drogą jest skromna; raczej niedosadzona niż przesadzona.

Mimo takich głosów jak Myrdala pluralizm etniczny wydaje się faktem nie dającym się odwrócić. Doczekał się on uznania oficjalnego w *Ethnic Heritage Act* uchwalonym przez Kongres w roku 1972 po długich i zawitych deliberacjach, co pobudziło ponad 40 stanów do podjęcia sprawy w swoich ciałach ustawodawczych. Na wprowadzenie w życie ustawy o dziedzictwie etnicznym Kongres sugerował 15 milionów, administracja Nixonowska zażądała tylko 2 miliony. Pobiła ją administracja Cartera, skreślając tę pozycję w preliminarzu budżetowym na rok 1978 i zaczęła się walka o to wymowne skreślenie.

Tutaj ruch wahadłowy — krok naprzód, pół kroku, nawet cały krok wstecz — wymierza się liczbami. Ale proces jest zaczęty i jego meta idealna jest widoczna.

„WIELOKULTURA”

To co się w obecnej chwili narzuca jako nakaz historyczny to jest możliwie wszechstronna, możliwie zróżnicowana, możliwie dynamiczna konfiguracja, w której wszystkie przeszczepione na subkontynent amerykański kultury współistniałyby i współżyły z sobą na prawach równości i wzajemnego poszanowania — wszystkie: starsze i młodsze, większe i mniejsze. Ta demokracja czy federacja jest trudna do pojęcia, jeśli w ogóle możliwa przy założeniu, nawet przy odruchowym uznawaniu, że wśród równych sobie kultur jedna jest — mówiąc po Orwellsku — „równiejsza” od innych, że jedna góruje nad innymi, przewodzi innym, podporządkowuje sobie wszystkie inne. I bez tego kultura anglo-

saska ma z tytułu historycznego, z prawa najdłuższego zasiedzenia stanowisko szczególne, ale jej nosiciele powinni się zdobyć na akt pokory lub po prostu świadomości, że nie jest ona ani „najwyższa”, ani najstarsza. Na ziemi amerykańskiej są obecne kultury „wyższe” i starsze od niej jak grecka i łacińska; kultura hiszpańska nie jest od niej o wiele młodsza itd. Ameryka stała się kiedyś szkołą tolerancji religijnej, dziś jej powołaniem jest wytworzyć autentyczną tolerancję kulturalną. Kraj wolnej konkurencji gospodarczej ma w swoim ustroju i doświadczeniu dane na to, żeby się stać krajem wolnej konkurencji kulturalnej.

Można z gruba zarysowaną tutaj perspektywę określić jako „wielokulturę”. Ten neologizm na oznaczenie rzeczy nowej i niebywałej jest kalką angielskiego wyrazu *multiculture*, który jest w obiegu, choć nie notuje go jeszcze najnowszy *Random House Dictionary* (zna on kilkadziesiąt złożzeń z płodnym pierwszym członem *multi-*, ale nie ma wśród nich *multiculture*, jak nie ma Jamesowskiego *multiversum*). Odpowiednik polski brzmi ociężale nawet nie tyle z powodu złożonego charakteru (polszczyzna nie jest skora do tworzenia wyrazów złożonych), ile z powodu aż pięcioletniej długości. Ale „wielokultura” może się powołać na precedensy takich słów, jak „wielogłos” (jednoczesne brzmienie kilku dźwięków), „wielobój”, „wielokąt”, „wielomian” itd. W najgorszym razie można za przykładem Kanady mówić o „wielokulturowości” choć nadużycie, zwłaszcza podwajanie przyrostka -ość, -owość stwarza takie dziwotwory leksykalne jak „niepodległościowość”.

Byłoby samozłudzeniem wyobrażać sobie wielokulturę jako Arkadię, jako koniunkturę sielankową. Przeciwnie, pociąga ona za sobą dramatyczne napięcie zwłaszcza w stadium początkowym. Świadczą o tym opory przeciw pluralizmowi zupełnie irracjonalne i — co gorsze — obłudne. „Waspom” trudno jest wyzbyć się urojenia o własnej wyłączności i wyższości, trudno jest rzec się *vested interests*, głęboko zasiedziały, kurczowo bronionych. Jest to wielki anonim działający w newralgicznych punktach *Establishmentu*, zakotwiczonej w głębi instynktów, mocno obwarowany na okopach św. Trójcy.

Ale i w tym punkcie potrzebne jest zastrzeżenie. Nawet jeśli by się udało obalić te okopy, jeśli one same wywiesiłyby białą chorągiew, nie otworzyłoby to na oścież bram rajy czy granic *Pays de cocagne*. Uprawnione, upełnomocnione kultury powołane do pełnego współuczestnictwa zaczną się zderzać z sobą, przenikać, krzyżować, wzbogacać na wzajem, każda z nich o wszystkie inne. Może to być proces podwyższający temperaturę, pobudzający krążenie krwi, przyspieszający mnożenie się komórek.

W tym kryje się fascynująca jedyność wielokultury.

DWA CELE — DWA WIDOKI

To co się tu mówi, nie jest oderwanym konceptualizmem, snuciem marzeń na jawie. Jest myśleniem wprzód, które zalecał, praktykował i organizował Hutchins, założyciel „Ośrodka Badań Instytucji Demokratycznych”. Mierzy ono w dwa konkretne cele.

Natywiści amerykańscy pokroju Madisonsa Granta przy całej odpychającej logice swego rozumowania kierowali się jedną czystą, niesporną pobudką: chcieli ocalić wewnętrzną zbornosć Trzeciej Ameryki, tę jej więź, która leżała u podwalin Drugiej Ameryki. Podobnie idea tygła hutniczego przy całym barbarzyńskim prostactwie ścigała chimere jedolitego stopu.

Wielokultura jest zdolna spełnić te odległe, a nawet sprzeczne dążenia, głosząc spójność nie rasową, spójność nie mechaniczną, ale spójność kulturalną. Nad obu już przebrzmiałymi koncepcjami o charakterze negatywnym góruje ona postawą pozytywną. Niczego nie odrzuca, niczego nie niszczy — wszystko pragnie zachować, upowszechnić, uczynić wartością wspólną. Nie tłumi, lecz dynamizuje.

Dzisiejsze Stany Zjednoczone mają większe doraźne kłopoty: bezrobocie, inflację, problem energetyczny, ograniczenie zbrojeń, obronę pozycji wielkomocarstwowej. Ale żaden kraj, żadne państwo nawet tak wielkie, tak bogate i żywotne, nie może się obejść bez wizji sięgającej poza aktualny widnokrąg, bez dynamiki grającej na długi dystans. W Ameryce Republikańskiej ideą przewodzącą i scalającą była wolność jednostki, równość jednostek ludzkich wobec prawa jednego dla wszystkich. W Ameryce Przemysłowej dopełniła ją idea niczym niehamowanego awansu materialnego. Na jutro ideał ludzi dorabiających się na swobodzie, ideał spółki wolnych dorobkiewiczów może nie wystarczyć. W następnej, chyba nieuniknionej, próbie może być potrzebne inne, mocniejsze spoiwo. I to jest historyczna szansa pluralizmu kulturalnego w dzisiejszej i jutrzejszej Ameryce. Antagonistyczne napięcie między kulturą oficjalną, roszczącą sobie prawo do wyłączności, i kulturami nieoficjalnymi zmieni on we współistnienie i twórcze współzawodnictwo ich wszystkich.

Pluralizm kulturalny stanowi szansę jeszcze w innym, choć pokrewnym sensie. Trzecia Ameryka zbudowana trudem przybyłych głównie z Europy wschodniej i południowej stała się czółową potęgą industrialną globu. Ta potęga przede wszystkim rozstrzyga o stanowisku Ameryki w świecie. Ale cywilizacja techniczna im wyższa, tym groźniejsze tai w sobie niebezpieczeństwa. Niesie częściowo nieuniknione, częściowo lekkomyślne niszczenie środowiska naturalnego: ziemi, wody i nieba. Nie-

się z sobą także zagrożenie czegoś, co przez analogię można by nazwać środowiskiem wewnętrznym, światem psychicznym. W pluralizmie kulturalnym, w wielości i różnorodności kultur tkwi niemal nieskończona potencjalna możliwość tworzenia różnolitej, dynamicznej siły duchowej. Zabójczej szarzyźnie, jałowości, brzydocie kultury masowej, zubożającej życie i odbierającej mu smak, pluralizm kulturalny jest w stanie przeciwstawić bogactwo, różnorodność i atrakcyjność. Może być naturalną profilaktyką, zabezpieczającą przed schorzeniami społecznymi jaskrawo ujawnionymi w ruchu amerykańskich *hippis'ów*, w terroryzmie zachodnio-niemieckim i japońskim, we włoskich „Czerwonych Brygadach”.

Wielokultura jest możliwością ocalenia dla przyszłości zdołbyczy Drugiej i Trzeciej Ameryki — w Czwartej Ameryce, w Ameryce Pluralistycznej.

NA DRODZE DO URZECZYWISTNIENIA

Ta perspektywa łącznie z jej numerycznymi rozróżnieniami, wprowadzonymi dla wygody i pogładowości, może się komuś wydać rojeniem, romantycznym marzycielstwem. Byłoby to niesłuszne. Punkt wyjścia niniejszych uwag jest konkretny i można je zamknąć zejściem na grunt również ściśle konkretny.

W następstwie ustawy uchwalonej w roku 1974 kilkadziesiąt (ponad czterdzieści) stanów Ameryki rozpoczęło kształcenie dwujęzyczne (*bilingual education*). Sprawuje nad nim opiekę osobny urząd *Federal Office of Bilingual Education*, dozorujący siedemset programów. W założeniu zmierzają one do tego, by dzieciom nowych imigrantów ułatwić start w nowym kraju i nowym języku. Jest to działanie jeszcze bardzo niedołążne, spotyka się z niezrozumieniem zainteresowanych (np. polscy rodzice często uważają je za uchybienie lub podstęp), potyka się na biurokratycznej tępotcie.

Z punktu widzenia przeprowadzonych tu rozważań ważniejszy w tym całym zabiegu wychowania dwu- czy wielojęzycznego jest brak równomierności. Wskazana poprzednio dysproporcja między ilością klas hiszpańskich i polskich w chicagowskich szkołach średnich ilustruje to w sposób aż nazbyt uderzający. Ten stan rzeczy nie uległ zmianie w ciągu całego dziesięciolecia mimo że upłynęło pod znakiem odrodzonej etniczności. Prowadzi on do paradoksu, że dzieci polskiego pochodzenia przyswajają sobie język hiszpański, nie uczą się własnego języka. Czyli wynarodwiają się jakby podwójnie czy potrójnie.

Ten szczególny przypadek otwiera sprawę ogólniejszą: języka wielokultury w przyjętym tutaj znaczeniu słowa. W republice

amerykańskiej nie ma warunków do przyjęcia wielojęzyczności według znanych wzorów. Zdała ona i zdaje świetnie egzamin w Republice Helweckiej z jej trzema czy nawet czterema równouprawnionymi językami, jeśli obok francuszczyzny, niemiezczyzny i włoszczyzny liczyć język retoromański (*Romansch*), już gorzej wygląda w malutkiej Belgii, gdzie istnieje niezawsze płodne napięcie między językami Walonów i Flamandczyków, a w Kanadzie grozi rozbitciem jedności państwowej przez secesję francuskiego Québecu. Dziesiątki odmian językowych nie występują na obszarze amerykańskim w stanie skupienia jak we wszystkich wymienionych przypadkach, ale w stanie większego lub mniejszego rozproszenia — może z wyjątkiem enklaw hiszpańskich w południowej Kalifornii i na Florydzie. Podwyższa ten stan rzeczy charakterystyczne dla Ameryki Przemysłowej rozproszenie ośrodków produkcyjnych, ruchliwość kadr pracowniczych, konieczność i łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Mimo to, w naszych czasach, może po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych, wystąpiło zjawisko oficjalnej dwujęzyczności nie w szkole, ale poza jej murami. W Chicago (i zapewne gdzie indziej) obok angielskich ukazały się napisy hiszpańskie w autobusach miejskich, w urzędach, a nawet pod eksponatami w *Art Institute* (*nota-bene* szczyli się on największym poza Francją zbiorem impresjonistów francuskich). Byłoby logiczne, gdyby w tej „stolicy Polonii amerykańskiej”, w „największym mieście polskim po Warszawie”, w którym mieszka legendarny milion Amerykanów polskiego pochodzenia, podniosło się żądanie napisów polskich obok hiszpańskich. Jego brak, jak i spetryfikowanie proporcji klas hiszpańskich i polskich, wymierza w sposób naoczny różnicę siły przebojowej dwu grup etnicznych. Ale należy przypuszczać, że za polskim żądaniem poszłoby żądanie następnej, kolejnej co do liczebności grupy etnicznej — rozpętałyby się reakcja łańcuchowa.

Ten przypadek, znany z doświadczenia i bezpośredniej obserwacji, pozwala sformułować pewne ogólne założenia.

Polaryzacja językowa, stanięcie do współzawodnictwa dwu języków nie leży w interesie wielokultury. Raz zaczęta taka polaryzacja groziłaby podobnym osłabieniem spoistości, jakim Kanadzie grozi separatyzm Québecu. W specyficznych warunkach amerykańskich wielokultura wymaga jednego lepszycza, jednego wspólnego kodu językowego. To jest pierwsze założenie.

A oto drugie. Z równą siłą narzuca się nakaz uprawnienia i równego traktowania wszystkich języków etnicznych. Język jest podstawowym składnikiem każdej kultury, jej instrumentem artykulacyjnym: w języku czuje się i myśli, językiem wyraża się uczucia i rozpoznania. Dlatego w wielokulturze amerykańskiej,

jeśli ma być tworem żywotnym, języki powinny mieć pełnoprawne miejsce wraz z kulturami, które artykułują i wyrażają.

W tym ujęciu kształcenie wielojęzyczne nabiera właściwego i pełnego sensu. Każdy poszczególny język etniczny powinien być nie tylko kładką ułatwiającą przejście do języka angielskiego, ale włączony do *curriculum* szkoły podstawowej i potem szkoły średniej powinien, wspólnie z językiem angielskim, kształtować człowieka wielokulturowego, przenikniętego poczuciem własnej wartości i otwartego na wartości innych, tolerancyjnego i chłonnego, bogatego i wzbogacającego swoje otoczenie.

ZAMKNIĘCIE

Kilka razy powoływany *unmeltable ethnic*, Michael Novak cierpko stwierdza w dwu miejscach swojej książki: „Ameryka nigdy prosto i uczciwie (*squarely*) nie zmierzyła się ze sprawą zachowania swojej różnorodności”. „Jeszcze nikt nie wynalazł wizerunku, a coś dopiero systemu politycznego, w którym mieściłoby się życie na modłę rzeczywiście pluralistyczną (*living in a genuinely pluralistic way*)”. Te słowa brzmią jak wezwania do ostrożności, ale także stanowią bodziec do odważnego myślenia wprzód.

Doświadczenie przeszłości, nawet streszczone w sposób tak pobieżny jak to zrobiono tutaj, ukazuje pluralizm jako fakt nieunikniony i niedowracalny, jako konieczność historyczną i szanse historyczną. Stwarza to sytuację bez precedensu, zarówno pod względem swego wymiaru i możliwości, jak pod względem komplikacji i trudności.

To co tutaj powiedziano jest jednocześnie czymś realnym i czymś idealnym. Stanowi dedukcję wzorca, optymalnego spełnienia, z ułamkowych danych rzeczywistości, stanowi wskazanie sił już będących w ruchu i jeszcze tylko potencjalnych możliwości. Zmierza do zastąpienia procesu dziko, chaotycznie narastającego przez proces pobudzały jasnym rozeznaniem.

Wielokultura jawi się jako wyzwanie, jedno z największych wśród tych, przed którymi Ameryka stawała w ciągu swego oszołomiająco krótkiego i oszołomiająco udanego istnienia. Widziana w pełnej perspektywie, rzeczowo i krytycznie, przedstawia się ona jako jedyny w swoim rodzaju eksperyment przeprowadzony na naszej planecie przez człowieka nowoczesnego. Wielokultura jest eksperymentem w eksperymencie o nieobliczalnych skutkach dla samej Ameryki, dla wolnego świata i dla ludzkości.

Chicago, w czerwcu 1978

Tymon TERLECKI

Wiersze

Anka KOWALSKA

ILUMINACJA

*w tym kraju —
w którym mówisz mi swoje pragnienie
przez telefon
a ja z pragnienia milczę ze słuchawką na policzku moim
ale słuchają razem ze mną inni
unoszą brew i chichoczą —*

*w tym kraju —
w którym idziemy miastem jakąkolwiek z ulic
a w źrenicach naszych odbijają się razem
nasze oczekiwanie i wóz patrolowy
i gdy mi dajesz kwiaty
za szybą kwiaciarni
pan udający pana szepcze nerwowo do teczki —*

*w tym kraju —
w którym krzyczysz krzyczymy
ślepo zanurzeni w sobie
moje piersi w twych twardych zębach
jęk mój gruchanie moje na twoim ramieniu
ale pod płatkami tynku albo w wywietrzniku
zapamiętany w taśmie nawet szelest moich włosów —*

*w tym kraju
budzimy się rano z pięknym drzewem naprzeciw okna
co za dzień jeszcze jeden jaki dar ten ranek łagodny
listonosz zamiast wezwania przyniósł list od siostry
przyjaciele na ogół w domach nie w aresztach
jesień pachnie i popatrz
jacy jesteśmy szczęśliwi*

listopad 78

Anka KOWALSKA

Archiwum polityczne

Między Szanghajem a Charbinem

Za nami Szanghaj, a przed nami Nankin, Pekin i Mandżuria. Pociągi chińskie jeżdżą tak punktualnie, że spóźnienie to tak prawie jak główna wygrana w europejskim totku-lotku. Kiedy w Charbinie syberyjski ekspres, jadący przez terytorium chińskie do głównej bazy sowieckiej na Pacyfiku, Władywostoku, spóźnia się z reguły o 3-4 godziny chińscy kolejarze kiwają głowami z politowaniem lub ryczą ze śmiechu, mówiąc „tam w Rosji nie ma najwidoczniej porządku”. W miękkim *coupé* naszego pociągu towarzystwo mieszane, duża grupa Japończyków, zapewne managerów gospodarczych, kilku Amerykanów, Niemców, Skandynawów, trochę Chińczyków, jak się z rozmowy okazuje z Filipin i Hong-kongu i sporo tubylców, przeważnie wyższych urzędników i oficerów. Tych ostatnich trudno odróżnić od ogółu wojskowych, bo w chińskiej armii nie ma odznak szarż. Generałów poznaje się po siwych włosach lub łysinie, nienagannie skrojonych mundurach z najlepszych materiałów i po dobrych butach i teczkach. Nie ma salutowania, ale często widać jak prości żołnierze lub podoficerowie — a tych można poznać po niezgrabnych uniformach i po butach gumowych lub parcianych — noszą walizki generalicji do pociągu lub podają usłudze ogień palącym.

Pociągi dalekobieżne są chińskiej produkcji, tylko na prowincji chodzą jeszcze stare wagony z czasów okupacji japońskiej. W przedziale dwuosobowe fotele wyściełane niebieskim brokatem. Dawniej wszystko było pokryte szarym lnianym pokrowcem, teraz pokrowce zdjęto zarówno w pociągach i samolotach jak i z mebli w hotelach. Na stolikach przy oknie wazoniki z roślinami z południa lub finezyjnymi karłowatymi ozdobnymi drzewkami, dwie kunsztowne porcelanowe filiżanki, paczka zielonej herbaty, i nieodzowny pięciolitrowy termos z wrzątkiem. Gorącą wodę będą zmieniać w czasie trwania podróży, co godzinę. Czystość nieprawdopodobna, a mimo to co jakiś czas przychodzi obsługa z miotełkami z piór i ściereczkami. Wtedy należy podnosić nogi, bo rytuał

każe, że należy czyścić co jakiś czas podłogę, wycierać szyby, stolik i stojącą obok wazonika trójkolorową lampkę z jedwabnym abażurem.

Jedziemy do Nankinu bardzo szybko przez jedną z najżyźniejszych okolic Chin. Tutaj nie sięgnęła jeszcze tegoroczna susza i zbiory ryżu, przy potrójnych zniwach rocznych, były obfite. Każdy skrawek ziemi wykorzystany do maksimum. Po kanałach płyną długie konwoje berlinek, ciągniętych przez holowniki, ale tu i ówdzie jeszcze stare dżonki i wielkie łodzie ciągnięte linami przez ludzi wzdłuż brzegów kanałów. Wszędzie misterne przęsła murowanych mostków, stawy z kwieciami lotosu i mnóstwem kaczek, bawoły pływające się w wodzie z małymi chłopcami na grzbietach, chłopcy na polach w słomianych kapeluszach, kobiety noszące ciężary na pałakach, podobnych do ukraińskich koromysek. Wsie jedna koło drugiej, niektóre już murowane, a inne wciąż jeszcze pod ryżową strzechą.

Krótki przystanek i zwiedzanie Nankinu. Jedna z dawnych stolic Chin, kiedyś siedziba rządu Czang Kai-szeka, również rządu pro-japońskiego, zmieniła się w ciągu ostatnich trzech lat: eleganckie wystawy sklepowe z potwornie drogimi zegarkami szwajcarskimi, modnym obuwem damskim i wieczorowymi jedwabnymi sukniemi. Błękitne mauzoleum ojca demokracji chińskiej Sun Jang-tsena jest Mekką, tak jak wystawy dotyczące życia i działalności Czu En-lai'a. Skok na wysoką górę ze starożytnym obserwatorium astronomicznym i pokazem chińskich satelitów. Tuż obok na dole żółte klasztory buddyjskie z mnichami, którzy po długoletniej poniewierze łagodnie uśmiechają się do turystów, milcząc o tym co było tak niedawno. Wieczorem koncert ku czci Rumunii i dzieci chińskie tańczące i śpiewające Hory i Dojny.

Wyruszamy do Pekinu przez most na Jan Tse-kiang — dumę techniki chińskiej. Wielka rzeka ma w tym roku mało wody, potworna susza obniżyła poziom. Jan Tse-kiang robi wrażenie małej rzeczki. Następnego dnia rano jeszcze jeden przystanek, Chińczycy z drugiej klasy wylatują na peron i odbywa się przy wodotryskach czyszczenie zębów. Krótco potem fabryczne przedmieścia Pekinu, sina mgiełka nad miastem i różowe lub zielone dachy pałaców. Atmosfera stolicy Państwa Środka odmienna niż przy ostatnim pobycie jeszcze za życia premiera Czu En-lai'a. Dziesięć dni to za mało na rozmowy, wykłady na uniwersytecie pekińskim i na zwiedzanie zabytków w stolicy i okolicach. Obowiązkowa wizyta w mauzoleum z mumią Przewodniczącego. Wszystko odbywa się szybko, nie można się dłużej zatrzymać przy szklanej trumnie. Za to kilka kroków dalej Muzeum Rewolucji przy bramie Niebieskiego Spokoju, tuż naprzeciw pałacu Wielkiej Harmonii, wystawa o szlaku życiowym i działalności Wielkiego Kanclerza Chin Czu En-lai'a. Tu naród wali z prawdziwej — zdaje się — sympatii wielkim tłumem i bez przerwy. To on jest symbolem i wiecznym politycznym przemian czyli czterech modernizacji Chin. Później spotkamy się jeszcze w wielu mias-

tach z niemalże religijnym kultem tego męża stanu. W Charbinie, w czasie koncertu, zstąpi z sztucznej góry aktor ucharacteryzowany na Czu En-lai'a i w otoczeniu baletnic, rzucających mu pod nogi kwiaty lotosu, zwróci się do publiczności: „Zawsze pragnęłam modernizacji, tylko Banda Czterech mi w tym przeszkodziła. Bracia i siostry modernizujcie i budujcie nowe Chiny”. Na sali najpierw grobowa cisza a potem huragan oklasków. Na wystawie w Pekinie pokazują Czu En-lai'a w wielu salach przede wszystkim jako człowieka i polityka, który od młodości pragnął przyspieszenia rozwoju Chin przez związki z Japonią i Europą Zachodnią, stąd też fotografie i postery z pobytu Czu En-lai'a w Japonii, Anglii, Francji i w Niemczech.

Następnego dnia wykłady. Na Uniwersytecie w Pekinie, profesorem historii jest uczeń prof. Gieysztor, absolwent U.W., który w tym semestrze wykłada o stosunkach polsko-ukraińskich w okresie wojen kozackich. Na uniwersytecie ład i porządek, dyscyplina o której w Europie i Ameryce nawet śnić nie można. Przyjęcie na studia zależy od ilości zdobytych punktów, których jest aż czterysta. Trzy dni maglują kandydatów komisje, tak jak to było kiedyś przy egzaminach konfucjańskich dla zdobycia dyplomu urzędnika cesarskiego. 6 milionów młodych Chińczyków chciało studiować w bieżącym roku akademickim, podczas gdy wszystkie uniwersytety chińskie rozporządzały 300 tys. miejsc, czyli 5.700.000 chłopców i dziewcząt odeszło z kwitkiem. Nie ma kadr profesorskich czy asystenckich, nie ma instytutów badawczych, nie ma domów akademickich, stąd plan masowego wysłania studentów za granicę, w pierwszym rzędzie do Japonii, do Zachodniej Europy, Kanady, Ameryki, a nawet do Australii i Nowej Zelandii. Z krajów komunistycznych wchodzi w grę tylko Rumunia i Jugosławia. Urzędnicy w ministerstwie Kultury i Oświaty, zapytywani czy się nie boją następstw tej koncepcji, traktują sprawę realistycznie: „niechaj się wpierw nauczą specjalności, a potem będziemy się martwić. Potrzebujemy na gwałt nowej kadry fachowców. Tylko dogmatycy wśród nas boją się zachodniej infiltracji, światli ludzie myślą inaczej. Niektórzy mówią — a co będzie jak ci nasi studenci zostaną na Zachodzie? My się tego nie boimy — w masowym powrocie pomoże nam wasze bezrobocie”.

Problem młodzieży jest dużym problemem, to nie tylko brak miejsc na uniwersytetach i w szkołach fachowych. Jest jeszcze ogromna kwestia co zrobić z milionami tych młodych ludzi, których rewolucja kulturalna rzuciła na wieś do komun. 40 milionów młodych Chińczyków deportowano w okresie 12 lat rewolucji kulturalnej. Część z nich zostanie na wsi, ale 15 lub 16 milionów już wróciło samorzutnie do miast i wałęsa się bez pracy, kart żywnościowych, pieniędzy. Jest to chiński lumpenproletariat zasilający grupy bandziorów, chuliganów i złodziei. Spośród tych młodych ludzi rekrutuje się — z jej myślącej części — najbardziej zbulwersowana grupa ludzi, żądających rozliczenia się za ich zmarnowane lata życia. To oni piszą gazetki ściennie na mu-

rach Pekinu żądając zadośćuczynienia. To oni są też najbardziej gwałtownymi rzecznikami obarczenia odpowiedzialnością za wyrządzone im i Chinom zło przez spoczywającego w Mauzoleum Mao Tse-tunga. Kiedy w jakiejś dyskusji na jednym z uniwersytetów rektor rozwódzi się nad zbrodniami bandy Czterech, młodzi ludzie za jego plecami pokazują pięć palców — to była piątka a nie czwórka, tym piątym był Mao.

Ale na górach partyjnych — w tej części pałacu cesarskiego, gdzie na polecenie Teng Hsiao-pinga, głównego motoru modernizacji i duchowego następcy Czu En-lai'a wznoszą się olbrzymie dźwigi zatrudnione przy budowie nowoczesnych biur partii i rządu w myśl sentencji „koniec z zatęchłą atmosferą pseudo-cesarstwa” — myślą inaczej. Pragną uniknąć błędów destalinizacji w wydaniu Chruszczowa i konwulsji październikowych 1956 roku w Polsce i na Węgrzech. Wyłuszczyli to nowy przewodniczący Hua i wicepremier Teng w programie czystki, rehabilitacji ofiar i koncepcji utrzymania „wielkiego porządku”. Teng jest ofiarą dwukrotnego upadku i publicznego wyszydzania, kiedy go obwożono w osłej czapce jako błązna i chińskiego rewizjonistę. Pohamował on jednak swe pierwotne plany rewanżu i zrezygnował — jak mi się wydaje — z planów zdobycia niepodzielnej władzy. Powiedział japońskiemu politykowi, że jest za stary na to, aby przejąć kierownictwo chińskie i że rozsądek polityczny i racja stanu wymagają, by na czołowym stanowisku pozostał o wiele od niego młodszy Hua. Teng uważa też, że nie można wyrzucić Mao na śmietnik historii, bo powstałaby na skutek tego ogromna luka w historii Chin. Chiny muszą mieć ciągłość historyczną pod każdym względem i niczego nie można w czterech tysiącach lat Państwa Środka poświęcić na ołtarzu zmiennych losów. Chińscy komuniści muszą mieć swego Lenina, ale należy odejść od kultu nieomyślności przewodniczącego Mao. Jak każdy człowiek popełniał błędy obok rzeczy wielkich, ale w ogólnym bilansie najnowszych dziejów Chin Mao musi pozostać osobą zasłużoną i wybitnym mężem stanu.

Ale mimo to proces demaoizacji nie jest sprawą łatwą. Tak jak w Związku Sowieckim i krajach satelickich nie wszystko dało się odgórnie kierować, tak samo i w Chinach proces odbrązowienia rewolucji kulturalnej ma także stronę emocjonalną, wyłamującą się spod kontroli kierownictwa. Jak sobie Pekin z tym poradzi, trudno dziś przewidzieć, lecz nie tylko to hamuje przejście do nowego etapu. Z pism i przemówień Mao Tse-tunga, z okresu jego twórczej działalności, zanim stał się upupioną figurą na szachownicy osobistych i programowych ambicji ultralewackich sił, wyłuskuje się to co jest przydatne dla współczesnego chińskiego reformizmu.

Abstrahując od tej podstawowej sprawy przełomu w polityce Chin, pozostają do załatwienia jeszcze inne niemniej istotne problemy. Jeden z nich to kwestia odpowiedzialności za prześladowania ludzi niezgadających się z rewolucją kulturalną, czyli kwestia Czystki — tłumacząc z chińskiego sprawa ta nazywa się

„wybielaniem ludzi, żeby byli czysti jak śnieg”. To wybielanie niedawnej przeszłości nie jest zadaniem prostym — utworzone w ubiegłym roku komisje weryfikacyjne nie zdały egzaminu. Okazało się, że przy tej okazji załatwia się zbyt wiele osobistych porachunków. Często ofiarami czystek stawali się ludzie Bogu ducha winni. Dlatego nie dawno zmieniono system przesłuchiwania i śledzenia przestępstw politycznych. Wprowadzono do komisji czynnik arbitrażowy, bezpartyjny i podobno obecnie nie ma już tak wielu nadużyć. Z drugiej strony pragmatyczna linia kierownictwa doszła do głosu i postanowiła ograniczyć rozmiary czystek a to ze względu na stabilizację władzy. Po prostu chodzi o to, by nie tworzyć zbyt wielkiego potencjału ludzi poszkodowanych, niezadowolonych i wyciśniętych z układów społecznych. Coraz bardziej szerzy się system przesuwania ludzi przegranych i skompromitowanych do innych rejonów Chin. Tam ludzie ci są nieznanymi i w pojęciu regionalnych układów nie stracili twarzy, co jest bardzo ważną sprawą w karierze osobistej Chińczyków. Oczywiście nie otrzymują wpływowości i kierowniczych stanowisk, ale pozostają w systemie władzy. Jest to nowa odmiana rotacji kadr z tym, że nie wiadomo czy i jak ci nowi przybysze mogą się urządzić w nowych miejscach.

Drugą pochodną wewnętrznym problemom Chin jest kwestia rehabilitacji. Nazywa się to oficjalnie przywracaniem sprawiedliwości. W praktyce jest to również sprawa ogromnych wymiarów. Okazuje się bowiem, że pierwotny zamysł kierownictwa po śmierci Mao, załatwienia tych bolączek drogą czysto honorowej rehabilitacji, nie dał oczekiwanych rezultatów. Ofiary poprzednich czystek rewolucji kulturalnej nie dały się zaspokoić tego rodzaju zadośćuczynieniem. Ludzie wyrzuceni z poprzednich stanowisk, deportowani do komun wiejskich, gdzie musieli karmić świnię czy nosić gnój na pola, mimo że byli dawniej profesorami fizyki czy literatury, malarzami, rzeźbiarzami czy mnichami nie zadowolili się czysto deklaracyjnym odzyskaniem honoru. Pewnego dnia tu i tam ludzie ci powiedzieli „honor to rzecz piękna, ale pieniądze to rzecz też ważna”, a więc chodzi o wypłatę tylu miesięcznych poborów za tyle i tyle lat w poprzednio sprawowanych zawodach. Druga sprawa to oddanie z powrotem mieszkań, mebli itd. Nie wszędzie funkcjonuje to dobrze, w większości wypadków miejscowe władze próbują kompromisowych rozwiązań.

Jeszcze jedno — może najważniejsze. W ciągu dwunastu lat od rewolucji kulturalnej oduczono się w Chinach pracować. Gadano i gadano, tak zwana czwórka, czy też — jak kto woli — piątka prawiła, że nie fachowość jest najważniejsza, ale świadomość rewolucyjna, nie produkcja, ale polityka. A więc urządzano wiece i dyskusje, gromiono własnych i obcych rewizjonistów, a w międzyczasie było coraz mniej mięsa, ryżu, węgla, stali i mieszkań. Powszechna *urawniłowka* sprawiła, że inżynier, urzędnik i robotnik zarabiali mniej więcej to samo, dystrybucja żywności, odzieży i rowerów była mniej więcej dla wszystkich taka

sama, a w połowie lat 70-tych coraz mniejsza. Przestoje w zakładach pracy coraz dłuższe, wobec tego urządzano nowe wiece. Pito herbatę i grano w szachy. A teraz trzeba ludzi przyuczyć do pracy, zreformować system płac i cen, zachęcić do wysiłku. Skąd wziąć na to kadry urzędnicze, gospodarcze i techniczne? Jest to problem kluczowy od którego rozwiązania zależy przyszłość Chin.

Bohdan OSADCZUK

Afryka bez złudzeń

Włączając się w dyskusję na temat Afryki toczącą się na łamach *Kultury* zdaję sobie sprawę z trudności z jakimi będę musiał się uporać. Są one dwojakiego rodzaju. Pierwsza wynika z ogromu tematu. Chodzi przecie o olbrzymich rozmiarów kontynent, zamieszkały przez 435 milionów ludzi, rozbity na kilkadziesiąt państw o bardzo nierównym poziomie rozwoju tak kulturalnego, jak i materialnego. Każda próba wynalezienia określenia mającego pretensje do przystawania do całości Afryki musi nieuchronnie skończyć się na użyciu ogólnika, co pociąga za sobą niebezpieczeństwo wpadnięcia w pułapkę banału, do którego zbyt daleko posunięty proces uogólniania musi niechybnie prowadzić.

Drugą trudnością jest przełamanie oporu czytelnika europejskiego uważającego, że wyznawane przez niego wartości mają uniwersalny obieg. Naruszenie tego przeświadczenia może wzbudzić w nim podejrzenie, że autor jest stronniczy. A przecież nigdy w historii nie zdarzyło się, by te same wartości uznawane były na całym obszarze globu. Wojny krzyżowe, inne, jakże liczne, konflikty religijne i chociażby ostatnia wojna polegały na starciu dwóch koncepcji o świecie i wynikających z nich skal wartości nawzajem się wykluczających. Emocjonalna reakcja w konfrontacji z faktem istnienia takiej nieprzystawalności obowiązujących w Europie i Afryce wartości jest równie nieracjonalna jak ignorowanie go. Obie postawy, tak częste w naszym piśmiennictwie, prowadzą do zaciemnienia, gorzej, do wypaczenia ocen.

Nie będąc ekspertem, czyli nie posiadając tytułu naukowego uprawniającego mnie do zabierania głosu w sprawach Afryki, legitymować się mogę jedynie tym, że znam ją dość dobrze z licznych podróży i z lektury przedmiotu, do której skłaniało mnie zainteresowanie, jakie ten fascynujący kontynent we mnie wzbudzał. Może to zbyt mało. Myślę że nawet na pewno. Bo żeby stać się ekspertem Afryki trzeba posiadać nie tylko wiedzę fachową, ale i mieć wolę i zdolność wczucia się i wżycia w ducha kontynentu. Nie jest to proste, ani łatwe zadanie. Niech za przykład

tych trudności posłuży wypowiedź Roberta Delavignette, jednego z najwnikliwszych znawców Afryki: „Władca murzyński” — mówi ten autor w jednej ze swoich licznych prac — „wyposażony jest we władzę reprezentowania nie tylko żyjących, ale i umarłych swojej społeczności. Reprezentuje on ciągłość dynastyczną od zarania dziejów, gdy przodkowie-założyciele nawiązali przymierze ze zwierzętami-opiekunческими i z miejscowymi mocami naturalnymi. Rolą jego jest przymierze to pielęgnować i utrzymywać łączność swego ludu z kosmosem. Jest on 'słowem swego ludu, słowem-siłą, z którym należy się liczyć i o którym nie wypada mówić inaczej, jak szeptem, z obawy spustoszenia, jakie mogłoby uczynić, gdyby prawdziwy jego wydzźwięk w pełni się ujawnił...”

Z wypowiedzi tej wynika dość jasno, że Czarny widzi siebie samego jako część-ogniwo w nieprzerwanym łańcuchu życia. Przerwanie go — wymagane na przykład przez chrześcijański nakaz sacerdotalnego celibatu — uważa jako sprzeniewierzenie się podstawowej koncepcji o sensie istnienia.

Tak więc Afryka — to nie swojszczyzna. Jej duch, wywodzący się z innej niż nasza kultury, jest trudny do odczytania. Wielu próbowało, wielu nie powiodło się. — *J'aurai volontiers donné la moitié de ma vie pour être cinq minutes dans leur peau* — mówił mi Arcybiskup Lumumbashy (Elisabethville) krótko przed śmiercią. Oto smutne wyznanie porażki pasterza czarnej trzody. Poniesie ją każdy, komu nie było dane zetknąć się z Czarnym inaczej, jak w roli rozkazodawcy, czy nauczyciela, a nie podwładnego, czy choćby równorzędnego rozmówcy. Bo w takim wypadku trudno mu będzie zdobyć się na tę krztę wielkoduszności, która jest niezbędna po to, by pozbywszy się ateńskiego kompleksu próbować obiektywnie ocenić najnowszą historię Afryki.

Istnieje szereg prefabrykowanych modeli interpretacyjnych Afryki, spośród których każdy, stosownie do swojej politycznej inklinacji, może wybierać.

Zaczynam od bardzo rozpowszechnionego, wedle którego Czarny Kontynent jest mozaiką szczepów mówiących narzeczami nawet do siebie niepodobnymi. Ledwo wychynawszy z barbarzyństwa, nieposiadająca ani pisma (a więc i historii)¹, ani innej religii jak animistyczne, Afryka odrzuciła ideały demokratyczne, zaszczepione jej bez powodzenia przez Zachód, powracając instynktownie do tyranii w gatunku „cesarza” Bokassy, czy błazeńskiego Idi Amina. Historia kontynentu ostatnich dwóch dekad od jego politycznej emancypacji jest dowodem zacofania, ciemnoty i niedojrzałości do niepodległego bytu.

1. Historia Czarnej Afryki wlicza około 15 państw, które na przestrzeni ostatniego tysiąclecia powstawały i ginęły na kontynencie. Organizacja niektórych z nich, jak np. Ghana (IX-XIII wiek), Mali (XII-XVI wiek), Benin (XV-XVI wiek) nie była prymitywniejsza — w niektórych wypadkach nawet bardziej zaawansowana — od wczesnodynastycznego państwa Piastów.

Mimo, że powyższy obraz Afryki jest niezgodny z jakąkolwiek naukową historią kontynentu (chyba, że wydaną pod egidą Ku-Klux-Klanu) pokutuje on w piśmiennictwie — nie tylko polskim — gdyż jest przedłużeniem paternalistycznych postaw, powszechnych wśród protestanckich misjonarzy ubiegłego stulecia — w odróżnieniu od znacznie od nich lepiej wykształconych ich katolickich kolegów.

Skrajnie od niego odmienny jest pogląd, przypisujący wszystkie ujemne zjawiska zachodzące na kontynencie wyyskowi kolonialnemu, czy neo-kolonialnemu. Pogląd ten — pospolity wśród lewicowych radykałów, a także wśród murzyńskich nacjonalistów — grzeszy sprowadzeniem niezmiernie złożonych zjawisk do wspólnego, monistycznego mianownika. Tymczasem różnorodność krajów afrykańskich jest tak znaczna, że bardzo trudno wcisnąć je w jeden myślowy gorset. Albowiem, jeśli prawdą jest, że w niektórych krajach — jak na przykład w Afryce Południowej — Biali przybysze najdokładniej zbulwersowali istniejące etniczne struktury, to w wielu innych nowe idee i techniki wprowadzone przez kolonializm pobudziły rozwój miejscowych społeczeństw stanowiąc dla nich wyzwanie, na które odpowiedziały wykorzystując stworzone przez kolonialistę nowe możliwości działania.

Między tymi skrajnymi spojrzeniami istnieje pośrednie, bardziej tolerancyjne i wielkoduszne. Polega ono na relatywizacji zjawisk zachodzących na tym kontynencie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, czyli na porównaniu stanu obecnego z niedawną przeszłością. Takie porównanie wyodrębnia natychmiast frapujący fakt istnienia obecnie w Afryce elit intelektualnych, złożonych z polityków, artystów, pisarzy i naukowców, elit na tyle rozrośniętych, że biorą one udział w syntetyzowaniu idei zaczerpniętych z Zachodu, aby po przetworzeniu ich w tyglu *de la negritude* dorzucić je do skarbnicy naszej wiedzy o człowieku. Ilościowo elity te wahają się z kraju do kraju, ale nie ma już dziś ani jednego kraju afrykańskiego na tyle nędznego i lilipuciego, który by nie brał udziału w tworzeniu kultury kontynentu.

Zdaje sobie sprawę z kruchości mego argumentu. Jakże nieprzekonywująco brzmi on w porównaniu z piorunowymi wypowiedziami b. Reprezentanta Stanów Zjednoczonych w UNO, Moynihana i jego licznych popleczników rozdzierających szaty nad obniżeniem poziomu debat w takich, do niedawna uczesanych organizacjach, jak UNO, UNESCO i tylu innych².

Oczywiście, w tym co ci panowie mówią jest wiele racji. Świat ciągle czeka na czarnego Szekspira i Dantego, na Galileja i Newtona, nim da się przekonać o zdolności Czarnego Kontynentu stania się współtwórcą globalnej cywilizacji. I nie wystarczy mu fakt, że od *Demoiselles d'Avignon* Picassa i od *Gershwin* (a może i wcześniej) postawił on już w jakimś stopniu pierwsze kroki

2. Argument ten żywo przypomina tezę Jasieńczyka o obniżeniu poziomu dyskusji sejmowych po akcie Unii Lubelskiej.

w tym kierunku, a co najważniejsze zdecydowany jest stawiać następne.

Dowodem tej determinacji jest ogromny wysiłek Czarnej Afryki dla podniesienia oświaty. Mierzony kwotami budżetowymi porównuje się już on z krajami europejskimi (ca. 11%). Ilość studentów wyższych uczelni w Ghanie, na Wybrzeżu Kości Słoniowej osiągnęła poziom równy Anglii, Francji, czy Polski (1 student na 700-1000 ludności). W tej chwili w Czarnej Afryce działa 247 Zakładów Wyższego wykształcenia do których uczęszcza armia ponad stu tysięcy studentów³.

Jeśli wziąć pod uwagę, że olbrzymia większość tych uczelni powstała w ostatnim ćwierćwieczu, to trudno zaprzeczyć że Afryka w niedalekiej przyszłości będzie inna od tej, w którą „konwencjonalna mądrość” każe nam jeszcze wierzyć.

Naszukowawszy rozpiętość interpretacji — z których, mam nadzieję czytelnik wybierze pośrednią — przechodzę do problemu zagrożenia Afryki przez imperializm sowiecki. Problem ten jest, być może, jeszcze trudniejszy od poprzedniego, bo zaciemniają go nie tylko uprzedzenia, ale i pasje polityczne. W mojej argumentacji posłużę się raz jeszcze metodą wytyczenia istniejących granic interpretacyjnych, a to przez naszkicowanie dwóch skrajnych wersji: pesymistycznej i optymistycznej.

Wedle wersji pesymistycznej wykonanie globalnego planu Sowietów opanowania Afryki, celem oskrzydlenia Europy, jest już daleko zaawansowane. Plan ten rozpada się na dwa, wyraźnie zarysowane pod-plany:

Pierwszy polega na stworzeniu pasa państw marksistowskich od oceanu Indyjskiego do Atlantyckiego, mającego od Wschodu do Zachodu odciąć podbrzusze Afryki od reszty kontynentu, a to celem zadania *coup-de-grâce* Republice Południowej Afryki. W pas ten wchodzi: Mozambik, Zimbabwe (Rodezja), Zambia, Angola i Namibia.

Drugi — ma za zadanie zapewnić Rosji nie tylko kontrolę szlaków morskich wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki, z kanałem sueskim włącznie, ale ma służyć zaszachowaniu Arabii Saudyjskiej poprzez opanowanie Afryki w rejonie „Rogu”. Cyniczne *renversement d'alliances*, którego ofiarą padła Somalia na korzyść Etiopii tłumaczy się większym znaczeniem jakie Sowiety przywiązują do wynurzającej się z rewolucyjnego chaosu Etiopii w porównaniu do ubogiej i pustynnej Somalii.

W reszcie pod-saharyjskiej Afryki sukcesy sowieckie również nie są do pogardzenia. Udało im się stworzyć szereg marksistowskich reżymów w Gwinei (Bissau) i Beninie; w innych krajach, takich jak Mali i Nigeria wpływ ich jest bardzo znaczny, podobnie jak w Kongo (Brazzaville) i w sąsiednim Zairze, gdzie finansują anty-Mobutu faksje. W północnej mahometańskiej Afryce Algieria i Libia są sowieckimi satelitami, zwłaszcza ten

3. *Enc. Britannica*. Dane za lata 1971/72.

ostatni kraj, w którym wzrost ich wpływów mógłby doprowadzić do opanowania portów, a tym samym, do kontroli całego basenu śródziemnomorskiego przez Rosję.

Obraz ten nie byłby pełen, gdyby pominąć obecność ekip misjonarzy rewolucji — Kubańczyków — działających w Etiopii, Kamerunie, Gabonie, Angoli i Mozambiku.

Tak, mniej więcej, wygląda wersja pesymistyczna. Przeciwna jej, interpretacja optymistyczna uważa ją za grubo przerysowaną. Wskazuje ona na szereg dotkliwych niepowodzeń sowieckich, a więc przede wszystkim na zaprzepaszczanie własnych krociowych inwestycji i na związaną z tym utratę prestiżu w Egipcie, dalej na powtórkę tego upokorzenia (choć w mniejszej skali) doznanej w Sudanie i Somalii i w końcu, na nieudane wysiłki zjednania sobie wpływów w Zairze, Mali i Ghanie. Chwilowe powodzenia — na które wskazują pesymiści — oparte są na bardzo chwiejnych podstawach, czego przykładem jest, że nawet ci najwierniejsi z wiernych, prezydenci Mozambiku i Angoli, co wszystko Sowietom zawdzięczają, otwarcie już dziś flirtują z obozem przeciwnika.

Za którą z tych wersji mamy się opowiedzieć? Jest rzeczą jasną, że nie posiadając w arsenale myślowym argumentów rzeczowych na poparcie lub zabicie tej lub innej tezy, musimy w wyborze powodować się inklinacją: pesymiści wybiorą wersję pesymistyczną, optymiści (a takich nigdy nie brak), optymistyczną. Dla uniknięcia więc wyboru czysto emocjonalnego postaramy się wyodrębnić i wyważyć te siły działające na kontynencie, które ekspansji sowieckiej sprzyjają, lub opierają się jej.

Zacznijmy od czynników sprzyjających komunizmowi. Należy wśród nich wymienić:

Po pierwsze fakt, że ideologia komunistyczna w oczach Czarnego jest wyzwolenicza. Rozumie ją on jako występującą przeciwko wszelkiej formie wyzysku, czy to kolonialnego, neo-kolonialnego, czy rasistowskiego. Proponuje mu ona model gospodarczy lepiej dostosowany do warunków afrykańskich, zwłaszcza w jego chińskiej wersji (Tanzania, Mozambik), gdyż nie będąc podporządkowany wymogom rentowności włożonego kapitału, koncentruje się na stopniowej poprawie bytu mas murzyńskich chwyconych w błędne koło nędzy i ciemnoty⁴.

Po drugie, że z punktu widzenia państw komunistycznych — to jest Rosji i Chin — kontynent Afrykański jest terenem, gdzie małe inwestycje odrzucają wielkie zyski. Za cenę wysiłki przestarzałej broni i kształcenia niedużej ilości kadr można uzyskać poważne wpływy, szachując Zachód w dowolnej ilości zapalnych punktów, których przy istniejących tarcjach szczepowych i toczącej się na południu walki o dekolonizację, nie powinno zabraknąć.

4. Tak na przykład dokument „Lusaka Manifesto” podpisany przez 14 państw Afryki (później ratyfikowany przez OAU, i w końcu przez UNO) motywuje wrogie stanowisko do kolonializmu i rasowej dyskryminacji troską o równość i godność człowieka.

Po trzecie, że istnienie i stałe narastanie konfliktu na osi Północ-Południe, czyli — używając słownictwa proroka liberalizacji Czarnego kontynentu F. Fannon'a — konfliktu między proletariackimi narodami trzeciego świata, a plutokratycznym Zachodem, sprzyja komunizmowi, w jego todze sprzymierzeńca pokrzywdzonych. Kolejne konferencje UNCTAD'u, zwoływane przez Zachód w celu złagodzenia jego monopolu dyktowania cen Afryce za dostarczane przez nią surowce, kończą się jak dotąd fiaskiem, podkreślając tym nieumiejętność Zachodu rozwiązania tego palącego problemu⁵.

Z kolei, wśród czynników opierających się ekspansji komunizmu w Afryce należy przede wszystkim wyliczyć Islam. Jest to religia ogarniająca i regulująca całe życie człowieka. Oznacza całkowite oddanie się jednostki woli boskiej. W kontraście do chrześcijaństwa Islam nie przeżył epoki Odrodzenia, rozumianego jako zapoczątkowanie procesu oddzielenia świeckości od świętości. W konsekwencji w Islamie nie istnieje inna koncepcja źródła władzy, jak pochodzącej od Boga, toteż pojęcie demokracji, czy też — w znacznie jeszcze większym stopniu — dyktatury proletariatu jest sprzeczne z duchem Islamu. Można stwierdzić bez obawy wpadnięcia w przesadę, że religia Mahometa jest w znacznie większym stopniu niestyczna z marksizmem, niż chrześcijaństwo⁶.

Dlatego mówiąc o Afryce nie można pominąć wpływu Islamu, który solidną masą wyznawców opanował całą północną część kontynentu, przekroczył Saharę i przyległą do niej od południa sawannę i wdarł się w rejon dżungli, stanowiąc we wszystkich krajach tropikalnej Afryki na północ od równika bardzo ruchliwe i wpływowe mniejszości⁷.

W tym świetle, chwilowe przymierza państw muzułmańskich z komunizmem należy traktować jako dyktowane politycznym oportunizmem, nie przeszkadzającym bynajmniej mahometańskim rządcom tępić go u siebie, tak jak to bywało za Nassera, w epoce miodowych miesięcy jego przymierza z ZSSR.

Drugim czynnikiem hamującym ekspansję sowiecką, i to bardzo efektywnie, jest rywalizacja Chin i Rosji. Jest pomijana przez wielu obserwatorów afrykańskiej sceny, mimo że daleka od słabnięcia, wykazuje ona wszelkie symptomy wzrastania w siłę.

5. Wedle Barbary Ward trzeci świat otrzymuje rocznie kwotę 30 miliardów dolarów za dwanaście podstawowych surowców (z wyłączeniem ropy) dostarczanych Zachodowi, który z kolei po przeróbce ich na artykuły konsumpcyjne uzyskuje za nie 200 mln. dolarów. Tak więc wartość dodana przez przemysł bogatych krajów wynosi 170 miliardów dolarów.

6. Stąd określenie „ustrój marksistowsko-muzułmański” jest oczywistym nieporozumieniem.

7. Ilość Mahometan w Afryce oceniana jest (UNO 1977) na 134 milionów, czyli mniej więcej tyle samo, ile połączonych wyznań chrześcijańskich. Procentowo wyraża się to cyframi: 32 % Muzułmanów, 32 % Chrześcijan, 36 % pogan.

Eksperyment Tanzanii, oparty na modelu chińskim, wzbudza szerokie zainteresowanie na kontynencie, czego dowodem jest obecność w wielu krajach afrykańskich chińskich grup roboczych demonstrujących zalety kooperatywnego sposobu zarządzania wielkimi zespołami rolniczymi.

Odniesiony niedawno sukces sowiecki w ostrym starciu z Chinami o wpływy w Angoli, który przeważał chwilowo szalę na korzyść Rosji, na pewno wzmocnił determinację Pekinu, by nie dopuścić do jego powtórki. Rywalizacja chińsko-sowiecka wyrażalna jest w szeregu innych punktów zapalnych w Afryce, takich jak Etiopia czy Rodezja, o której przyszyły kształt toczy się obecnie ostra walka między Wschodem a Zachodem.

W końcu, jako ważny czynnik przeciwdziałający ekspansji komunizmu — tak w wydaniu chińskim, jak i sowieckim należy wymienić niechęć krajów afrykańskich do przejmowania gotowych wzorów ideologicznych, skądkolwiek by one pochodziły. Co innego jest korzystać z pomocy technicznej i finansowej, a co innego bezkrytyczne oddanie się pomocodawcy w ideologiczną niewolę. Pierwszym z brzegu nasuwającym się tu przykładem jest tak bardzo alarmowa reakcja Zachodu na „inwazję” chińską w okresie budowy przez Pekin linii kolejowej TAN-ZAM na terenie Tanzanii i Zambii, o której, w parę lat po jej zakończeniu — cicho. Chińczyk zrobił swoje — Chińczyk może odejść — chciało by się strawestować znane powiedzonko o Murzynach.

Innym przykładem działania zasady upartej obrony własnej niezależności jest obserwowana obecnie dwuznaczna postawa takich przywódców afrykańskich, którzy, zdawałoby się, najwięcej zawdzięczają pomocy sowieckiej. Mowa tu oczywiście o prezydentach Angoli i Mozambiku, z których pierwszy zawarł już układy z Ameryką, Portugalią i Belgią, a drugi pielęgnuje dobre sąsiedzkie stosunki z Republiką Południowej Afryki.

Zrobiwszy ten bardzo szkicowy przegląd sił „za i przeciw”, których ostateczne wyważenie może doprowadzić do zrównoważonej oceny zagrożenia kontynentu, chciałbym raz jeszcze podkreślić, że prognozy obserwatorów z zewnątrz traktujących kontynent, tak jakby był próżnią wyzbytą własnej osobowości — grzeszą naiwnością. Ideologiczna rywalizacja reprezentowana przez super-mocarstwa (i ich akolitów) jest walką o duszę Czarnego mieszkańca Afryki i od wyniku jej zależeć będzie kształt kontynentu.

Uważne przestudiowanie wymienionych przeze mnie sił sprzyjających i opierających się rozszerzaniu się komunizmu powinno wyjaśnić, że Zachodowi pozostaje wiele dróg i sposobów dla odrobienia tego nieszczęsnego afrykańskiego wypaczenia, które ideologię świata wolnego odczytuje, jako zniewalającą, a komunistyczną — jako wyzwalającą.

Pierwszym, zapewne najważniejszym krokiem w tym kierunku byłoby opracowanie i wprowadzenie w czyn modelu gospodar-

czego, nie skrajnie merkantylnego, doprowadzającego do współistnienia agresywnej opulencji ze skrajną nędzą (Lagos, Abidżan), czy też kończącego się bankructwem ekonomii (Zaire) i oddaniem jej w pacht (wedle ustalonych wzorów dziewiętnastowiecznych) międzynarodowym organizacjom bankowym, ale modelu dostosowanego do realiów afrykańskich, czyli przede wszystkim do rolniczego zacofania Czarnego chłopstwa, stanowiącego do 85 % całej ludności. O tych modelach wiedzą takie instytucje jak FAO, wiedzą kościoły chrześcijańskie, wiedzą zastępy wyszkolonych w kolonialnej szkole administratorów, wiedzą eksperci znawcy postawionych studiów afrykańskich na Uniwersytetach, zwłaszcza anglo-saskich. Ale politycy Zachodu, od których wcielenie w życie takich modeli by zależało, nie kwapią się do nich, bo nie zyskałoby im to wyborców.

Drugim, niemniej ważnym krokiem byłoby zdecydowane wypowiedzenie przez Zachód wojny wszelkim objawom rasowej dyskryminacji. Ale i tu, jak wiemy, zbyt wiele jest oporów, wynikających przede wszystkim z lojalności do własnych pobratymców dyskryminację tę uprawiających. Czyż można się temu dziwić? Czyż można potępiać Zachód za to, że politykę swoją rozgrywa na dwóch poziomach: na wypowiedzianiu szczytnych zasad o godności ludzkiej i cichej, wstydlivej, pod ładą pomocy rasiście⁸?

Nie mówię o tym, by wskazywać i piętnować „zgniliznę”, ani „cynizm” Zachodu. Wiem zbyt dobrze, że jednym z blasków czy, w tym wypadku, raczej cieni demokracji jest powolność z jaką zdobywają się one na znalezienie odtrutki na zjawiska zagrażające ich sensowi. Tak było w epoce handlu niewolnikami, później, z przerostami kapitalizmu rewolucji przemysłowej, z ekscesami kolonializmu, rasizmu itd. I tak jest i dzisiaj. Świadomość, że na zagrożenie komunistyczne należy odpowiedzieć w inny sposób, niż merkantylizmem została już oficjalnie wbudowana w polityczny program prezydenta Cartera. „Celem naszym — oświadczył on — jest stworzenie Afryki wolnej od dominacji mocarstw poza-afrykańskich, wolnej od dyskryminacji rasowej, wolnej od konfliktów i przygniatającego ją ciężaru nędzy, głodu i choroby...”.

Przyszłość kontynentu zależy od tego, czy cytowane słowa pozostaną w sferze *pia desideria*, czy też zostaną wcielone w czyn.

Włodzimierz LEDÓCHOWSKI

8. Np. ostatni skandal, tzw. „Oilgate”, polegający na wykryciu łamania sankcji wymierzonych przeciw Rodezji przez kompanie naftowe Shell i BP. należące częściowo do rządu brytyjskiego.

Kościół katolicki w Bułgarii

Na wstępie kilka wiadomości ogólnych. Bułgaria liczy z górą 8,5 miliona mieszkańców, w 88 % Bułgarów. Najlicniejszą mniejszość narodową stanowią Turcy (ok. 800 tys.) i ci tworzą też turecką muzułmańską grupę wyznaniową. Obok nich jest tu także ok. 200 tys. muzułmanów bułgarskich, tzw. pomaksów. Ponadto jest w Bułgarii 23 tys. Armeńczyków, 20 tys. protestantów i 6 tys. Żydów. Religią panującą jest prawosławie, które wyznaje formalnie ponad 6 milionów mieszkańców. Katolicy tworzą grupę zaledwie 50 tys. wyznawców, która dzieli się następnie na 30 tys. unitów i 20 tys. katolików rzymskich. Autokefaliczny patriarchat prawosławny podzielony jest na 10 diecezji i posiada Akademię Teologiczną przygotowującą kadry duchowieństwa prawosławnego. Katolicy unicy posiadają dwie diecezje i dwóch biskupów, a łacinnicy jednego biskupa mającego jurysdykcję nad wszystkimi katolikami tego obrządku w Bułgarii. Od czasów ostatniej wojny jedenastu księży bułgarskich przebywa w Tyrolu, gdyż władze państwowe odmówiły im prawa powrotu do kraju. Ostatnio taka zgoda została wyrażona, lecz pod warunkiem wyrzeczenia się spełniania funkcji duszpasterskich. Tak więc sytuacja pozostała bez zmian, bo księża warunku tego nie przyjęli. Od wojny przybyło do pracy zaledwie czterech księży. Jeden z nich otrzymał święcenia w ukryciu i po kilku latach oczekiwania władze państwowe udzieliły mu pozwolenia na pracę duszpasterską. Wielu księży przeszło przez więzienia.

Sytuacja Kościoła katolickiego w Bułgarii jest przynębiająca. Katolicy nie mogą korzystać z wielu podstawowych praw ludzkich w dziedzinie religii. Ponieważ nie ma katolickiego Seminarium Duchownego, nie ma dopływu nowych księży. Wszyscy, którzy obecnie pracują, są ludźmi w starszym wieku. Gdy umiera duszpasterz, kościół jest po prostu zamykany, gdyż nie ma możliwości znalezienia następcy. W rozmowach z księżmi przedstawiciele władzy podkreślają w związku z tym swoją tolerancję: „My wam kościołów waszych zamykać nie będziemy. Sami je zamkniecie”.

Stworzono trzy główne regiony wzmożonej ateizacji: Loveč, Ruse i Haskowo, w których presja antyreligijna jest większa, niż gdzie indziej. Jest tam niezwykle trudno chrzczyć dzieci, zawrzeć ślub w kościele, uzyskać przyjazd księdza do umierającego, czy nawet na pogrzeb. Większość dzieci z rodzin katolickich przystępuje wprawdzie do pierwszej Komunii św., lecz na tym kończy się zwykle praktyka religijna młodzieży. Mały procent młodych przychodzi zawierać małżeństwo w kościele. Nie ma też kandydatów na księży katolickich. Na cmentarzu zabra-

nia się stawiać krzyże, a księżom katolickim nie wolno jest przyjmować u siebie na noc obcych duchownych i robić z nimi zdjęć. Gdy przed dwoma laty dwaj polscy księża zatrzymali się późnym wieczorem u jednego z duszpasterzy w B., za kilka minut była już policja, zażądała wyjaśnień oraz opuszczenia domu.

Księża grekokatolicki przeważnie są nieżonaci uważając, że taki stan daje im większą swobodę wobec ciągłej presji władz i różnych ograniczeń przez nie nakładanych. Kilka zakonnic katolickich, które w roku 1971 opuściły obóz pracy (gdzie wykonywały ciężkie roboty przy budowie kanału prowadzącego do Dunaju), przez szereg lat nie mogło otrzymać pozwolenia na pracę dla własnego utrzymania.

Szkoła państwowa prowadzi planową ateizację. Jednym z jej widomych skutków jest wyjątkowa ignorancja religijna młodzieży. Łatwo się o tym przekonać słuchając pytań uczestników wycieczki, która trafi do kościoła katolickiego, czy prawosławnego. Pytania są zupełnie podstawowe: co to jest Ewangelia? Kto to był Chrystus? Matka Boska? itp. Odpowiedzi słuchane są z wielką uwagą.

Przed dwoma laty Bułgarię odwiedził przedstawiciel Stolicy Apostolskiej arcbp Agostino Casaroli i był uroczystie przyjmowany w kościele grekokatolickim w Sofii przez biskupów katolickich i wiernych. Było to zupełnie wyjątkowe wydarzenie, lecz bez praktycznego znaczenia dla życia Kościoła. Poglądy księży na wyniki tej wizyty są bardzo sceptyczne, gdyż mają oni za sobą ponad trzydzieści lat bezwzględnej presji i asystują przy powolnym zamieraniu placówek duszpasterskich i życia religijnego. Zmiana zamiarów władz państwowych w tej dziedzinie wydaje się im mało prawdopodobna, tym bardziej, że katolicy stanowią w tym kraju uderzającą mniejszość.

Według „Kenston College”, tj. brytyjskiego ośrodka badań wyspecjalizowanego w studiach na temat religii w krajach Europy Wschodniej, wiele kościołów protestanckich, baptystów i metodystów zostało zamkniętych i skonfiskowanych przez władze. Miało to miejsce w Burgos, Vidin, Ruse i Gorna. Według tego samego ośrodka władze państwowe chciałyby stworzyć jeden kościół międzywyznaniowy i to w jednym miejscu, dla ułatwienia sobie kontroli nad życiem religijnym i działalnością chrześcijan (*La Croix*, 24. V. 1978).

Warto podkreślić, że stosunki między duchownymi katolickimi i prawosławnymi są dobre i przyjazne. Wśród tych ostatnich można czasem spotkać wielką sympatię i szacunek dla Kościoła katolickiego. Zdaniem księży katolickich poziom umysłowy duchowieństwa prawosławnego po ostatniej wojnie wyraźnie się podniósł w stosunku do okresu międzywojennego. Wpłynęło na to stworzenie jednej, głównej Akademii Duchownej, która kształci kandydatów na duchownych.

Źródłem utrzymania duchownych prawosławnych, a także unickich w Bułgarii jest... produkcja świec, nadzwyczaj często używanych, zarówno w liturgii, jak w pobożności prywatnej wier-

nych. Władze państwowe udzielają Kościołowi prawosławnemu koncesji na ich produkcję, za co Kościół płaci państwu określony podatek od każdej jednostki produkcyjnej. Różnicę jako pozostaje między podatkiem od kilograma świec płaconym państwu, a ceną, jaką płać wierni przy ich zakupie w cerkwi, zatrzymuje Kościół i stanowi ona ważne źródło dochodu. Z tego samego korzysta Kościół unicki.

Bez porównania gorsza jest sytuacja kościołów łacińskich, nawet w miejscowościach turystycznych, jak Burgos, czy inne. Liczba wiernych jest mała, a jeśli na tacę pada niekiedy dolar, czy bilet innej waluty obcej, trzeba go zanieść do Banku. Utrzymanie księży jest więc niezwykle skromne i gdy zaistnieje potrzeba wydatku ekstra, np. na remont kościoła, to położenie staje się zupełnie beznadziejne.

Jest duża różnica między sytuacją ogólną Kościoła katolickiego i prawosławnego. Ten ostatni, podobnie jak w innych państwach komunistycznych, jest w dużej mierze narzędziem polityki rządowej i subtelnym przedłużeniem jej wpływów. Jest to zresztą stara jego tradycja, wywodząca się jeszcze z bizantyńskiego cesaropapizmu. Jej klasycznym przykładem była rola Cerkwi w Rosji carskiej, a obecnie w ZSSR. Za tę cenę i tutaj Kościół prawosławny otrzymuje pewien, starannie kontrolowany margines swobód, tak jednak pomyślanych, by jego wpływ na kształtowanie się światopoglądu młodzieży i formację duchową dzieci, był jak najbardziej ograniczony.

Na zakończenie parę obrazków z życia codziennego. Do niedawna, w centralnej dzielnicy Warny otwarty był w niedzielę niewielki kościół katolicki. W niedzielę i święta dojeżdżał tu ksiądz katolicki, by odprawić mszę św. dla setek turystów, w większości Polaków, których od lat tysiące przyjeżdża nad piękny brzeg morski w Warnie i okolicy (Družba, Złote Piaski). W niedzielę ludzie wypełniali kościół i stali nawet na zewnątrz, na ulicy. To ostatnie stało się pretekstem dla zamknięcia kościoła. Tłum stojący na zewnątrz hamował, zdaniem władz, normalny ruch uliczny. Nie przeszkodziło to im wcale bezpośrednio potem wstrzymać całkowicie ruch kołowy na wspomnianej ulicy i dziś jest ona tylko miejscem spacerów pieszych wczasowiczów. Tak więc przed czterema już laty kościół zamknięto, na głucho. Początkowo, jak opowiadają mieszkańcy Warny, turyści polscy domagali się jego otwarcia i czynili podobno jakieś starania, — naturalnie bezskuteczne. Następne generacje turystów pogodziły się z tym faktem. Obecnie niektórzy nie wiedzą już nawet, że istniał w Warnie kościół katolicki. Władze natomiast mają dużo doświadczenia w tej dziedzinie i wiedzą, że lud można przyzwycząć do bardziej dotkliwych ograniczeń niż zamknięcie kościoła, choć konstytucja i podpisywane układy międzynarodowe gwarantują korzystanie z praw ludzkich i obywatelskich w tej dziedzinie. Co ciekawe to to, że biura turystyczne w okolicy Warny, w Družbie, w Złotych Piaskach i w samej Warnie, nadal informują pytających, że kościół katolicki w Warnie jest otwarty.

Zapewne czynią to w dobrej wierze. Informacja nie należy zresztą do mocnych stron ustroju, z którego dobrodziejstw korzysta także i Bułgaria.

Ta ostatnia uwaga nasuwa natychmiast wspomnienie obrazów, jakie muszą uderzyć każdego turystę, który trafił do Bułgarii. Otóż wielkie, kolorowe plansze, ustawione na ulicach miast i przy drogach, sławią odwieczną przyjaźń między ZSSR i Bułgarią. Ogromne podobizny ukazują Breżniewa i Żiwkova w braterskim uścisku, który objaśnia umieszczony niżej, równie ogromny i kolorowy napis „Przyjaźń z wieku na wiek”. Wiele jest także innych, podobnych haseł i emblematów, na których produkcję i ustawienie nie żałowano pieniędzy.

Gdy na statku zajęтым przez naszą wycieczkę, płynącym z Burgos do Warny, postawiłem pytanie sympatycznej Bułgarce, nieźle mówiącej po francusku, na temat rzeczywistego stosunku do ZSSR, usłyszałem odpowiedź: „My kochamy Rosjan, oni nas wyzwolili spod niewoli tureckiej”. Odpowiedź ta dotyczy ważnego problemu psychologicznego w Bułgarii. Jest rzeczą niewątpliwą, że stosunek Bułgarów do Rosjan jest rzeczywiście zupełnie inny, niż innych krajów obozu „socjalistycznego”. Rosja carska faktycznie pomogła Bułgarom w walce wyzwoleniczej, choć, oczywiście, nie bezinteresownie, lecz za cenę rozciągnięcia swoich wpływów i osłabienia swego starego przeciwnika, Turcji. Wydaje się też rzeczą niewątpliwą, że sowiecki ustrój społeczny, jaki zapanował w Bułgarii po ostatniej wojnie nie był w tym kraju takim szokiem psychologicznym i społecznym, jak w krajach Europy Wschodniej i centralnej, tak jak Polska silnie związana z kulturą zachodnią. Gdy zrobiłem uwagę, że przecież obecnie Bułgaria nie jest samodzielna, a jej polityka wewnętrzna i zewnętrzna zależy od Rosji, padła nieco splotzona odpowiedź: „U nas się o tym nie mówi”. Ale specyfika bułgarskiego życia społecznego, to już odrębny temat.

J. MIRSKI

Rzym, czerwiec 1978

Widziane z Brukseli, Mordowii i Tel Avivu

OŚMIOLETNIA PODRÓŻ PIRATA
Z OCEANU LODOWATEGO NA MORZE ŚRÓDZIEMNE...

Stary Zalmanson miał (i ma) czworo dzieci: trzech synów i córkę. Sylwia, Wolf i Szmul zostali skazani, jak leci, na 10 lat każdy, najmłodszy, Izrael, tylko na 8 lat gułagu. Razem lat 38,

co jak na jedną rodzinę jest zespołowym wynikiem zasługującym na uznanie nawet w warunkach ZSSR, gdzie „tak wolno dyszyt czełowiek” i gdzie tak trudno o rekordy w tej dziedzinie. Tym bardziej, kiedy do tego rachunku dopiszemy jeszcze męża Sylwii, Edwarda Kuźniecowa, który dostał lat 15 (zamiast pierwotnie orzeczonej kary śmierci). Osiągamy wówczas bilans lat 53, które, jak na wojnie, liczą się wszak podwójnie...

Stary Zalmanson ma więc czworo dzieci i jednego zięcia, ale ostatni raz widział ich razem w grudniu 1970 roku na ławie oskarżonych sądu w Leningradzie. Przez następne cztery lata stary Zalmanson mógł zwołać radę rodzinną tylko na jednej z wysp archipelagu gułag, gdyby naturalnie KGB na to zezwoliło, co jest bardziej niż wątpliwe.

Pierwsze ze swych dzieci stary Zalmanson ujrzał dopiero w 1974 roku. Sylwia została wówczas zwolniona jako osobisty prezent Breżniewa dla Nixona. Obaj panowie wkraczali właśnie w okres namiętnej *détente*, Nixon wybierał się do Moskwy, Sylwia była *cause celebre* owej epoki. Moskwa podarowała Sylwii, aby dobrze nastroić prezydenta USA i uspokoić gawieź...

Następne dziecko stary Zalmanson ujrzał dopiero w 1978 roku. Izrael, żaden prezent, nie było komu, nie stanowiący przy tym żadnej *cause celebre*, opuścił gułag po odsiedzeniu pełnego wyroku, od świtu 15 czerwca 1970 do świtu 15 czerwca 1978. Przez dwa miesiące odżywał u ojca w Rydze, pozbierał wszystkie niezbędne bumażki, złożył natychmiast w KGB i w sierpniu był już u siostry w Tel-Awivie. Przyjechał więc prawie prosto z gułagu gdzieś w mordwijskim powiecie, ale zachowuje się tak jakby swój czas spędzał przeważnie w St.-Moritz lub w Izbie Lordów: zrównoważony, bez goryczy, spokojny, uśmiechnięty, mówi ze znajomością i wyrozumiałością o świecie i do świata, który zna przeważnie z artykułów *Prawdy* i którego nigdy nie widział.

Dziwni piraci

35 stopni w cieniu to nawet nie najgorzej jak na Tel-Awiv w sierpniu i w południe. Siedzimy w kawiarni, pod parasolem, na jedynym miejscu gdzie w tym mieście i o tej porze można oddychać świeżym powietrzem. Kamienny plac Kikar Attarim, kilka restauracji, cudowny widok na morze, władze zbudowały to, aby mieszkańcy Tel-Awivu mogli dotrzeć do wody mimo muru ogromnych hiltonów odgradzających miasto od morza i Żydów izraelskich od Żydów amerykańskich. Rozmawiamy z Żydami sowieckimi, jest z nami Sylwia, są jeszcze inni, co jakiś czas włącza się do rozmowy albo jakiś emigrant z Rosji siedzący przy stoliku obok, albo jakiś autochton, który Zalmansona widział właśnie wczoraj w telewizji i koniecznie musiał się natychmiast dowiedzieć, gdzie i kiedy się tak dobrze nauczył po hebrajsku, na co (i jak długo jeszcze) choruje Breżniew oraz

aby przekazać nam swoją niezawodną teorię rozwiązania sprawy pokoju na Bliskim Wschodzie...

Saga Zalmansonów zaczęła się (dla świata) 15 czerwca 1970 roku, kiedy kilkunastu Żydów zostało wyłapanych przez KGB w kilku miejscach kraju Rad, ale przede wszystkim na lotnisku Smolny pod Leningradem. 12 ich stało w kolejce do kontroli biletowej przed wejściem na pokład małego samolotu do Priozerska, gdzieś na zachodniej północy. W sześć miesięcy później cała kolejka stanęła przed sądem w sprawie która do historii przeszła pod nazwą „pierwszego procesu leningradzkiego”. Były dwie kary śmierci i kilkanaście długich wyroków. Świat się oburzył, chociaż to było Boże Narodzenie, albowiem na szczęście dla Żydów w Leningradzie, wszyscy dyktatorzy mają podobne odruchy, i Franco też chciał wykorzystać świąteczne lenistwo opinii, aby bez szumu skazać w Burgos sześciu terrorystów na śmierć. Odezwali się więc tzw. lewicowi intelektualiści, wszak nie można było oburzać się selektywnie, i Breżniew musiał obie kary śmierci zamienić na 15 lat gułagu. Świat się tym tak ucieszył, że zapominał o reszcie skazanych. Wyjście Sylwii przypominało o ich losie. Potem zapadła cisza i dopiero wyjście Izraela do Izraela odświeżyło „tendencje optymistyczne” zachodniej, leniwej pałnicy.

— Dopiero wasz proces sprawił — mówię do Zalmansona — że świat przejął się sytuacją Żydów sowieckich. I to jest jasna strona waszej awantury. Inne jej okoliczności są jednak mniej jasne. Zostaliście aresztowani w czasie próby porwania samolotu pasażerskiego. To prawda, że KGB odmówiło wam wszystkim paszportów emigracyjnych, ale piractwo powietrzne karane jest także na Zachodzie i uważane jest za działalność terrorystyczną...

— Nieporozumienie — odpowiada Izrael (mieszać się będą do rozmowy także inni, ale dla wygody występować będzie tylko Zalmanson). — Nie byliśmy piratami. To co mieliśmy zamiar przeprowadzić nie było aktem powietrznego piractwa, w każdym razie nie w tym sensie w jakim pojęcie to kursuje w prawie zachodnim czy sowieckim nawet. Chodziło, to prawda, o zamiar opuszczenia ZSSR bez zgody władz tego kraju. Ale, uwaga. Po pierwsze, nie doszło do „aktu”, nie dotarliśmy nawet do maszyny, zostaliśmy aresztowani jeszcze przed wejściem na płytę lotniska, co jednak nie przeszkodziło skazaniu nas nie za zamiar a za porwanie. Po drugie, opanowanie samolotu miało się odbyć jeszcze na ziemi, przed wystartowaniem, mieliśmy bowiem własnego pilota. Ale, przede wszystkim, nie mieliśmy żadnej broni, no i nie było zakładników, wykupiliśmy bowiem wszystkie 12 miejsc w tej małej maszynie. Jeżeli więc czyjekolwiek życie było w niebezpieczeństwie, to tylko nasze własne. Czy zna pan dużo takich aktów piractwa, gdzie porywacze nie mają broni i nie biorą zakładników?

— Nie, nie znam, ale to nie jest jedyna oryginalna rzecz w waszym przedsięwzięciu. Żaden ze znanych aktów piractwa nie był tak fatalnie

przygotowany i przeprowadzony. Z moich informacji wynika, że wiedzieliście, iż KGB czeka za zakrętem, że plan nie może się udać, że musi się źle skończyć. Po co to samobójstwo: kamikaze czy masochizm albo kompleks Massady?

— Żadna z tych propozycji mi nie odpowiada. Nikt bardziej od nas nie pragnął żyć poza gułagiem i bardziej po ludzku niż w Rosji. Ale było już za późno. Wiedzieliśmy, że idziemy policjantom w łapy, ale wiedzieliśmy też, że w każdym razie, nawet jeżeli zrezygnujemy z planu porwania, zostaniemy aresztowani i skazani z tego samego, pirackiego, paragrafu. Przecież niektórzy z naszych ludzi zostali aresztowani o kilka godzin wcześniej i zupełnie gdzie indziej. Stąd nasza decyzja wyjścia losowi na-przeciw, sprowokowania awantury, z nadzieją wywołania, przed zniknięciem w mrokach gułagu, takiego szoku, który by zmusił świat do zainteresowania się naszym losem, ujawnił arbitralność władzy, świadczył o naszym zdecydowaniu. Tylko taki szok mógł w końcu przynieść nam wolność...

Specyfika nawet w gułagu

— Szok na świecie rzeczywiście był, ale zamiast na wolność w Izraelu, pojechaliście w kajdankach do gułagu. Czy to bardzo trudno wtopić się w archipelag kiedy się ma 21 lat, przetrwać tam 8 lat, wyjść jak normalny człowiek w nie najlepszej formie nawet?

W żadnym wieku archipelag nie stanowi przyjemności. Prawdą jest, że młodym i silnym łatwiej przeżyć, jeszcze łatwiej przychodzi to młodym, silnym i ideowym. Kiedy się wie za co się siedzi, siedzi się może nie krócej i nie przyjemniej, ale mimo wszystko łatwiej. Wiem co mówię, przeżyłem więzienia w Rydze i Leningradzie, potem obozy w Mordowii i Permie, i wreszcie tiumę we Władimirze...

— Władimir to nie sanatorium, twierdzą bywalcy...

— Tamte także nie...

— Są jednak różnice...

— Są oczywiście, zwłaszcza jeżeli uwzględnić moją specyfikę. Dla ogromnej większości więźniów gułagowy pejzaż jest podobny: ten sam rozkład dnia, ta sama monotonia, to same niejadalne „menu”, ci sami lekarze, którzy zdradzili Hipokratesa dla Andropowa i bardziej dbają o zapewnienie siły roboczej niż o zdrowie „zeka”. Najgorszy był chłód, z braku odpowiedniej odzieży oraz wyczerpująca praca. Niektóre normy były nie do wykonania, co pozbawiało nas prawa do paczek, listów, wizyt itd. Przez jakiś czas, à propos, pracowałem przy toczeniu kierownic do samochodów typu „Wołga” zdaje się popularnych u was, w Zachodniej Europie. Tokarka też zresztą była *Made in Cincinnati, USA...*

— I tak było przez 8 lat?

— Nie, to było życie „normalne”. Bywały gorsze okresy...

— Z powodu „specyfiki”?

— Tak, z powodu żydowskiej specyfiki łągierniczej. W każdym łągrze było nas zazwyczaj kilku „syjonistów”, przez krótki czas byłem nawet z bratem Wolfem. Otóż specyfika polegała na tym, że byliśmy jedyną grupą, która dość regularnie miewała z władzą obozową konflikty na tle, że tak powiem, ideowym. Po pierwsze, uważaliśmy się za więźniów politycznych i odmawialiśmy chodzenia na obowiązkowe zajęcia agit-prop. Po drugie, uczyliśmy się hebrajskiego, co było zakazane. Pewien kgb-ista tłumaczył, że nie mogą pozwolić na uprawianie w łągrze działalności nacjonalistycznej, za którą właśnie zostaliśmy aresztowani. Nawet logicznie mówił. I wreszcie stale dochodziło do bójek. Obozowi kapo byli pospolitymi więźniami, z polityką nie mieli nic wspólnego, ot, normalni złodzieje czy gwałciciele i, także normalnie, antysemita. Pewna liczba kapo rekrutowała się ponadto z byłych kolaborantów, szczerych antysyjonistów. Jeden z nich, nazwiskiem Andersen, Łotysz, odsiadywał (spóźniony) wyrok 12 lat za udział w wymordowaniu 12.000 Żydów. Na tyle samo lat skazany został w naszym procesie Józef Mendelewicz za próbę wylądowania w Sztokholmie zamiast w Priozersku przy użyciu samolotu bez pasażerów. Otóż za każdym razem, kiedy Andersen lub inni rzucali nam swoje ulubione „ty parchu”, dochodziło do bicia. Administracja gułagu tego bardzo nie lubi, nie z powodu sympatii do Żydów, a dlatego, że nie wiadomo jak się takie bójki kończą, potem trzeba raporty pisać. Sytuacje bywały delikatne, bo niektórzy z pospolitych mieli do nas pretensje nie o syjonizm, a o socjalizm, inaczej mówiąc uważali nas za odpowiedzialnych nie za wojny w Izraelu, a za to co się działo w Rosji, za rewolucję i jej zbrodnie, za Lenina i za Stalina, za swój gułag. Nie było łatwo oficerowi politycznemu w gułagu wy tłumaczyć takie racje, napisać w raporcie, że w pojęciu masy reedukowanych więźniów to Żydzi odpowiedzialni są za komunizm i że z tego powodu na podległym im terenie było kilku rannych. Ostatecznie jednak zostałem wysłany do Władimira za przekazanie na Zachód listu na temat antysemityzmu i w ogóle życia w gułagu. Dla równowagi list został wydrukowany w Cincinnati, miście skąd pochodziła tokarka, na której pracowałem w obozie. To także specyfika...

— Wróćmy do specyfiki żydowskiej. Żydów w Rosji, jak wiemy, nie lubią ani na wolności ani w gułagu. Specyfika, nie tylko w Rosji zresztą, polega na tym, że najpierw się Żydom zarzuca i prześladuje za to, że są inni, a potem za to, że starają się tę różnicę zatrzeć. Mimo tej specyfiki w jednym z listów do Sylwii pisał pan, że co prawda oboz zabrał panu najpiękniejsze lata młodości, ale że sporo pana także nauczył, a przede wszystkim utwierdził w przekonaniu, że wbrew temu wszystkiemu co można

by sądzić, Żydzi w ZSSR są grupą uprzywilejowaną. To w obozie polubił pan paradoksy, czy też to znowu masochizm?

— Paradoks jest tylko pozorny. Chodzi, rzecz jasna o tych, którzy się za Żydów uważają. Ci są rzeczywiście uprzywilejowani, to jedyna kategoria mieszkańców tego ogromnego gułagu, jakim jest ZSSR, która ma prawo do nadziei. Żydzi w ZSSR to jedyna grupa narodowościowa, która, na szczęście, nie ma swojej republiki sowieckiej, natomiast, na jeszcze większe szczęście, ma swoje państwo za granicą. To państwo się nimi interesuje, zaprasza do przyjazdu, uruchamia międzynarodowy mechanizm nastawiony na ułatwienie emigracji, nie pozwala aby ci Żydzi w ZSSR, którzy uważają Izrael za swą ojczyznę, czuli się choćby przez chwilę osamotnieni. Krótko mówiąc, Żydzi sowieccy mają to, czego nie ma żadna inna grupa narodowościowa rozsiana w archipelagu, ani Gruzini, ani Litwini, czy Ukraińcy bijący się przeciwko rusyfikacji...

— Klan Zalmansonów, a takich jest więcej, zapłacił za tę nadzieję ponad 50-cioma latami więzienia. Czy to nie za drogo?

— To nie jest sprawa ceny. Od naszego procesu 150.000 Żydów wyjechało z ZSSR. To nie ma ceny. Pewnie, będą inne procesy, inni będą płacić, ale nadziei i wolności nie liczy się na gułagodoby...

— Spróbujmy jednak nieco policzyć. Według najnowszych informacji w ciągu pierwszych 6 miesięcy 1978 roku, 12.000 Żydów opuściło Rosję. Oznacza to zaskakujący wzrost o ponad 60% w porównaniu z tym samym okresem roku 1977. Jeżeli ten trend się utrzyma, a wszystko na to wskazuje, rok 1978 uplasuje się na drugim miejscu w tabeli emigracyjnej, po roku 1973, kiedy to wyemigrowało was 35.000. Co się dzieje? Dlaczego Kreml otworzył nagle i szeroko żydowski kurek? Domyślam się, że Kreml stara się zmienić klimat w Waszyngtonie przed nieuniknioną debatą w Kongresie nad ratyfikacją SALT II, że Kreml chciałby także doprowadzić do złagodzenia przez Kongres „poprawki Jacksona” blokującej kredyty amerykańskie. To wszystko jednak nie wystarczy. Prawda o żydowskim kurku musi być gdzie indziej. Może pan wie gdzie?

— Nikt nie wie dokładnie, ale można podyskutować. Po pierwsze nie należy lekceważyć względów „klimatologicznych”. Nastroje w Kongresie USA są ważne dla Rosji. Proszę nie zapominać, że w 1973 roku żydowski kurek był szeroko otwarty mimo wojny kipurowej przede wszystkim dlatego, że Kreml chciał wtedy ratować układ handlowy z USA i nie dopuścić do storpedowania go przez Jacksona. Po drugie, wchodzą obecnie w grę względy nie tylko „klimatologiczne”, ale i „sanitarne”. Kreml chce oczyścić Moskwę z „robactwa” żydowskiego czy dysydenckiego, żeby użyć określenia leninowskiego, przed olimpiadą 1980 roku. Po trzecie, Kreml tym łatwiej upuszcza nieco „krwi żydowskiej” za granicę, że wie, iż, tak jak w moim przypadku, chodzi o elementy absolutnie nie do uratowania, nie do odzyskania,

nie do zasymilowania. Nadmierne zagęszczenie takich elementów, ludzi mniej lub bardziej zdesperowanych, zdolnych właściwie do wszystkiego, grozi wybuchem i gwałtownymi reakcjami na zachodzie, a Kreml nie lubi ani wybuchów ani reakcji na Zachodzie. Po czwarte, tzw. aktywiści żydowscy są zarzewiem buntu w ogóle, dają niedobry przykład, zasilają kadry dysydentów „aryjskich”, pomagają w kontaktach z Zachodem, jednym słowem udowadniają, że można nie bać się władzy. Baba z wozu, koniom lżej...

Nie naprawiać socjalizmu

— Przysłowie znam, ale w tym co pan mówi jest poważna sprzeczność. Z jednej strony Kreml dyskretnie wypuszcza nadwyżkę żydowskiej energii i trueizny, z drugiej zaś, montuje takie procesy jak Szczarańskiego, które wywołują niesamowity hałas z udziałem prezydenta Stanów Zjednoczonych osobiście. Gdzie tu logika?

— Jest logika. Sprzeczność jest tylko pozorna, wasi kremlinolodzy nie wszystko od razu zrozumieli. Proces Szczarańskiego to skomplikowana operacja władzy sowieckiej, w której Zachód dostrzegł jedynie aspekty międzynarodowe i amerykańskie. Szczarański nigdy nie był szpiegiem. KGB to wie, Kreml wie, że Waszyngton wie, że oni o tym wiedzą. Ale szpiegostwo było tym pretekstem, który dawał możliwość dużego wyroku, a duży wyrok był potrzebny, aby przekazać bardzo poważny *message* nie Amerykanom, a sowieckim Żydom. Kreml mianowicie chciał powiedzieć, że Żydzi muszą wybrać: jeżeli chcą wyjechać do izraelskiej ojczyzny to niech przestaną się mieszać do wewnętrznych spraw sowieckiego państwa. Innymi słowy, jeżeli chcą jakieś państwo naprawiać, to niech to będzie Izrael a nie ZSSR. Jak wynika z tego, KGB jest skłonny do pewnego stopnia tolerować wojnę o paszport i o wyjazd, ale nie będzie tolerować starań o reformę ustroju, o naprawę komunizmu. Kreml uważa, że chodzi o dwie zupełnie różne sprawy, o dwie oddzielne wojny. Tymczasem Szczarański właśnie je łączył, był jednym z organizatorów ruchu emigracyjnego do Izraela i był równocześnie członkiem grupy prof. Orłowa, badającej jak Moskwa przestrzeża, albo raczej nie przestrzeża, układu z Helsinek, był więc równocześnie w ruchu żydowskim i w ruchu aryjskim, a na to Kreml się nie godzi...

— No, dobrze, to jest *Rassenschande*, my to znamy, taki jest scenariusz KGB. Ale jakie jest pańskie zdanie? Czy pan też uważa, że wojna żydowska ma się toczyć w całkowitej separacji od wojny rosyjskiej, ma się wyrzec więzów z Rosjanami, Ukraińcami, czy nie odpowiada panu towarzystwo np. Sacharowa?

— To fałszywy dylemat...

— Weale nie fałszywy. Wyszedł pan właśnie z gułagu, nie zna pan lite-

ratury. Fizyk, prof. Herman Branower, który wyemigrował w 1972 roku i obecnie wykłada w Berszebie, na Negewie oraz przewodniczy Stowarzyszeniu Wierzących Naukowców pochodzenia sowieckiego (!) wypowiedział się — „w imię skuteczności akcji” — zupełnie zdecydowanie i jednoznacznie, w duchu rozumowania Kremla, przeciwko jakiegokolwiek utożsamianiu żydowskiego ruchu emigracyjnego z ruchem dysydenckim czy opozycyjnym. Odwrotnego zdania jest prof. Witali Rubin, słynny sinolog, który wyemigrował dopiero w 1976 roku i wykłada obecnie w Jeruzolimie. Rubin uważa, że oddzielenie walki Żydów o emigrację od walki dysydentów o prawa człowieka i obywatela w ogóle byłoby taktycznie niebezpieczne i moralnie nie do przyjęcia, że chodzi o dwa fronty tej samej wojny. Jakim prawem, woła Rubin, Żydzi sowieccy domagają się pomocy opinii światowej w swej walce przeciw arbitralnej władzy o prawo do emigracji, jeżeli oni sami odmawiają takiej pomocy dysydentom rosyjskim czy ormiańskim. Dylemat nie jest więc fałszywy, a realny, warto się nad nim zastanowić. Przypomnę tylko panu jeszcze, że w ostatnim słowie Szczarański powiedział: „Dumny jestem, że mogłem pomóc swemu narodowi w emigracji i dumny jestem, że mogłem współdziałać z takimi Rosjanami jak Orłow czy Sacharow”. Szczarański został skazany na 5 lat więcej niż pan. On dopiero zaczyna (chyba, że będzie wymieniony) swą drogę przez gułag, pan swoją właśnie zakończył. Z której pan jest strony?

— A jednak dylemat jest fałszywy. Alternatywa nie sprowadza się do „razem czy oddzielnie”, za Sacharowem czy przeciw niemu, z nim czy bez niego. Podziwiam odwagę i prawość Sacharowa czy Szczarańskiego, uważam też, że na pewnych odcinkach i w określonych sprawach obie te formy walki z totalitaryzmem są nieoddzielne i naturalnie związane. Uważam też, że chodzi o zjawiska zbyt bliskie aby można i należało, jak tego chce KGB, je sobie przeciwstawiać. Równocześnie jednak wydaje mi się, że należy wysnuwać wnioski z historii. Żydzi byli stosunkowo licznie obecni w kadrach rewolucji 1917 roku i wśród założycieli państwa sowieckiego...

— Niemniej liczni byli też wśród ofiar tego państwa...

— Tak, ale była to ostatnia „równość” Żydów w państwie sowieckim. Uważam więc, a nauczyłem się tego m.in. w łagrze, gdzie spotkałem pełny przekrój społeczeństwa sowieckiego, że Żydzi, którzy chcą wyjechać na zawsze i uważają, że mają ojczyznę poza Sowietami, nie powinni brać udziału w drugiej rewolucji w ZSSR. Oczywiście, są Żydzi, którzy pragną się zasymilować na miejscu, są i inni, którzy chcą żyć jak Żydzi, po żydowsku ale w ZSSR. Ci, oczywiście, jeżeli starczy im odwagi, powinni się bić o swoje prawa w ZSSR...

— Gomułka w 1968 roku tak samo podzielił „swoich” Żydów na trzy kategorie: syjonistów, kosmopolitów i prawdziwych patriotów. Prześladowano jednak wszystkie trzy kategorie, a przede wszystkim — co pozostało polskim wkładem w socjalistyczny antysemityzm — tych prawdziwych patriotów, absolutnie spolszczonych, których dzieci często dopiero w marcu 1968 poznawały, dzięki moczarskiej prasie, prawdziwe nazwiska swych rodziców. Dziś już faktycznie nie ma Żydów w Polsce, w żadnej z trzech kategorii,

ale w momentach kryzysu, jak np. po „wydarzeniach” z czerwca 1976 roku, władza ciągle tłumaczy, że to oni są wszystkim winni.

— Nie znam sytuacji w Polsce, gdzie, jak pan twierdzi, Żydów już nie ma, w ZSSR jest ich ponad 2,5 miliona. Moim zdaniem jednak, spotka ich los podobny. Pozostaną kozłem ofiarnym i wygodnym pozbyciem się winy przez nieudolną władzę. Na dłuższą metę są zresztą skazani na zniknięcie: przez emigrację, przez asymilację, przez kulturowe ludobójstwo lub przez małżeństwa mieszane, i w końcu przez wszystkie te metody razem. Powtarzam więc, że ci, którzy chcą tego losu uniknąć powinni się bić o jedyne skuteczne i definitywne rozwiązanie, jakim jest emigracja. Naprawa komunizmu to nie ich sprawa i nie ich zadanie...

„Napsuli i wieją”

— Wie pan co na to mówią: najpierw napsuli a potem wieją...

— Tak mówili w gułagu...

— Nie, tak niektórzy mówili (i mówią) w Warszawie. Jest to oczywiście brednia. W istocie Gomułka wyrzucał przede wszystkim nie tych co „napsuli”, a tych, którzy chcieli „naprawić”, albo w ogóle się nie miesza. Z powodu „napsucia” nikt nikomu, niezależnie od pochodzenia, nie robi w Polsce wyrzutów...

— ...w Moskwie także nie. Czy zdaje pan sobie sprawę, co by się stało, do jakich porachunków by doszło, gdyby zaczęto załatwiać bilans „napsucia”?

— Nie wiem do czego by doszło w ZSSR, ale wiem do czego doszło w Polsce. Powiem to panu, to może się przydać w ostatecznym opracowywaniu pańskiej teorii niechybnego końca żydostwa w ZSSR. Otóż, hasło „Żydzi napsuli a potem wieją”, wylansowane w 1968 roku przez czarną sotnię Moczara i jego „ideologów”, nie najgorzej chwyciło w narodzie. To w imię tego hasła spora część społeczeństwa pozostała obojętna kiedy wyrzucano z Polski ostatnich Żydów, chociaż jasne było, że ich się nie wyrzuca za „napsucie” a za pochodzenie, chociaż wszyscy wiedzieli, że moczarowcom nie chodziło o naprawę Rzeczypospolitej a o wyrwanie — przy pomocy żydowskiego argumentu — władzy z rąk rozpacziwie niedołęznego Gomułki. To co się dziś w Rosji dzieje, to dla Polaków nie nowego. Tak jak w Polsce w 1968 roku, tak dziś w Rosji władza umiejętnie manipuluje masą i motywację faktycznie rasową maskuje polityczną. Nawet propaganda antysemitka jest tego samego gatunku, do dziś zresztą przelewają się przez kolumny *Prawdy* „polskie argumenty” z 1968 roku, różne Emelianowy postępują się „odkryciami” Szafranski. Ale najważniejsze, że tak jak w Polsce w 1968 roku, tak dziś w Rosji władza się myli: *à la longue* system nie stanie się mniej odrażający tylko dlatego, że prześladowuje Żydów, a przede wszystkim nie stanie się skuteczniejszy. Prześladowanie czy wyjazd Żydów niczego nie załatwiają na froncie wewnętrznym. Całkowicie *Judenrein* reżym w Polsce czy całkowite oddzielenie aparatu władzy w ZSSR nie naprawiły sytuacji. Reżym degenerował się nadal (wystarczy przypomnieć grudzień 1970 czy czerwiec 1976 w Polsce i całe dziesięciolecie w ZSSR), całkowicie nie-

zależnie od kwestii żydowskiej, co zresztą było jasne od początku. Czy nikt w Moskwie nie wysnuwa wniosków z polskich doświadczeń?

— Nie wiem, nie odnalazłem w dyskusjach sowieckich śladu próby analizy polskiego doświadczenia. Zresztą wszelkie porównania między Polską a ZSSR wydają mi się zawodne, bo dla was są to już pojęcia historyczne, a tam żyje 2,5 miliona tych „specyficznych” ludzi...

— Żydowskich emigrantów z 1968 roku nie wpuszcza się do Polski, choć są już w posiadaniu zagranicznych paszportów. Stanowi to klasyczną dyskryminację rasową. Wizy odmówiono nawet byłemu rabinowi wojska polskiego. Może się boją, że znowu „napsuje”. Dziennikarka francuska z lewicowego pisma, Polka z pochodzenia, została powitana przez MO w 1978 roku pieczołtliwym: „gdzie się pchasz ty żydowska mordo”. Dziennikarze zachodni są uprzedzeni przez niektórych polskich „kolegów”, że dysydenci to w większości Żydzi, więc nie należy im ufać. Inni emisariusze szerzą dziś jeszcze na zachodzie opowieści, jaką to straszną rolę odegrali osobnicy, tego, hm, pochodzenia niejasnego, w owym okresie. To wszystko w 1978 roku, czyli to nie historia. Ale nawet, gdyby chodziło już tylko o przeszłość, to i z niej warto się uczyć. Nie wiadomo czy się nie powtórzy.

— Wiadomo co się nie powtórzy: w ZSSR nie będzie pogromów ani ekscesów, będzie tylko eksterminacja kulturowa i duchowa. Ten program, mimo że bez pogromów, też mi nie odpowiada. Stąd powracam do mojej skromnej propozycji: prawo do wyjazdu dla tych, którzy chcą zachować świadomość narodową, świadomość przynależności do innej kultury...

U siebie

— Połowa z tych, którzy wyjeżdżają zmienia adres we Wiedniu i wybiera przystań gdzie indziej niż w Izraelu. Co się stało z ich świadomością narodową?

— Nigdy jej nie mieli. Ale ich przykład wykazuje jak ważna jest świadomość tej połowy, która dociera do Izraela. Bez odwagi tych, którzy ryzykują wolność nie tylko po to, aby wyjechać z ZSSR, ale po to aby dojechać do Izraela, tamci, ci którzy dziś założyli „getto w Brooklynie”, nigdy by nie wyjechali.

— Dla uniknięcia „strat” w Wiedniu niektórzy proponują zamiast tranzytu przez Wiedeń, tranzyt przez Bukareszt, gdzie wybór „adresów” jest faktycznie żaden...

— Znam ten projekt, ale to mało realne. Uniknąć strat można tylko w jeden sposób: Izrael powinien wywierać tak wielką siłę przyciągania, aby emigranci z ZSSR nie mieli wątpliwości, że ich dom jest nad Jordanem a nie nad East River, że nigdzie na świecie nie będą u siebie jak tylko tutaj.

— Pan jest u siebie?

— Tak, znajomość języka ułatwia oczywiście adaptację...

— Ma pan 29 lat, z których 8 spędził pan w gułagu. Czy łatwo wraca się do tego co ludzie nazywają szczęściem?

— Co to jest szczęście? Kiedy o 4-tej o świcie otwierano przede mną bramę więzienia w Rydze (4-ta rano jest godziną wolności w ZSSR, wychodzi się bez świadków i wzruszeń), miałem bardzo wiele projektów składających się na szczęście...

— Na lotnisku witał pana minister absorpcji Levi. Radził panu szybko się ożenić i mieć dużo dzieci. On się na tym zna (złośliwi twierdzą, że tylko na tym), ma ich dwanaścioro. Dla Alberta Schweitzera szczęście sprowadzało się do „złej pamięci i dobrego zdrowia”. Która z tych definicji panu odpowiada?

— Żadna. Propozycja Schweitzera jest za wąska, pogląd ministra Levi'ego za szeroki. Życie nauczyło mnie umiarkowania i rozwagi oraz szacunku dla kilku podstawowych zasad. Zanim dojdę do „szczęścia”, wszystko jedno w jakiej definicji, chciałbym się postarać, aby rodzina Zalmansonów mogła się kiedyś w końcu zebrać w Izraelu w komplecie. Mój ojciec ma czworo dzieci. Dwoje jest już na wolności, w Izraelu, dwoje oraz szwagier jeszcze w gułagu. Oni też mają prawo do szczęścia... w każdej definicji.

BRUKSELCZYK

Pisane 9 listopada 1978

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować *ZESZYTY HISTORYCZNE*.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F.160 (\$ USA 37; \$ Can. 44) a dla prenumeratorów *KULTURY* F. 140 (\$ USA 33; \$ Can. 40), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

Kronika kulturalna

Profesor Lipiński

Wybitny uczyony i działacz społeczny, Profesor Edward Lipiński obchodził niedawno 90-tą rocznicę swoich urodzin. Osiągnięcia Jubilata w twórczości naukowej i zasługi, jakie położył w wielu dziedzinach pracy państwowej i społeczno-politycznej, są ogólnie znane. Znane i otoczone powszechną czcią są także Jego starania na rzecz praw ludzkich i obywatelskich, a w szczególności rola, którą odgrywa w KSS „KOR”.

Redakcja *Kultury* łączy się z licznymi głosami w Polsce i za granicą życząc Edwardowi Lipińskiemu „Sto lat!”.

Na 60-lecie Witolda Wirpszy

Jest coś symbolicznego w wyglądzie zewnętrznym tych kilkunastu książek Witolda Wirpszy, które leżą w tej chwili przede mną na biurku. Najpierw parę tomików z lat 1949-56 (nie wszystkie posiadam): tandetny papier, charakterystyczne przez swą szarą brzydotę okładki. Obok okres popaździernikowy: poezje, powieści i eseje o okładkach barwniejszych, nieraz wręcz elegancjnych, lecz jednocześnie — zdradzających często konfuzję i dezorientację ilustratora. To wszystko po jednej stronie biurka. Po

drugiej sarta znacznie mniejsza: dorobek ostatniego, emigracyjnego okresu. Pięknie drukowany tomik „Drei Berliner Gedichte”, parę numerów *Kultury* ze szkicami Wirpszy, maszynopisy nie opublikowanych chyba jeszcze wierszy, które pożyczył mi ktoś ze wspólnych znajomych. I ostatnie nowości: powielony egzemplarz „Polaku, kim jesteś?”, świeżo wydany przez moich przyjaciół z Niezależnej Oficyny Wydawniczej, i, również niedawno opublikowany, siódmy numer *Zapisu* z dużym fragmentem powieści „Sama niewinność”.

Mam więc przed oczami kolejne etapy biografii twórczej Wirpszy — i zarazem kolejne formy jego obecności w krajowym życiu literackim. Formy obecności, jak łatwo dostrzec, z biegiem czasu podlegające raptownym i dramatycznym zmianom. Oto najpierw jeden z poetów socrealistycznych. Następnie — jego skrajne przeciwieństwo: eksperymentator, trudny poeta, oryginalny teoretyk, głośny w kręgach czytelniczej elity, ale przez tuzinkową krytykę pomawiany coraz częściej o uprawianie „sztuki dla sztuki” i nadmierny hermetyzm. Dalej: emigrant, który jako autor „Pole, wer bist du?” ni stąd ni zowąd okazał się pisarzem politycznym, skazanym na nieistnienie przez krajową cenzurę (sam tego doświadczyłem: z mojej książki „Ironia i harmonia” wykreślono skrupulatnie wszelkie wzmianki o Wirpszy) i obrzucanym obelgami przez zamordystyczną prasę. I wreszcie ostatnia forma pisarskiej obecności, rozpoczynająca się dopiero: obecność autentyczniejsza niż kiedykolwiek dotąd, bo nie opierająca się na famie głośnego (choć mało czytanego) eksperymentatora ani autora sławnej (lecz nie dostępnej w kraju) książki politycznej — polegająca natomiast na rzeczywistym spotkaniu z czytelnikami ponad barierą granic i komór celnych. Po numer *Kultury* z esejem Wirpszy, po powielony egzemplarz „Polaku, kim jesteś?” sięgnie dziś na pewno więcej czytelników, niż w swoim czasie sięgało po tomiki wydawane w „Czytelniku” lub w PIW-ie. Odzyskanie Wirpszy dla krajowego odbiorcy — to jeden z nieoczekiwanych aktywów w bilansie tego ruchu kulturalnego, który ogarnia od paru lat kraj.

Mam do tej twórczości szczególny, osobisty stosunek. Kiedy kilkanaście lat temu, jako nieopierzony student polonistyki zacząłem próbować sił w poezji i krytyce, książki Wirpszy należały do tych wzorców, jakie miały na mnie podówczas największy wpływ. Trochę z tym było inaczej niż u moich rówieśników. Adamowi Zagajewskiemu patronował wtedy bardzo wyraźnie Różewicz, Ewie Lipskiej — Szymborska, Ryszard Krynicki studiował pisma Peipera, a niektórych innych, np. u Jacka Bierezina, widać w tym okresie silny wpływ Herberta. Czytywałem i ja, oczywiście, tych i innych starszych poetów, wielu z nich ceniłem, niektórych podziwiałem, paru wielbiłem — ale akurat Wirpsza miał na mnie wpływ zupełnie szczególny, taki, który przenika w tkankę stylu, w rytm wiersza, w dobór słownictwa. Coś z tego pozostało chyba i do dzisiaj.

Dlaczego właśnie Wirpsza? Myślę, że szczególnie odpowiadały mi wówczas podniecające sprzeczności, jakich — przynajmniej na pozór — pełna była jego twórczość. Twórczość, według jego własnego określenia, „ludyczna” — a przecież podejmująca poważne i podstawowe problemy egzystencjalne; racjonalistyczna — a przecież wieloznaczna i tajemnicza; niechętna dydaktyzmowi i moralizatorstwu — a przecież silnie aktywizująca umysłowość czytelnika; unikająca powierzchownego, fałszywego „zaangażowania” — a przecież dogłębnie przeniknięta duchem naszej współczesności. Nie wiem, czy nie uogólniam nadmiernie mojego pojedynczego przypadku, ale wydaje mi się, że w latach sześćdziesiątych właśnie młodzi czytelnicy byli szansą Wirpszy i właśnie u nich świadome sprzeczności jego dzieła mogły znaleźć stosunkowo największe zrozumienie.

Byliśmy bowiem pokoleniem, które wyrosło w typowej dla tamtych lat atmosferze fałszywej ideowości, fałszywej jednoznaczności, fałszywego patosu. I właśnie dlatego, że w tej atmosferze się wychowało, miało jej całkowicie dosyć. Pojawiała się potrzeba takiej literatury i sztuki, która byłaby — przede wszystkim — indywidualistyczna, mówiąca we własnym imieniu, sama decydująca o własnych obowiązkach i prawach; nie manipulująca czytelnikiem, ale skłaniająca go do samodzielności; wreszcie — niejednoznaczna i niejednolita pod względem stylu, raczej ironiczna niż patetyczna, raczej ludyczna niż zdominowana przez terror wielkich słów. Potrzeby takie zaspokajał z pewnością odkrywany przez nas podówczas Gombrowicz; zaspokajał je także w pewnym stopniu cały groteskowo-absurdalny nurt popaździernikowej literatury z Mroźkiem na czele. To była jednak dziedzina prozy i dramatu. W poezji takich lekarstw na fałsz można było znaleźć bodaj nawet więcej, i to bardzo rozmaitych. Wirpsza do nich należał — i dlatego, powtarzam, pokolenie marcowe mogło być widzieć w nim jednego ze swych patronów.

Tyle, że dostęp do Wirpszy był chyba najbardziej utrudniony, wokół jego twórczości nagromadziło się już wtedy bardzo wiele nieporozumień. Białoszewski na przykład był poetą nie mniej hermetycznym i trudnym: a jednak, choć wzbudzał wrogość tradycyjnie nastawionej krytyki, miał też od samego początku znakomitych interpretatorów i obrońców; „klucz do Białoszewskiego” był czytelnikom dany. W wypadku Wirpszy brak było takiej wytworzonej przez krytykę interpretacyjnej otoczki; poza paroma trafnymi recenzjami Jana Józefa Lipskiego czy Edwarda Balcerzana nie natrafiłem nigdy na obszerniejszy komentarz krytyczny, który dałby mi do ręki „klucz do Wirpszy”. Krytyka wyraźnie nie umiała sobie z nim poradzić. Ileż natrudzić się Wirpsza, aby wytłumaczyć, co rozumie przez podstawowe dla swoich koncepcji pojęcia „ironii” czy „ludyczności” — a mimo to zawsze znajdowali się polemici, którzy wytykali mu, iż postuluje sztukę „niepoważną”. Nawet tak doskonały i wnikliwy interpretator jak Jerzy Kwiatkowski poprzestał na powierzchownym odczytaniu zbioru esejów „Gra znaczeń”, widząc w nim tylko manifest nie-

chęci do społeczno-etycznych zadań sztuki i przestrzegając: „W tej grze można wiele stracić”.

No i właśnie: dla kogoś, kto widział w tej twórczości demonstracyjne opowiedzenie się za ideą „sztuki dla sztuki”, ostatni etap działalności pisarskiej Wirpszy musiał wydać się piorunującym zaskoczeniem. Między abstrakcyjno-konceptualną powieścią „Wagary” a polityczną „Samą niewinnością”, między „formalistycznymi” esejami z „Gry znaczeń” a zanurzoną po uszy w nasze najkonkretniejsze problemy historyczno-społeczne książką „Polaku, kim jesteś?” — rysuje się z pozoru głęboka przepaść. Już druga przepaść w tej jednej biografii. Tak jak Wirpsza-eksperymentator wydawał się kimś najzupełniej odmiennym od Wirpszy-socrealisty, tak i dzisiejszy Wirpsza-pisarz polityczny sprawia wrażenie twórcy, który narodził się na nowo. Czy rzeczywiście?

Co do mnie, przepaści tu nie widzę. Rozwój twórczości Wirpszy (pomijam już nawet fakt, że niektóre z książek wydanych na emigracji powstały jeszcze w kraju) wydaje mi się może i paradoksalny, ale mimo wszystko konsekwentny i zrozumiały. Myślę, że cały okres jego pisarstwa mieszczący się w latach 1955-1970 można traktować jako — między innymi — negatywną reakcję na złe doświadczenie socrealizmu; z kolei po roku 1970 (data, powtarzam, umowna, odnosząca się nie tyle do chronologii twórczości, co do chronologii publikowania) ta antyteza przechodzi w swoistą syntezę, postawa odrzucenia przeradza się w postawę aktywnej interpretacji.

Wytłumaczę to jaśniej. Już w pierwszych utworach Wirpszy powstałych po okresie stalinowskim zwracają uwagę ostre, ironiczne wypady przeciwko wszelkim formom zadufanego utopizmu, przeciw kłamliwemu lakierowaniu pęknięć na powierzchni ludzkiej rzeczywistości. Początkowo dokonuje się to w formie wręcz satyrycznej, jak w parafrazach z Heinego czy w cyklu „Wierszyki o czasie wiecznej szczęśliwości” (z tomu „Mały gatunek”):

*Wszystko tu urządzono chytrze:
Nie ma już żadnych zanieczyszczeń,
Smrodów nie ma, cierpień nie ma,
A zamiast zwątpień jest higiena.*

W późniejszych tomach atak ten staje się bardziej pośredni, ale zarazem bardziej uniwersalny. Oto książka szczególnie charakterystyczna, tomik „Komentarze do fotografii”: cykl poetyckich polemik z wybranymi fotogramami ze słynnej wystawy „Rodzina człowiecza”. Wirpsza z premedytacją uderza tu w takie formy przesłania artystycznego, których tzw. wymowa humanistyczna wydaje się niewątpliwa, w których jednakże wyczulone oko poety dostrzega wykorzystywanie poręcznego stereotypu, manipulowanie naszymi umysłami przez tych czy innych „pedagogów”. Zdjęcie, przedstawiające spracowane ręce starej kobiety, zostaje opatrzone następującym nieoczekiwanym komentarzem:

Takowi ludzie [...]

*w celach, mówi się: pragmatycznych, powiedzą: dziatki,
Dziatki, klękajcie przed tym obrazkiem świętym (sami na
Ambonie).*

*Będziemy uciekać. Bezradność. Ręce
Wielkiego Dusiciela.*

Przeciw humanistycznym uczuciom? Nie — odpowiada Wirpsza — przeciw ich wypaczeniu, jakim jest sentymentalizm. Zwłaszcza — sentymentalizm zbiorowy. W taki właśnie sposób wyraża się w tej poezji doświadczenie obserwatora dwudziestowiecznej historii i obywatela totalitarnego państwa. W jednym z esejów z „Gry znaczeń” domaga się Wirpsza od sztuki, aby zerwała z uprawianiem „czułościowego wychowania społecznego”: „Uczuciowość człowieka nie powinna być dziedziną intersubiektywną; powinna, moim zdaniem, pozostawać w czterech ścianach jego czaszki; mamy bardzo złe doświadczenia społeczne wskutek wywoływania zbiorowych emocji lub nastrojów. Jeśliby sztuka miała spełniać takie zadania, jako zadania główne, w każdej chwili może się stoczyć do roli narzędzia demagogów”.

„Sztuka w roli narzędzia demagogów” pozostaje przez długi czas naczelnym, żeby się tak wyrazić, postrachem twórczości Wirpszy, głównym spośród jej negatywnych punktów odniesienia: wszystkie założenia programowe autora „Przesądów” stanowią mniej lub bardziej bezpośrednią konsekwencję dążenia do wyswobodzenia sztuki spod tyranii „pedagogów”, „demagogów”, obdarzonych totalną władzą manipulatorów. Można nie obawiać się błędnie powiedzieć, że twórczość Wirpszy, zanim jeszcze zwróci się ku tematyce politycznej (w ujęciu metaforycznym, jak w powieści „Wagary”, lub też dosłownym), jest już od podstaw antytalitarne: przez to, że usiłuje wypracować taki model sztuki słowa, którego totalitaryzm nie będzie nigdy w stanie zagarnąć i użyć do swoich celów. I taki zarazem model, który — jak pisze Wirpsza w innym eseju — będzie w stanie „przepędzić zmyły, które nas przejmują, gnębią i przerażają, a które są rzeczywistością naszego życia”.

Tak należy rozumieć właśnie niechęć do sentymentalizmu: nie jako opór wobec „ludzkiego uczuć”, lecz jako protest przeciwko świadomemu żerowaniu na ludzkich uczuciach. Z tego samego źródła bierze się też przejęta od Huizingi koncepcja ludyczności sztuki, a poezji w szczególności. Znowu: nie chodzi tu o jakąś — jak to starali się wmówić czytelnikom niekiedy polemici Wirpszy — „niepoważność” sztuki; rzecz natomiast w tym, że jedynie literatura pojmowana jako gra, „gra znaczeń”, jest całkowicie bezinteresowna, niepodległa zobowiązaniom narzucającym jej z zewnątrz, przez takich czy innych pozaliterackich mocodawców. Stąd z kolei biorą się dwie dalsze konsekwencje. Pierwszą jest stałe dążenie do uruchamiania wieloznaczności, do wydobywania maksymalnej wielości sensów z tego, co wydaje się znaczeniowo niepodzielne i oczywiste, do zderzania tych sensów

ze sobą, wprowadzania ich w stan konfliktu i napięcia, obejmowania całości tych napięć wszechobecną, po mannowsku rozumianą ironią. Konsekwencją drugą jest szczególna rola, jaką w tej twórczości przypisuje się czytelnikowi: tworzenie dzieła otwartego i wieloznacznego jest mianowicie odwrotną stroną takiego stosunku do odbiorcy, który opiera się na przyznaniu mu pełni praw, zwłaszcza zaś prawa do twórczego współudziału (najprostszym przykładem: w poemacie „Traktat skłamanym” numeracja kolejnych części oferuje czytelnikowi do wyboru dwa różne porządki, w jakich można odczytać całość).

Krytyczna nieufność i rozumiejąca ironia — oto wspólny mianownik poszczególnych składników programu Wirpszy. Materiałem, w którym najchętniej pracuje ten demaskator, jest mit: jeśli oczywiście rozumieć to słowo na tyle szeroko, aby znalazł się w nim i mit starożytny (nie opublikowany dotąd, o ile wiem, poemat „Faeton”), i nowożytny mit literacki (poemat „Don Juan”), i pewne odwieczne mity egzystencjalne (pojęcia wolności, przypadku i konieczności rozważane w powieściach „Pomarańcze na drutach” i „Wagary”), i zespół mitów składający się na historyczną świadomość narodu („Polaku, kim jesteś?”), i mity-stereotypy współtworzone przez dzisiejszy przekaz masowy („Komentarze do fotografii”, poemat „Apoteoza tańca”), i współczesna mitologia polityczna („Sama niewinność”). Mit, a więc każdy spetryfikowany zespół znaczeń, który wywiera na nas duchową presję, każe się odczytywać tak a nie inaczej — a w którym poeta wskazuje dodatkowe, sprzeczne wewnętrznie, komplikujące sprawę sensy.

Przypuszczam, że ten sposób podejścia do rzeczywistości nigdy nie spotka się z powszechnym aplauzem. Pomijam w tej chwili fakt, że z Wirpszą można się — co naturalne — nie zgadzać w wielu szczegółowych kwestiach (sam często się z nim nie zgadzam, czytając jego wypowiedzi w *Kulturze*, a również i z jego programem poetyckim byłbym dzisiaj skłonny dyskutować z nieco innych pozycji niż kilkanaście lat temu). Chodzi mi o sprawę ogólniejszą: taka literatura zmusza czytelnika do trwania w stanie bezustannego umysłowego pogotowia. W jej świetle nic nie jest pewne, żadna wartość nie jest niepodważalna, żadne wielkie słowo nie jest wielkie samo przez się. Jest oczywiste, że trudno byłoby wyobrazić sobie literaturę, która w całości spełnia postulat Wirpszy. W istocie równie potrzebny jest w niej drugi, przeciwstawny biegun: równie potrzebni są pisarze, którzy dają posłuch raczej naleganiom Herberta: „Powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy [...] powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem”. Być może takich pisarzy słuchamy nawet chętniej. Ale przecież i biegun, reprezentowany przez Wirpszę, nie może pozostawać pusty. Oprócz szkoły wiary umysł współczesny musi przejść również przez szkołę wątplenia. Dlatego, panie Witoldzie — oby przez drugie sześćdziesiąt lat cieszył nas Pan swoją obecnością i zmuszał do myślenia swoimi utworami.

Stanisław BARAŃCZAK

wydajny i drogi a i coraz mniej chętnych do pracy w nim. Konkluzja brzmi zaś dosłownie: „Trzeba na węglu, póki nie będzie udoskonalona jego gazyfikacja lub likefakcja (można by nieco taniej — choćby „upłynnienie” — J. A. S.), krzyżyk położyć”.

Nieco nostalgii

Złoto... węgiel... ropa — trzy bogactwa naturalne, filary gospodarki światowej, wyznaczające w ostatnich wiekach pozycje państw w tabelach ekonomicznego znaczenia. Rządziły one światem przez różne długie okresy czasu. Luzowały się wzajemnie, następowały po sobie. Po kolei grały pierwsze skrzypce w światowym koncercie gospodarczym.

Po złotym przyszło złoto czarne. Lepiej — czarne diamenty. Początek industrializacji w połowie XIX-go wieku przyniósł prymat węgla, nieodzownego wówczas składnika stali. Industrializacja stała się dopiero wtedy możliwa, gdy górnictwu węglowemu udało się uporać z problemami eksploatacji na znacznie głębszych głębokościach.

Na naszych oczach, od ćwierćwiecza dokładnie, zawrotna kariera węgla wydaje się zbliżać ku niewyobrażalnemu jeszcze przed generacją gwałtownemu końcowi.

Rynki światowe zalało płynne złoto — znacznie tańsza, wygodniejsza i czystsza w zużyciu ropa. Wyparła ona węgiel w znacznym stopniu z sektora opału domowego. Spalanie węgla stało się synonimem niskiej stopy życiowej, zacofania cywilizacyjnego, gospodarczej retardacji jak chcą jedni, lub też niewybaczalnego marnotrawstwa jak głoszą inni. Ropa odjęła węglowi i inną ważną „nogę”, na której w znacznych procentach tradycyjnie stał — kolej. Lokomotywę parową wyparła elektryczna. Elektryfikacja zaś, bazująca dotąd przeważnie na węglu, przestawiać się zaczęła coraz intensywniej na ropę. Wreszcie i u głównego odbiorcy węgla — stali zaczęły zachodzić procesy dla węgla zda się śmiertelne. Stałe ulepszanie technologii zredukowało ilość koksu potrzebnego do wyprodukowania jednej tony stali o połowę: z 1000 kg. na 500 kg. Jeszcze gorzej — i tę resztę zaczęto substytuować ropą.

Odwrót

Przemysł węglowy — zwłaszcza Wspólnego Rynku — ulegając niezwykłej mu panice, zdezorientowany lawiną ekspertyz i prognoz ekonomicznych najczęściej sprzecznych z sobą i niewytrzymujących nawet krótkiej próby czasu, przyduszony bezparadonową manipulacją cenami, mającą węgiel położyć ostatecznie na łopatkę, odpowiedział na tę niewesołą sytuację metodą drastyczną, której na imię „negatywna racjonalizacja”. Zlikwidowane zostały całe zagłębia o słabszej wydajności, wyznaczanej w bardzo

Kraj

Węgiel

BLISKI KONIEC CZY POCZĄTEK NOWEJ KARIERY?

Problem celujący w jeden z głównych nerwów polskiego życia jak niemal żaden spośród wielu aktualnych — i to nie tylko ekonomicznych — problemów światowych. Ten „słoń” nie jest tylko synonimem przesadnego czy zakompleksionego odnoszenia wszystkiego do „sprawy polskiej”.

Znaczenia węgla dla Polski dowodzić nie trzeba. Warto jednak będzie na marginesie ogólnych rozważań przypomnieć później choć kilka jego obecnych głównych aspektów. A to tym bardziej, że zagadnieniu towarzyszy bardzo szeroki wachlarz poglądów, opinii, mniemań, ba — uprzedzeń. Tak w polityce jak i w publicystyce.

Dwie świeżej daty skrajności, zestawione tu niemal frywolnie ze względu na różny ciężar gatunkowy wypowiedzi, demonstrują skalę rozbieżności zajmowanych pozycji.

Punkt XI komunikatu końcowego tzw. Światowej Konferencji Gospodarczej w Bonn (16/17 czerwca br.) wchodzący do rozdziału „Energia” głosi krótko i węzłowo: „Węgiel winien odgrywać długofalowo coraz znaczącą rolę”. Tyle panowie Andreotti, Callaghan, Carter, Fukuda, Giscard d'Estaing, Schmidt i Trudeau. I to wobec symptomatycznej niemal scenarii: niejako w cieniu zaczynających się niespełna 100 km. na północ od Bonn, w Oberhausen, olbrzymich, bo na ponad 30 mln. ton spiętrzonych hałd gór węgla i koksu, widzianych niezawodnie z tego światowego „szczytu”.

Niemal równocześnie jeden z luminarzy emigracyjnej publicystyki ekonomicznej W. A. Zbyszewski, traktując o „wojnie nacierzy z atomowcami”, napisze w londyńskim *Dzienniku Polskim* (z 24 czerwca br.), za bliżej nieokreślonymi „elektrykami”, że odmawiają oni kategorycznie powrotu do węgla, bo to i mało

pracochłonnym górnictwie (ponad połowa kosztów to robocizna) tonami węgla urobionego na jedną górniczo-dniówkę. Tak zlikwidowały swe górnictwo na przykład Holandia (12 mln. ton rocznie) i Bawaria (2 mln.) całkowicie a Belgia (z 30 na 7 mln.) i Francja (z 55 na 20 mln. ton) w znacznym stopniu. Na wielu kopalniach wszystkich krajów Europy Zachodniej wykreślono z map górniczych całe pokłady lub ich części o słabszym, zanieczyszczonym skałą płoną, trudnym do zbycia węglu, albo też zaburzone geologicznie lub przez stromość zalegania utrudniające konieczną mechanizację. Bardzo wymownym przykładem tej akcji jest Republika Federalna a w szczególności Zagłębie Ruhry, do niedawna synonim potęgi węgla i stali. Po obydwóch światówkach węgiel był tu dźwignią zrujnowanej gospodarki, jedną z głównych podwalin tak często cytowanego *Wirtschaftswunder*. Jeszcze w 1957 roku produkcja niemieckiego węgla kamiennego wynosiła ponad 150 mln. ton rocznie, a w 20 lat później już tylko 90 mln. ton.

Główną przyczyną tego stanu rzeczy — i to nie tylko w Bundesrepublik — jest trwający od kilku lat niż produkcyjny stali. Komisja Europejska jest zdania, że w obecnej sytuacji koniecznym jest dalsze ograniczanie zdolności produkcyjnej przemysłu stalowego a mianowicie z 201,5 mln. ton rocznie obecnie na jakieś 186 mln. ton w roku 1985. Dopiero na rok 1990 zapotrzebowanie ma wzrosnąć znowu na 201 mln. ton. Przemysł stalowy odczuł szczególnie mocno przesunięcia po kryzysie energetycznym 1973 roku. Zużycie stali w budownictwie jest coraz mniejsze. Podobnie jest i w przemyśle stoczniowym wobec wielkich nadwyżek tonażowych flot handlowych. Jedynie przemysły maszynowy, elektroniczny, samochodowy i rurociągowy rokują dla stali nieco lepsze widoki. Zasadniczego przełomu na odcinku stali nie widać jednak jeszcze na horyzoncie.

Pogrążony w deficytowych — nie z własnej winy — bilansach, przemysł węglowy wielu krajów utrzymywany jest przy życiu tylko dzięki potężnym subsydiom państwowym. Jedną z ich form jest kupowanie przez państwo znacznej części hałd węgla i koksu — na przykład RFN aż 10 mln. ton — i tworzenie tzw. narodowej rezerwy energetycznej w przewidywaniu mającego w połowie lat 80-tych zaistnieć wielkiego deficytu podaży energetycznej.

Perspektywy...

Pytanie zasadnicze brzmi: czy w tej sytuacji czeka węgiel tylko ów cytowany „krzyżyk” czy też istnieją realne szanse przeżycia baissy i powstrzymania zsuwania się po równi pochyłej?

Odpowiedź poważnych ekspertów jest dla węgla zdecydowanie pozytywna. Również programy rządowe prognozujące na dziesiątki lat przyznają węglowi bardzo znaczną rolę. Polityka energetyczna, która z konieczności opierać się musi na prognozach, jest zawsze polityką zabezpieczania przyszłości. W tym kontekście

cie i przyszłość węgla ma zupełnie inną, o wiele wyższą rangę niż ta, jaką mu się dziś często przyznaje bez uwzględnienia poprawki czasu, bliższej lub nieco dalszej przyszłości i związanej z nią problematyki.

Zmiany strukturalne

I w przeszłości zachodziły zmiany strukturalne na odcinku zaopatrzenia w energię — i to zmiany w skali światowej. Po okresach ciągłego wzrostu, na przykład 1860-1914 w związku z industrializacją czy 1945-1971 po rozwiązaniu problemów transportu eksploatowanych daleko od rynków zbytu ropy i gazu oraz rozbudowaniu odpowiedniej infrastruktury dostawy w krajach zużywających, następowały okresy wahań czy stagnacji, na przykład 1914-1945 z depresją 1930 czy od 1973 na skutek 4-krotnego podniesienia cen ropy w wyniku wojny na Bliskim Wschodzie.

Cały świat przeżywa obecnie przeorientowanie rynku energetycznego. Średnio- i długofalowo prowadziło ono będzie do odwracania się od ropy i gazu ziemnego a zwrócenia się ku węglowi i energii atomowej. Ten kierunek rozwoju jest logiczną konsekwencją faktycznej sytuacji na odcinku rezerw surowców energetycznych, która coraz wyraźniej wpływać zaczyna na kształtowanie się globalnego zużycia energii.

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Trzeba oto odpowiedzieć na dalsze pytanie: jak kształtować się będzie prawdopodobnie bilans energetyczny świata w ciągu najbliższych dziesięcioleci i jakie są szanse zaspokojenia tego bilansu?

Energia 2000

Bezspornym jest fakt, że światowe zapotrzebowanie na energię będzie nadal wzrastać. Silniej w krajach ekonomicznie jeszcze cofniętych, a to skutkiem większego przyrostu ludności, produkcji i stopy życiowej. Nieco słabiej w krajach uprzemysłowionych, w zależności od rozmachu dalszego postępu gospodarczego i od powodzenia programów zmierzających do planowego oszczędzania energii.

Zużycie energii na głowę w tonach tzw. „jednostki paliwa umownego”, którą przyjdzie się tu częściej posługiwać a która, odpowiadając „zawartości cieplnej 1 kg. węgla = 7000 kcal”, służy jako międzynarodowo umówiony miernik porównawczy dla paliw rzeczywistych, ma bardzo dobitną wymowę. Tak więc, podczas gdy przeważająca część krajów mających głos w ONZ zużywa zaledwie 2 t.p.u. na głowę (p.u. = skrót „paliwa umownego”), to odpowiedni wskaźnik dla czołówki światowej — Kuwaitu, Kanady i USA — wynosi 11-12 t., dla 22 % ludności świata leży on po środku tj. między 2 a 7 t., średnia zaś Europy to 5 t. Trudno nie dojść do wniosku, że ta nierówność trwać wiecznie nie może. Średnie światowe zużycie energii wynoszące dziś przy 4 miliardach ludności ok. 2 t.p.u. na głowę będzie

wzrastało. Tym samym zwiększać się będzie globalne zapotrzebowanie i zużycie energii.

Dalszy rachunek nie jest taki skomplikowany. Jeśli światowe zużycie energii w 1976 roku wynosiło 8,1 mld. (= Miliardów) t.p.u., to w roku 2000 wzrośnie ono przy założeniu rocznego przyrostu o 4,5 % na 20 mld. t. a przy tylko 3,5 % na 15 do 16 mld. t. Czyli — co najmniej podwojenie.

Pozorne paradoksy

W naszkicowanej z grubsza perspektywie bardziej zrozumiałe stają się dziwy, jakie od czasu drastycznej zwyżki cen surowców energetycznych, zwłaszcza ropy, rejestrować można na odcinku gospodarki, polityki i techniki energetycznej. Oto w wielu częściach globu tworzy się nowe potencjały produkcyjne uranu, ropy, gazu i węgla, podczas gdy równocześnie z powodu aktualnych trudności zbytowych zalegają wielkie hałdy węgla i koksu (w samej Wspólnocie Europejskiej ok. 60 mln. t.) i rud uranowych (te ostatnie odpowiadają z grubsza 3-letniemu zapotrzebowaniu) a sporo elektrowni pracuje na bardzo zmniejszonych obrotach.

Wobec powyższych, zredukowanych zresztą mocno danych prognostycznych, bo przed kryzysem 1973 roku szacunki sięgały nie 15-16 czy 20 ale 30 mld. t.p.u., przyjmuje się tak w polityce światowej jak i narodowej wielu krajów pomimo obecnej wielkiej nadwyżki za pewnik, że w przyszłości — i to nie dalekiej — zapanuje dotkliwy brak surowców energetycznych. Mane-tekel-fares energetyczne brzmi: od roku 1985 będzie bardzo krucho.

„Resource”

Pojęcie absorbujące polityków i fachowców. Jakie są zasoby światowe surowców energetycznych? Jak pokryć prognozowane zapotrzebowanie?

Wiedza o zawartości skorupy ziemskiej jest nawet w czasach oszałamiających wyczynów międzyplanetarnych bardzo jeszcze niepełna. Dowodzą tego przypominające nieco dysonanse wieży Babel a często bezkrytycznie kolportowane dane szacunkowe interesujących tu rezerw. Bez wchodzenia w polemikę ze statystykami, które beztrosko żonglują bilionami ton, przyjmujemy tu te liczby, którymi operują poważne grona międzynarodowych ekspertów i fachowców. Według nich konwencjonalne czyli fosylne zasoby wahają się między 1 a 10 bln. t.p.u. I ta ogromna rozpiętość szacunku, uwypulająca ułomność wiedzy na tym odcinku, nie wzbudza na pierwszy rzut oka zaufania. Ulega ona jednak bardzo zasadniczej relatywizacji jeśli dodać, że pierwsza liczba — 1 bln. t. — podaje tylko te rezerwy, które nadają się do opłacalnej przy dzisiejszym stanie techniki, to jest przynoszącej zysk eksploatacji. Druga zaś — 10 bln. t. — to tzw. rezerwy geologiczne, które przy obecnym stanie wiedzy zalegają jako substancje na dostępnych dla górnictwa głębokościach.

Tak więc za podstawę rozważań przyjąć należy tylko ten jeden bilion ton = tysiąc miliardów ton p.u.

Ilość ta pokrywa się bardzo dokładnie z uznanymi przez Światową Konferencję Energetyczną 1977 roku w Konstantynopolu następującymi, przeliczonymi na jednostkę umowną zasobami głównych surowców energetycznych w miliardach ton: węgla 730, ropy 134 i gazu 81. Po przeliczeniu: rezerwy węgla wynoszą prawie 80 % czyli 4/5 całych fosylnych rezerw energetycznych świata.

Dyskrepancja

Światowe surowce partycypują w zupełnie innym stosunku w zaspakajaniu potrzeb energetycznych świata, niżby to wynikało z ich zasobów. Z wymienionych już 8,1 mld. t. w roku 1976 przypadało na ropę 3,7 mld. t. = 44 %, na gaz 1,7 mld. t. = 22 % a na węgiel 2,7 mld. t. = 34 %. Tak więc ropa i gaz, których udział w rezerwach światowych wynosi tylko 20 %, dostarczają obecnie aż 66 % czyli 2/3 energii. Inna prawda brzmi: przytłaczająco przeważające zasoby węgla wykorzystywane są stosunkowo nieznacznie.

Imperatyw węglowy

W porównaniu z obecnym zapotrzebowaniem energetycznym w wysokości nieco ponad 8 mld. t. trzeba będzie na rok 1985 zmobilizować dalszych 4,5 mld. t. czyli więcej niż 50 % obecnych surowców energetycznych. A do roku 2000 dodatkowo zapotrzebowanie wyniesie 12 mld. t., co odpowiada więcej niż podwojeniu obecnego stanu.

Uwzględniając kurczenie się rezerw ropy i gazu z jednej a ostrożnie raczej oceniając zapotrzebowanie na rok 2000 z drugiej strony, dochodzi się do konkluzji, że bardzo wydatne sięgnięcie po światowe zasoby węgla jest *conditio sine qua non*. Bo zakładając nawet tzw. „przyrost zerowy” czyli stagnację zużycia a wychodząc z nadających się do ekonomicznie opłacalnej eksploatacji rezerw — z owego jednego biliona ton p.u. — dochodzi się do wystarczalności gazu ziemnego na 50 lat, ropy na 33 lata a węgla na 240 lat. Jeśli zaś zdynamizować te szacunki i założyć, że zużycie ropy wzrastać będzie o 3,5 % a gazu o 4,5 % to już w latach 90-tych nie będzie można w pełni pokryć zapotrzebowania na oba te źródła energii.

Wobec tych faktów nic dziwnego, że zagadnienie surowców energetycznych zaprzęta dziś światową opinię publiczną w takim stopniu, jak nigdy jeszcze dotąd. Świadczy to o ogromnej aktualności problemu a równocześnie sprawia niestety, że koszmar braku surowców nie przyczynia się do urzeczowienia dyskusji.

Pochodne węgla

Energetyczna przyszłość wielu krajów nie jest do pomyslenia bez węgla i bez produktów jego uszlachetnienia. Prócz zadań *par excellence* przemysłowych (stal, chemia) węgiel musi w formie paliwa płynnego i gazowego substytuować ropę i gaz.

Benzyna syntetyczna z węgla — możliwość znana od 1927 roku — nie oznacza, że węgiel zastąpić ma kiedyś całkowicie ropę. Intensywne wysiłki nad udoskonaleniem metod produkcji trwają od lat wielu. Opłaczalnie pracować może dopiero duży zakład upłynniający 10.000 ton węgla dziennie, co odpowiada dziennej produkcji dzisiejszej dużej kopalni. Ulepszanie technologii z jednej a wzrost cen ropy z drugiej strony pracują na korzyść węgla.

Podobnie z przemianą węgla w gaz, metodą znaną od lat 30-tych, technicznie dziś rozwiązana. Stereotypowo problem przedstawia się tak: gaz z węgla — nowoczesne elektrownie na bazie gazu węglowego — zmniejszenie zanieczyszczenia środowiska — lepsze wykorzystanie mocy węgla. Bo straty tego wyjściowego źródła energii, wynoszące dziś ok. 70 %, spadają przy zgazowaniu węgla metodą konwencyjną do 49 % a za pomocą reaktorów jądrowych do 36 % tylko — ale na te ostatnie poczekać przyjdzie do lat 90-tych.

Energia atomowa

Możliwości energii atomowej, uważane często za przysłowiową ostatnią deskę ratunku, oceniane są dziś w całym świecie znacznie krytycznie.

Energia jądrowa nie jest i być nie może alternatywą węgla, jak to nierzadko starano się konstruować. Zupełnie bezzasadnie. Nie można wygrać jednej formy energii przeciw drugiej. Bo nie tylko te dwie są nieodzowne. Potrzebne światu są wszystkie źródła energii a więc łącznie z tzw. regenerującymi się, jak wiatr, woda, przyptywy i odpływy morskie, temperatura wody morskiej, słońce czy jego kolektory, etc. Praktyczne zastosowanie znaleźć może energia atomowa tylko w sektorze prądu elektrycznego. Dlatego może ona przynieść tylko częściowe odprężenie przy substytuowaniu ropy.

Według optymistycznego szacunku Konferencji Energii Atomowej zwołanej w maju 1977 roku do Salzburga przez Organizację Energii Atomowej (IAEO) udział tej energii w roku 2000 wyniesie 3-4 mld. t.p.u. czyli zaledwie 15-20 % zapotrzebowania światowego. Tak więc 2/3 do 3/4 przyrostu pokryć muszą konwencjonalne źródła energii, co oznacza mniej więcej podwojenie ich obecnego wkładu.

Bez wchodzenia w skomplikowaną a ostatnio coraz bardziej burzliwą problematykę energii atomowej — akcja protestu w skali światowej, kwestia bezpieczeństwa, unieszkodliwienia radioaktywnych odpadów czy „popiołów”, ochrona środowiska jako program powstających jak grzyby po deszczu nowych partii politycznych, kartel reglementujący dostawy uranu, itd. — wymienić tu trzeba fakt zasadniczej wagi, a mianowicie wielkie opóźnienia zamierzeń produkcyjnych. Oto w oparciu o sformułowane po kryzysie ropnym przez USA, Japonię i Wspólny Rynek plany odnośnie energii atomowej Międzynarodowa Organizacja Energii

Atomowej (IAEO) podwyższyła swe prognozy na rok 1985 odnośnie zainstalowanej mocy światowych elektrowni atomowych (bez Chin) na 700 do 890 gigawatt co odpowiada pokryciu 1,5 mld. ton energii. W międzyczasie okazało się, że na skutek znacznie dłuższych terminów budowy dokonać trzeba bardzo drastycznej poprawki: nie 700 ale zaledwie 350 GW czyli w najlepszym wypadku tylko połowę uda się zrealizować.

... I „PERSPECTIVES”

Kryzys ropny 1973/74, utykanie rozwoju energii atomowej i oczywiste widmo wyczerpywania się węglowodorów, ropy i gazu, przymusiły do gruntownej analizy położenia i do nowego sformułowania światowej polityki węglowej.

Bardzo kompetentne gremium a mianowicie Economic Commission for Europe przy UNO z siedzibą w Genewie, w skład której to komisji — *contra nominem* — wchodzić prócz 22 krajów Europy Zachodniej (wraz z Turcją) i Wschodniej również USA i Kanada, a w której pracach partycypowała i Australia, dokonała w 3-letniej niemal pracy analizy pt. „Perspectives of the coal industry in the ECE region”. Wyniki opublikowane w studium perspektywicznym „Coal 1985 and beyond” są z wielu względów — a dla Polski w szczególności — interesujące.

Oto dla całego „regionu ECE”, a więc dla Ameryki północnej i dla Europy łącznie z Rosją, przewiduje się, że do roku 1985 liczyć należy z 3- lub 4-krotnym przyspieszeniem popytu na węgiel i takimż jego produkcji przy przeciętnym rocznym przyroście o 2,7 %, który między 1961 a 1973 wynosił tylko 0,9 % a więc praktycznie stagnował. Oznacza to absolutny wzrost zapotrzebowania na węgiel o 38 % czyli o ok. 2/3 miliarda ton p.u. rocznie, z czego na Europę Zachodnią przypada 40-45 mln. ton, na Amerykę 330-340 mln. ton a na Europę Wschodnią 225-290 mln. ton p.u.

Gigantyczna perspektywa. Szanse realizacji leżą w ścisłej współpracy międzynarodowej, przy której zagadnienia takie, jak poprawienie konkurencyjności rynkowej, szybkie wprowadzenie nowych technologii (szczególnie transportu na kontynentalne i międzykontynentalne odległości), eksploatacji na większych jeszcze niż dziś (1200 m.) głębokościach oraz zapewnienie wysokiej produktywności dadzą się szybciej i taniej rozwiązać.

Trzem członom ECE przypisać mają przy tym różne role. Podczas gdy Ameryka Północna i Europa Wschodnia podniosą produkcję tak, by nie tylko pokryć własne zapotrzebowanie ale i przejąć zadania eksportowe, to dodatkowe zapotrzebowanie Europy Zachodniej mają pokryć importy z innych części ECE i spoza nich.

Symptomy

Dwa nowe zjawiska.

Pierwsze — to wzrastająca stale intensywność eksploracji tak węgla kamiennego jak brunatnego. Kilka przykładów w milionach ton: w Wielkiej Brytanii: Selby — 400, Belvoir — 500, Thorne — 100, Musselburgh — 50, Coventry — 200; w RFN: Bottrop — 450; w CSSR: Ostrawa-Karwina — 400, Slany — 170; Brazylia: Rio Grande do Sul — 2.800, Santa Catarina — 760; Węgry: Torony — 550 (węgiel brunatny); Turcja: Anatolia — 125; Indie: zach. Bengalia — 135.

Drugie — to niezwykła aktywność zagraniczna krajów przemysłowych w formie wykupywania kopalń często „na drugim końcu świata” celem wzmocnienia własnej bazy zaopatrzeniowej. I tak Charbonage de France już w 1974 roku nabyła do spółki z francuskim przemysłem stalowym akcje amerykańskiej Hawley Coal Mining Corporation w zach. Wirginii, przejmując produkcję dwóch kopalń. Pod koniec zaś 1976 roku CdF razem z Imétal (należącym do grupy Rothschilda) posiadała opcję nabycia 50 % udziałów w australijskiej Wambo Mining Corporation PTY, dysponującej 300 mln. t. Ta transakcja ma na oku stal japońską jako odbiorcę. Dawni potentaci węglowi Niemcy zredukowali własną produkcję drastycznie, ale dziś też plasują swe stale wzrastające zainteresowanie węglem za wielkimi wodami. Wielki koncern Ruhrkohle AG, zrzeszający 90 % węgla niemieckiego, jest dziś właścicielem kopalń w USA (Kentucky, West Virginia), w Kanadzie (Sachson) i w Australii (Queensland). Nawet Rumuni kupili jedną kopalnię w USA. Przedsięwzięcia nie pozbawione zapewne ryzyka. Ale widocznie konieczne.

Swoistym — tylko pozornym — *curiosum* jest fakt, że ostatnio coraz bardziej interesują się węglem i koncerny naftowe. Widać to po aktywności, jaką na tym odcinku rozwijają Esso, Shell, BP i Gulf.

Pentalog węgla

Orientacja na węgiel, jako główne źródło energii i surowiec przyszłości, ma następujące podstawy:

1. Jest to jedyny surowiec energetyczny rozsiany szeroko po świecie i posiadający wystarczające na przyszłość zasoby.
2. Światowe zasoby węgla są bez porównania większe, niż rezerwy ropy i gazu ziemnego. Szczególnie państwa uprzemysłowione rozporządzają wielkimi ilościami węgla.
3. Zwiększenie produkcji węgla jest możliwe w całym świecie w stosunkowo krótkim czasie tak pod względem technicznym jak i geologicznym.
4. W całym świecie zainicjonowane programy badawcze i roz-

wojowe w dziedzinie eksploatacji, transportu, uszlachetniania i zużytkowywania węgla sygnalizują szczególnie pozycję tego surowca w najbliższych dziesięcioleciach.

5. Tylko górnictwo narodowe o wysokiej wydajności zapewnić może zaopatrzenie kraju w konieczne do życia podstawowe surowce a przez to stworzyć podstawy dla podnoszenia stopy życiowej. Kryzys ropy z jesieni 1973 roku uwypuklił wielkie niebezpieczeństwo płynące z uzależnienia od niepewnych źródeł dostaw, podniósł rangę własnych zasobów surowców energetycznych.

WĘGIEL POLSKI

Węgiel polski był podstawą gospodarczą Drugiej Rzeczypospolitej. Dla niego w znacznej mierze powstała Gdynia i wiodąca ku niej magistrała kolejowa. Dzięki niemu Polska wypłynąć mogła choć w skromnych wówczas rozmiarach na morza nowoczesnymi, budowanymi w Italii transatlantykami.

Dziś Polska z roczną produkcją 186 mln. ton zajmuje czwartą lokatę w tabeli światowej po USA (580 ton), Rosji (550 ton) i Chinach (480 ton). Po USA jest Polska drugim eksporterem węglowym świata z 39 mln. ton tj. 21 % wydobycia. Niemal 2/3 czyli ok. 25 mln. ton idzie do krajów zachodnich (Wspólny Rynek — 15 mln. t., reszta Europy — 7 mln. t., kraje zamorskie 3 mln. to), a 14 mln. ton do tzw. krajów socjalistycznych.

Wielce charakterystycznym dla wysiłków polskiego eksportu jest projekt hydraulicznego transportu z Katowic do Triestu, który jest ważnym dla Polski portem przeładunkowym. Italia jest po Francji (ok. 6 mln. ton) najważniejszym importerem: w roku 1977 zakupiła ponad 3 mln. ton. Plany budowy tego pipeline węglowego opracowane zostały wspólnie z włoskim koncernem stalowym Finsider. Plan realizacji obliczany jest na 4 lata a finansowany ma być według wzorca rurociągu gazowego między Rosją a RFN.

Perspektywy rozwojowe na najbliższe dziesięciolecia operują zawrotnymi liczbami. I tak już w jesieni 1980 roku produkcja węgla polskiego ma wzrosnąć do 210 mln. ton. Część tego przyrostu pochodzić będzie z czynnych obecnie kopalń. 18 z nich podanych zostanie już w 1978 roku rozbudowie i modernizacji, dzięki czemu ich obecna zdolność produkcyjna wzrośnie o przeciętnie 70 %. W powstającym Zagłębiu Lubelskim pierwsza kopalnia „Bogdanka” osiągnie w 1984 roku produkcję 3,6 mln. ton a całe zagłębie w 1990 r. 16 mln. ton, zaś w 1995 r. 24 mln. ton.

Polski bilans energetyczny, opierający się na opracowaniach komitetu „Polska 2000” wykazuje konieczność podwojenia produkcji węgla kamiennego do jakichś 360 mln. ton rocznie i do potrojenia wydobycia węgla brunatnego z obecnie 38 mln.t. na 110-120 mln. ton.

Czy jest to do zrealizowania?

Chyba tak. Optymizm uzasadniają liczby rozwojowe: w ostatnich 25 latach produkcja węgla kamiennego wzrosła z 75 mln. t. w r. 1950 do 170 mln. t. w r. 1975 a więc o 130 % albo o 4 mln. t. rocznie. Odkrycie i udostępnienie w międzyczasie nowych zasobów jest argumentem dodatkowym.

Węgiel przestał wprawdzie odgrywać wyjątkową niemal rolę w gospodarce polskiej i tak jest dobrze. Powstały bowiem czy rozbudowane zostały wielkim narodowym wysiłkiem i wielkimi ofiarami dalsze filary tej gospodarki, liczące się już dziś w świecie: przemysł stalowy i stoczniowy, górnictwa siarki i miedzi. Ale węgiel odgrywa nadal i odgrywać będzie w tym koncercie rolę główną. W roku 2000 zwiększona produkcja węgla pokrywać ma ok. 80 % energii elektrycznej, całe zapotrzebowanie przemysłu na koks i inne paliwa stałe oraz opał domowy. Wielkie nadzieje wiąże się również i w Polsce z rozwojem technologii upłynnienia i zgazowania węgla. Ta gałąź przemysłu ma coraz mocniej partycypować w pokrywaniu zapotrzebowania energetycznego od ostatniej dekady tego stulecia.

POLSCY „WĘGLARZE”

Bez słowa o nich szkic ten nie byłby pełny.

Trud polskich górników, techników, inżynierów i naukowców dokonał i stale dokonuje osiągnięć wielkich. Taka jest wymowa choćby powyższych cyfr rozwojowych. Dokonania tym wyższej godnej oceny, gdy zważyć znane trudności im towarzyszące a związane z indolencją systemu politycznego, ciężącego nad krajem. Dlatego też z oburzeniem kwitować trzeba sporadyczne wymądrzenia się niektórych enuncjacji emigracyjnych, zaprawionych równie ignorancją jak i zaślepieniem, a pomawiających inżynierów polskich ni mniej ni więcej tylko o... niedouczenie.

Dlatego w tym miejscu drobny ale jakżeż symptomatyczny przykład polskiego trudu inżynierskiego z autopsji. Oto w Nowej Rudzie k. Wałbrzycha trzeba było z początkiem 1946 roku uruchomić prężalnię łupku przy kopalni „Nowa Ruda”. Ten łupek, normalne zanieczyszczenie węgla, uciążliwy balast, jest w Nowej Rudzie przy dobrym gatunku węgla koksującego kopalni, produktem właściwie głównym. Wyprażony nadaje się doskonale do produkcji wysokowartościowych wyrobów ogniotrwałych. Istna kopalnia złota niejako. Wraz z Niemcami zniknęła z prężalni cała dokumentacja techniczna, w szczególności zaś „recepta” chemiczna. Polska tamtych dni nie miała, bo i mieć nie mogła, starych fachowców w tej branży. Co robić? Krakowska Akademia Górnicza wysłała do Nowej Rudy przedwojennego absolwenta, dając mu jako wiatyk na drogę... temat pracy dyplomowej: uruchomienie owej prężalni. Dyplomant — zapiszmy nazwisko, bo warto: Wucen — z zadaniem się uporał, prężalnia ruszyła. *Pars pro toto...*

Krakowska górnicza Alma Mater im. Stanisława Staszica,

a po wojnie i młodsze jej siostry, wydziały górnicze przy politechnikach gliwickiej i wrocławskiej wykształciły wiele pokoleń górniczych fachowców, których można pokazać i których się pokazuje w całym świecie. Bo wszystkie przodujące kraje górnicze świata uprawiają na dużą skalę tzw. *mining consulting*, eksportują *know-how*. Polskie zespoły naukowe i produkcyjne pracują na całym globie, budują i uruchamiają całe zakłady górnicze. Polacy są w kołach fachowych poważanym i cenionym partnerem.

Niekoronowanym królem „węglarzy” całego świata był nieodżałowany, zmarły przed kilku laty, krakowski profesor Bolesław Krupiński, naukowiec i praktyk zarazem pierwszej wody. Był szefem wielu krajowych instytucji górniczych z Głównym Instytutem Górnictwa na czele. Niepartyjny, dźwigał jako wiceminister-fachowiec odpowiedzialność za rozwój całego polskiego górnictwa w najcięższym dla niego okresie. Z inicjatywy prof. Krupińskiego powstał międzynarodowy komitet organizacyjny Światowych Kongresów Górniczych, któremu Profesor przydykował od 1956 roku aż do śmierci. Pierwszy kongres odbył się w Warszawie w 1958 roku. Ostatni, dziewiąty z rzędu, miał miejsce w Düsseldorfie w maju 1976 roku przy udziale ok. 1.500 uczestników z całego świata, zajmując się — jak i poprzednie — aktualnymi i przyszłymi problemami rozwojowymi, podniesieniem produktywności, polepszeniem bezpieczeństwa pracy, kształceniem i doksztalaniem kadry technicznej, lepszą ochroną środowiska. W dobrym tego słowa znaczeniu górnicza, sprawnie funkcjonująca międzynarodówka.

Przydykował i tym razem Polak — prof. Mroczkowski. Ta bowiem polska, niezmiernie ważna i powszechnie ceniona, inicjatywa została nagrodzona zaszczytem i trudem tradycyjnego polskiego przydykowania.

Jan A. SZPONDER

O niszczeniu środowiska na Śląsku

Co zakrywa zieleń?

Gdy zaczyna się wiosna kamienne i żuźlowe pustynie w Katowicach i innych miastach Śląska pokrywa zieleń. I chociaż nocą

żadna lampa nie oświetla tych ugorów, to jednak w dzień zapraszają do spacerów. Niestety są to tylko pozory.

U wylotu ulicy 1-go Maja, stanowiącej przedłużenie ulicy Warszawskiej (centralnej ulicy Katowic) ciągną się hałdy kamieni i ziemi wydobywanej z sąsiedniej kopalni. Łączą się z nimi stare zwały żużla wywożonego z huty cynku w Szopienicach. Podobne zwałowiska zdobią centralną ulicę Bytomia, a w wielu innych miastach i osiedlach, chociaż porośły już trawą i nawet drzewami, które zasiał wiatr — to jednak nie tylko są nieużytkami, ale ludzie wiedzą że nawet przejście tamtędy jest możliwe tylko po ścieżkach. Poza nimi czyhają odłamki drzewa z obudowy górniczej, sterczy czerwona cegła i kamienie, a roślinność, która tu i ówdzie zwyciężyła w walce o swój byt, jest tak silnie pokryta opadami smolistego pyłu, że dotknięcie powoduje pokrycie ciała trudno zmywalną czernią, a ubranie na ogół nadaje się tylko do wyrzucenia.

Szosa prowadząca z Bytomia poprzez Godulę do Nowego Bytomia biegnie po wąskim nasypie, bez żadnego zabezpieczenia. Po obu stronach ciągną się głębokie stawy wody kopalnianej. Od czasu do czasu słyszy się o wypadkach utopienia się i ciągle straszy okolicznych mieszkańców wspomnienie samochodu, który utonął w tym stawie, gdy samotny taksówkarz wracał do domu w czasie burzy.

W rejonie przemysłowym Śląska takich hałd i rozpadlin wypełnionych wodą jest wiele dziesiątków. Niektóre z nich, jak między Łagiewnikami a Bytomiem, zamieniły się w bagniste siedliska komarów i much.

Uporządkowane centrum Chorzowa, w którym kosztem setek milionów złotych zbudowano wiadukt komunikacyjny posiada tuż obok tego „pomnika nowoczesności” dwa inne pomniki bezsensownej gospodarki. Centralny plac obok huty „Kościszko”, któremu nadano nazwę placu Hutników zbudowano na zmagazynowanej tam rudzie żelaza. Ta ruda, na pewno nie najlepszego gatunku, posiada jednak swą wartość metalurgiczną wyższą od rudy wydobywanej w kraju. A przecież do ceny, którą za taką rudę płaciły huty żelaza dopłacano do każdej tony około 350 zł. Huta „Kościszko” od wielu lat dusi się w Chorzowie i wydłuża swe usypiska w kierunku Bytomia. Oczywiście w tym wypadku nie chodzi o to kto zwycięży w tej walce, miasto czy Huta — ale ile te zmagania kosztują. Oto jedną z ofiar tej walki (około 1955 r.) stała się przed laty fabryka materiałów ogniotrwałych, najbliższy sąsiad Huty, który jej dostarczał cegieł niezbędnych do budowy i remontów urządzeń piecowych. Na fabrykę posypały się pociągi gorącego żużla z wielkich pieców i stalowni, a po kilku latach fabryka zniknęła pod hałdami. Hałdy urosły w górę i w szerokość. Dzisiaj straszy ludzi jadących tramwajem zwalisty kanion o ścianach wysokich na kilkadziesiąt metrów. Ściany są przy tym czerwone od hutniczej lawy (żużla).

Do walki o zastąpienie zniszczeń poczynionych w środowisku

poświęcono prócz pieniędzy państwowych wiele milionów dniówek niezapłaconej pracy społecznej. Ale choćby liczba pracujących była kilkakrotnie większa, to potrafi ona tylko powierchowicie oszukać przypadkowego przechodnia. Stałych mieszkańców te pozory nie mylą.

Co ukrywa statystyka?

Od czasu uruchomienia Huty „Katowice” nawet zielone pola za Dąbrową Górniczą straciły swój koloryt. Wytrzebiono znaczne połacie lasów, a spiekalnie miążkiej rudy żelaza wytrząsają ze swych ogromnych taśm tysiące ton koloidalnych pyłów na całą okolicę, jak daleko sięgnie wiatr.

Wiatry nie omijają centrum przemysłowego, a zieleń tylko w pewnym stopniu ogranicza lotność pyłów wydmuchiwanymi przez piece hut żelaza i stali, cynku i ołowiu i wielu innych zakładów przemysłowych. Prócz pyłów, które już opadły i nieustannie są gotowe wznowić swe powietrzne wędrówki — na każdy kilometr tego rejonu spada (średnio) każdego dnia w roku po 1470 kg. pyłów. Fachowcy (ze Śląskiego Instytutu Naukowego) obliczyli, że jest to około 800 kg. więcej niż może przyjąć bez fatalnych skutków dla zdrowia ludności całe to śląskie środowisko. Wiatr miota mikroskopijnymi pociskami i często trafia w oczy przechodniów. Ambulatoria, szpitale a szczególnie klinika okulistyczna (przy ulicy Francuskiej) w Katowicach opatruje codziennie ludzi, którzy nie potrafili sami oczyścić oczu. Bardzo często zabiegi wymagają trwałych opatrunków. Można by sądzić, że w mieście panuje epidemiczna choroba oczu, tak wielu spotyka się ludzi z opatrunkami.

Prócz pyłów żużla, smolistego węgla i innych odpadów przemysłowych — powietrze jest zmieszane obficie z gazami przemysłowymi. W tych latach, gdy jeszcze ilość trucizn krążących w powietrzu pozwalała kontroli państwowej na traktowanie tej informacji jako poufnej (tj. do 1973 r.), ilość ta przekraczała dopuszczalną normę dwukrotnie. Wtedy już w każdych 100 cm. powietrza atmosferycznego krążyło 2,18 mg. zanieczyszczeń, złożonych głównie z dwutlenku siarki i dwutlenku ołowiu. Ale tych trucizn narosło w latach dalszych tak wiele, że uznano za stosowne zlikwidować najpierw publikowanie wiadomości na ten temat. Później zaś nawet zakazano gromadzenia ich w tajnych archiwach. W statystyce oficjalnej omija się dane o Górnośląskim Okręgu Przemysłowym włączając je do danych ogólnokrajowych. Można by powiedzieć, że czystość powietrza w Beskidach, a nawet w parkach narodowych wyrównuje zanieczyszczenia na Śląsku. Na podstawie obowiązujących tutaj poprzednio wytycznych Komitetu Wojewódzkiego PZPR przeprowadzono pomiary w okresie lata, gdy zużycie ciepła i paliw jest znacznie mniejsze nie tylko w zakładach przemysłowych, ale przede wszystkim w ogrze-

waniu mieszkań. Jeżeli więc dane statystyczne zawierały wówczas około 70 % prawdy, to obecnie już tylko 20 %.

Poza zanieczyszczeniami w postaci pyłów i gazów, wysyłanymi w powietrze — zakłady przemysłowe znaczną ilość swoich odpadów kierują do rzek i strumieni. Jedną z najbardziej zanieczyszczonych rzek tego rejonu jest Rawa, która przepływa przez centrum Katowic. W okolicy rynku od dawnych hal targowych (ulica Piotra Skargi) do ulicy Bankowej — wody Rawy przykryto tu i ówdzie nawierzchnią z konstrukcji betonowej. W ten sposób usiłowano zlikwidować w centrum miasta legowiska szczurów, a gdy to nie pomogło zlikwidowano wszystkie hale targowe w Katowicach. Mimo to, jak mówią mieszkańcy Katowic, woda w Rawie jest tak zanieczyszczona, że przestała nawet być mokra i toczy swe zwały tłuszczów i innych zanieczyszczeń leniwymi strugami, które to czego upchać nie mogą osadzają na brzegach. Wszystkie wody w dorzeczu Odry wykazują zanieczyszczenie w 90 % odpadami przemysłowymi. Prócz Rawy najgroźniej przedstawia się sytuacja w rzekach Kłodnica i Bytomka. Niewiele lepszy jest stan w dorzeczu Wisły, a szczególnie w Przemszy i Brynicy. Ulubiony odpoczynek śląskich górników i hutników z wędką nad wodą należy do przeszłości, a dla kąpieli w rzece trzeba pojechać przynajmniej do Oświęcimia nad Sołę. Tak było do niedawna, a obecnie jest jeszcze gorzej. Od chwili uruchomienia Huty „Katowice” oczyszczalnie wody w Katowicach i innych miastach Śląska nie nadążają swym zadaniom. Niemal codziennie trzeba ograniczać dopływ wody do poszczególnych dzielnic. Zmienia się tylko ich kolejność.

Zanieczyszczenia w wodach powierzchniowych i w dolnych warstwach powietrza spowodowały także skutki wtórne. Dawne badania meteorologiczne, przeprowadzone w 1921, wykazywały liczbę dni, w których występują zamglenia na 10 w ciągu roku, ale w 1960 roku ilość ta wzrosła do 110 a w 1972 roku do 183. Takie informacje zostały wówczas opublikowane. W Chorzowie, Świętochłowicach i Bytomiu liczba dni pogodnych w roku obniżyła się do 42. Mgły i pochmurne niebo, jak twierdzą biometeorologowie, pogarszają stan zdrowia psychicznego a nawet fizycznego mieszkańców i powodują wzrost liczby wypadków przy pracy i w ruchu drogowym.

Człowiek może dużo wytrzymać

Te wszystkie przejawy niszczenia środowiska, w którym żyje i pracuje około 3 milionów ludzi są skutkiem nieustannie pogłębiających się oszczędności, które rządy Gierka stosują nie tylko na odcinku żywności i komunikacji miejskiej, ale także wydatków na urządzenia do oczyszczania powietrza i wody. Skreślenie wydatków na budowę fabryki powoduje brak wyrobów, które można przeznaczyć na eksport, ale gdy w tej fabryce (i w dziesiątkach innych) wyda się po kilkanaście milionów mniej na

ochronę zdrowia ludności żyjącej w pobliżu tych fabryk — to odczują to tylko chorzy i może lekarze będą wiedzieli z czego te zachorowania powstały. Ale za rządów Gierka i tak nikt tego głośno nie powie. Korzystanie z czystego, niezatrutego środowiska stanowi niezaprzeczalne prawo każdego człowieka (nie tylko obywatela) ale są to niestety problemy życia, do obrony których nie starczy jeszcze sił w społeczeństwie.

Przepisy państwowe regulujące rozmiary dopuszczalnych zanieczyszczeń a ogłoszone w formie rozporządzenia premiera (*Dziennik Ustaw* nr 19 z 1972 roku) pozostają martwą literą. Braki żywności, stale utrzymujące się nawet w rejonie najczęściej pracujących miast śląskich, znane są w całej Europie. Podobne lekceważenie zdrowia ludzi wykazuje fatalny stan komunikacji miejskiej. O ochronie środowiska mówi się dla celów propagandowych, ale nie dla ich poprawy. *Trybuna Robotnicza* (nr 307 z 1968) przyniosła tekst przemówienia ówczesnego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR E. Gierka. Pod hasłem „zdrowie ludzkie sprawą najważniejszą” stwierdził on, że „roczny opad pyłu na 60 % powierzchni naszego regionu w wielu wypadkach dwukrotnie przekracza dopuszczalne 250 ton na kilometr kwadratowy”. Ale w wypowiedzi tej chodziło w istocie jedynie o krytykę polityki inwestycyjnej Wł. Gomułki na Śląsku. W kilka lat później „poprawiono” sytuację przez zlikwidowanie informacji. W myśl zasady, że ludzie nie zauważą, a zdrowie „wytrzyma”.

Ale poza informacją statystyczną pozostaje cały szereg ostrych sprawdzianów. Wystarczy zapytać przechodnia na ulicy, czy może mieć na sobie czystą koszulę dłużej niż trzy-cztery godziny; czy ludzie są w stanie utrzymać w czystości mieszkania, gdy każdej minuty, przez każdą najmniejszą szczelinę wdziera się koloidalny pył, którego drobne cząsteczki związane są kleistą mazią o konsystencji zbliżonej do smoły; gdy otwarcie okna w mieszkaniu jest czynem odwagi a nawet rozpacz; jak liczne są opatrunki ambulatoryjne pacjentów, skarżących się na zapylenie oczu. Wystarczy popatrzeć na liście na drzewach, które ciemnieją w trzy tygodnie po zazieleniu. Takiej statystyki wynikającej z bieżącej obserwacji nie da się zmienić przy skreślaniu wydatków na ochronę zdrowia.

Józef WRÓBLON

Najnowsze wiadomości z Polski

12. 9. 1978 aresztowany został Henryk Jagiełło, 30 lat, porucznik Marynarki Wojennej w Gdyni. Prokurator zastosował areszt tymczasowy, stawiając zarzut z art. 271 par. 1, w związku z art. 173 par. 2. Pierwszy

mówi o rozpowszechnianiu fałszywych wiadomości, mogących wyrządzić istotną szkodę interesom PRL, a drugi o rozpowszechnianiu drukiem materiałów, zawierających treści określone w art. 271. Chodzi o to, że H. Jagiełło był w posiadaniu 1 egz. *Opinii* i 1 egz. „Bratniaka”. W związku z tą sprawą przesłuchiowano uczestników gdyńskiego Ośrodka Duszpasterstwa Akademickiego i Przykościelnego, kościoła św. Serca Jezusowego.

4. 11. 1978. W końcu października br. Podstawowa Organizacja partyjna PZPR oddziału Warszawskiego Związku Literatów uchwaliła rezolucję, która m.in. wzywa do potępienia pisarzy publikujących w „wiadomych” pismach za granicą.

5. 11. 1978 w Radomiu w godzinach popołudniowych zatrzymany został Zdzisław Szpakowski, redaktor czasopisma *Więź* i wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Szpakowski jechał do radomskiego duszpasterstwa na wykład w związku z 60-leciem odzyskania niepodległości. Po 48 godzinach został on zwolniony, przy czym w Komendzie MO mu powiedziano, że nie wolno mu przebywać w Radomiu nakazując natychmiastowe opuszczenie miasta.

10. 11. 1978 odbyła się w Lublinie rewizja w mieszkaniu Zdzisława Jamrożka (punkt konsultacyjno-informacyjny ROPCiO). Poprzedniego dnia, również w Lublinie funkcjonariusze MO zatrzymali Sławomira Rybickiego i Wojciecha Lewandowskiego, uczniów miejscowego liceum, za rozwieszanie ogłoszeń o mszy niepodległościowej 11 listopada. Dnia tego w całej Polsce odbyć się miały msze św. z okazji rocznicy odzyskania niepodległości. Na Komendzie MO S. Rybickiego kopnięto.

10. 11. 1978 odbyły się rewizje i zatrzymano: Pawła Miklasza — zabrano 5 tys. ulotek, Edwarda Staniewskiego i Emila Morgiewicza, u którego również skonfiskowano 5 tys. ulotek przygotowanych na rocznicę odzyskania niepodległości.

11. 11. 1978 w Warszawie odbyła się uroczysta msza w katedrze. Około 25 tys. osób zebrało się w katedrze, słuchając mszy świętej za pośrednictwem głośników w pobliskim kościele oo. Jezuitów i na ulicy Świętojańskiej, która wypełniona była tłumem ludzi. Oświadczenie KSS „KOR” kolportowali jego członkowie, przede wszystkim Aniela Steinsbergowa, Ludwik Cohn (były z-ca delegata rządu na kraj), Jerzy Ficowski (zatrzymany w tym czasie przez MO), Edward Lipiński, Antoni Pajdak, Adam Szczypiorski, Jan Józef Lipski i Jacek Kuroń. Po mszy zebrani ruszyli w kierunku Grobu Nieznanego Żołnierza na Placu Zwycięstwa. Olbrzymi, kilkunastotysięczny tłum szedł ul. Świętojańską, Placem Zamkowym. Co pewien czas zgromadzeni schodzili z chodnika na jezdnię tworząc pochód, pojawiły się sztandary narodowe. Umundurowana (nieliczna) milicja regulowała ruch, nie utrudniając przejeżdżania. Na placu przed Grobem Nieznanego Żołnierza zebrało się kilkanaście tysięcy osób. Składano wieńce, wianki kwiatów (m.in. różne ugrupowania w ramach ROPCiO złożyły wieńce), tworzyły się grupy wokół przemawiających mówców, śpiewano kilkakrotnie „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Rotę” i inne pieśni patriotyczne, dało się słyszeć okrzyki na rzecz demokratycznej opozycji, niezależnej prasy polskiej.

Milicja nie utrudniała spokojnego rozejścia się zebranych. Dostrzec można było poważną liczbę niemundurowych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa.

Do Komitetu KSS „KOR” przystąpili: Wiesław Kęcik, działacz chłopski, współpracownik Komitetu Obrony Robotników, w procesie „Ruchu” skazany na 3 i pół roku więzienia, które odbył w całości oraz Jerzy Nowacki, członek

założyciel SKS w Poznaniu. ■ Rada Fuduszu KSS „KOR” ogłosiła sprawozdanie finansowe za okres 20. 9. 1977 - 20. 9. 1978. Na pomoc finansową i prawną, udzielaną ofiarom niepraworządności przez Biuro Informacyjne KSS „KOR” — milion złotych; na wspomaganie działalności oświatowej TKN i na pomoc osobom prześladowanym za udział w jego działalności — 125.700 złotych; na dofinansowanie Niezależnej Czytelni Publicznej — 47.000 zł.; na pomoc w założeniu Biblioteki Socjologicznej — 2.000 zł.; na pomoc finansową dla SKS-ów — 30.850 zł.; na środki techniczne dla wydawnictw niezależnych — 345.159 zł.; na wydawanie *Biuletynu Informacyjnego* i *Komunikatów KSS „KOR”* — 150.600 zł.; na wydawanie miesięcznika *Głos* — 167.434 zł.; na dofinansowanie kwartalnika *Puls* — 30.000 zł.; na dofinansowanie pisma *Robotnik* — 19.000 zł.; na dofinansowanie pisma młodych katolików *Spotkania* — 35.000 zł.; na koszty organizacyjne — 35.560 zł. — razem wydatkowano w wyżej wymienionym okresie zł 2.006.303. Udzielono również pożyczek na cele wydawnicze w łącznej wysokości 400.000 złotych z terminem spłaty 31 grudnia 1978 roku. ■ Do T.K.N. przystąpili: Kazimierz Brandys, Marek Barański, Marcin Król, Wojciech Ostrowski, Karol Śpiewak i Zbigniew Wierzbicki. ■ W sierpniu 1978 roku ukazał się pierwszy numer nowego pisma *Robotnik Wyrzeża*. W tym samym czasie ukazał się pierwszy numer pisma *Ruch Związkowy*. ■ Z inicjatywy pisma *Robotnik* rozpoczęto wydawanie serii broszur z cyklu „Biblioteka *Robotnika*”. Tom I to artykuł Bolesława Sulika pt. „Robotnicy”.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Str. 244.

Cena F. 20,00.

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Sąsiedzi

Wyprawa do Ameryki

Właściwie miałem to sprawozdanie napisać zaraz po powrocie, w grudniu ub. roku, ale z różnych powodów tego nie zrobiłem, a tak już bywa, że gdy się raz jakąś pracę odłoży, rychło się do niej nie wraca. I tak się zwlekło. Może to i lepiej, z odległości czasu wszystko widać wyraźniej. Zostałem zaproszony przez organizatorów Konferencji Polsko-Ukraińskiej w kanadyjskim Hamiltonie, droga tam i z powrotem opłacona — jakże nie skorzystać! Konferencja trwała trzy dni, ale potem miałem okazję objechać kilka ośrodków emigracji ukraińskiej i polskiej w Kanadzie (Toronto, Montreal, Ottawa) i w Stanach Zjednoczonych (Chicago, Ann Arbor, Nowy Jork, Filadelfia, Waszyngton). W sumie dwa miesiące, sporo odczytów, kilkanaście wieczorów autorskich.

O Konferencji Polsko-Ukraińskiej, która odbyła się na uniwersytecie MacMasters w Hamiltonie, w drugiej połowie ubiegłego roku, napisano stanowczo o wiele za mało. Jeżeli chodzi o polskie czasopisma emigracyjne, tylko jedna jedyna *Kultura* zamieściła dłuższy artykuł Benedykta Heydenkorna („Pierwszy krok. Polska i Ukraina. Przeszłość i teraźniejszość”, Nr 12/367, str. 76-82).

Heydenkorn podsumował swoje uwagi następującym krótkim zdaniem: „Konferencja zakończyła się w atmosferze umiarkowanego optymizmu; wszyscy uczestnicy, oraz organizatorzy byli zdania, iż spełniła swoje zadanie: nawiązane kontakty będą utrzymane”. Z tym „utrzymaniem” rzecz wygląda różnie; podczas obrad i dyskusji podnoszono konieczność (głównie ze strony ukraińskiej) periodycznego wznawiania tego rodzaju konferencji, choć niekoniecznie w identycznych formach organizacyjnych. Ale do żadnych konkretnych postanowień nie doszło i zresztą dojść

nie mogło, już choćby dlatego, że tego rodzaju zjazdy wymagają poważnych nakładów pieniężnych.

Główny organizator Konferencji, prof. Poticznyj wspominał wprawdzie, że brana jest pod uwagę możliwość kontynuowania podobnych imprez i nikt nie wątpi w dobrą wolę, ale trudności bywają większe od najlepszych chęci.

Nie obeszło się bez pewnych zgrzytów, co, oczywista, było nieuniknione. Raczej należało się dziwić, że ich było tak mało. Na mój osobisty gust stanowczo za mało, bo tam, gdzie istnieje tyle zadrażeń, zastarzałych kompleksów i urazów, warto od czasu do czasu powiedzieć sobie gorzką prawdę. Ale profesorowie uniwersyteccy, którzy na Konferencji stanowili przygniatającą większość, prawie wyjątkowo, to ludzie zbyt dobrze wychowani, by skakać sobie do oczu. Więc w cieniu drzew wspaniałego parku, w którym znajduje się hamiltonski *campus*, rozkwitał przez całe trzy dni autentyczny Wersal, tyle, że w języku angielskim (z nielicznymi wyjątkami, vide niżej podpisany).

Wprawdzie o zaproszeniu na Konferencję wiedziałem na kilka miesięcy przed terminem, ale pewne kłopoty osobiste sprawiły, że tylko pierwszy wieczór autorski w Toronto, zorganizowany przez stowarzyszenie ukraińskich pisarzy „Słowo”, był przewidziany z góry; cała reszta była jedną wielką improwizacją, naturalnie, wyłącznie z mojej winy. Toteż tu i ówdzie (np. w Waszyngtonie) były kłopoty z wynajęciem sali na czas i spotkania musiały odbywać się w prywatnych mieszkaniach. A jak mi mówiono, zdarza się i tak, że większą salę trzeba zamawiać już nie na tygodnie, lecz na miesiące wcześniej.

Jeśli uda mi się w niedalekiej przyszłości wrócić na drogi amerykańskie, ledwie w ubiegłym roku tknięte przelotną stopą, wezmę tę naukę pod rozwagę. Zapewniano mnie również, że na wieczorach autorskich doskonale sprzedaje się książki występujących pisarzy, czego łatwo domyślałem się na podstawie doświadczeń europejskich (Paryż, Rzym). Niestety, także i pod tym względem nastąpiło zaniedbanie: żadnych książek nie przywiozłem. Nieliczne egzemplarze, wyszukane w księgarniach polskich Chicago i Nowego Jorku, zostały z miejsca wykupione. Jeszcze jedna nauczka!

Na wieczorach organizowanych przez Polaków starałem się dać możliwie szeroki przegląd mojej wierszowanej pisaniny; na wieczorach, które odbyły się z inicjatywy różnych organizacji ukraińskich, starałem się dobrać wiersze o odpowiedniej tematyce, głównie z tomu, wydanego jeszcze w roku 1954, „Złota Hramota”*. Niektóre wieczory były z inicjatywy organizatorów

* Józef Łobodowski, *Złota Hramota*, Poezje. „Biblioteka Kultury”, t. 8.

dość urozmaicone, tak np. w Chicago, poza wstępną prezentacją (teksty nieobecnego Swiatosława Hordyńskiego, oraz obecnego Ostapa Tarnawskiego) w pierwszej części, były występy recytatorskie moich wierszy i przekładów z ukraińskiego; dopiero potem zabrałem głos ja sam. Na polskim wieczorze w tymże Chicago przemawiał na wstępie Tymon Terlecki, a następnie czytaliśmy wiersze na dwa głosy: Tola Korian i ja.

Trudno mi wymienić wszystkich Polaków i Ukraińców, od Toronto po Nowy Jork, którzy mnie gościli i składali dowody sympatii i przyjaźni; byłaby to lista, obejmująca kilkadziesiąt nazwisk. Nie zabrakło wśród nich dawnych przyjaciół z Madrytu, byli to w przeważającej liczbie studenci, którzy ukończyli studia uniwersyteckie w Hiszpanii, a następnie w poszukiwaniu chleba przenieśli się — często z hiszpańskimi żonami — za ocean.

Ale są to sprawy prywatne, które w mniejszym stopniu interesują czytelnika. Ważniejsze, jak te moje występy wypadły na tle stosunków polsko-ukraińskich, od lat pozostawiających bardzo wiele do życzenia, by nie powiedzieć — fatalnych. Właśnie podczas mego pobytu w Ameryce, w Chicago doszło do zasadniczego konfliktu i w konsekwencji do wystąpienia Ukraińców z niedawno założonego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Ukraińskiej. Nie chcę wchodzić w przyczyny, wystarczy, jeżeli ograniczę się do stwierdzenia, że zagrała obustronna niezdolność do rozumnego kompromisu. Zbyt często obydwie strony żądają od siebie nawzajem uroczystych oświadczeń, do jakich, będąc emigrantami, w ogóle nie mamy prawa*. Naturalnie, chodzi zawsze o to samo: o sprawę przyszłych granic. Rozstrzygnie się ona w ten, czy inny sposób, w przyszłości, tam na miejscu, w kraju. Kiedy? — nikt tego nie odgadnie. Wszyscyśmy od samego początku myśleli o powrocie i z każdym rokiem ta myśl coraz bardziej przesuwana się w dziedzinę marzenia.

Czego na odcinku polsko-ukraińskim obydwie emigracje mogą albo nie mogą dokonać? Mogą starać się położyć podwaliny pod przyszłe porozumienie, wpoić przekonanie, że tylko takie porozumienie może zwiększyć szanse wybicia się spod moskiewskiej niewoli. Wysiłki, idące w tym kierunku, powinny stanowić główny nurt, a stanowią tylko wąski margines. Na główny nurt, jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak zawsze, składają się resentymenty, urazy, kompleksy, nieustanne piniaczenie się o to, kto gorszy, kto więcej zbrodni popełnił, krzywd wyrządził, historycz-

* Nie podzielamy tej opinii o „niemożności” emigracji w sprawach zasadniczych dla przyszłości Polski. Stojąc na tym stanowisku trzeba by potępić politykę od Hôtel Lambert do Piłsudskiego i Dmowskiego. Czy nie jest to niechęć do zajęcia wyraźnego stanowiska, tak typowa dla atmosfery polskiego Londynu? (Redaktor).

nych szans zmarnował. I wreszcie magiczne słowo, które zawsze pada, jak najcięższy kamień, nie do udźwignięcia: L w ó w !

Ale cóż! O wiele łatwiej coraz to puszczając w ruch zdartą płytę z tymi samymi natrętnymi melodiami: a to o „lackiej z a j m a ń s z c z y n i e”, a to o „zagrabionym przez Ukraińców Lwowie”. Do wzajemnego jątrzenia talent mamy niebываły. I coraz to zapominamy, że siedzimy w tym samym sowieckim worku, z tą tylko różnicą, że Ukraina znajduje się bliżej dna, a PRL na razie bardziej na wierzchu, bo dano jej pozory państwowej suwerenności, które zresztą każdej chwili mogą być odebrane.



Nie zamierzam bawić się w skromnisia i stwierdzam bez ogródek, że zarówno w Kanadzie, jak w Stanach Zjednoczonych miałem duże powodzenie. U Polaków, a chyba jeszcze większe u Ukraińców. Już na Konferencji w Hamiltonie, a później wszędzie, dokąd mnie zapraszano. Czytam o sobie we wspomnianym artykule Benedykta Heydenkorna, „Pierwszy krok”: „Józef Łobodowski wniósł w poważne obrady akademickie nutę humoru. Jego relacja o powiązaniach literackich polsko-ukraińskich była dowcipna i swobodna. Hasał po dobrze mu znanej łące. Zabierając kilkakrotnie głos, prostował wypowiedzi...” itd. No, to sprostuję także inne, dotyczące mnie zdanie autora artykułu. „Pierwszy — podał Heydenkorn — przemawiał po polsku Józef Łobodowski, usprawiedliwiający się nieznajomością angielszczyzny i brakiem tłumacza w Madrycie: referat jego był napisany po hiszpańsku, ale sądził, że obecni będą woleli, jeśli wygłosi go po polsku”.

To niezupełnie tak. Powiedziałem, że w Madrycie trudniej było znaleźć tłumacza z polskiego na angielski, niż z hiszpańskiego, więc napisałem referat po hiszpańsku, a teraz go przełożę na polski, bo większości obecnych nie posądzam o znajomość mowy Cervantesa.

W Hamiltonie i gdzie indziej starałem się wprowadzać nie tylko „nutę humoru”. Brałem również pod uwagę emocje. W znacznie mniejszym stopniu, gdy wygłaszałem odczyty, w grubo większym, poprzedzając recytowane wiersze komentarzami. Ale to wynikało z samego ładunku lirycznego tych wierszy, skierowanego do określonego adresata. Ukraińcy są narodem bodaj jeszcze bardziej emocjonalnym od nas Polaków, więc reakcje publiczności były z reguły bardzo żywe i pozytywne. W Toronto, jak w Chicago, w Filadelfii, jak w Nowym Jorku. Jak się zaraz okaże, reakcje te nie wszystkim przypadły do gustu, a u niektórych wywołały oburzenie. Ale przedtem muszę omówić niepo-

czytalny wybryk (trudno mi się zdobyć na inne określenie!) pewnej Polki, zamieszkałej w Kanadzie. Po kolei.

W Toronto miałem dwa wieczory autorskie: pierwszy, zorganizowany przez Ukraińców (o czym już napisałem na wstępie: Stowarzyszenie Pisarzy „Słowo” — prezes Ułas Samczuk); drugi — przez kilka organizacji polskich. Niezależnie od tego, zaproszono mnie, jako głównego mówcę, do udziału w Akademii, w dniu Święta Niepodległości. Wkrótce potem w jednym z czasopism polskich ukazało się pochlebne dla mnie sprawozdanie z pierwszego wieczoru, pióra Adama Tomaszewskiego. I oto w tymże czasopiśmie niejaka Alicja Mytkowska (adres znany redakcji), zamieściła oburzony list, ostro karcący Tomaszewskiego. Gdybyż tylko to! Wymieniona osoba płci damskiej (adres znany redakcji) przekreśliła mnie jednym zamachem energicznej rączki, twierdząc, że już dawno przestałem być pisarzem polskim i wyłażę ze skóry, by dostać się do społeczności ukraińskiej...

P. Alicja (adres znany redakcji) podała nawet przybliżoną datę mego „odstępstwa”: stało się to przed przeszło trzydziestu laty, czyli już po zakończeniu wojny. Nie wcześniej i nie później! Jeżeli jej wierzyć, okaże się, że te kilkanaście książek, które wydałem w tym okresie, do literatury polskiej nie należą, choć przez jakieś dziwne nieporozumienie zostały napisane po polsku. Ale do piśmiennictwa ukraińskiego także nie należą, bo po ukraińsku nie piszę. Czyli, jak legendarny Twardowski, znalazłem się gdzieś na księżycu. Tako orzekła p. Alicja Mytkowska (adres znany redakcji).

Podaję, że jest to ten sam adres, co p. Mytkowskiego, który wraz z p. Tadeuszem Rosolem wślawił się „Listem otwartym do Prezydenta Ostrowskiego”. Jeżeli tak, to wszystko jest jasne i ów „adres znany redakcji” staje się jednocześnie dobrze określonym adresem politycznym. Dowód uboczny: list p. Alicji wprawił w zachwyt „Ekologa” z *Mysli Polskiej*, a wiadomo, co tenże „Ekolog”, siedząc na swoim londyńskim śmietniku, myśli o mojej wyprawie do Kanady i Stanów Zjednoczonych. Amerykańskim prenumeratorom i przyjaciółom *Mysli Polskiej* moje przybycie także nie przypadło do gustu, choć niektórzy z nich wyłamali, wykazując godny potępienia brak dyscypliny partyjnej.

Szkodliwy zwierzostan nie jest niczym monopolem. Ukraińcy też mają swoich Mytkowskich i Rosolów, tyle, że inaczej się nazywają. Żyją, obracają się i działają w identycznym klimacie psychicznym. Tu muszę poświęcić nieco więcej uwagi Stepanowi Żeneckiemu, publicyście i redaktorowi, który uważał za wskazane pokwitować mój pobyt w Ameryce wielkim artykułem, zamieszczonym dla pewności aż w dwóch czasopismach. Stara się on udowodnić, że jestem zdrajcą narodu ukraińskiego, więc zamiast

przyjmować mnie, fetować i oklaskiwać, należy okazać mi, jako zdrajcy, najwyższą pogardę. Z tego dalszy wniosek, że społeczeństwo ukraińskie w Kanadzie i w Stanach zachowało się niewłaściwie i lekkomyślnie.

Nigdy nie ukrywałem, przeciwnie — zawsze podkreślałem, że moja rodzina pochodzi (po mieczu) z Ukrainy. Na tej podstawie Żeneckij wykalkulował, że jestem Ukraińcem i, przechodząc na stronę polską, dopuściłem się aktu zdrady narodowej. P. Alicja Mytkowska twierdzi to samo, tylko na odwrtkę. Bratnie dusze! Na tym odcinku doszło do stuprocentowego porozumienia polsko-ukraińskiego. Dopałem swego, choć w sposób raczej niespodziewany! W odkrywczym zapale Żeneckij uważa, że pochodzę od tego Łobody, którego po bitwie nad Sołonicą Polacy „ukarali śmiercią”. Jeszcze bardziej obciążająca okoliczność! Jednakże sprawa wygląda nieco inaczej.

Nazwisko Łoboda było zawsze dość na Ukrainie rozpowszechnione. Był np. wśród pułkowników Chmielnickiego, Fiodor Łoboda Perejasławski. Wiem, że w drugiej połowie XIX-go wieku był na Zadnieprzu jakiś pisarz o nazwisku Łobodowskij. Ponieważ był literatem drugiego, czy trzeciego rzędu, nie bardzo się nim zainteresowałem, więc nie mam pojęcia, czy to jakiś krewny. Nie wiadomo, na jakiej podstawie Żeneckij przyjmuje za fakt, że pochodzę od owego Łobody, który na początku XVII-go wieku, razem z Krępskim i Nalewajką, stanął na czele wielkiego kozackiego powstania. Wszystkich, którzy tak sądzą, muszę rozczarować. To nie ten. Znacznie późniejszy. Brał udział w potrzebie Chocimskiej pod Konaszewiczem (1621). Następnie otrzymał indygenat, przeszedł na katolicyzm, ożenił się z polską szlachcianką i rodzina całkowicie spolszczyła się już w drugim pokoleniu. Zjawisko w owych czasach dość powszechne.

Niestety, nie miałem na to żadnego wpływu, niczego nie doradzałem, ba, doradzać nie mogłem, bowiem urodziłem się w dwieście osiemdziesiąt lat później. Stanowczo za późno, by móc zapobiec zdrazieckim czynom mego pradziada. No, a gdybym pochodził od tamtego Łobody, co razem z Nalewajką, to co? To miałbym na pociechę, że nie Polacy go zabili. Pisząc, że to Polacy „ukarali Łobodę śmiercią”, Żeneckij udowodnił, że nie zna historii własnego narodu. Bo ze śmiercią owego Łobody było odmiennie.

Gdy po przegranej bitwie w polu, obóz kozacki wycofywał się we wschodnim kierunku, ścigany, zapadł nad rzeką Sołonicą, tuż pod Łubniami. Zaporozcy bronili się w zaimprovizowanych szańcach, ale sprawa była przesądzona na ich niekorzyść. Ataman Łoboda pierwszy zdał sobie sprawę, że obóz długo nie wytrzyma,

bo obłożonym zaczęło brakować żywności i prochu, więc zaproponował pertraktacje z hetmanem Żółkiewskim. Sprzeciwił się temu gwałtownie Nalewajko i podczas burzliwej narady jego zwolennicy roznieśli Łobodę na szablach. Kapitulacja nastąpiła nieco później, na gorszych warunkach, niż te, jakie można byłoby uzyskać, gdy Łoboda zaproponował pertraktacje. Żeneckij tego nie wie; pisze na tematy historyczne według własnego fantazyjnego widzimisię.

Co prawda, te jego fantazje posiadają określoną polityczną tendencję, bardzo zbliżoną do sowieckiej interpretacji historii stosunków polsko-ukraińskich. Zbieg okoliczności, czy zwykły przypadek? Żeneckij nie mógł nie wiedzieć, pisząc swój artykuł, o moim bardzo odległym pochodzeniu ukraińskim, bo przecież przychodził na wieczory autorskie, na których była o tym wszystkim mowa. Więc w grę wchodzi nie wybaczalna nieświadomość, lecz świadomie fałszywe postawienie sprawy. Wolno chyba zapytać, po co mu to było potrzebne.

Odsuńmy zarzuty pod moim adresem na stronę i przyjrzyjmy się innym aspektom tego wypadu, obraźliwego w stosunku nie tylko do mnie, także w stosunku do tych Ukraińców i tych organizacji ukraińskich, które mnie przyjmowały i fetowały. Najbardziej Żeneckiego uraziło, że na niektórych wieczorach autorskich publiczność, w której części ukraińska, urządziła mi końcową owację, powstawszy z miejsc. Tak się honoruje odstępce i zdrajcę?! No, mniejsza o to!

Istotne jest, co p. Żeneckij ma do powiedzenia na temat prób doprowadzenia do porozumienia polsko-ukraińskiego na emigracji. Od razu, żeby uniknąć nieporozumień, stwierdzam: ustosunkowuje się do tych prób zdecydowanie negatywnie.

„Powstaje pytanie: dlaczego Polacy zaczęli tak natarczywie i głośno ponownie śpiewać dobrze znaną nam Ukraińcom, starą piosenkę: 'Za waszą i naszą wolność', obietnicę, jakiej nigdy nie dotrzymani? Czemuz to ponownie przypomnieli sobie o Ukraińcach i zapłoneli do nas tak 'wielką miłością'? Według naszej opinii, Polacy nareszcie dostrzegli, że Moskowie coraz mocniej ściska Polskę Ludową w swoich niedźwiedzich objęciach, że stale sowietyzuje Polaków i że już niedaleka jest ta chwila, gdy Moskale przetworzą Polskę na PSSR (Polską Sowiecką Socjalistyczną Republikę) i dlatego wpadli w panikę. Zrozumiałyszy nareszcie, że Zachód, a także Ameryka nie pomogą im w walce o wyzwolenie, polscy emigracyjni politycy zaczęli orientować się na narody zniewolone przez Moskwę, by wraz z nimi podjąć wspólną walkę. Przy tym Polacy zwracają główną uwagę na naród ukraiński, bo najliczniejszy... pragną nas mieć, jako swoich sojuszników i dlatego zaczęli mówić o polsko-ukraińskiej zgodzie i współpracy”.

Żeneckij napisał nieprawdę. Wynikałoby z jego artykułu, że to dopiero od niedawna Polacy zaczęli zabiegać o porozumienie z Ukraińcami. Nie trudno obalić to niezgodne z rzeczywistością

twierdzenie. Piszę ten tekst dla paryskiej *Kultury*. Wystarczy wziąć do ręki roczniki tego miesięcznika, by stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że od pierwszych numerów (a więc już od przeszło trzydziestu lat) *Kultura* stale poświęcała najwyższą uwagę sprawie ukraińskiej i porozumieniu polsko-ukraińskiemu. Niżej podpisany uprawiał i uprawia tę tematykę także od przeszło trzydziestu lat (nie licząc okresu przedwojennego, a nawet wojny), we wszystkich czasopismach, do których miał i ma nadal dostęp. Żeneckij nie może o tym nie wiedzieć, a więc mija się z prawdą świadomie i z niewątpliwą premedytacją.

Artykuł Żeneckiego ukazał się najpierw w *Wiadomościach Ukraińskich (Ukrajński Wisti)* z 29 stycznia 1978, następnie w redagowanym przez Żeneckiego *Głosie Łemkowszczyzny*. *Wiadomości Ukraińskie* zamieściły go z uwagą: „Drukujemy artykuł jako dyskusyjny” — jak gdyby z oszczerczym paszkwilem w ogóle była możliwa jakakolwiek dyskusja. Nie bardzo orientowałem się, co reprezentują te *Ukrajński Wisti* i kto za nimi, a więc także i za panem Żeneckim stoi. Aliści ktoś życzliwy przysłał mi wycinek z tego czasopisma, z artykułem „Ich sojusznicy” (Nowy Jork, 26 listopada 1976); podpis „Starodawnij” nic mi, oczywista, nie powiedział. I cóż ten „starodawnij” jegomość miał swoim czytelnikom do zakomunikowania? Mniej więcej to samo, co w przeszło rok później napisał p. Żeneckij, w swoje „cydulce”, skazującej nieodwołalnie moją grzeszną osobę.

Ów anonim (bo podpis, jako się rzekło, nic nie mówi) rozwścieczył się na te ukraińskie koła, które pozytywnie oceniły wystąpienia i oświadczenia w sprawie ukraińskiej polskich „dysydentów” w kraju i ich przyjaciół na emigracji. Czytam i zastanawiam się... Więc to ma być czasopismo emigracji politycznej?! Konfrontujemy:

„Jak by tam nie było, ale 'manifest polsko-szowinistycznych dysydentów' ukraińscy durnie nacjonalistyczni przyjęli, niczym objawienie świętego Franciszka z Assyżu. Jakże by nie! Arystokratyczni panowie z 'księżętami' Giedroyciami, 'hrabiami' Potockimi i Czapskimi, i 'ordynatami' Mieroszewskimi na czele oświadczyli, że 'pragną pozostać w dobrych sąsiedzkich stosunkach z Ukraińcami i razem z nimi, jak za haniebnej pamięci Piłsudskiego i Petlury, pójść we wspólnym 'krzyżowym' pochodzie przeciw Związkowi Sowieckiemu, aby w ostatecznym celu utworzyć 'federację' z udziałem Polski, Białorusi, Litwy i Ukrainy... Rozumnemu wystarczy! Niczego więcej nie potrzeba!”.

Istotnie, niczego więcej nie potrzeba, by dokładnie określić charakter i rolę *Wiadomości Ukraińskich!* Więc dalsze cytaty będą już tylko logicznym uzupełnieniem poprzedniego tekstu:

„Czemu (Polacy — J.Ł.) obecnie, gdy bieda im dopiekleła, beczą, jak te Boże owieczki, i jęcząc, zapewniają, że są pozbawieni jakiegokolwiek imperialistycznych aspiracji? Sprawa jest prosta. Bo nienawidzą Ludowej Polski, Sowieckiego Związku, wszystkich krajów socjalistycznej solidarności, które umożliwiły polskiemu narodowi zwycięstwo nad hitlerowską nawałą, a ponadto utworzenie państwa z rządem robotniczo-chłopskim, z socjalistycznym sposobem życia, w którym nie ma miejsca dla potockich i sapiechów, co przez całe stulecia trzymali polskie masy ludowe w ciemnocie, nędzy i pokorze...”. „Łączy ich (ukraińskich i polskich reakcjonistów emigracyjnych) wspólna nienawiść do nowego życia na Ukrainie i w Polsce, wspólna tęsknota do majątków, parafii, czy bodaj biur na lwowskim rynku, w których prowadzili swoją wspólną politykę gnębienia zarówno polskich, jak zachodnioukraińskich, robotniczo-chłopskich mas...”.

„Gratulujemy ukraińskim, nacjonalistycznym komiwojażerom od 'wyzwolenia' z powodu znalezienia nowego wspólnika w postaci polskich 'dysydentów', podobnie, jak gratulowaliśmy im z powodu ściskania się z rosyjsko-syjonistycznymi 'dysydentami', którzy wystawili ich do wiatru, gdy tylko zdążyli obrosnąć amerykańskim tłuszczem. Tak dla nich, jak dla sołżenicynych i całego towarzystwa, 'Ukrainy nie było i być nie może', jak i dla polskich reakcjonistów-wielkomocarstwowców naród ukraiński ma jedyne historyczne przeznaczenie — być ich posługaczem i pognojem ich imperialistycznych planów... Naród ukraiński, który stworzył i nadal tworzy nowe życie, bez niczyjej pomocy, prócz własnych przyjacielskich narodów, razem z którymi zwyciężał w 1917, w 1918 i w 1920, nie potrzebuje żadnych sojuszników, żadnych 'zacznych życiłowców', skąd by nie pochodzili. Bo dobrze zna ich grabieżczą naturę”.

Artykuł, z którego przytoczyłem powyższe cytaty, mógłby ukazać się bez najmniejszych zmian w jakimkolwiek z kijowskich, charkowskich, czy moskiewskich czasopism. A ukazał się w Nowym Jorku! Wszystko się zgadza, nie ma najmniejszych wątpliwości. W polskim języku istnieje na to precyzyjne określenie: gadzinówka!

To, co Żenecki wypisał o mnie, to jeszcze nic. Prawdziwe delirium zaczyna się dopiero wtedy, gdy genialny historyk zabiera się do akcji rewindykacyjnej. Dla Haliczyny utarła się w społeczeństwie ukraińskim nazwa — Zachodnia Ukraina. Otóż p. Żeneckij dzieli Haliczyznę na dwie części: wschodnią i zachodnią. Zachodnia znajduje się między Wisłą i Pilicą, a tym samym obejmuje Sandomierskie, Kieleckie, Radomskie... Posłuchajmy! P. Żeneckij twierdzi, że Ukraińcy nie powinni zawierać żadnych umów z Polakami, dopóki ci nie zrezygnują ze swoich pretensji do Lwowa i ziem aż po Zbrucz, a także z tych ziem, które j e s z c z e znajdują się w granicach Polski Ludowej, a więc Łemkowszczyzny, Lubelszczyzny, Bełczyzny, Lubaczowszczyzny, Zasania, Chełmszczyzny i Podlasia, czyli po rzekę Wisłę, „czego domagał się jeszcze Bohdan Chmielnicki”, a ponadto Zachodniej Haliczyny. Cytuję dosłownie: „Znajdującej się między rzekami Wisłą i Pilicą, a wchodzącej w skład Ukraińskiego Królewsko-Książęcego Państwa — Kijowskiej Rusi...”.

Bliższych szczegółów autor nie podał, ograniczając się do zapowiedzi, że napisze na ten temat specjalny artykuł. Uprzedzając przyszłe rewelacje, pozwolę sobie zapytać, kiedy mianowicie Kijowska Ruś była królestwem. Może p. Żeneckiemu Kijów pomylił się z Haliczem, bo o królestwie Kijowskim historykom nic nie wiadomo. Skoro jednak ten uczony mąż tak twierdzi, to musi mieć jakieś podstawy... Kiedyz to ziemie między Wisłą i Pilicą wchodziły w skład owego mitycznego królestwa. Za pierwszych Piastów, za Mieszka i Bolesława należały do państwa polskiego, więc zapewne chodzi o czasy wcześniejsze... Może wiek VIII-my, może VII-my? Jak się nazywali królowie, którzy tam panowali?



Zapomnijmy o p. Żeneckym i wróćmy do mojej amerykańskiej podróży. Odbywała się gładko, choć była dość nużąca. Nie tyle ze względu na liczne występy, niekiedy mocno zagęszczone w czasie, co ze względu na poczęstunki i przyjęcia. Nie skarzę się, któż by tam się skarżył na zacne trunki — w każdym razie nie ja! Ale fakt faktem — w sumie było tego stanowczo za wiele! Wieczory autorskie i odczyty odbywały się z reguły w doskonałym nastroju zrozumienia i przyjaźni. Jednak każda reguła miewa swoje wyjątki. W moim wypadku takim wyjątkiem był ostatni odczyt w Nowym Jorku, na kilka dni przed odlotem do Madrytu.

Odczyt, jak odczyt, po nim zabierali głos słuchacze, odpowiadałem za każdym razem, a więc było coś w rodzaju dyskusji, która przez dłuższy czas utrzymywała się na przywoitym poziomie, mimo że poruszane sprawy nie należały do najprzyjemniejszych. Aż zabrał głos nieznany mi z nazwiska Ukrainiec, którego przemówienie uznałbym za kwintesencję konfliktu. Zapytał mnie grzmiącym głosem, czy wiem, że Polacy zmienili kilkaset starych nazw miejscowości na Łemkowszczyźnie, Rzeszowszczyźnie i Chełmszczyźnie, po czym oświadczył, że żadna współpraca z Polakami nie jest potrzebna (także — dodał — z Czechami!), bo Ukraińcy sami dadzą sobie radę z wybiciem się na wolność. Rozmowy — oświadczył, zapewne pijąc do Konferencji w Hamiltonie — między profesorami, pisarzami, i w ogóle intelektualistami nie mają żadnego znaczenia, bo każdy Ukrainiec, czy Ukrainka z ulicy wiedzą lepiej, jak się mają zachować.

Sprawa owych zmian nazw miejscowości na Łemkowszczyźnie i gdzie indziej poruszona została już znacznie wcześniej, właśnie w Hamiltonie. *Kultura* odezwała się w tej sprawie w krótkiej notatce pt. „Akt politycznej nicości” (nr 12/363 — grudzień

1977): „Akurat w tym czasie — przepisuję z tego numeru *Kultury* — kiedy Polacy i Ukraińcy dyskutowali w Kanadzie, jakiś głupek w Polsce postanowił wykorzystać stare ukraińskie nazwy... I tak w roku Pańskim 1977 i w siódmym roku władzy Gierka zostały wymazane z mapy naszego wiekowego współżycia i współistnienia wszystkie piękne, groźne, lub tylko swawolne prastare nazwy wsi, grodów i zaścianków...”

Nie zgadzam się z redakcją *Kultury*. To nie był żaden „głupek”, który dokonał owego „wykorzenia”. Wiedział, co robi, i zrobił z całą premedytacją i konsekwencją. Jeszcze jedno posunięcie, by jeszcze bardziej zaognić stosunki polsko-ukraińskie. Nie wiem, czy inicjatywa urodziła się w Warszawie, czy została narzucona przez Moskwę. W gruncie rzeczy na jedno wychodzi. Albo lokaj wykonał polecenie pana, albo sam wpadł na ten pomysł, by gorliwie panu się przypodobać. Nie widzę żadnej innej interpretacji.

Sprawa zmiany nazw wypłynęła, jak napisałem, już w Hamiltonie, a po wspomnianym odczycie w Nowym Jorku była omawiana szczegółowiej i z całą pasją. Do tego doszła ogólna sytuacja Ukraińców w Polsce Ludowej. Kilku mówców zapewniało, że nie tylko reżym komunistyczny, lecz społeczeństwo polskie, jako całość, jest nastawione antyukraińsko. Niektórym zarzutom trudno było zaprzeczyć. Zaciężyły fatalnie wspomnienia lat wojennych i wzajemnych walk, nie pozbawionych cech ludobójstwa, jakby odżyły lata chmielnicyzny i „Wielkiej Ruiny”. Nie zaprzeczając istnieniu ukrainofobii, podkreślałem, jak bardzo do jej utrzymania przyczynia się fałszerska propaganda komunistyczna. Wystarczy stwierdzenie, że po dziś dzień w publikacjach inspirowanych przez reżym warszawski utrzymuje się kłamliwa wersja, jakoby brygada Kamińskiego, która podczas tłumienia Powstania Warszawskiego dopuściła się najgorszych zbrodni, składała się wyłącznie z Ukraińców.

To tylko jeden przykład; podaję go, bo najjaskrawszy, a przecież nie brakuje innych. Na zarzut, że Ukraińcy w Polsce Ludowej są co najmniej poddawani różnym szykanom, należy odpowiedzieć pytaniem: A jak wygląda sytuacja tych kilkuset tysięcy Polaków, którzy znajdują się na terenach, przyłączonych w wyniku Drugiej Wojny Światowej do Ukrainy Sowieckiej (czytaj: Związku Sowieckiego). Jeszcze gorzej. Nie mają własnego szkolnictwa, żadnych organizacji, prasy, wydawnictw, opieki duszpasterskiej, są skazani na stopniową rusyfikację. Słyszałem słuszne zarzuty, że sytuacja Ukraińców w Polsce Ludowej jest nie do pozazdroszczenia. Sytuacja Polaków w granicach Sowieckiej Republiki Ukraińskiej jest znacznie gorsza.

Po wieczorze autorskim w Filadelfii zadawano mi liczne pytania. Jeden z obecnych Ukraińców zgłosił postulat (określił go, jako prośbę), bym poruszył w prasie emigracyjnej żałosną sytuację Ukraińców w Polsce. Żeby polska emigracja coś pod tym względem zrobiła, żeby protestowała. Niewiele może, ale przynajmniej niech o tym mówi, niech nie zachowuje się obojętnie. Żeby protest w tej sprawie nie wychodził tylko od jednostek, lecz od całej społeczności emigracyjnej. Żeby przynajmniej zostało w dziejach zanotowane, żeśmy byli przeciw!

Na liczne interpelacje odpowiadałem, że za zmiany nazw historycznych naród polski nie odpowiada, podobnie, jak naród ukraiński nie odpowiada np. za zmianę historycznej nazwy Żółkwi na Niestierow, bo tak się nazywał carski lotnik, zestrzelony nad hetmańskim miastem w roku 1915 przez artylerię austriacką. Naród polski nie odpowiada za niszczenie cerkwi unickich, podobnie, jak naród ukraiński nie odpowiada za zbeszczeszczenie polskich cmentarzy we Lwowie, albo za zamykanie polskich kościołów. Musi być jednak zachowana odpowiednia proporcja. Albo — albo. Jeżeli odpowiedzialność, to obopólna. Albo obydwie narody czynimy odpowiedzialnymi za poczynania narzuconych im siłą reżymów, albo przeprowadzamy różnicę i ściśle jej przestrzegamy. Wiem, że niejednokrotnie nie jest to łatwa rzecz, bo ciągle obracamy się na grząskim terenie i natrafiamy na powikłane zagadnienia, ale przy dobrej woli wszystkie te trudności będzie można przezwyciężyć.

Przed chwilą mówiłem o „fatalnych wspomnieniach lat wojennych”. Polacy nie potrafili wykreślić ich ze swojej pamięci, podobnie, jak Ukraińcy nie zapomnieli i nie chcą zapomnieć o słynnej pacyfikacji, rewindykacji, Berezie Kartuskiej... I nie tylko to. Mam na myśli wzajemną rzeź w latach okupacji hitlerowskiej. Wolałbym tej sprawy nie poruszać, ale ciągle ją ktoś przypomina, często w sposób nie tylko natarczywy, lecz wręcz prowokacyjny. Więc trudno — trzeba dotknąć także tej, nie gojącej się rany. Chyba nie zagoi się i nie zablźni, dopóki żyją uczestnicy i świadkowie tamtych wydarzeń. Większość z nich nie wychodzi poza emocje, które z biegiem lat paradoksalnie rosną, zamiast się zmniejszać. Rzecz charakterystyczna: może w większym stopniu przyczyniają się do jej jątrzenia nie ludzie prości, lecz wykształceni, niekiedy intelektualiści. Rozmawiać z nimi spokojnie na ten temat — niepodobna!

Na wiosnę br. ogłosiłem w londyńskim *Tygodniu Polskim* parę artykułów o tematyce polsko-ukraińskiej. Zrobiła się burza w szklance wody. Listy do redakcji, listy prywatne. Ktoś — zacy i nie głupi — opisał mi swoje wrażenia z kampanii wrześniowej 1939 roku. Że niedobitków z polskich oddziałów mordo-

wali Ukraińcy. I co — na tej podstawie mam układać moje koncepcje polityczne? Z najwyższą przykrością, tuż przed wyjazdem z Ameryki, przeczytałem artykuł p. inżyniera E. Pasternaka w *Głosie Ukraińskim*, przedrukowany następnie w wyjątkach w miesięczniku *Nasz Głos* (Trenton, Grudzień 1977).

Nie miałem pojęcia, kim jest autor, dopiero po powrocie do Europy dowiedziałem się, że pochodzi z Chełmszczyzny i że jego ojciec został zamordowany w latach wojny przez polskie podziemie. Rozumiem, trudno o takiej śmierci zapomnieć. Ale p. inż. Pasternak nie jest odosobniony w swoim bólu; także istnieją Polacy, których ojcowie, czy inni krewni padli z rąk ukraińskich. Raz jeszcze: wolałbym na ten temat w ogóle nie pisać, ale takie wystąpienia, jak p. Pasternaka, zmuszają do reakcji. Z jego artykułu wynika, że był więźniem Berezki Kartuskiej.

Trudno, żeby wyniósł stamtąd przyjemne wspomnienia. Go-rzej, że na podstawie swoich niewesołych doświadczeń doszedł do wniosku, że w Berezce było wtedy wcale nie lepiej, niż w łagrach sowieckich. Dalszy wniosek: Ukraińcom powodziło się w Rzeczypospolitej równie źle, jak w Związku Sowieckim. Wszystko zaczęło się od tego, że p. Pasternak przeczytał moją recenzję z wspomnień Iwana Kedryna, zamieszczoną przed rokiem w *Kulturze*. Ośmieliłem się w tej recenzji podkreślić, że Kedryn, nie szczędząc ostrej krytyki pod adresem polityki polskiej w stosunku do Ukraińców, stwierdził jednak, iż ich sytuacja była znacznie lepsza, niż w Sowietach. Napisałem między innymi: „jest jednak różnica między Kołymą i Berezą Kartuską, między więzieniem w Rawiczu, a moskiewską Czerezyszczajką. To nie żadne usprawiedliwienie dla Polaków, to tylko spokojne rozróżnienie...”.

Tu p. Pasternak wpadł w gniew i oświadczył: „W ogóle Łobodowski nie grzeszy skromnością we własnej interpretacji historii Wschodniej Europy, zapewne z uwagi na tytuł „znawcy spraw wschodnio-europejskich”, jaki sam sobie przyznaje! Zgadza się — nadmierną skromnością nie grzeszę. Do tytułu „znawcy” przyzwyczaiłem się od dawna, jeszcze od czasów warszawskich, gdy często spotykałem się z takimi, „niedokształconymi” ludźmi, jak profesorzy, Ołeksander Łotoćkij, Roman Smal-Stockij, poeta Jewhen Małaniuk i inni, którzy, widąc zbyt lekkomyślnie, uważali mnie za znawcę. Zapewne tylko z uprzejmości!”

P. Pasternak zauważył ironicznie, że „Łobodowski na pewno nie był w Berezce...”. Ma z tego wynikać, że nie wiem, jak to wyglądało, więc nie mam prawa do porównywania. Owszem, wiem dobrze, już choćby z tej racji, że swego czasu przełożyłem na polski wspomnienia z Berezki niezjącego już Jewhena Wreciony; zostały przed wielu laty zamieszczone w paryskiej *Kulturze*.

I przyznam się po cichutku, że jako świadka stawiam Wrecionę nieco wyżej, niż pana Pasternaka.

Jeszcze jeden cytat z jego artykułu: „A teraz rzeczowe pytanie dla Łobodowskiego; jaka jest różnica między odpowiedzialnością rządu bolszewickiego za wymordowanie przy pomocy głodu sześciu milionów Ukraińców w 1933 roku i polskiego emigracyjnego rządu za wymordowanie czterdziestu tysięcy Ukraińców na Chełmszczyźnie, Podlasiu i Łemkowszczyźnie w roku 1943? Czy tylko ta różnica, że tamten masowy mord odbył się w 'czasie pokoju', a ten drugi — podczas wojny? Zbrodnia powoduje zbrodnię — i nic więcej...”.

Różnica moralna, rzecz prosta, istnieje i to zasadnicza. Pomi-jam już ogromną przesadę co do owej liczby czterdziestu tysięcy zamordowanych. Z tego, co zacytowałem, wynika, że to emigracyjny rząd wydał polecenie mordowania Ukraińców. Czy wolno prosić o dowody? P. Pasternak nie może nie wiedzieć, że mordowano się w tamtych tragicznych latach wzajemnie, a ilość ofiar była proporcjonalna do stosunku sił na danym terenie. Na Chełmszczyźnie i Podlasiu polska strona miała przewagę, a np. na Wołyniu — odwrotnie. Więc znowu — lepiej nie prowadzić podwójnej buchalterii! Umówmy się: stawiamy krzyż na pomordowanych, przekreślamy krwawą przeszłość w imię przyszłości, a jeżeli mamy prowadzić rachunki, to uczciwie. Chełmszczyzna Chełmszczyzną, ale w takim razie dlaczego strona polska ma zapominać np. o Janowej Dolinie?

Wzajemne oskarżanie się będzie miało sens i moralną słuszność tylko wtedy, jeśli ma służyć równie wzajemnemu żalowi za popełnione zbrodnie i uniknięciu ich w przyszłości. Niechże rozdieranie ran sprzyja nie podsycaniu nienawiści, lecz oczyszczeniu, temu, co starzy Grecy nazywali *Katharsis*, a co pozostaje w harmonii z istotą chrześcijańskiej moralności.

Nie dedykuję powyższych słów p. Pasternakowi, bo przypuszczam, że ich nie zrozumie. Puścił on, niestety, wodze chorobliwej wyobraźni. Twierdzi, że „hetman Żółkiewski w roku 1603 wyniszczył całą ludność Moskwy w liczbie stu trzydziestu tysięcy”, zaś w roku 1812 Polacy, cofając się spod Moskwy wraz z całą armią napoleońską, „wymordowali wziętych do niewoli rosyjskich oficerów”. Miało się to stać gdzieś pod Smoleńskiem, więc późniejszy o sto dwadzieścia osiem lat mord w Katyniu był swego rodzaju historycznym odwetem.

Na jakich źródłach się oparł, nie wiadomo. Nawet nie pofatygował się sprawdzić daty rzekomej rzezi w Moskwie. W roku 1603 panował jeszcze car Borys Godunow, zaś Żółkiewskiemu nie śniło się, że z czasem (po siedmiu latach) znajdzie się na

Kremlu. Jak już się zmyśla, panie inżynierze, nieistniejące fakty dziejowe, to przynajmniej trzeba być w zgodzie z chronologią!

Wystąpienie p. Pasternaka można sobie wytłumaczyć jedynie zapiekłą nienawiścią. Nie zdaje on sobie sprawy, że to woda na młyn wszystkich wrogów narodu ukraińskiego, z polskimi ukrajinofobami na czele. A już rosyjscy szowiniści cieszą się z takich wybryków najbardziej. I ci na emigracji i tamci — w białokamienniej stolicy. Bo głównym warunkiem utrzymania na wieczność „jedynej i niepodzielnej” jest niezgoda uciemiężonych narodów. A już każdy, kto podsyca polsko-ukraińską nienawiść, działa, świadomie, czy nieświadomie, na rzecz wielko-rosyjskiego imperializmu. To polityczny elementarz, którego bardzo wielu Polaków i Ukraińców w ogóle nie chce brać do ręki.

Józef ŁOBODOWSKI

List z Berlina

„O Polsce powiem tyle: jeżeli opozycja utrzyma swoje znaczenie, swą jedność i siłę to może to mieć dla Polski a także innych krajów Europy Wschodniej takie znaczenie historyczne jak utworzenie partii robotniczych końca XIX-go wieku. Powtórzę też to co powiedziałem referując sprawę polską: niech lewica niemiecka (także i ta w NRD — opozycyjna) nie zapomina, że gdyby nie istniała Polska i to taka jaką widzimy dziś to NRD dawno już byłaby republiką radziecką...”



16 listopada rozpoczął się, trwający cztery dni, „Kongres na rzecz i o Rudolfie Bahro”. Zorganizowany przez lewicę zachodnoniemiecką, postawił sobie za cel, obok nasilenia akcji protestacyjnej na rzecz Bahro, szeroką dyskusję o dziele uwięzionego opozycjonisty a także, jak czytamy w programie: „wzmocnienie dialogu i współpracy lewicy na wschodzie i zachodzie Europy”.

Ernst Markowski: — „Idzie nam o wspólną, otwartą wymianę myśli. Możliwe, że przy pomocy Kongresu osiągniemy to, co przez dziesiątki lat było niemożliwe”.

Przeszło 200 uczestników z RFN oraz 10 krajów europejskich, w tym oficjalni przedstawiciele KP Włoch i Francji, a także ci „nieoficjalni” z ZSSR, Czechosłowacji i Węgier, mieli do dyspo-

zycji trzy podia dyskusyjne, dziewięć grup roboczych oraz dyskusję plenarną w przedostatnim dniu trwania Kongresu.

Der Tagesspiegel (17. XI):

„... to żaden cud, że Kongres, którego tematem była krytyka realnie istniejącego socjalizmu, analizowana na przykładzie NRD, nie przypadł do gustu Niemieckiej Partii Komunistycznej (DKP) oraz Socjalistycznej Partii Jedności Berlina-Zach. (SEW). Partie te, podobnie jak ugrupowania maoistowskie, nie były reprezentowane”.

Z trwającej przeszło pięć godzin dyskusji w pierwszym dniu trwania obrad (temat wiodący: „Rewolucja Październikowa i jej znaczenie dla dzisiejszej lewicy”) warto wyodrębnić głosy przedstawicieli ZSSR i Czechosłowacji.

Dużą część referatu Borysa Weila poświęcona była precedensowi polskiej opozycji i jej wpływowi na rozwój sił demokratycznych w ZSSR. Jak się okazało później, a to w trakcie prac grupy roboczej, był to *jedyny* głos, który wyodrębnił a następnie podjął się próby przedstawienia roli kościoła katolickiego jako obrońcy praw człowieka i obywatela w naszym kraju.

Frankfurter Rundschau (17. XI) w swej korespondencji zatytułowanej „O Rudolfie Bahro, losie i szansach”, cytuje za Kavinem, jako novum czechosłowackiej rzeczywistości, fakt tworzenia się wspólnego frontu opozycyjnego, złożonego z chrześcijan i komunistów, intelektualistów i robotników.

Problem ten pozostawiono otwarty do dokładniejszego omówienia już w grupach roboczych, podobnie jak sprawę ruchów opozycyjnych inspirowanych wyłącznie przez proletariat. Zagadnienie to stało się jednym z ważniejszych w dyskusji nad tezą Bahro, która głosi, iż klasa robotnicza w tradycyjnym znaczeniu tego słowa nie może być siłą społeczną zdolną do przeprowadzenia jakichkolwiek zmian drogą nacisku na rządy krajów Europy Wschodniej.

Przez kolejne dwa dni toczyła się dyskusja w grupie roboczej nr 1, gdzie analizowano rolę robotników i inteligencji oraz ich znaczenie dla reformy czechosłowackiej lat sześćdziesiątych, Praskiej Wiosny, Polski roku siedemdziesiątego czy NRD po roku 1975.

Z programu:

„Na przykładzie CSRS, NRD i Polski chcemy odszukać tezy Bahro. [...] Do przedstawienia stosunków między robotnikami a inteligencją chcemy zaprosić towarzyszy z Europy Wschodniej i Zachodniej, aby ukazali możliwie plastyczny obraz wspólnego i tego co różni te kraje. [...] Zaprosiliśmy także jednego (podkreślenie moje) polskiego towarzysza, który wzięty udział w strajkach w Gdańsku”.

Z suplementu do broszury kongresowej, zawierającego zestawienie najważniejszych wydarzeń w Polsce między rokiem 1945 a 1976 (?):

„Rok 1967 — inscenizowane przez partię wystąpienia antysemityczne (z okazji wojny „szczęśliwej”).

Rok 1968

[...]

Rok 1976 — 25.06. Strajk w Radomiu”.

Koniec zestawienia.

Do ostatniej chwili nie ustalono kto wygłosi referat wprowadzający w tematykę polską. Zaproszony towarzysz nie zjawił się, rolę jego przejął miał ów suplement oraz broszura kongresowa. Przebąkiwano wprawdzie o zorganizowanym „awaryjnie” specjalistycznym od spraw wschodnich z jakiejś gazety francuskiej ale skończyło się oczywiście na słowach. „Sprawa polska” została odłożona na dzień następny.

Robotnicy i ich działalność opozycyjna to temat ponownego wystąpienia Borysa Weila. Słabość ruchów robotniczych upatrywał w fakcie szeroko rozbudowanego aparatu policyjnego oraz kształtowania się zaledwie świadomości klasowej proletariatu. „Nie bez znaczenia jest tu fakt — powiedział Weil — że tradycje partii robotniczych, przynależność do tej właśnie grupy społecznej, jest w ZSSR niezwykle słaba. Brzmi to paradoksalnie ale taka jest nasza rzeczywistość”. Zdaniem Weila minionie 60 lat to okres celowego wyjąławiania umysłów robotniczych, okres całkowitego podporządkowania instytucji związkowych aparatowi partyjnemu. Olbrzymia energia drzemiąca w człowieku skierowana jest na „zrywy produkcyjne” czy też „czyny społeczne”.

Zalążki opozycji, jaka funkcjonuje od lat, stworzone zostały przez inteligencję, która nie potrafi skutecznie oddziaływać na robotnika, a on sam nie dorasta często do zrozumienia tego co mu się proponuje.

Walka robotników polskich o respektowanie praw zawartych w Konstytucji, spontaniczne akcje różnych warstw społeczeństwa w roku 1975, lato 1976 i jego następstwa, spowodowały, że dziś jak nigdy wcześniej, dają się zauważyć tendencje do tworzenia zorganizowanego ruchu opozycyjnego, który gromadzi ludzi różnych przekonań, wyznawców różnych, często odmiennych, ideologii. „Jesteśmy na początku drogi, która w Polsce rozpoczęła się Październikiem”.

„Los Jaroslava Šabaty charakterystyczny jest dla obrazu dzisiejszej Czechosłowacji” — powiedział Ludvík Kavan, jeden z sygnatariuszy „Karty 77”. Presja aparatu partyjnego, terror policyjny tłumia rodzaje tendencje opozycyjne klasy robotniczej. „Tym i tylko tym możemy wytłumaczyć ‘totalną niemoc’ robotnika. Musimy być jednak optymistami” — zakończył.

Optymistą nie był przedstawiciel Węgier. Odpowiadając na pytania zebranych powiedział między innymi:

„Zapomnijcie o roku 1956. To już historia. Klucz do zrozumienia dzisiejszych Węgier leży w tym, że Kadar to dyplomata i polityk doskonalszy i elastyczniejszy niż Gomułka czy Dubczek. Jeżeli spojrzymy na dzisiejszy obóz tzw. państw socjalistycznych to w tym obozie barak węgierski jest najbogatszy, najpiękniejszy, stoi najbliżej bramy. Ale to nie może nikogo zmylić!”.

Frankfurter Allgemeine (20. XI):

„Na specjalnym posiedzeniu Komitetu Centralnego, w związku z 60 rocznicą utworzenia Partii, Kadar powiedział: „Wydaje mi się, że system wielopartyjny jest do przyjęcia. Oczywiście jest to sprawa wewnętrzna każdego z krajów naszego bloku”.

— Co spowodowało, że Ty właśnie zdecydowałeś się zreferować sprawę polską? Decyzja została podjęta przez Ciebie na dzień przed wygłoszeniem referatu.

— Wychowałem się w Polsce. Maturę i studia zdobyłem w NRD. Tam też przeszedłem przez więzienie. Sprawy polskie pozostały mi bliskie, interesuję się nimi na bieżąco. *Aneks, Kultura, Zapis* i wiele innych pozwalają zapoznać się z tekstami polskimi. Upoważniało mnie to wszystko do zabrania głosu. Kiedy jeszcze przeczytałem ten nieszczęsny suplement utwierdziłem się w moim przekonaniu. Punkt ciężkości mojego wystąpienia to czerwiec 1976 oraz miesiące, które po nim nastąpiły. To sprawy przez organizatorów pominięte. Poza tym, w moim pojęciu, najważniejsze dla zrozumienia problemów polskiej opozycji, jej specyfiki, form działania itp.”.

— Najtrudniejsze pytanie jakie Ci zadano?

— Te, które dotyczyły Kościoła i jego roli w Polsce. Jak sam widziałeś dla wielu Kościół to wyłącznie zacofanie i dogmatyzm. Rola i sposób funkcjonowania „Latających Uniwersytetów” były tematem osobnego wyjaśnienia. Na wiele innych problemów zabrakło czasu. „Ustawowe” 60 minut przeciągnęło się do blisko 2-ch godzin.

— Czy Bahro to tylko wierzchołek góry lodowej, jak przedstawiono na plakacie kongresowym? Inaczej: jak wygląda ta część pod wodą?

— Odpowiedź będzie wykrętna: tak i nie. Tak, bo istotnie możliwości ludzi, którzy deklarują się jako opozycja polityczna w NRD są duże. Nie — bo nie jest to opozycja rozumiana jak w Czechosłowacji czy ZSSR. Przykład Polski jest tak odległy, że nie mogą go porównywać. Opozycję w NRD rozumiem jako „milczącą większość”. To co jest dla nich charakterystyczne to absolutne zniechęcenie, brak wiary w możliwość otwartego działania.

Strach, jak to widzieliśmy na przykładzie ZSSR, oraz wiara w siłę aparatu przemocy, są czynnikami decydującymi. W rezultacie dochodzi do zjawiska „wewnętrznej emigracji”. Inaczej można określić tych ludzi jako „opozycję nieartykułowaną”.

— Protesty intelektualistów po aresztowaniu Bahro w NRD czy wystąpienia radzieckie pokazują, że można jednak „coś” zrobić.

— Oczywiście. Nie zapominajmy jednak, że chodzi tu (tzn. w NRD) o warunki szczególnie odmienne. Istnieje coś takiego jak „psychoza getta (muru)”. Jedyłą możliwością wydostania się „na drugą stronę” jest trafić do więzienia. Wie o tym rząd w Berlinie Wschodnim i załatwia dwie sprawy za jednym pociągnięciem. Rozbija tworzące się grupy opozycyjne zamykając ich przywódców do więzienia po czym „sprzedaje” na drugą stronę. To wcale intratny interes. Są też wypadki wydania paszportu szczególnie uciążliwym obywatelom. Kiedy jest on już na Zachodzie pozbawia się go obywatelstwa i sprawa załatwiona. Wszystko to doprowadza do rozproszenia, rozpadnięcia nieformalnych grup. Nazywam to „atomizacją opozycji”.

Doświadczenia jakie wyniosłem z NRD, obserwacje tam poczynione utwierdzają mnie w przekonaniu, że model państwa totalitarnego realizowany po drugiej stronie muru osiąga stan doskonałości. W moim rozumieniu powstał z połączenia najdoskonalszych doświadczeń lat 1933-1945 oraz wnikliwej obserwacji kilkusetletniego despotyzmu rosyjskiego. Jednocześnie uniknięto tych błędów, które mogą osłabić istniejący system polityczny. Uniknięto, pomijając rok 1953, buntów robotniczych czy studenckich. Posłużyć się rokiem 1968. Przykład Francji, Polski czy Czechosłowacji spowodował, iż powstałe niedawno kluby studenckie, szczególnie w Berlinie i Dreźnie, przerażać się zaczęły w ośrodki wolnej myśli politycznej. Co robią władze? Zamykają kluby pod pretekstem remontu... Kiedy otworzono je po roku czy później, w niczym nie przypominały mi tych z 1968. Zarządy zmieniono, oporniejszych zastraszone. Koniec. Jednocześnie podniesiono stypendia, milcząco wyrażono zgodę na „małą rewolucję obywatelską”, pojawiły się dyskoteki...”

— Jak rozumiesz przykład Bahro?

— To rzecz wielka i wyjątkowa, chyba się nie powtórzy. Nie prowadzi jednak do niczego. Nie konsoliduje, nie aktywizuje nawet myślących inaczej (myślę cały czas o NRD). Dla mnie jest to przykład fanatyka prawdy i wiary. To człowiek, który popełnił samobójstwo z całą świadomością tego faktu i konsekwencji”.

◆
Dzienniki zachodniemieckie w korespondencjach z zakończeniem Kongresu podkreślały te fragmenty „Rezolucji końcowej”, które wzywały do wzmożenia kampanii przeciw represjom politycznym na wschodzie i zachodzie Europy.

„Przy tym porównano 'zakaz wykonywania zawodu' w RFN z aktami gwałtu politycznego dopuszczanego na opozycji w Europie Wschodniej” — pisał korespondent *Frankfurter Allgemeine* w dniu 20 listopada...

Dzień później Reuter publikuje apel „Amnestii Międzynarodowej” o uwolnienie przeszło 1.000 rumuńskich działaczy opozycyjnych przebywających w więzieniach, obozach pracy, klinikach psychiatrycznych...

Die Zeit (24. XI) w komentarzu „Lewica pozostanie w rozsypane” podkreślił, „iż perspektywiczny cel Kongresu: ponowne zbliżenie partii, grup i grup lewicowych nie został osiągnięty”...

Rudi Dutschke: „zebrani nie byli zdolni przeskoczyć własnego cienia”.

◆
Korespondencja moja miała być relacją z Kongresu.

W miarę jak upływały godziny a termin zakończenia był co raz to bliższy, wiedziałem, że owa relacja z Kongresu zamieni się w relację o problemach nurtujących opozycję krajów Europy Wschodniej. Problemach widzianych oczyma ludzi, którzy z tej opozycji wyszli, którzy będąc dziś na Zachodzie mniej lub bardziej wspierają ruchy demokratyczne swych krajów. Stała się, na koniec, obrazem naszych problemów widzianych oczyma lewicy zachodniej.

Czy problemy nas nurtujące zostały przez tę lewicę właściwie zrozumiane?

Czy uniknie się w przyszłości banalnych pytań, ironicznych uśmiechów a nawet gestów zwątpienia skierowanych w kierunku referującego?

Czy ci, którzy demonstrowali za i w imię socjalizmu pod hasłem: „Socjalizm i demokracja są nierozłączne” rozumieją intencję tych, którzy w listopadowy wieczór 1978 roku przeszli ulicami Warszawy do Grobu Nieznanego Żołnierza, śpiewając pieśni narodowe i kościelne, którzy skandowali hasło: „Nie ma wolności bez chleba — nie ma chleba bez wolności”?

Marek WOBASZ

Berlin, listopad 1978

Kronika niemiecka

50 % wyjeżdżających z Polski Niemców urodziło się już po wojnie; 22 % stanowią ludzie młodzi, którzy nie przekroczyli 15 roku życia. ■
W czasie wizyty w RFN delegacja Episkopatu Polski z kardynałem Wyszyń-

skim na czele odwiedziła obóz koncentracyjny w Dachau. W znajdującej się na terenie byłego obozu kaplicy pod wezwaniem *Łęku Śmierci Chrystusa* Prymas Polski powiedział m.in.: „Tak jak niegdyś śpiewaliśmy 'Ojczyznę wolną raz nam wrócić Panie', tak dziś mówimy 'Ojczyznę wolną pobłogosław Panie'”. Zaskakujące słowa zostały z satysfakcją odnotowane w prasie krajowej. ■ Firmy zachodniemieckie będą modernizować chiński przemysł węglowy. Zawarto już kontrakt wartości 8 mld. marek, a inne nowe projekty mają wartością przekroczyć wszystkie dotychczasowe inwestycje zachodniemieckie za granicą. Mówi się o kredycie do wysokości 28 mld. marek na 10 lat. ■ W Darmstadt zostanie niebawem otworzony Instytut Kultury Polskiej. Placówka będzie finansowana częściowo z budżetu federalnego. Kierownictwo Instytutu spoczywać będzie w rękach Niemców. Kandydatów na dyrektora Instytutu jest kilku. Największe szanse ma wybitny tłumacz literatury polskiej — Karl Dedecius. ■ Socjaldemokratyczny burmistrz Augsburga, Hans Breuer, oświadczył że na uniwersytecie w tym mieście powstanie pierwsza w Republice Federalnej katedra polonistyki. ■ Podczas XXX Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie nad Menem (18-23. 10. 1978) na stoisku londyńskiego wydawnictwa *Overseas Publications Interchange Ltd.* wystawiono najnowsze publikacje Instytutu Literackiego (Paryż), *Polonia Book Fund*, *Odnowy*, *Oficyny Poetów i Malarzy* (Londyn) i *Aneksu* (Uppsala-Londyn). Zbiorowe stoisko największych polskich wydawnictw emigracyjnych (także *Polskiej Fundacji Kulturalnej*) cieszyło się żywym zainteresowaniem wydawców niemieckich i zagranicznych oraz zwiedzającej Targi publiczności. Z zaciekawieniem oglądano przedruki publikacji opozycji demokratycznej w PRL: *Opinię*, *Spotkania*, *Zapis*, *Puls* i inne. Rozgłośnie zachodniemieckie i telewizja, wielkie dzienniki, *Radio Free Europe* i *Liberty* poświęciły stoisku polskich domów wydawniczych, publikujących w krajach zachodnich, specjalne audycje i liczne artykuły. Wystawę książki emigracyjnej odwiedziła delegacja polityków, dziennikarzy i wydawców z Chin Ludowych.



Władze NRD przekazały do Polski 32 dzieła sztuki pochodzące z dawnych zbiorów saskich, m.in. płótno Jana Samuela Mocka pn. *Kampament wojsk polskich, liteuskich i saskich pod Czerniakowem w roku 1732*. Wśród przekazanych dzieł osobną grupę tworzą portrety królewskie Augusta II z małżonką Krystyną Eberhardyną i Augusta III z Marią Józefą. Malowidła uzupełniają dwa cenne obrazy z kręgu Louisa de Silvestre'a. Cennym wzbogaceniem zbiorów zamkowych będą cztery komody rokokowe intarsjowane oraz cztery stoły rokokowe, rzeźbione i złoczone. Meble te należą do zespołu wyposażenia wnętrz zamawianych przez Augusta II do królewskiej rezydencji. ■ W siedzibie ambasady PRL w Kolonii odznaczono złotą odznaką *Orderu Zastugi PRL* honorowego przewodniczącego *Towarzystwa Niemiecko-Polskiego*, prof. Waltera Fabiana. W wydawanym przez to *Towarzystwo* czasopiśmie *Begegnung mit Polen* (Düsseldorf), prof. Fabian wyraził swego czasu krytyczne stanowisko wobec wymiany listów między polskimi i niemieckimi biskupami w 1965 roku; publikował artykuły agenta wywiadu PRL Andrzeja Czechowicza i wiele razy występował na rzecz likwidacji rozgłośni *Radio Free Europe*. W związku z odnaczeniem *Życie Warszawy* napisało, że prof. W. Fabian „od blisko 30 lat działa na rzecz zbliżenia między Polakami i Niemcami”... ■ W Warszawie przebywała delegacja wspólnoty robotniczej młodych socjalistów w *SPD (JUSO)*. Delegacja przeprowadziła rozmowy z członkami kierownictwa polskiego ruchu młodzieżowego, jak również z *aktywnym* organizacją młodzieżowych stolicy. Pomimo umów zawartych między PRL a RFN, zawierających również klauzulę o „szerokiej

wymianie młodzieży”, kontakty w tej dziedzinie ograniczają się nadal do spotkań oficjalnych delegacji. ■ Podczas Zgromadzenia Generalnego *UNESCO* dyskutowano z udziałem 144 delegacji projekt *deklaracji zasad dotyczących wkładu środków masowego przekazu na rzecz pokoju, porozumienia między narodami i zwalczania propagandy wojennej, rasizmu oraz segregacji rasowej*. Rzecznik delegacji RFN wystąpił w Paryżu przeciwko angażowaniu się państwa w jakiegokolwiek formie w tę problematykę, argumentując że byłby to zamach na wolność prasy. *Trybuna Ludu* jest innego zdania: „wolność prasy nie może być i praktycznie nigdzie nie jest, nieograniczona”... ■ W RFN wydano zakaz sprzedaży i rozpowszechniania wydawnictw i płyt gloryfikujących czasy hitlerizmu i Trzeciej Rzeszy. ■ Przy ambasadzie RFN w Warszawie czynna jest od 10 listopada 1978 roku szkoła podstawowa. Uczęszczają do niej dzieci dyplomatów zachodniemieckich, szwajcarskich, austriackich, belgijskich i holenderskich. Szkoła dla dzieci dyplomatów i pracowników przedstawicielstw handlowych PRL czynna jest w Kolonii od czterech lat. ■ Na *Uniwersytecie im. Karola Marksa* w Lipsku odbyło się posiedzenie senatu tej uczelni, w czasie którego nastąpił akt reaktywowania *Towarzystwa Naukowego Jabłonowskich (Societas Jablonoviana)*. Twórcą *Towarzystwa* był książę Józef Aleksander Jabłonowski (1711-77), wojewoda nowogrodzki. Zachęcał on uczonych polskich i niemieckich do podejmowania prac badawczo-naukowych na temat historii Polski i Słowiańszczyzny. *Towarzystwo Naukowe Jabłonowskich*, którego działalność została przerwana w 1939 roku, wydało szereg traktatów, kompendiów historycznobiograficznych i bibliograficznych. Obecnie przewodniczącym *Societas Jablonoviana* jest profesor języka i kultury serbo-łużyckiej — Heinz Schuster-Sewc. ■ Tygodnik *Stern* ogłosił rewelacje na temat fotokopiiowania i badania przez *Federalną Służbę Wywiadowczą (BND)* listów przychodzących i wychodzących z RFN do krajów komunistycznych oraz zapisywania na taśmach niektórych rozmów telefonicznych z abonentami tych krajów. Kompetentny czynnik rządu bońskiego potwierdził te praktyki, zaznaczając jednocześnie że odpowiednie przepisy prawne zezwalają na tego rodzaju kontrolę; nadzorowanie (wrywkowe) poczty i rozmów telefonicznych między RFN a krajami *Paktu Warszawskiego* jest niezbędne dla bezpieczeństwa Republiki Federalnej. ■ W Otzenhausen k/Saarbrücken odbyło się seminarium przedstawicieli młodzieży polskiej i zachodniemieckiej poświęcone roli, jaką powinny odegrać młode pokolenia obu krajów w dalszym „rozwoju procesu normalizacji między obu krajami”. Z polskiej strony uczestniczyli działacze *Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej*. Podczas spotkania, działacz chadeckiej *Junge-Union* zaproponował zaproszenie na następne seminarium młodych wykładowców i studentów, działającego w Polsce *Uniwersytetu Latającego*. ■ W *Międzynarodowym Instytucie* w Brunzwicku odbyło się kolejne posiedzenie prezydium wspólnej komisji d/s podręczników szkolnych. Przedmiotem obrad było przygotowanie konferencji, która odbędzie się w czerwcu 1979 roku w Olsztynie i dotyczyć ma roli Śląska i Pomorza w historii stosunków polsko-niemieckich w dobie średniowiecza. Wkrótce opublikowane zostaną w PRL i RFN materiały z konferencji naukowych na temat antyhitlerowskiego ruchu oporu w Niemczech i w Polsce w latach 1933-1945 oraz stosunków polsko-niemieckich w okresie *Wiosny Ludów*, jak również materiałów z III-go sympozjum geografów (1977). ■ Wielki dziennik boński *Die Welt* opublikował felieton Stefana Kisielewskiego pt. *Wenig Brot, viele patriotische Spiele* (Mało chleba, zato wiele patriotycznych uroczystości). Jest to tłumaczenie (Walter Günzel) felietonu Kisielewskiego pt. *Warszawskie rozrywki jesienne* (*Kultura*, Nr 11/1978). ■ *Rote Fahne*, wychodzący w Kolonii organ zachodniemieckich maoistów (*KPD*) rozpoczął druk komunikatów i opracowań *KSS-KOR*. ■ Współpraca małych i średnich przedsiębiorstw była głównym

tematem rozmów, jakie przeprowadziła w Polsce delegacja frakcji parlamentarnej FDP (Partia Wolnych Demokratów) w *Bundestagu*. Zdaniem Richarda Wurbsa, deputowanego do *Bundestagu* i wiceprzewodniczącego *Centralnego Związku Rzemiosła w RFN*, współpraca niemieckich i polskich przedsiębiorstw powinna obejmować wymianę informacji, wzajemną prezentację wyrobów pozwalającą na określenie ofert eksportowych oraz wymianę doświadczeń w szkoleniu kadr. Na początku 1978 roku część tych punktów realizowana będzie przez izby rzemieślnicze obu krajów w Poznaniu i Kassel. Strona zachodnoniemiecka jest szczególnie zainteresowana polskim rękodziełem artystycznym. ■ Od 1961 roku z NRD uciekło do Republiki Federalnej 175 tys. osób. W 1977 roku przedostało się do RFN 4.037 mieszkańców Wschodnich Niemiec. Przy próbach ucieczki przez mur berliński zginęło dotychczas 170 osób. ■ *Fundacja im. Maksymiliana Kolbe* z siedzibą we Freiburgu Bryzgowijskim wypłaciła w 1978 roku prawie 2 mln. marek byłym polskim więźniom obozów koncentracyjnych i rodzinom zamęczonych w hitlerowskich obozach zagłady ofiar. Pieniądze pochodzą w całości z dobrowolnych składek. Opieką i pomocą w Polsce objętych jest w chwili obecnej 1.700 osób; 375 osobom wypłacono w 1978 roku jednorazowe zasiłki. Pomoc obejmuje także koszty leczenia, pobyt w sanatoriach i wyposażenie w aparaty medyczne. *Fundacji* nie chodzi wyłącznie o pomoc finansową. Twórcy *Fundacji* — katolicy niemieccy — pragną, by „polskie ofiary obozów koncentracyjnych przekonały się, że są w Niemczech ludzie, którym nie jest obojętny ich los i cierpienia”. W ciągu pięciu lat istnienia *Fundacja im. Maksymiliana Kolbe* przekazała do Polski ponad 4 miliony marek. Prasa komunistyczna w PRL pomija całkowicie milczeniem działalność *Fundacji*, utrudniając tym samym dotarcie do dalszych osób potrzebujących pomocy. Adres *Fundacji*: *Maximilian-Kolbe-Werk e. V., Karlstrasse 40, 7800 Freiburg/Br.*

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Litewska prasa emigracyjna podaje, że przed wojną statystyczny Litwin wypijał rocznie kilka butelek wódki, a obecnie 17 litrów. Zabójstw było rocznie od 107 do 250, obecnie tysiące. Abortów było około 15 tys. — obecnie 60 tysięcy. Rozwody były niezmiernie rzadkie, a obecnie jest ich 10 tysięcy rocznie. Gmachy dwóch instytucji są zawsze przepelnione — więzienia i szpitale chorób wenerycznych. ♦ Prasa amerykańska podaje, że w krajach bałtyckich wydajność pracy w rolnictwie i przemyśle jest znacznie wyższa niż w Rosji, i poziom życia też jest wyższy. Mniejsze są braki żywności, więcej samochodów (ponad 500 rocznie wypadków), ludność jest obecnie ubrana bardziej dostatnio. ♦ Litwę odwiedza rocznie kilka tysięcy Litwinów zagranicznych. Mają oni dostęp do Wilna, i niekiedy do 5 innych miast, w których są dla nich specjalne hotele (z mikrofonami). Krewny-tubylec nie może tam zamieszkać ze swym gościem. Odwiedzający są poddani wielkiej selekcji. Może jeden na czterech uzyskuje wizę. Na granicy polsko-litewskiej wracający pasażerowie są dokładnie rewidowani. Zwłaszcza odbierane są litewskie wędliny. Wyprawa z Ameryki jest bardzo kosztowna, gdyż za dolara otrzymuje się 60 kopiejek. Odpowiednikiem perelowskiej MO, w republice litewskiej są tzw. *draugovinė*,

a wobec nielojalnych nastrojów, jest ich w trzy-milionowej republice — 100.000, w 3.933 oddziałach, w tym 148 dla walki ze spekulacją, 122 dla walki z przestępczością nieletnich i 285 dla śledzenia wrogów politycznych. O nasileniu propagandowym niech świadczą następujące cyfry. W okręgu wiejskim liczącym 32 tysiące mieszkańców, są 63 organizacje partyjne (a więc i tyleż sekretarzy), 153 propagandzistów, 900 polit-informatorów i 530 prelegentów Towarzystwa „Żinija”. ♦ Litwin Klimašauskas, zesłany na Syberię, pracował jako inżynier, zaś po ukończeniu terminu zesłania został promowany na kierownika budowy w Irkucku. Po powrocie na Litwę otrzymał również kierownicze stanowisko, na którym wykrył wielkie malwersacje, o czym doniósł wyższym władzom w Wilnie, a gdy to nie odniosło skutku — napisał do Moskwy. Dochodzenie wykazało słuszność zarzutów i dwóch jego kolegów-zwierzchników zostało ukaranych grzywnami po 500 rubli. Ale takie postęпки nie uchodzą bezkarnie. Przyszło do niego KGB i znalazło litewskie tłumaczenie „Gułagu” Sołżenicyna. Został uznany za chorego na manię prześladowczą, i umieszczony w zakładzie dla umysłowo chorych w Czeniachowsku (Wystruc?), gdzie przebywa pod kluczem z innymi pacjentami, ale w ciągu dnia dozoruje budowy w tym mieście. Albo więc budowy w Sowietach są prowadzone przez wariatów, albo nie wariaci przebywają w zakładach dla umysłowo chorych. ♦ B. Gajauskas (o którym była mowa w poprzedniej kronice), brał udział w powojennej partyzantce, po odbyciu 25 lat kary powrócił na Litwę i za zbieranie materiałów o tychże walkach, został ponownie skazany na 10 lat łagru i 5 zesłania. Jego narzeczona po wielkich staraniach uzyskała zezwolenie na poślubienie go w obozie. Kazano jej przywieźć dwóch świadków, których, jako osoby postronne, nie wpuszczono do więzienia. Wśród szykan i drwin czekała przez dwa dni w ślubnej sukni przed bramą obozu. Wreszcie uzyskała ślub (cywilny), co trwało niecały kwadrans — zamieniono pierścionki i spisano akt. Następnego dnia pozwolono jej spotkać się z mężem na dwie godziny w obecności dozorców, rozmawiać tylko po rosyjsku, i mąż nie miał prawa jej dotknąć. Pożegnanie małżonków odbyło się nawet bez podania sobie ręki. ♦ 5-cio-kilogramowe paczki można wysłać do tego obozu raz do roku, a listy raz na miesiąc, przy czym obywatele republiki litewskiej, z własnym językiem państwowym, muszą z zesłaniami korespondować po rosyjsku, gdyż z braku tłumaczy listy litewskie przeważnie nie dochodzą. ♦ Stosunki litewsko-żydowskie na emigracji były przez długie lata mało przyjazne a raczej żadne. Obecnie odzywają się głosy, że ta strusia polityka chowania głowy w piasek, aby nie wywoływać wilka z lasu, nie była słuszna. Przed kilku laty, gdy rozpoczęła się emigracja Żydów z Litwy, gdzie w tym czasie ożywił się litewski ruch oporu, stosunki się poprawiły, bowiem wśród emigrantów i aktywnych dysydentów były małżeństwa mieszańca a i nagrodę literacką litewskiej emigracji otrzymał Izraelczyk. Ale ukazanie się filmu „Holocaust” i ujemnych opinii o Litwinach w anglojęzycznych wydawnictwach, znów zepsuły stosunki. „Zaczęło się polowanie na winnych i niewinnych. Do tej kampanii włączyli się sowiecko-litewscy propagandziści, celem zakłócenia litewsko-żydowskiej współpracy w ruchu dysydentów”. „Stosunki litewsko-żydowskie winny być unormowane, zagadnienia wyjaśniane, ale bez udziału okupantów Litwy”. ♦ W *Mūsų Pastogė* czytamy: „Rosjanie wiedzą, że wcześniej czy później, ktoś może im kazać wracać do domu z zajętych krajów, więc nie odkładają tej sprawy na później, już teraz planują i przygotowują grunt podżegając Polaków przeciw Litwinom, a ci jak mogą Litwinów terroryzują. Gdy Rosjanie dochodzą do przekonania, że rzecz zaszła za daleko, trochę Polaków powstrzymują. Jest to polityka wykazywania, co by im Polacy pokazali, gdyby nie było Rosjan. Robią to, strasząc Litwinów, aby gdy nadejdzie czas wycofania się, Litwini prosili Rosjan o pozostanie w obawie przed polskim terrorem”. Autor dodaje w zakończeniu: „Litwini wi-

leńscy starają się przypominać o polskim niebezpieczeństwie, ale niestety nikt ich nie słucha. A jest o co się troskać". Wydaje się, że autor chyba nieświadomie wykonuje zalecenia sowieckiej propagandy, zmierzające do skłócenia Litwinów również z Polakami.

Litewska emigracyjna agencja prasowa podaje: „Prezes Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy, dr Kestutis (Kiejstut) Viliunas, przesłał dn. 17 października pozdrowienia nowowybranemu papieżowi Janowi Pawłowi II, w których przekazał Jego Świątobliwości życzenia w imieniu Komitetu i Litwinów w wolnym świecie i w okupowanej ojczyźnie”. „Naród litewski — pisze Viliunas — jest prześladowany i okrutnie karany za głębokie i niezłomne przywiązanie do Kościoła katolickiego. Jego Świątobliwość rozumie jak ludzie cierpią pod obcym uciskiem. Dlatego też wybór Jego Świątobliwości dodaje naszemu uciśnionemu narodowi nadziei. Modlitwy i poparcie Jego Świątobliwości umocnią na duchu nasz naród i dodadzą mu otuchy”.

Tenże komunikat cytuje następującą wypowiedź kardynała Wojtyły z roku 1976, na łamach czasopisma watykańskiego: „Niedopuszczalne jest, aby poszczególne grupy narzucały wszystkim swą ideologię, sprzeczną z przekonaniami większości”.

Dnia 24. 11. 1978 papież przeprowadził rozmowy z dwoma biskupami i administratorem z Łotwy. Papież już poprzednio oświadczył, że Watykan będzie poświęcał więcej uwagi losom katolików w krajach komunistycznych.

O jakich to biskupów chodziło w czasie ich prywatnej rozmowy z papieżem komunikat nie podaje; na emigracji jest trzech biskupów litewskich, a i z kraju na uroczystości pogrzebowe po śmierci Pawła VI przybyło trzech biskupów litewskich oraz jeden łotewski — wszyscy czterej w delegacji pod przewodnictwem sowiecko-prawosławnego metropolity Nikodema. Litwini ocenili pontyfikat Pawła VI dodatnio; litewskie przedstawicielstwo było przez Watykan uznawane, litewskie audycje radiowe nadal nadawane. Paweł VI mianował czterech biskupów na Litwie, a w Ameryce biskup Salata został arcybiskupem Oklahoma. W otoczeniu zmarłego papieża wybitną rolę odgrywał litewsko-amerykański biskup Marcinkus. Litwini mają zadawione poczucie polskiego zagrożenia. Wobec tego, że nowy papież przykłada większą wagę do losu katolików w krajach komunistycznych, rozważa nakazuje ocenę pozytywną, ale emocjonalne reakcje mogą być rozmaite.

Litwini, jak i cały świat, byli zaskoczeni tym wyborem, toteż niektóre pisma prowincjonalne ograniczyły się najpierw do notatek informacyjnych. Podkreślano prawidłową wymowę w krótkim przemówieniu papieskim w języku litewskim. Ponadto prasa litewska podaje, że rzekomo „papież jest częściowo pochodzenia litewskiego”.

Zacytuję pierwsze odgłosy w prasie emigracyjnej. Litewsko-kanadyjski tygodnik „T.Ž.” pisze: „W nowej perspektywie ukazują się losy wierzących na Litwie. Tymczasem jednak nie ma podstaw by spodziewać się zmian, gdyż zależy to nie od Rzymu a od Moskwy. Litwa jest uzależniona od wzajemnych stosunków między tymi ośrodkami. Jeżeli nastąpi nieco większa swoboda, będzie to następstwem nowych wiatrów w obu ośrodkach. Niewątpliwie nowy papież będzie traktował sprawy litewskie jako część pro-

blemu sowieckiej strefy wpływów. Plusem jest, że Jan Paweł II nie będzie wprowadzany w błąd prosowiecką informacją, gdyż zna sowiecką rzeczywistość. Z tej racji Litwini mogą się spodziewać bardziej czujnego stanowiska Watykanu. Wątpliwości nasuwa inny aspekt — narodowy. Czy papież, Polak, będzie bardziej przychylny Litwinom? Wątpliwości te opierają się na odwiecznym braku zaufania do Polaków, których wpływy w Watykanie nigdy nie były Litwinom przychylnie. Przeciwnie Litwini dużo ucierpieli od Polaków i nadal cierpią (np. problem Sejny). Sprawa arcybiskupstwa wileńskiego nie jest załatwiona. Jedna jego część znajduje się w sowieckiej republice, druga w Polsce, lecz obie oficjalnie należą do polskiej prowincji kościelnej. Załatwienie tego i innych problemów zależy w wielkiej mierze od papieża. I jeżeli byłby on politykiem, Litwini mieliby podstawy do wątpliwości. Ponieważ zaś jest reprezentantem Ewangelii Chrystusowej, głoszącym miłość, sprawiedliwość i wolność — należy się spodziewać nie tylko obiektywizmu w stosunku do Litwinów, ale i być może przychylności większej, niż na to obecnie wygląda”.

Z innych głosów w prasie: Jan Paweł II, przemawiając po polsku, wspominał Częstochowę i Ostrą Bramę, lecz przemilczał że Ostra Brama jest w Wilnie, które obecnie nie należy do Polski. „Tylko przyszłość pokaże czy mamy się cieszyć z tego, że papież pochodzi z sąsiedniego kraju”.

A teraz parę słów o zniewoleniu umysłów, ale w litewskiej wersji i w wiele lat po książce Miłosza.

Kwartalnik *Memens* nr 35 zamieszcza odpowiedź dysydenta, b. reżysera J. Jurasasa, przebywającego od paru lat w Ameryce, na pytanie: „Czy litewskie warstwy oświecone spełniają swój obowiązek?”. — „Na postawione pytanie odpowiedziałem czynnem — wyrzekłem się pójścia na kompromisy z samym sobą i tworzenia w ramach narzuconych memu narodowi. Wiedziałem, że cena indywidualnego protestu będzie wysoka; wątpliwe też by rozstrzygnęła skomplikowany dylemat naszych czasów. Również z perspektywy wygnańca nie mogę na to pytanie dać odpowiedzi.”

Sądzę, że każdy artysta żyjący w systemie totalitarnym staje, wcześniej czy później, przed problemem — pogodzić się z przymusem, czy wziąć się za bary z losem? Wydaje się, że buntownicza natura artysty popycha go ku wyborowi prowadzącemu najczęściej do zguby. Lecz tylko on sam może zdecydować, czy zwycięstwo ślepej siły nieuchronnie prowadzi do duchowej klęski. Czy istnieje w sztuce inna alternatywa niż tworzenie, słuchanie własnego głosu wewnętrznego? Doświadczenie nauczyło mnie, że nie ma istotnej różnicy między relatywnie „szerszymi możliwościami twórczymi na Litwie” i „bardziej konserwatywną atmosferą w Moskwie”. Panuje tam dziś wśród zdolniejszych twórców atmosfera intelektualnego kacetu. Potwierdzają to znane na świecie przykłady: kto się nie przystosował wyleciał za burłę lub był zmuszony do milczenia. Nie zdarzyło mi się spotkać ludzi lawirujących między skrajnościami, którzy by nie byli zdeformowani. Niezależnie od tego jak pięknie się opowie zagranicznemu dziennikarzowi o rzekomej wolności twórczej w kacie, sytuacja wyklętego się nie polepszy. Przeciwnie, dozorca stanie się bardziej wymagający, gdyż zbadał już granice ustępliwości. Powiadają, że gdy pełną nakryć szklanką, najpierw skacze, rzuca się na ściany, lecz stopniowo się przyzwyczaja i nawet po zdjęciu szklanki nie wyskakuje na wolność. 'Zdrowy rozsądek' dyktuje jej, że i szklanej ściany głową nie przebije. A jeżeli i przebije, to (jak powiada S. J. Lec) „co znajdzie w sąsiedniej celi?”.

'Zdrowym rozsądkiem' kieruje się również na dzisiejszej Litwie większość artystów, którzy w ciągu 30 lat nauczyli się przysłowia 'Na czym wózku

jedziesz, tego piosenkę śpiewasz'. A ponieważ nadzieja rozwinięcia skrzydeł jest bardzo mglista, więc w zamian za okrucy wolności twórczej zdrada zasad artystycznych nie wydaje się już tak wysoką ceną. Zwłaszcza, że w naszym wieku cena wartości (zasad) tak gwałtownie spada. W rezultacie 'pomyślnie lawirujący' artysta oddala się od siebie, następuje twórcza impotencja i zamiera metafizyczny obiekt sztuki — dusza człowieka. Może to jest jedną z przyczyn, że nasze utwory mogą być ciekawe, lecz nie wzruszające. Obok wewnętrzznego wyjałowienia następuje izolacja twórcy od świata. Oddalając się od siebie, oddala się od narodu i od wszechświata. Tak wzywa się w swoją grę, że zapomina po co tę grę zaczął. A prawa gry są nielitościwe — kapitulacja wobec realiów życia. Energia, z jaką zaczął walkę, by wyrwać się z wąskich ram wolności twórczej, wyczerpuje się. Jest zmęczony i już nie zdaje sobie sprawy, że za szklaną ścianą są inne nieosiągalne horyzonty. Artystom z małego i zniewolonego narodu jest jeszcze trudniej powziąć decyzję. Powstaje bowiem problem odpowiedzialności nie tylko za swój talent, ale i za niszczonej kulturę swego narodu. Nie dbając o jej zachowanie, odda jej los w nieczyste ręce i zawsze będzie miał wyrzuty sumienia. A podejmując się kulturalnej misji 'zachowania swej moralnej i artystycznej integralności' niepostrzeżenie zesłiznie się ku kompromisom, utraci swe moralne i artystyczne oblicze. Jaka trzecia droga? Opuścić swój kraj, przeciąć życiodajne żyły? Rozpłynąć się w światowej nieskończoności? Trudno powziąć decyzję skoku w nieznanne".

W dalszych wywodach autor twierdzi, że naród się nie załamał, ale sowiecko-litewska inteligencja wymieniła swój patriotyzm i godność na zezwolenie tworzenia „kultury socjalistycznej”, której naród nie przyjmuje i którą pogardza.

Baltiska Institutet w Sztokholmie, we współpracy z pokrewnymi instytucjami na Zachodzie, przygotowuje konferencję naukową na temat „Bałtyckie mniejszości i wygnancy”. Można sądzić, że losy mniejszości niemieckiej i żydowskiej znajdują autorów z wyczerpującymi opracowaniami, ale jak będzie z polską mniejszością?

E. ŻAGIELL

Kronika białoruska

W dniach 2-4 września br. w Toronto, Kanada, odbył się XIII-ty Zjazd Białorusinów w Ameryce.

W warszawskim wydawnictwie „Książka i wiedza” wyszła z druku monografia Aleksandry Bergman „Rzecz o Bronisławie Taraszkiewicz” (242 stron z ilustracjami). Autorka oczywiście ani słówkiem nie wspomina o tym,

w jakich okolicznościach przywódca Białoruskiej Włóściańsko-Robotniczej Hromady poniósł śmierć w Rosji.

Niedawno został wydany w Londynie specjalny, bogato ilustrowany (68 zdjęć) numer (1/149, 1978) czasopisma religijnego *Bożym Ślacham*, poświęcony zmarłemu w ub. roku w Paryżu jego b. redaktorowi, ks. archimandrycie Lwu Horoška, znanemu działaczowi religijno-społecznemu, kierownikowi sekcji białoruskiej radia watykańskiego.

W wydanej niedawno przez Zjednoczenie Białorusko-Amerykańskie: Związek Młodzieży Białorusko-Amerykańskiej broszurze w języku angielskim „60-lecie Białoruskiej Republiki Ludowej” został podany przegląd głównych wydarzeń od 1917 roku.

Profesor Państwowego Uniwersytetu Białoruskiego w Mińsku, Aleh Łojka, w swojej, wydanej w zeszłym roku przez wydawnictwo „Wyszejszaja szkoła” nakładem 5 tys. egzemplarzy, „Historiji białaruskaj litarytury. Dakastrycznicki peryjad. Czastka pierszaja” (Historii literatury białoruskiej. Okres przedpaździernikowy. Część I), cytując Kastusia Kalinowskiego, którego publicystyce poświęcił aż 14 stronice, przytacza następujące krótkie zdanie z gazety *Mużyckaja Prawda* (1863 r.): „Jeśli wybuchnie wojna... za naszą wolność, to wszyscy wówczas powinniśmy wyruszyć na wojnę...”. W rzeczywistości Kalinowski pisał: „Jeśli wybuchnie wojna z Moskałem za naszą wolność, to wówczas wszyscy powinniśmy wyruszyć na wojnę przeciwko Moskałowi”. Takiego rodzaju „cytatów” w książce prof. Łojki jest więcej, jak np. „od... panów nie ma się czego spodziewać”, zamiast „Od Moskale i panów nie ma się czego spodziewać” itp.

Nowojorski *Biełarus* w nrze 255/256 zamieścił artykuł o białoruskim dysydencie Michale Kukabaka oraz szkic biograficzny Michała Kukabaki pt. „Ukradziona Ojczyzna”, a w nrze 257 — jego obszerny artykuł, napisany w kraju i przesłany na Zachód, pt. „Obrona praw człowieka i odprężenie — niepodzielne”.

Z opublikowanych materiałów dowiadujemy się, że Michał Kukabaka, urodzony w 1930 roku w Bobrujsku, którego rodzice zginęli w czasie ostatniej wojny (broniąc sowieckiej władzy), wychowywał się w domu dziecka. W wieku lat 17 wyjechał z Białorusi. Służył w sowieckiej armii. Za krytyczne wypowiedzi o nadużyciach władz miejscowych i demonstracyjną odmowę wzięcia udziału w wyborach wiosną 1969 został aresztowany i osadzony najpierw w Włodzimierskim więzieniu, a później — w specjalnym szpitalu, a raczej więzieniu psychiatrycznym. Po przeszło 6-ciu latach przebywania w szpitalach-więzieniach w różnych miejscowościach Związku Sowieckiego w maju 1976 roku został zwolniony (jako „siostrzeniec” gen. Piotra Grygorowicza). W sierpniu 1976 roku Kukabaka wrócił do Bobrujska i zaczął pracować jako ładowacz, ale niebawem, w październiku tegoż roku, został aresztowany za rozpowszechnianie Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i uwięziony w szpitalu psychiatrycznym w Mohylowie. Bezpośrednim powodem aresztowania i uwięzienia tym razem była odmowa Kukabaki zdjęcia zawieszonych przez niego na ścianie, nad swoim łóżkiem w pokoju hotelu robotniczego, świętego obrazka, Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka oraz portretów akademika Andrieja Sacharowa i gen. Piotra Grygorowicza. Trzymano go w 3-im oddziale szpitala w ścisłej izolacji. Kierowniczka tego oddziału, Nadzieja Drabkina, która go „leczyła”, oświadczyła mu: „Zawie-

szanie ikonki i portretów takich ludzi jak Sacharow i Grygorenko, jest sprzeczne z ogólnie przyjętymi normami postępowania i dlatego stanowi nie-normalność". Drabkina zaliczyła również do psychicznej anomalii chęć Kukabaki nabycia potretu Prezydenta Cartera. W obronie Kukabaki niejednokrotnie występowali znani dysydenci — Wiktor Niekipielow i Aleksander Podrabinek. 25 listopada 1976 roku został on zwolniony ze szpitala. W kwietniu 1977 roku zwrócił się do Prezydium Rady Najwyższej ZSSR z prośbą o pozbawienie go sowieckiego obywatelstwa i zezwolenie na wyjazd za granicę.

Emigracja białoruska ponosi ostatnio niepowetowane straty. Coraz częściej na łamach jej prasy pojawiają się nekrologi wybitnych osób. 3 września 1978 roku zmarł w Rzymie, w wieku 82 lat, Prałat Jego Świętobliwości, ks. Piotr Tatarynowiç, znany białoruski działacz religijno-narodowy, redaktor czasopisma religijnego *Zniç*, b. kierownik sekcji białoruskiej radia watykańskiego, członek Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuk w Nowym Jorku, tłumacz na białoruski Ewangelii i „Quo Vadis” Sienkiewicza. Zmarły pochodził ze Stuczyny. ■ Profesor James Dingley z Londynu, redaktor wydawnictwa *The Journal of Byelorussian Studies*, na zaproszenie Wydziału Sławistyki Queen's College i Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Jorku, wygłosił 15 września 1978 w Queen's College odczyt pt. „Niektóre zagadnienia białorusoznawstwa”. ■ W nr. 3-cim londyńskiego kwartalnika *The Slavonic and East European Review* została zamieszczona recenzja wybitnego białoruskiego krytyka literackiego Antona Adamoviça z książki Arnolda McMillin'a w języku angielskim „Literatura Białorusinów: Historia literatury białoruskiej od jej początków do dnia dzisiejszego”. ■ Białoruski arcybiskup prawosławny Mikołaj Macukieviç ze Stanów Zjednoczonych wizytował od 18 sierpnia do 22 września 1978 białoruskie skupiska w Australii. ■ Nad odbyte w dniach 29-30 września 1978 w Waszyngtonie konferencji Komitetu Wykonawczego Rady Republikańskich Klubów Etnicznych z udziałem przedstawicieli Sekretariatu partii republikańskiej dr Vitaut Kipel, prezes komitetu edukacyjnego, został upoważniony do koordynowania projektu wydania informacyjnego podręcznika — przewodnika dla szkół o organizacjach etnicznych. Dr Kipel został również mianowany przez gubernatora stanu New Jersey Brendana T. Byrne prezesem niedawno utworzonej Rady Etnicznej stanu New Jersey, w skład której weszło 18 przedstawicieli różnych grup etnicznych. ■ W dzisiejszym Wilnie, w którym zamieszkiwało w 1970 roku (według oficjalnej statystyki) 24 tysiące Białorusinów (w rzeczywistości było i jest ich znacznie więcej), nie ma ani jednej szkoły białoruskiej, ani czasopisma w języku białoruskim, ani żadnej instytucji kulturalnej. Muzeum Białoruskie im. Ivana Łuckieviça, które mieściło się w murach pobazylińskich przy ul. Ostrobramskiej, zostało zaraz po drugiej wojnie światowej zlikwidowane przez władze Litewskiej SSR. Ponad 10 tysięcy eksponatów (historia, etnografia, archeologia) i bogata biblioteka zostały wówczas przekazane różnym kulturalnym instytucjom litewskim. Później część eksponatów i książek (ponoć 36 tysięcy) została przekazana jako „dar” narodowi białoruskiemu w Mińsku. W cerkwi św. Trójcy, zbudowanej na początku XVI-go wieku przez księcia Konstantego Ostrogskiego, wielkiego hetmana litewskiego, na upamiętnienie zwycięskiej bitwy pod Orszą z wojskami Ivana Groźnego, mieści się laboratorium wytrzymałości materiałów budowlanych. A w białoruskim (w czasie ostatniej wojny) kościele parafialnym św. Michała, zbudowanym na początku XVI-go wieku przez kanclerza i hetmana Wielkiego Xięstwa Litewskiego księcia Lwa Sapiehę, redaktora-wydawcę Statutu Litewskiego z 1588 roku, umieszczono stałą wystawę budownictwa, przy tym wyrzucono szczątki fundatora kościoła i jego

rodziny ze znajdującego się w kościele grobowca. ■ W związku z przygotowaniem do obchodów setnej rocznicy urodzin Janki Kupały i Jakuba Kołasa, przypadającej w 1982 roku, przygotowywane są do druku książki, albumy i broszury, informujące o rodzinnych stronach dwóch wielkich poetów białoruskich. Prezydium Nauk Akademii BSSR postanowił wydać na tę rocznicę słowniki mowy literackiej Janki Kupały i Jakuba Kołasa. Ułożenie słownika mowy poetyckiej Janki Kupały zostało zlecone katedrze języka białoruskiego Państwowego Uniwersytetu Homelskiego. Przy tym należy stwierdzić, że znaczna część (1/3) utworów Janki Kupały została oceniana i nie zamieszczona w powojennym 6-tomowym wydaniu zbioru utworów poety. ■ W dzienniku mińskim *Sowieckaja Bielorusija* (Nr 226) została opublikowana tegoroczna Uchwała plenum KC KP Białorusi „w sprawie skutecznego wykonania planów i zobowiązań socjalistycznych”, z której dowiadujemy się, że „w wielu kolchozach i sowchozach republiki tempo wzrostu wytwórczości produktów rolnych nie odpowiada zwiększonym zadaniom i istniejącym możliwościom, obserwuje się niską efektywność wykorzystania ziemi, roboczych materiałowo-technicznych i innych zasobów. W rezultacie nie jest zapewnione wykonanie planów i zadań na rok bieżący. Kolchozy i sowchozy obwodów witebskiego, mińskiego, homelskiego i mohylowskiego nie wywiązały się ze swoich zobowiązań podniesienia urodzajności i ogólnego zbioru zboża... W wielu kolchozach i sowchozach zbiór zorgani-zowany niezadowolająco. Niedopuszczalnie powolnym tempem prowadzone są prace przy zbiorze zboża i ziemniaków. Dotychczas (1 października) jeszcze nie rozpoczęto zbiorów buraków cukrowych...”. Z zamieszczonego w gazecie sprawozdania wynika, że do 1 października plan zbioru ziemniaków został wykonany zaledwie w 46 %. Jako przyczyny takiego stanu rzeczy przewodniczący kolchozów podają: niesprzyjające warunki atmosferyczne (deszcze), zły stan maszyn rolniczych, które się ciągle psują i brak transportu.

Włodzimierz BRYLEWSKI

Wołanie na puszczy

Wschód i Zachód - światy nienormalne

Pyta mnie ktoś dlaczego w *Kulturze* uporczywie przekonuję przekonanych, powtarzając o Wschodzie i Zachodzie rzeczy tutajszemu czytelnikowi polskiemu nader dobrze znane. Istotnie — pisywanie na tym miejscu to jest taka właśnie, nieco jałowa, czynność ale uprawiam ją dla własnej, osobistej przyjemności, w co niektórzy moi paryscy przyjaciele wcale nie chcą uwierzyć, bo nie potrafią wczuć się w sytuację człowieka, który całe życie pisał „pod cenzurę”, a teraz ni stąd ni zowąd może pisać co chce. Zupełnie to chorobliwa wolność — jakby nagle ów człowiek wzniosł się balonem poza granice przyciągania ziemi i lekimi ruchami był w stanie, bez żadnych konsekwencji, kierować się w dowolnym kierunku (dowolnym, bo Redaktor *Kultury*, jak dotąd, wszystko umieszcza — „a cierpliwa publika łyka i łyka”). Jest to wolność tak niewiarygodna, że nawet nie potrafię jej już używać i łapię się na tym, iż wyznaczam sam sobie pewne taktyczne granice wypowiedzi, czyli stosuję autocenzurę. Czyżbym więc nie potrafił już być wolnym? A może to wolność iluzoryczna, wolność gadania w próżnię lub do niewiedomego czytelnika, którego reakcji się nie zna? Boć bez cenzury można wprawdzie wszystko, ale w międzyplanetarnej próżni nie zawsze wiadomo po co. Kolega Leopold Unger powiedział, że woli to, co piszę w Kraju przy cenzurze, od mego pisania tutaj. Byłby więc Unger zgodny z opinią Leonardo da Vinci, który twierdził, że twórcze dzieło nie rodzi się z wolności, lecz z przymusu. To ci dopiero!

Skąd właściwie wzięta się w Polsce cenzura tak absurdalna i tajna, jakiej w tym kraju nigdy, nawet za caratu, nie było?! Kiedyś spytałem pewnego wysokiego urzędnika naszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dlaczego w epoce ogromnego rozwoju międzynarodowej radiofonii, kiedy każdy może sobie w zasadzie słuchać w radio czego chce, taką ogromną rolę przywiązuje się do słowa drukowanego. — Widzi pan — odpowiedział mi —

oni (miał na myśli rządzących — u nas stale się tak mówi) odziedziczyli ten uraz po dawnych komunistach, dla których liczyły się tylko broszurki — to co wydrukowane czarno na białym! — Ciekawy pogląd, hi, hi.

A więc wybrałem sobie mówienie w próżnię, czyli do nielicznych wykonanych (polska, rozumiejąca się na pamięć, „masoneria”), tymczasem trzeba by do nieprzekonanych i niepoinformowanych — czyli do Zachodu. Ale to by znaczyło wyczerpać narpiastkiem morze, morze przyzwyczajęń i tradycyjnych nonsensów, przebić się moją wątlą szpilką przez mur ahistorycznego i niedialektycznego myślenia. Gdy pan Jacques Amalric, wieloletni korespondent *Le Monde* w Moskwie, opowiadając się za sprzedaniem Rosji odmówionego przez Amerykanów komputera do przekazywania informacji z Olimpiady, pisze (*Le Monde* nr 10434), że prawa człowieka w ZSSR to jedna sprawa, interwencja rosyjsko-kubańska w Angoli to druga sprawa, natomiast stosunki handlowo-przemysłowe między państwami to sprawa trzecia i z poprzednimi mieszać jej nie należy — zęby zaczynają mnie boleć, a palce śwędzić. Jak wytłumaczyć temu osobliwemu stworowi, że napisał okropne gupstwo i że to jest jedna i ta sama sprawa, co najwyżej o trzech twarzach?! Zachód w ogóle lubi przeróżne, gładko przez Rosjan sformułowane i podane, uspokajające brednie. Jedną z najgłupszych na przykład, a niezmiernie popularnych tu też mówi, że nie należy się mieszać w sprawy wewnętrzne innych krajów. Kompletna to bzdura, antyhumanistyczna i ahistoryczna, toć cała historia i cały postęp świata polegały właśnie na mieszaniu się w „cudze sprawy”, toć na tym opiera się cały marksizm i teoria rewolucji, toć Rosjanie robią to bez przerwy, toć los ludzkości jest wspólny! Mimo to wszystko bezsensowne owo sformułowanie brane jest jak najpoważniej i często cytowane przez największych mężów stanu (i żony stanu) świata zachodniego. Albo teza o „pokojowej koegzystencji” krajów o różnych systemach. Z kim koegzystować, z kimś, kto nas otwarcie neguje i chce zniszczyć?! I nawet szczerą diagnoza Lenina o głupocie kapitalistów, co to wyprodukują sznury, na których się ich powiesi, też niczego tu nie daje do myślenia?! Zaiste. A przypomnijmy sobie, ile to niegdys wsiłku i zaprzaństwa (wobec siebie samych) włożyli mocarze Roosevelt i Churchill, aby ustanowić sowiecką granicę na Bugu, czyli maksymalnie przybliżyć sobie ruskiego mola, wręcz osadzić go na własnym karku. Miało to niby zaspokoić owego mola czy molocha, w istocie pobudziło tylko jego apetyt i zaprowadziło go aż do Łaby. Ale pan Amalric nic się z tego, ani z wieloletniego pobytu w Moskwie nie nauczył — albo wszystko zapomniał. Poza tym zaś — boi się. Cały Zachód się czegoś okropnie boi, choć nie mówi wprost czego. Bo jeśli bomby atomowej, to Rosjanie też powinni się jej bać. Co prawda teren mają lepszy, bo rozwleczone i pusty, podczas gdy taki Nowy Jork zablokować można i unicestwić w kilkanaście sekund. Poza tym ruski pomysł z biciem się w Afryce i cudzymi rękoma jest

doskonały: gdy jakiś amerykański mędrak zdecyduje się wreszcie rzucić ową bombę (przypominam lwowski wierszyk: „Panie Truman rzuć ta bania, Bo tu nie do wytrzymania”) okaże się, że nie wiadomo na kogo ją rzucać (na Afrykę?! i że w ogóle jest już za późno, bo cały interes został przegrany bez użycia najnowszych broni. Tak więc Zachód boi się (choć tutejsi „oni”, mimo rzekomej jawności życia politycznego, CZEGOŚ LUDZIOM NIE MÓWIA), a cała jego polityka polega w istocie na krótkowym utrzymywaniu *status quo* czyli na dążeniu do bezruchu. Oczywiście — aby utrzymać się w wodzie nieruchomo trzeba wykonywać wiele niewidocznych na pozór ruchów. Ale ja te ruchy widzę, więc jakże chcecie, abym do tych zajętych ludzi pisał, jeśli nawet Sołżenicyn nie jest słyszany? I jakże chcecie, żebym się nie bał, skoro oni, możni tego świata, tak się boją?! I żebym wszystko mówił?! Muszę stosować autocenzurę — nie ma głupich!

Wielokrotnie, w czasie moich ostatnich odczytów w Anglii, Francji i Skandynawii, polscy słuchacze zarzucali mi, że się nieustannie czepiam Zachodu, że go nie rozumiem, że mam uraz, kompleks i uczulenie. Odpowiadam na to, że ja w ogóle i w zasadzie żyję ze sprzeciwu i krytyki, to jest moje *métier*, moje stałe zajęcie, gdziekolwiek bym był: na Wschodzie krytykuję Wschód, na Zachodzie Zachód, wolno psu na Pana Boga szczeleć, zwłaszcza w kraju demokratycznym i masochistycznym. Zaś życie zachodnie osobiście, owszem, bardzo lubię, dlatego staram się tu często przyjeżdżać. Lubię Zachód, bo tutaj żyje się normalnie, to znaczy po burżujsku, a kto jeszcze nie jest burżujem, marzy aby nim zostać: innego ideału powszechnego tu nie ma, choćby nam nie wiem co wmawiali komunizujący inteligenci. Rzecz w tym, że tutaj, na Zachodzie, pomimo wszelkich machinacji polityków, ostateczną, decydującą instancją jest lud ze swoją kartką wyborczą, a lud z natury rzeczy jest konserwatywny, empirycznie-konsumpcyjny i wygodnicki, żadnymi ideami i przewrotami się nie interesuje, to domena właśnie wykorzenionych społecznie inteligentów z przerafinowanymi, „połamany” mózgami. Ponieważ lud rządzi, więc jest tu burżujsko czyli normalnie, wszyscy zdążają do upowszechnienia burżujskiego stylu życia, choćby nawet swój ustrój chętnie nazywali, jak to się często dzieje w Skandynawii, „socjalizmem”. Osobiście bardzo burżujskość lubię i uważam ją za stan — w Europie przynajmniej — normalny i godny polecenia. Dlatego też lubię Zachód i chętnie tu spędzam urlopy (od życia). Ale nie wierzę, żeby Zachód mógł nam coś pomóc, bo my jesteśmy nienormalni, a oni swoją porcję nienormalności wyczerpali na Hitlerze i nie chcą już do takich spraw wracać, broniąc się przed nimi niewiedzą, jak struś broni się chowaniem głowy w piasek. Poza tym od Zachodu niewielu zdecydowanych i mocnych politycznych czynów się doczekamy, bo Zachód nie jest żadną jednością: to nam się wydaje, że Zachód POWINIEN być jednością. Tymczasem wcale nie, właśnie dlatego, że jest normalny a jedność to

rzecz nienormalna, właściwa krajom dziwnym i nierozwiniętym.

Chowając głowę w piasek i chroniąc się za barierą kompletnego niepoinformowania i nieznamomości współczesnej historii, Zachód lubi czasem stwarzać sobie moralne alibi. Takiego na przykład alibi dostarczyć ma wielki rozgłos nadany dziesiątej rocznicy wypadków czechosłowackich 1968 i gromkie, a dość powszechne domaganie się „wycofania wojsk rosyjskich z Czechosłowacji”. Tego rodzaju sformułowanie sprawy technicznie hipokryzją, opiera się bowiem na rozmyślnym czy nieświadomym ignorowaniu prostego faktu, że cały Wschód Europy został w roku 1945 oddany we władanie Rosji (przez kogo oddany — zgodnijcie sami), że wojska rosyjskie znajdują się we wszystkich środkowo- i wschodnioeuropejskich krajach i że na tym dobrowolnie dokonanym, a wstydliwie przemilczanym akcie podziału świata opiera się dzisiejszy spokój i dobrobyt Zachodu. Specyfiką sprawy czeskiej jest jedynie to, że tamtejsi partyjni rusofile (nadwętawska tradycja!) pojęli rzecz dopiero po 20 latach, podczas gdy znacznie historycznie mądrzejsi Polacy i Węgrzy zrozumieli sprawę o wiele wcześniej, wcześniej też jęli się burzyć (i to nie bezkrywawo!), a potem przystosowywać, o czym się na Zachodzie gładko zapomina.

Tak więc, jak sobie sami nie pomożemy, to nikt inny nam nie pomoże, bo nikt nas nie rozumie lub nie chce rozumieć — z takim przekonaniem wracam zawsze z normalnego (w moim pojęciu) Zachodu na nienormalny (w moim pojęciu) Wschód. Oczywiście jest jednak, że człowiek, żyjąc gdzieś stale, skłonny bywa uznać swoje życie za normę, to już takie psychologiczne prawo, wobec czego tworzy sobie różne pomocnicze teorie i definicje. Można by na przykład zakwestionować diagnozę, co jest a co nie jest normalne. Spróbował tego kiedyś wobec niżej podpisanego nie byle kto, bo sam Bolesław Piasecki. Namawiając nas na akceptację powojennej rzeczywistości, powiedział: — „Wy nie chcecie uznać tego, co się u nas dzieje, bo uważacie, że to jest nienormalne. Tymczasem nie ma żadnego obiektywnego kryterium normalności: wszystko co się dzieje jest tym samym normalne, a na niespodziankach i zaskoczeniach polega właśnie historia!”

Jeszcze inaczej ujął tę sprawę autor „Bolesława Chrobrego”, Antoni Gołubiew. Stwierdził on, że na przestrzeni całej swej historii ludzkość kierowała się przemocą, gwałtem, perfidią i dziwactwem, próbą WYJĄTKOWĄ był XIX-wieczny liberalizm, rozsądny humanizm i demokratyzm, jaki zapanował na kilkadziesiąt lat w nielicznych krajach zamieszkiwanych przez „białych” ludzi, m.in. na niewielkim półwyspie, zwanym Europą. Nie widać zatem powodu do historycznego optymizmu i do przyjęcia wypadków wyjątkowych i znajdujących się w mniejszości za obowiązującą normę.

Tak więc, zważywszy że ogromna większość globu żyje bez demokracji i informacji, bez stabilizacji poziomu życia material-

nego, żyje dziwnie, poddana mafijnym rządóm przeróżnych terrorystycznych grup czy „ideologów”, można by podważyć moją tezę, że lubiane przeze mnie życie zachodnie jest normalne. A może normalne jest właśnie to, co przeżywa większość ludzi na świecie, nie zaś styl bytowania uprzywilejowanej mniejszości? Może np. dla mnie pisywanie przy cenzurze dla zwartego, krajowego czytelnika jest rzeczą normalniejszą, niż pisywanie czegoś dla zapragnięcia dla rozproszonych za granicą polskich grup, które częstokroć kraju nie widziały od wielu dziesiątków lat i wiszą w międzyplanetarnej, czy międzynarodowej próżni? A przypomnijmy jeszcze, że wszyscy jesteśmy, przynajmniej z wychowania i tradycji, chrześcijanami, zaś chrześcijaństwo głosi pochwałę cierpienia i zakłada, że normą jest człowiek cierpiący, nie zaś ten, któremu się dobrze powodzi.

Wobec powyższego nie sposób odrzucić tezy, iż dla autora rubryki *Wołanie na puszczy* pisywanie w kraju na pozór o niczym jest zajęciem normalniejszym niż pisywanie za granicą na pozór o wszystkim. W *Kulturze* — eksperyment, w *Tygodniku Powszechnym* — norma! Urlopy na normalnym Zachodzie to wakacje, czas wolny od życia, pobyt na nienormalnym Wschodzie to jedyne prawdziwe życie. Tak, czy nie tak? Ja tej sprawy nie rozstrzygam — stawiam tylko pewną „roboczą hipotezę”, że można by w ten sposób kwestię ujmować, że są różne punkty widzenia. Proponuję rzecz przemyśleć, co i sam zrobię, a rezultatem podzielę się też z Wami.

KISIEL

Wrzesień 1978

Tadeusz Wyrwa

LA PENSÉE POLITIQUE POLONAISE A L'ÉPOQUE
DE L'HUMANISME ET DE LA RENAISSANCE

(Un apport à la connaissance de l'Europe moderne)

Préface de Pierre Chaunu

684 pages.

Prix de vente: 110,00 F. — Franco F. 120,00.

Prix de vente: £ 12,00 — Franco £ 12,75.

Prix de vente: \$ 24,00 — Franco \$ 25,50.

Librairie Polonaise

123, Boulevard Saint-Germain — 75006 Paris

ou

Poets' and Painters' Press

146 Bridge Arch, Sutton Wak, London S.E.1. 8XU.

Z pustyni i z puszczy

Autobiografia

Mój dziadek był Kozakiem, a babka szlachcianką z Litwy. O Litwie będę jeszcze mówił. Druga para dziadków normalna. Rodzice również. Urodziłem się w czasie okupacji w roku 1947, w Łodzi, na ulicy Dąbrowszczaków, co przesądziło o moim internacjonalizmie. Łódź jest małym miasteczkiem na prowincji Europy, które w herbie ma łódkę, mimo iż nigdy nie widziało rzeki. Jest to abstrakcja typowa dla kraju, w którym leży to miasteczko. Godłem tego kraju jest lotnia w koronie z dziobem zwróconym na lewo. Kraj ten, Ubekistan, jest jednym z podobozów wielkiego konc-łagru, który istnieje od czasów, gdy czterech dżentelmenów w Jańcie tak postanowiło. Trzech z nich było nieukami w szkole i nie znało geografii. Czwarty znał ją aż za dobrze i był łudząco podobny do wodza kraju, który przegrał wojnę. Wojna odbyła się przed moim urodzeniem. Ja musiałem przeżyć wszystkie filmy o niej.

Wielki konc-łagier nazywany jest komunistycznym. Komunizm jest naszą cełą. Komunizm jest wyższą formacją społeczną, w której nie ma różnic klasowych, ponieważ wszyscy — prócz członków *inter-party* — są wspólnie (od łac. *communis*, wspólny) niewolnikami. W związku z tym nie ma wyzysku człowieka przez człowieka. W komunizmie zniesione zostały różnice między pracą fizyczną a pracą umysłową, ponieważ państwu komunistycznemu jest wszystko jedno kto, gdzie i jak pracuje. Władza komunistyczna różni się od innych władz tym, że interesuje ją tylko władza.

Moje dzieciństwo upłynęło na noszeniu czerwonych chorągiewek w przedszkolu i śpiewaniu o Największym Przyjacielu Dzieci, towarzyszu Stalinie. Towarzysz jest to członek. Hiszpanie i dąbrowszczacy mówili na to *camarade*. Kiedy byłem w pierwszej klasie szkoły podstawowej, na pytanie nauczycielki, kto jest prezydentem Polski, odpowiedziałem, że Stalin, co było nieprawdą, ponieważ Soso już nie żył. Żyła za to Helena Bobiń-

ska, która go unieśmiertelniła w literaturze polskiej. Rządził wówczas dziadzio Bierut, który miał wąsik i Urzędy Bezpieczeństwa. Tam robiono manicure. Mój ojciec, który przedtem był żołnierzem Armii Krajowej, słuchał wtedy radia i prosił, żebym nie mówił o tym w szkole. Poza tym Rodzice bezustannie musieli gdzieś maszerować. Od tego czasu mam uraz do wszystkich marszów i nie bardzo potrafię je rozróżniać. W hymnie mojego kraju też się maszeruje. Żeby przestać maszerować i znaleźć się od razu w lepszym jutrze, próbowano kiedyś zmienić hymn. Podjął się tego facet od podejmowania się wszystkiego, niejaki Ildefons Gałczyński, którego córka też się później podejmowała. Jednakże w jego jasnym hymnie nie wszystko było jasne i postanowiono jeszcze pomaszerować.

Kiedy pomaszerowałem do szkoły średniej namiestnikiem był dziadzio Gomułka, którego tak scharakteryzowała, w natchnieniu, poetka Iłakowiczówna w „Portretach imion”:

*„Zbyt słowiańska gniecie go dusza tępym rwaniem wschodniej
melancholii;
zawsze trochę bliski obłędu, gdy wiatr dmie lub śnieg pada powoli
rzadko bywa naprawdę szaleńcem... Mało który z przyjaciół
wytrzyma
jego nudne, posępne skargi poparte przekrwionymi oczyma...”*

W szkole średniej wychowywałem się na epepei zaczynającej się od słów „Litwo, ojczyzno moja...” co było dziwne, bo Litwa była za granicą.

Przez całe swoje życie pobierałem nauki w różnych instytucjach naukowo-badawczych, z których najważniejsze to Wydział Filologiczny, kierunek: filologia polska, Uniwersytetu Łódzkiego i Wydział Filozoficzno-Historyczny, kierunek: etnografia, Uniwersytetu Łódzkiego. W instytucjach tych uczono mnie głównie w czym brać udział i w czym nie brać udziału. Spotkałem tam wielu docentów i od tego czasu mam trwałe uraz do docentów. Było to po roku 1968 i docenci dzielili się przeważnie na docentów narodowych albo moczarowych i docentów wydawców, którzy wydali skrypt i dwóch kolegów. Docentami byli także towarzysze rektorzy. Później udało mi się spotkać jeszcze kilku docentów niewinnych (habilitowanych). Niektórzy z nich uczyli mnie liczyć oczka w sieciach rybackich, ponieważ znali się na tym. Nazywało się to etnografią.

Etnografię studiowałem przez trzy lata. Chciałem zajmować się antropologią kultury bądź etnologią, tymczasem w moim kraju możliwa była tylko etnografia. Levi-Strauss, owszem, ale jak nauczymy się rodzajów soch i pługów... Od tych pługów huczało mi w głowie i od tej pory mam również trwałe uraz do pługów.

Na etnografii spotkałem wybitnego naukowca — docent Kucharską. Docent Kucharska kojarzyła się wszystkim z tytułem dramatu Aleksandra Fredry „Damy i Kuchary”. Docenci, a szcze-

gólnie docent Kucharska wyróżniali się tym, że słabo czytali, na przykład zamiast Bierezin czytali: „Bierczyn”, „Biereży” lub Bierżeżin”. U docent Kucharskiej zdawałem jeden egzamin około trzech razy, ponieważ docent zupełnie nie rozumiała, co do niej mówię. Myślę, że to dlatego, iż nigdy nie studiowała filologii polskiej. Docent Kucharska była prawdziwym naukowcem i nie zajmowała się rzeczywistością. Dlatego pewnego razu na zajęciach z mniejszości narodowych bardzo się zdziwiła że w moim kraju istnieją Żydzi, i że kiedykolwiek byli prześladowani. Docent Kucharska była przekonana, że w moim kraju żyją tylko Kaszubi, i to tylko po to, żeby stanowić temat pracy doktorskiej.

Z tych wszystkich powodów postanowiłem docent Kucharską unieśmiertelić, mimo że w porównaniu z innymi profesorami Pimkami, jakich udało mi się w życiu spotkać, była to osoba nieskazitelnie porządna. Myślę, że historycy literatury zrozumieją moje intencje.

Moja kariera etnografa skończyła się tak nagle, jak się zaczęła — w roku 1976, po powstaniu Komitetu Obrony Robotników — dzięki wspólnym wysiłkom: rektora, docenta Skowrońskiego, dziekana, docent Barszczewskiej, kierownika katedry, docent Jaworskiej i magister Zawiejskiej, specjalistki od owiec, zupełnie bezradnej w cywilizacji miejskiej, czyli na przykład na zajęciach uniwersyteckich.

Nie jestem w stanie wyliczyć tutaj mnóstwa osób togowanych, znanych mi i nieznanym, którym wiele zawdzięczam. Mam nadzieję, że wybaczą mi one ten nietakt.

Przed etnografią studiowałem filologię polską. Już na pierwszym roku świętej pamięci docent Hrabec rysował nam na tablicy wykres, z którego niezbitnie wynikało, że „Dziady” Mickiewicza w inscenizacji Dejmka są antyradzieckie. Ogólny aplauz spowodował, że wypadła mu na katedrę sztuczna szczeka. Drugim moim ulubieńcem był docent Cyran, gramatyk opisowy i dziekan wydziału, który mawiał: „już ja pokażę temu poecie”. Myślałem wówczas, że jest ekshibicjonistą, ale nie. Choć w końcu pokazał, za co jestem mu wdzięczny do tej pory.

Na filologii polskiej przez parę lat studiowałem literaturę i przekonałem się, że w moim kraju była ona zawsze wielką literaturą prowincjonalną. Ta, która przekraczała te granice i stawiała się bardziej uniwersalna, powstawała na emigracji, ponieważ pobyt w kraju odbierał wszelką ochotę do pisania. Pierwszy wielki prozaik, Jan hrabia Potocki, napisał swoje dzieło po francusku wzbogacając w ten sposób literaturę romańską. Z czasem jego książkę przełożono nawet na polski.

W literaturze, a szczególnie w poezji, w moim kraju wielką rolę odgrywały chmury, w których się coś ukazywało — przeważnie Pan Bóg lub Matka Boska. Stąd wciąż spotykam ludzi przekonanych, że nie tylko obecny Papież, ale i Pan Bóg jest Polakiem.

W swoim życiu pobierałem również nauki w innych instytucjach naukowo-badawczych, z których najważniejsze to: Wojewódzki Areszt Sledczy w Łodzi, Sąd Wojewódzki w Łodzi, Komenda Miejska Milicji Obywatelskiej w Łodzi, Komenda Stołeczna Milicji Obywatelskiej w Warszawie, komendy i areszty dzielnicowe w różnych miastach oraz Biuro Paszportów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. We wszystkich tych instytucjach spotkałem wielu magistrów i od tego czasu mam trwałą uraz do magistrów.

Kiedy zacząłem pisać wiersze, jeden z magistrów urządził konkurs na wiersz, w którym występowałyby: Sierp, Młot i Sztandar. Napisałem wówczas:

*Sierp, młot i sztandar w jednym stalin-domu.
Sztandar sierpa młotem walił po kryjomu.*

Była to poezja lingwistyczna. Dziś uprawiam realizm krytyczny.

Ludzie w moim kraju od czasu do czasu chwytają za sierpy i młoty i wtedy płoną budynki komitetów Przewodzącej Partii. Później wchodzi na mównicę jakiś facet w wieku emerytalnym, członek Przewodzącej Partii, chwytą za mikrofon i strzela frazesami. Frazesy są w moim kraju bronią masowego rażenia.

Mój kraj miał być kiedyś Mesjaszem narodów, w związku z czym ludzie byli natchnieni. Z tego natchnienia rodziły się dzieci. Niektóre dzieci nazywały się później narodowcami i zabijały prezydentów lub biły Żydów, a później zakładały organizacje pokojowe (pokój, od łac. *Pax*). Dziś niektórzy krajowi narodowcy, bojąc się spisku masonów, którzy wybrali papieża, są za porozumieniem z nienarodowym rządem, inni — niezależni — są za Piastem kołodziejem, Dmowskim, lotnią i aryjskością; narodowcy emigracyjni straszą opozycję lewicową sierpem, młotem i czołgami, a oficjalni narodowcy pomagają w wynaradawianiu.

Boga w sercu mają chyba tylko ekumeniści, socjaliści i lewica laicka. Mówi o tym pieśń proletariacka z 1905 roku:

*Z dymem pożarów Petersburg się wali,
O Matko Boska wypędź tych Moskali.
Wypędź Moskali, wypędź narodowców,
A zostaw tylko samych pepesowców.
Bo pepesowcy dobrzy katolicy,
A narodowcy to służą policji.*

W moim kraju, szczególnie wtedy gdy był w niewoli, pisarze cieszyli się ogromnym autorytetem. Dlatego wszyscy chcieli być pisarzami. Już po moim urodzeniu władza ludowa bardzo dbała o pisarzy. Dawała im posady, mieszkania, legitymacje, że są pisa-

rzami, i legitymacje, że są członkami. Później pisarzom trudno było się od tego odzwyczaić. W ten sposób powstałi literaci.

Mój kraj ma ogromne osiągnięcia w produkcji literatów, magistrów i docentów. Niektórzy są nimi służbowo.

Kiedyś legitymacją pisarzy były wielkie dzieła, dziś — wielkim dziełem jest legitymacja. Dlatego literaci nie muszą już pisać. Ja niepotrzebnie napisałem i odmówiono mi legitymacji.

Ale największym dziełem poetyckim w moim kraju jest Kodeks Karny, z którego wynika, że za wszystko, co wyżej napisałem, mogę dostać 8 lat, co może się stać, jak tylko nowe wróci.

Jacek BIEREZIN

SPIKER-REALIZATOR PROGRAMU

Radio Canada International — Sekcja polska poszukuje spikera — realizatora programu do organizowania, dokumentacji, redagowania, przeprowadzania wywiadów, przygotowywania i wygłaszania audycji w języku polskim, tłumaczenia i adaptacji tekstów angielskich i francuskich na język polski.

Wymagania:

- doświadczenie w pracy radiowej, prezentacji audycji, w tłumaczeniach i redagowaniu;
- dyplom uniwersytecki;
- pożądane doświadczenie dziennikarskie oraz znajomość Kanady i problemów kanadyjskich;
- Całkowite opanowanie języka polskiego, bardzo dobra znajomość francuskiego i angielskiego oraz łatwość tłumaczenia i mówienia w tych językach.

O stanowisko to mogą się ubiegać wykwalifikowani kandydaci obojga płci.

Wynagrodzenie:

Dol. can. 15.523,00 - 26.194,00 rocznie — w zależności od doświadczenia i kwalifikacji.

Kontrakt na 5 lat z możliwością przedłużenia.

Wybrany(a) kandydat(ka) otrzyma dodatek na ułatwienie mu (jej) osiedlenia się w Kanadzie.

Curriculum vitae należy kierować na adres:

**SERVICE DES RESSOURCES HUMAINES
RADIO CANADA INTERNATIONAL
P.O. 6000
MONTREAL, QUE. H3C 2A8**

Sprawy i troski

List Dyr. Polskiej Sekcji RWE

Monachium, 4 grudnia, 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Drukując odezwę „Zespołu Inicjatywy Obywatelskiej Uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Warszawie” w grudniowym numerze *Kultury*, wyrażają Panowie zdziwienie, że Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa nie ogłosiła tego apelu wzywającego Warszawiaków do wzięcia udziału w publicznej manifestacji — „pochodzie narodowym” do Grobu Nieznanego Żołnierza — bezpośrednio po nabożeństwie dziękczynnym w Katedrze Świętego Jana w dniu Święta Niepodległości 11 listopada.

Chętnie korzystam z uprzejmości Panów, by wyjaśnić na łamach *Kultury* motywy tej mojej decyzji i postawę naszej Rozgłośni w tego rodzaju sprawach.

Otóż jak oświadczyłem w rozmowie ogłoszonej w listopadowym numerze *Kultury* (str. 63): „uważam, że ludzie przebywający zagranicą nie powinni... dawać wskazówek czy nawoływać do czegoś ludzi w Kraju, którzy znajdują się w innej zupełnie sytuacji”. Przekazanie apelu krajowego Zespołu Inicjatywy na naszych falach byłoby takim właśnie nawoływaniem, przy czym nasza Rozgłośnia brałaby faktycznie na siebie odpowiedzialność za manifestację, jej przebieg i skutki, nie wiedząc jednocześnie nic bliższego nie tylko o autorach odezwy i ich konkretnych planach, ale również nie orientując się w zmiennej przecież sytuacji na miejscu. Ograniczyliśmy się więc do zapowiedzi nabożeństwa dziękczynnego w Katedrze, powołując się na okólnik biskupa Modzelewskiego do parafii diecezji warszawskiej.

W warunkach panujących w Kraju nie można też wykluczyć prowokacji policyjnej która starałaby się wykorzystać ogłoszenie przez nas odezwy, aby zakłócić pochód, oskarżyć o ewentualne incydenty Wolną Europę, CIA, imperialistów itp. i przedstawić manifestację patriotyczną społeczeństwa jako polityczną inspirację z zewnątrz. Polacy w Kraju nie potrzebują zresztą zachęty czy wezwań z naszej strony, by publicznie okazać swe uczucia: po wyborze Papieża natychmiast w Krakowie uformował się spontanicznie kilkutyśięczny pochód i ruszył na Wawel, a potem na Rynek, śpiewając patriotyczne pieśni.

Z tych wszystkich względów jest od lat stałą zasadą naszej Rozgłośni nie wzywać słuchaczy w czymkolwiek imieniu do konkretnych akcji takich jak pochody, manifestacje, bojkoty, strajki itp. Nie rościmy sobie pretensji do dyktowania w ten sposób ludności jak się ma zachować w danym momencie,

a w sytuacji w jakiej znajduje się naród polski więcej mogłoby to przynieść szkody niż pożytku. Zdając sobie sprawę, że to racjonalne i moim zdaniem jedynie słuszne obecnie podejście może w pewnych momentach spotkać się z odruchem krytyki ze strony tych, którzy nie bacząc na ryzyko osobiste z podziwu godnym poświęceniem i oddaniem podejmują w Kraju heroiczną nieraz walkę z totalitarnymi metodami władzy, ratując honor i substancję duchową narodu tak jak niegdyś w Polsce porozbiorowej czynili ich poprzednicy, podtrzymując na różne sposoby w sercach i umysłach gnębionych przeciwnościami rodaków tęsknotę za utraconą wolnością i gotowość do jej odzyskania.

Kto słucha naszych audycji ten wie, że popieramy w miarę naszych możliwości tę ich działalność i jej szlachetne cele. Nie możemy jednak w niej bezpośrednio uczestniczyć z daleka wzywając na spółkę z nimi Polaków w Kraju do czynu.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Zygmunt MICHAŁOWSKI
Dyrektor Rozgłośni Polskiej
Radia Wolna Europa

A więc znów „nawoływanie”, które — jak widać z listu p. Michałowskiego — zdaje się być obsesją nie tylko amerykańskich „nadzorców” RWE.

Nadając bez komentarza odezwę do wzięcia udziału w „pochodzie narodowym”, do niczego się nie „nawołuje”. Podaje się wiadomość z kraju, otrzymaną przez radiostację z określonego źródła (w tym wypadku Zespół Inicjatywy Obywatelskiej ROPCiO) za pośrednictwem *Kultury*, która gwarantowała autentyczność odezwy. Spełnia się po prostu obowiązek informowania. Można sobie doskonale wyobrazić tekst, czy przynajmniej skrót, odezwy na łamach powiedzmy *Le Monde*. Tym bardziej naturalne byłoby jej uwzględnienie na falach radiostacji, która nadaje do Polski.

Odezwa została ułożona przez grupę działającą w kraju, ona zatem a nie monachijska rozgłośnia „bierze na siebie odpowiedzialność za manifestację, jej przebieg i skutki”; i podejmuje — jak wolno sądzić — ten krok z większym od RWE tytułem do „orientacji w zmiennej przecież sytuacji na miejscu”.

W ustroju totalitarnym wszystkie niemal przejawy czy działania opozycji można, przy odpowiednim naciągnięciu, przedstawić jako kryjące w sobie niebezpieczeństwo „prowokacji”. Nie należy więc tego argumentu nadużywać, bo grozi on sprowadzeniem opozycji do absurdu wszechobecnej „manipulacji policyjnej”. Pan Michałowski pisze: „Nie rościmy sobie pretensji do dyktowania ludności jak się ma zachować w danym momencie”. Nadanie odezwy określonej grupie opozycyjnej (podobnie jak odczytywanie przed mikrofonem tekstów z określonego pisma opozycyjnego) nie jest żadnym „dyktowaniem ludności jak się ma zachować”, lecz zwykłą rejestracją tego zachowania.

RWE powstało jako instytucja polityczna, przy jego założeniu obowiązywał nawet z woli Amerykanów swoisty „klucz partyjny”. Pytanie polega na tym, czy chce się obecnie przeobrazić w instytucję całkowicie apolityczną, dublując *Voice of America*?

REDAKCJA

Polemiki

Drogi i podziały

Brak polemik uważam za jedną z największych słabości polskiej myśli politycznej tak w kraju jak i na emigracji. Nie żalę się, że zbyt rzadko sobie publicznie ubliżamy. To się zdarza nawet i wówczas gdy adwersarze wydają się różnić w kwestiach istotnych i można by oczekiwać sporu merytorycznego.

Na temat polskich programów działania, celów — które powinny im przyświecać — kierunków, sposobów, form działania zabierało głos już bardzo wielu publicystów i działaczy. Nad podziw często występują w tym piśmiennictwie myśli wspólne, nie brak też różnic, czasem stanowiących kwestie sporne, czasem zaś uzupełniające się punkty widzenia, lub warianty związane z różnymi możliwymi układami czynników od polskiego społeczeństwa niezależnych. Dla krystalizacji społecznych programów działania szczególnie ważne są różnice. Dopiero ich sformułowanie pozwala sprecyzować to co wspólne i tylko w dyskusji — a więc w sporach o to co nas różni — zbliżone stanowiska mogą stać się programem ruchów społecznych. Polemika jest tedy warunkiem koniecznym budowania programu społecznego działania, choć oczywiście nie jest to warunek wystarczający.

Z tego punktu widzenia każdy, nawet najbardziej nieudolny czy błędny szkic na tematy ideowe i polityczne jest cenny — choćby posłużyć miał tylko dla odróżnienia się i tym samym pełniejszego sformułowania własnego stanowiska. Byłoby pięknie, aby każdy kto podejmie trud rozwijania myśli programowej starał się nie tylko zauważać inne wypowiedzi w tej kwestii, ale także w przypadku różnic próbował zrekonstruować myśl adwersarzy — jeśli trzeba — nawet w kilku wariantach i sprzeciwiając się określone mu twierdzeniu uwzględnić jego przesłanki. Dobrych wzorów w tym względzie dostarczają Turbacz i Tarniewski — ostatni Mohikanie kulturalnej polemiki.

Niestety ustala nam się zgoła inny obyczaj. Co szkic na tematy programowe to nowy Kolumb tej problematyki. Taki jeśli już zauważy innych, to tylko po to, aby ich protekcjonalnie poklepać po plecach, lub co jeszcze śmieszniejsze stwierdzić z pogodną niefrasobliwością, że poza jego wypowiedzią wszystkie inne są np. beztreściowe, zaściankowe, anachroniczne.

W świetle powyższych wyznań zrozumiała jest satysfakcja, jaką mi sprawił artykuł Socjusza („Ile jest dróg”? — *Kultura* Nr 6/1978). Śpieszę podjąć pateczkę polemiczną. Może wspólnie przełamiemy złą passę.

I

Na początek odnotujmy kwestie, w których jestem z Socjuszem zgodny. Po pierwsze zgadzam się, że dążenia ludzi często bywają sprzeczne, zaś wiara w możliwość zbudowania społeczeństwa bezkonfliktowego jest „naiwna” i „całkowicie utopijna”. Co gorsza, działania z tej wiary zrodzone mogą, jak to już bywało, sprzyjać ustanawianiu krwawych dyktatur. Po drugie zgadzam się, że występuje sprzeczność między zasadą niepodporządkowywania jednostki wspólnotnie a ujmowaniem tejże jednostki we wspólnotach do których przynależy. Po trzecie zgadzam się, że samorządy nie mające zaplecza w demokratyczno-parlamentarnej strukturze państwowej stają się szybko narzędziem w ręku klik i władzy centralnej.

Pierwsze z wyliczonych tu stwierdzeń — w wersji o tyle silniejszej, że zakładającej nieuchronność konfliktu w dążeniach każdego człowieka i między ludźmi — stanowi główną przesłankę *Zasad Ideowych*. Szczególnie wiele uwagi poświęcam tam twierdzeniu, sformułowanemu tu za Socjuszem jako drugie i trzecie, tj. konfliktami między jednostką a jej wspólnotami, oraz między samorządami a państwem. Formułuję *zasadę ideową pluralizmu politycznego* realizowanego w *demokracji parlamentarnej* — w pierwszym rzędzie jako formę przewycięzania tych wszystkich konfliktów. W tym ujęciu dla pomyślności jednostek i społeczeństwa niezbędni są zarówno ci, którzy bronią wspólnoty przed uroszczeniami jednostek jak i ci, którzy bronią samorządu przed centralną władzą i ci, którzy bronią centralnej władzy przed samorządami etc.*

* Ponieważ wymienione powyżej trzy twierdzenia Socjusz formułuje w polemice z *Zasadami Ideowymi* więc obowiązek życzliwej dla polemisty interpretacji nakazuje mi wnosić, że dzieła tego niestety nie czytał. Zapewne otrzymał zupełnie nieczytelny egzemplarz. Wciąż jeszcze mamy kłopoty z techniką.

W prezentowanym ujęciu każdy ład społeczny (ustrój) jest lepszą lub gorszą formą przewycięzania konfliktów, które muszą być stale przewycięzane ale przewycięzone być nie mogą. Natomiast nie bardzo rozumiem co w wywodzie Socjusza wynikać ma z przytoczonych konstatacji.

Przy okazji pozwolę sobie zwrócić uwagę na niewątpliwie kuriozalną wypowiedź mego adwersarza: „hasło samorządności, patetyczne deklaracje na temat praw człowieka i przeciwstawianie ich interesom wspólnoty mają, być może, dla Kuronia sens wyłącznie aktualny”, inni słowy — jak on pisze w innym miejscu — są „przejawem taktyki politycznej na dziś”. Domniemanie takie należałoby potraktować jako szczególnie obraźliwą insynuację. Na szczęście, jeszcze w tym samym zdaniu autor deklaruje, że jeśli by tak było (tj. jeśli głoszenie praw człowieka stanowiłoby dla mnie taktykę polityczną na dziś) to on, Socjusz, „zdecydowanie” by mi „przyklasnął”. „Są to bowiem hasła słuszne i politycznie i głęboko wychowawcze”. Pomysł traktowania praw człowieka jako programu taktycznego jest skrajnym przypadkiem cynizmu. Ogłaszanie tego zamiaru drukiem zasadniczo utrudnia, czy nawet niemożliwia, jego realizację; skutecznie kompromituje autora. Nie podejrzewam mego adwersarza o taką gonitwę myśli. Sądzę więc, że mamy do czynienia z niezbyt zręcznym formułowaniem zdań. Co autor chciał powiedzieć, nie wiadomo, ale przyjmijmy, że nie to, co mu się napisało.

Przedmiotem polemiki z Socjuszem chcę uczynić dwie ściśle ze sobą związane kwestie: ile jest dróg, którymi polskie społeczeństwo może zmierzać do niepodległości i demokracji, oraz czy w ruchach zwanych opozycyjnymi występują, względnie winny wystąpić, jakieś różnice polityczne i ideowe. Ponadto chcę podjąć sprawę odpowiedzialności lewicy raczej jednak jako przedmiot nieporozumień niż sporu.

II

W *Zasadach Ideowych* formułuję twierdzenie, że większość lewicy, do której zaliczam przedwojennych komunistów, socjalistów i radykalnych ludowców (określanych tak przez przynależność organizacyjną) poparła nowy system słowem i czynem. Zwracam uwagę, że jest to twierdzenie empiryczne i nie ma sensu polemizować z nim przy pomocy przykładów. Na podstawie wyrywkowych danych sądzą, że ponad 50 % członków Stronnictwa Ludowego weszło do ZSL zaś w odniesieniu do przedwojennego PPS i PZPR liczba ta przekracza 70 %. Jeśli ktoś dysponuje

innymi szacunkami powinien je opublikować; z przyjemnością ustąpię.

Moi adwersarze jednak protestują przeciw twierdzeniu o odpowiedzialności lewicy — jak się zdaje — nie tyle ze względu na odmienne od moich szacunki statystyczne, ile gwoili sprawiedliwości. System totalitarny w Polsce stanowi realizację programu komunistycznego zaś znaczna większość socjalistów — w Polsce międzywojennej — sprzeciwiała się temu programowi. Stąd jeśli mówi się — tak jak ja — o odpowiedzialności lewicy, to pomniejsza się winę komunistów i niezastuzenie obciąża przedwojenną PPS. Zgadzaam się z tym rozumowaniem i uważam, że powinienem je w *Zasadach* zasygnalizować, czego nie uczyniłem. Nie zmienia to jednak zasadności pytania, które stawiam i na które odpowiadam twierdząco. Czy *ethos* lewicy zawiera przesłanki totalitaryzmu? Dla polskiej myśli programowej jest to pytanie bez przesady najważniejsze. Bez rzetelnej analizy problematyki, którą ono niesie, nie będziemy w stanie rozwiązywać myślowo podstawowych problemów współczesnych społeczeństw: planowania i inicjatywy; wolności obywatelskich i praw opartych na protekcyjnizmie państwowym; niepodległości i tendencji do integracji etc. Będziemy tedy skazani na deklaracje o niepodległości, które z punktu widzenia współczesnego świata i Zachodniej Europy, do której przynależymy, są właśnie zaściankowe i anachroniczne. Z takim programem będziemy więc zawsze samotni, egzotyczni i, co najwyżej, budzący litość. Nic tu nie pomoże mędrkowanie o globalnej polityce Stanów Zjednoczonych, Chin i Związku Radzieckiego.

III

Władze totalitarne głoszą, że jedna jest tylko droga i tylko one potrafią tę drogę wytyczyć. Już więc choćby z tego względu stwierdzenie o jednej drodze dla polskiej opozycji brzmi bardzo podejrzanie. Przeciwnie: deklaracje Socjusza o wielości możliwych dróg do demokracji i niepodległości budzą zaufanie kojarząc się z postawą tolerancji i intelektualnego autokrytycyzmu. Warto sobie jednak zdawać sprawę, że choć cnoty te sprzyjają refleksji i dyskusji — to jednak nie zastąpią decyzji, tj. wyboru najbardziej skutecznych środków w danej sytuacji, a chyba właśnie tę problematykę ujmuje Socjusz metaforycznym określeniem dróg. Niestety, nie wypowiada się jakie to warianty programowe ma na myśli w swojej pluralistycznej formule. Wiadomo tylko, że nie należy się ograniczać do nacisku społecznego. Rozpatrzmy więc z tego punktu widzenia, możliwe warianty — wybicie się Polaków na

niepodległość i demokrację. Można więc, być może, znieść system totalitarny — a wraz z nim dominację Moskwy — siłami *wewnętrznymi*, lub może on być zniesiony przez czynniki *zewnętrzne*. Aktualnie w Polsce działanie na rzecz demokracji podejmuje się w instytucjach niezależnych od władzy państwowej i tym samym od PZPR, wielu jest jednak takich, którzy twierdzą, że przemiany demokratyczne w systemie totalitarnym mogą się dokonywać tylko z inicjatywy władz i siłami rządzącej monopartii, czy ściśle jej frakcji liberalnej. Dalej, jeśli przyjmujemy, że przemiany demokratyczne mogą dokonywać się siłami społeczeństwa zorganizowanego niezależnie od władzy to można stawiać na proces stopniowego tworzenia demokratycznych instytucji, a można też zmierzać do rewolucyjnego obalenia systemu. Wreszcie jeśli chcemy organizować społeczeństwo, to można opowiadać się za jawną działalnością typu KOR'owskiego a można też głosić potrzebę konspiracji.

W tym momencie trzeba sobie uświadomić, że słowo droga w takim kontekście, w jakim je tu używam, może mieć dwa znaczenia. Może mianowicie oznaczać czynniki, które pozwolą społeczeństwu polskiemu osiągnąć niepodległość i demokrację, albo też program społecznego działania dla osiągnięcia tych celów.

Gdyby Socjusz używał słowa droga w tym pierwszym znaczeniu wówczas skłonny byłbym w zasadzie z nim się zgodzić. Jeśli pominąć konspirację — która jak to uzasadniłem w innej pracy* może społeczeństwu polskiemu wyrządzić tylko szkody — to wszystkie inne wymienione tu sytuacje mogą stanowić czynniki wyzwolenia, a nie wykluczone, że wystąpią w tej roli wszystkie. Warto mieć w pamięci żart, jaki spierającym się o drogi sprawiło powstanie Drugiej Rzeczypospolitej. Okazało się, że mieli rację zwolennicy wojny mocarstw i wojny ludów (rewolucji); zwolennicy czynu zbrojnego i pracy wychowawczej, zwolennicy opowiedzenia się po stronie państw centralnych i po stronie Ententy etc. Słowem dla każdego coś miłego. Można, i zapewne trzeba, podejmować próby przewidywania przyszłości politycznej, ale musi się być gotowym na każdą możliwą sytuację. Jak słusznie za Pasteurem przypominam Socjusz: przypadek sprzyja tylko przygotowanym. Przygotowanie zaś zależy od programu społecznego działania i tu jesteśmy przy drugim znaczeniu słowa droga. Zniesienie totalitaryzmu przez siły zewnętrzne, a także w toku reform demokratycznych, inicjowanych przez władze nie może być przesłanką programu społecznego działania. Spór o taki program sprowadza się tedy do alternatywy, stopniowo, czy w akcie rewolucyjnym,

* J. Kuroń, *Zasady Ideowe. Uwagi o strukturze ruchu demokratycznego*. Instytut Literacki, Paryż, 1978. NOWA, Warszawa, 1978.

oraz jawnie, czy w konspiracji. Nim rozważymy te alternatywy zwróćmy uwagę, że za koncepcją czekania na sprzyjające okoliczności zewnętrzne przemawia fakt, iż system totalitarny został społeczeństwu naszemu narzucony z zewnątrz i na jego straży stoją siły zbrojne Związku Radzieckiego. Jeśli więc przyjmujemy, że warunkiem jakichkolwiek przemian demokratycznych jest zniesienie tej kurateli bądź też, że interesuje nas wyłącznie niepodległość, to musimy wówczas uznać nadrzędną rolę czynników zewnętrznych.

Do analogicznego wniosku dochodzi się również przez przyjęcie założenia, że w systemie totalitarnym społeczeństwo niezdolne jest do działań samodzielnych, zaś ludzie władzy nie mogą wprowadzać reform demokratycznych nie negując w ten sposób swojej grupowej roli — co grupom społecznym się nie zdarza.

Założenie o kompletnej niemożności społeczeństwa stanowi również przesłankę rozumowania zwolenników reform, inicjowanych przez elitę władzy (kierownictwo partii lub frakcje w nim). Stanowisko takie zajmują równie często idealiści jak i pragmatycy. Ci pierwsi skłonni są wierzyć, że kierownictwo partii, czy jej szeroko pojęty aktyw kieruje się w swoim działaniu wartościami *ethosu* lewicy i w imię tych wartości może wystąpić przeciw totalitaryzmowi. Pragmatycy nie interesują się ideami wyznawanymi przez komunistyczne elity władzy wskazują natomiast, że kryzys gospodarczy, społeczny, polityczny, jaki trapi obecnie systemy komunistyczne, może być przezwyciężony wyłącznie przez reformy o charakterze demokratycznym.

Nie brak w naszym kraju zwolenników liczenia na siły zewnętrzne czy reformę odgórną. Z reguły są oni przeciwnikami organizowania się społeczeństwa w działanie zwane opozycyjnym, jako że usztywnia ono władzę i prowokuje wielkiego sąsiada do zbrojnej interwencji. Zdarzają się jednak wśród nich i tacy, którzy skłonni są pewne przynajmniej działania opozycyjne popierać, czy nawet inicjować. Rozumują oni w sposób następujący: totalitaryzm deprawuje społeczeństwo i jeśli kiedyś dobry los (złote niebezpieczeństwo, światły sekretarz, wuj Sam) da nam szansę wybicia się na niepodległość to nie będziemy umieli jej wykorzystać. Dlatego należy prowadzić już tu i teraz działalność o charakterze wychowawczym i programotwórczym. Stanowisko to zajmuje, jak się wydaje, Kisiel, Leopolda (autor posłowania do wydanego w Instytucie Literackim w Paryżu tomu — *Co robić?*) i najwyraźniej publicyści, czy publicyści podpisujący się Polskie Porozumienie Niepodległościowe. Mamy tu do czynienia z pewnym pomysłem społecznego programu działania — tyle, że ze względu na swój charakter — przeznaczonego wyłącznie dla bardzo wąskiej grupy intelektualistów. Program ten proponuje prze-

cież działalność wyłącznie intelektualną, a przy tym nie związaną w zasadzie z problemami, którymi żyje społeczeństwo. Ponieważ zaś jedynym skutecznym środkiem wychowania społecznego i co za tym idzie kształtowania się jego samoświadomości jest społeczne działanie, więc program powyższy skazany jest na wyjątkową wprost nieskuteczność*. Gotowość społeczeństwa polskiego do skorzystania z wszelkiej szansy, jaką może obdarzyć nas los zależy od stopnia jego samoorganizacji i co z tym ściśle związane — jego świadomości celów.

Rzecz w tym, aby całe społeczeństwo — czy w każdym razie jego znaczna część — było zorganizowane w różnorodnych ruchach społecznych i ich instytucjach (Wolnych Związkach Zawodowych, S.K.S., Komitetach Samoobrony Chłopskiej); aby do każdego docierała niezależna prasa, książki, taśmy; aby wszyscy brali udział w działalności programotwórczej i samokształceniu, w dyskusjach, seminariach, wykładach. Program ten, a nazwałem go kiedyś programem trzeciej Polski ruchów społecznych ma charakter zarazem maksimum i minimum.

Trzeba sobie bowiem zdawać sprawę, że postulowany tu zakres samoorganizacji społecznej może się dokonywać wyłącznie wokół konkretnych, dających się doraźnie realizować, celów. Przykładem mogą tu być Komitety Samoobrony Chłopskiej 16-tu wsi z rejonu Milejowa, czy 15-tu z Gńójckiego, powołane, jak wiadomo, w związku z odmową płacenia opłat na emerytury rolnicze. Już jednak od pierwszych dokumentów instytucje te zaczęły przekształcać się w stałą reprezentację wsi, które ją powołały. W tej roli Komitet stanowi sposób wywierania zorganizowanego nacisku na władze państwowe. Wysuwa i realizuje cele etapowe — minimalistyczne. Jednocześnie we wsiach objętych ruchem rozpowszechnia się niezależną prasę i książki, na zebraniach chłopskich dyskutuje się zasady polityki rolnej i w związku z nimi zasadnicze kwestie ustrojowe, a obok nich załatwia zwyczajne sprawy organizacyjne, wynikające z samorządnej struktury ruchu. Tak oto w kilkunastu wsiach Lubelszczyzny i Grójckiego tworzona jest enklawa podmiotowości społecznej; więź lokalna staje się elementem niszczonej przez totalitaryzm więzi demokratycznego społeczeństwa.

Opisany na tym przykładzie ruch samoorganizacji społecznej zmusza władzę do ustępstw i tym samym narzuca jej demokratyzację.

Skonkretyzujmy powyższe twierdzenie.

* Por. działalność P.P.N. tj. dobrą popularyzatorską publicystykę, rozpowszechnianą przede wszystkim za pośrednictwem *Kultury*, której to popularyzacji krajowym czytelnikom akurat nie potrzeba.

— Chłopi zorganizowani w Komitetach Samoobrony Chłopskiej, w miarę jak ruch ten będzie się rozszerzał na cały kraj, będą zmuszać władze państwowe do prowadzenia polityki rolnej, sprzyjającej rozwojowi gospodarki rodzinnej, a więc farmeryzacji polskiego rolnictwa. Obok zasadniczego wzrostu efektywności gospodarowania oznacza to szerokie pole dla inicjatywy gospodarczej i społecznej rolników.

— Robotnicy organizując się w Wolne Związki Zawodowe, komisje robotnicze, czy jakiegokolwiek inne formy organizacji zawodowych, łącznie z wybieraniem autentycznych przedstawicieli robotniczych w dolnych ogniwach oficjalnych związków zawodowych będą zmuszali administrację zakładów i władze państwowe do liczenia się z ich postulatami w zakresie płac, warunków i czasu pracy.

— Uczni zorganizowani w Towarzystwie Kursów Naukowych oraz młodzież akademicka skupiona wokół Studenckich Komitetów Solidarności, jak też zorganizowana w różnych formach samorządów akademickich — będą zdobywać pewną autonomię nauki i wyższych uczelni.

— Pisarze walczący o autonomię swoich organizacji (Związeku Literatów i PEN-Clubu) przy wsparciu niezależnej prasy i wydawnictw będą zmuszać władze do ograniczenia cenzury zdobywając warunki dla swobodniejszego niż dotąd rozwoju literatury.

— Cały ruch demokratyczny będzie zmuszał władze do przestrzegania prawa w tym większym stopniu, im bardziej będzie masowy. Można sobie wyobrazić, że niezależne komisje ekspertów, powołane np. przez TKN, zainicjują prace nad reformą gospodarczą, którą podejmie szersze środowisko ekonomistów i inteligencji technicznej, a poprze ruch robotniczy. Powstałyby w ten sposób społeczne warunki dla demokratycznej reformy zarządzania gospodarką.

Cały powyższy wywód prowadzony jest przy założeniu, że władze państwowe niezmiennie zajmować będą pozycje dotychczasowe. Tj., że nie podejmą żadnych prób przewyciężenia kryzysu. Na dłuższą metę domniemanie takie wydaje się mało prawdopodobne, choć właśnie przy takim założeniu opozycja musi budować swój program. Zapewne będą jeszcze podejmowane próby stłumienia ruchu demokratycznego. Dopóki jednak nie będzie to terror masowy, dopóty — jak sądzę — wzmocni tylko ruch. Zaś terror masowy bez pomocy zewnętrznej we współczesnym społeczeństwie polskim jest chyba niemożliwy. Warunkami sowieckiej interwencji zajmowałem się już kilkakrotnie, nie będę więc wracał do tego tematu.

Mówiąc o próbach przewyciężenia kryzysu przez władze mam

tu na myśli inicjowane przez kierownictwo partii i rządu ograniczone reformy demokratyczne. Nie wierzę w liberalne skrzydło partii, wierzę w pragmatyzm ludzi władzy. Pragmatyzm zaś nakazuje liczyć się z siłą. Dlatego przewiduję, że wzrost sił ruchu demokratycznego będzie wzmacniał w łonie, elity władzy tendencje reform demokratycznych. Słowem, rozwój ruchu demokratycznego stwarza szansę dla pragmatycznego skrzydła partii do przekształcenia się w skrzydło liberalne. Jest więc wysoce prawdopodobne, że prędzej czy później władze PRL łamiąc opór bardziej konserwatywnej części aparatu będą próbowały przejąć inicjatywę reform administracyjnych i w ten sposób ograniczać opozycję. W *Myślach o programie działania* napisałem, że takie reformy — nawet najbardziej ograniczone — ruch demokratyczny musi popierać. Wywołało to wiele pretensji, zastrzeżeń i wątpliwości. Są w kraju, a także i na emigracji, ludzie, którzy słowa „dialog z władzami”, a tym samym „poparcie dla władz” obłożyli anatemą. Co zabawniejsze, najżagorzalsi krajowi przeciwnicy „dialogu z władzą” — mam tu na myśli grupę młodych przeważnie lewicy, określających siebie jako nurt niepodległościowy ROPCzO — firmują obecnie program działania, sprowadzający się do dialogu z władzą prowadzonego za pomocą tzw. wniosków obywatelskich. Chodzi tu, jak czytamy w deklaracji programowej — o inicjatywy ustawodawcze w dziedzinie prawa, kultury, gospodarki, oświaty, etc. Zespoły powołane do tego w środowisku ROPCzO mają opracowywać takie wnioski i wysyłać do władz.

Wydaje się, że zarówno występowanie przeciw dialogowi, jak opisana powyżej jego forma, wynikają z niezrozumienia obecnej sytuacji ruchu demokratycznego.

Władze tolerują ten ruch tylko ze względu na poparcie społeczne, jakie posiada. Ustępują i będą ustępować wyłącznie pod naciskiem społeczeństwa. Zatem, najlepiej nawet opracowane wnioski obywatelskie — jeśli nie będą stanowić programu ruchu społecznego — nie będą realizowane, a co najwyżej wzbogacą niezależną myśl programową. Natomiast ruchy społeczne — jak to pisałem powyżej — muszą wychodzić od konkretnych spraw trapiących ludzi na co dzień i program swój wypracowywać w działaniu. Jeśli jednak chłopcy czy robotnicy, a także studenci, pisarze, uczeni ograniczają się do załatwienia konkretnej sprawy, do wywalczenia określonego ustępstwa władz, to znaczy przecież, że organizują się do dialogu z władzami. Dialogiem są bowiem wszelkie żądania i postulaty stawiane władzom jako władzom, bez względu na to, czy strony porozumiewają się ze sobą za pośrednictwem delegacji (np. delegacja strajkujących robotników z administracją zakładową), czy też petycji, rezolucji, żądań strajkowych itp. Dialog z władzami prowadził cały czas KOR, prowadzą straj-

kujący robotnicy, chłopcy zrzeszeni w Komitetach Samoobrony Chłopskiej, Studenckie Komitety Solidarności itd.

Dopóki zaś mówimy o nacisku na władze, nie zaś o ich obaleniu, dopóty praktycznie uznajemy je i milcząco ale jednoznacznie zobowiązujemy się do popierania takiej polityki władz, którą postulujemy. Wysuwanie żądań i postulatów pod adresem władz państwowych, przy milczącym założeniu, że nie zaakceptuje się żadnego ich ustępstwa jest polityką zmierzającą do sparaliżowania władz, a tym samym dezorganizowania życia społecznego. Jest to więc taka próba obalenia władzy, której inicjatorzy nie ujawniają swoich zamiarów, a ruchy społeczne traktują instrumentalnie jako przedmiot manipulacji.

Pomijając już moralny aspekt działań tego typu, a nie jest to zagadnienie w polityce społecznej mało ważne, warto przypuszczać, że z paraliżu władzy i dezorganizacji społecznej w chwili obecnej skorzysta niewątpliwie partner najsilniejszy, a więc nie będzie to — przynajmniej na razie — społeczeństwo polskie.

Program reform demokratycznych w ramach systemu totalitarnego musi być z założenia bardzo ograniczony. Wydaje się, że co najwyżej można na tej drodze osiągnąć wmontowanie w system autentycznej reprezentacji interesów zawodowych, samorządów lokalnych oraz grupowych interesów załóg, wyrażanych w pewnym stopniu przez przedsiębiorstwa.

Warto sobie zdawać sprawę, że byłoby to radykalne ograniczenie totalitaryzmu, w zasadzie nowy i zapewne niezbyt sprawny system-hybryda. Z drugiej strony przedstawicielstwa zawodowe, tak zresztą jak samorządy lokalne i samodzielność przedsiębiorstw są niemożliwe bez autentycznego pluralizmu politycznego. W opisywanych warunkach pluralizm polityczny budowałibyśmy nieoficjalnie — choć w całkowitej zgodności z prawem, zaś niezależne organizacje przedstawicielskie stanowiłyby jego społeczne zaplecze.

Prezentuję tu program realizowany obecnie przez ruch demokratyczny i jego cele pośrednie. Celem zasadniczym, z którego w żadnym razie nie wolno nam zrezygnować jest demokracja parlamentarna i niepodległość państwa. Z tego punktu widzenia cele pośrednie są i powinny być realizowane, ale zrealizowane być nie muszą.

W praktyce zatem rozstrzygnęliśmy wymienione powyżej alternatywy: realizujemy program stopniowych przemian dokonywanych przez ruchy społeczne i ich jawne instytucje i zarazem coraz to bardziej jesteśmy przygotowani do skorzystania z szansy nagłego zdobycia niepodległości i ustanowienia ładu demokratycznego. Przy tym rozwój i osiągnięcia niezależnych ruchów społecznych w Polsce pobudzają analogiczne procesy w innych krajach tzw. obozu i w ZSRR — co stanowi zasadniczy czynnik

zewewnętrzny wszelkich demokratycznych przemian w Polsce, tej najważniejszej nie wykluczając.

Reasumując: wiele może być różnych możliwości wyzwolenia społeczeństwa polskiego, ale w tej chwili jedna jest tylko droga do tego wyzwolenia: samoorganizacja społeczeństwa polskiego w różnych ruchach i ich jawnych samorządnych instytucjach wokół różnorodnych doraźnych i zarazem perspektywicznych celów.

IV

Ma mi Socjusz za złe polemikę z Moczulskim. Być może powodowany jest przeświadczeniem, że w chwili obecnej w opozycji polemiki ideowe i polityczne są niepotrzebne. „Potrzeba szukania — pisze — i utwierdzania tego co łączy nas wszystkich Polaków-patriotów, nie pogodzonych z dzisiejszym brakiem niepodległości i dyktaturą partyjnych kacyków, zdaje się być zupełnie oczywista. Przeciwnicy nasi są tak silni, tyle mają do rozporządzenie środków przemocy i dezinformacji, że tylko scalenie wysiłków i maksymalna solidarność zbiorowa dają szansę częściowego choćby powodzenia w oporze i dążeniu do realizacji naszych celów”. Być może jednak — a wskazują na to inne fragmenty artykułu — chodzi po prostu o moją polemikę z Memoriałem Moczulskiego, w którym Socjusz nie dopatrywał się różnic ideowych ze stanowiskiem, które ja zajmuję w *Zasadach**.

Zacznijmy od możliwości pierwszej, jako zawierającej stanowisko bardziej ogólne i podzielane przez wielu świątliwych ludzi.

Zgadzam się, że przeciwnik nasz jest silny i że trzeba nam, nie tylko zresztą z tego względu, scalania wysiłków i maksymalnej solidarności zbiorowej. Nie wynika jednak z tego żadną miarą postulat unikania polemik ideowo-politycznych a wręcz przeciwnie ich potrzeba. Przecistawianie solidarności i współpracy społecznej różnicom ideowo-politycznym stanowi właśnie ideowo-polityczne stanowisko, z którym różnię się zasadniczo. W tym ujęciu — przyjmowanym zresztą najczęściej bez specjalnych przemyśleń — współpraca i solidarność możliwe są wyłącznie wśród ludzi *jednakowych* tj. jednakowo myślących czy dążących do tego samego. Tak właśnie, jak to ujmuje Socjusz wskazując na różnice między Polakami-patriotami, a panującymi kacykami: tam gdzie występują różnice musi być walka na śmierć i życie. Ponieważ jednak, jak to uzgodniliśmy z Socjuszem, dąże-

* Zachodzi obawa, że Memoriał również nie jest Socjuszowi znany. Nie został on bowiem opublikowany w *Opinii*, na którą mój adwersarz się powołuje i nie zawiera deklaracji pluralizmu politycznego, którą on w nim wyczytał.

nia ludzkie są konfliktowe, więc stanem normalnym społeczeństw ludzkich jest *solidarność i współpraca w konfliktach — w ich przewyciężaniu*. Stanowisko ideowe, o które — być może bezzasadnie — podejrzewam Socjusza prowadzi do przewyciężania konfliktów przez niedopuszczenie do ich ujawnienia. W praktyce politycznej oznacza to, że sprawujący władzę starają się narzucić swoje stanowisko tym, którzy władzy nie sprawują. W *Zasadach Ideowych* zajmuję się tą problematyką obszernie — tu ograniczmy się więc do przypomnienia, że pluralizm polityczny traktuję jako formę przewyciężania konfliktów przez ich maksymalną artykulację i podział racji. Z tego punktu widzenia nowożytny parlamentaryzm polski ma bardzo złe tradycje. Każdy z dominujących w nim nurtów (narodowy, państwowy, socjalistyczny) czuł się posiadaczem prawdy i w związku z tym przeciwników traktował raczej jako zło konieczne. Dodajmy, również odwołując się do *Zasad*, że we współczesnych masowych społeczeństwach dawna parlamentarna gra sił już nie wystarcza. Ciężar decyzji społecznych przesuwają się bowiem od wspólnie akceptowanych niezbędnych zakazów do wspólnego programu, czego już w grze sił się nie osiągnie. Stąd m.in. kryzys parlamentaryzmu.

W ruchach społecznych niezależnych od totalitarnej władzy państwowej wypracowujemy dziś — chcemy tego, czy nie — przyszły model ładu Rzeczypospolitej. Przy czym nie tylko i nie tyle w tym co dla przyszłości wymyślamy, ile w tym, jak działamy.

Mojej polemiki z Memoriałem Moczulskiego nie warto tu referować, zainteresowany czytelnik przeczyta sobie ją w *Zasadach Ideowych*. Warto natomiast opisać społeczny kontekst tej dyskusji, tj. niektóre podziały w polskiej opozycji.

W *Myślach o programie działania* — a pisałem je w październiku 1976 roku, tj. w samych początkach działalności „Korowskiej” — wymarzyłem sobie, że w mających powstać niezależnych instytucjach społecznych będziemy łączyć się do zadań, a dzielić w myśli programowej. Wyobrażałem więc sobie, że do pracy z robotnikami, chłopami, w bibliotekach i samokształceniu ludzie będą się dobierać na zasadzie pasji, zainteresowań, własnej wizji potrzeb społecznych. Natomiast różnice ideowe będą przebiegać poprzez te instytucje. Przy czym odrębne stanowiska mogą się krystalizować wokół pism i ewentualnie w miarę krystalizacji powodować powstawanie różnych tendencji w ramach wspólnych instytucji. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać jak wiele różnorodnych zalet na dziś i jutro miałaby taka właśnie struktura ruchu demokratycznego. Niestety okazało się inaczej. W marcu 1977 roku powstało R.O.P.Cz.iO. wyraźnie wyodrębniając się organizacyjnie (personalnie) od ruchu KOR-owskiego. Tymczasem

deklaracje obu instytucji w zasadzie po dzień dzisiejszy nie pozwalają objaśnić czym różnią się one w sferze idei czy konkretnych zadań*. Dokonałiśmy tedy podziału organizacyjnego nim jeszcze zdołaliśmy dopracować się programów i poróżnić w nich. Zamiast apelować o jedność — co wszyscy chętnie czynią — trzeba sobie uświadomić, że jeśli dwie różne organizacje podejmują to samo zadanie, w tym samym środowisku — choćby się nawet składały ze świętych Pańskich — to albo zrezygnują w tej konkretnej sprawie ze swojej odrębności, albo stanie się ona przedmiotem konfliktu — walki o ludzi i wpływy. Trzeciego wyjścia nie ma.

Stoję na stanowisku współpracy w konfliktach — nie znaczy to jednak wcale, abym je chciał tworzyć tam gdzie akurat nie występują. Gdyby więc chodziło tylko o różnice w przynależności można by uniknąć konfliktów dzieląc się zadaniami czy środowiskami lub też — jak czyni to przynajmniej teoretycznie KOR — nie rozbudowywać się organizacyjnie ale popierać samodzielne inicjatywy (tj. rezygnować z odrębności w konkretnym zadaniu). Takie rozwiązanie proponowałem w *Uwagach o strukturze...* Od czasu ich opublikowania w 2-gim numerze *Głosu* sytuacja zmieniła się o tyle, że Ruch zrezygnował w praktyce z krytykowanej przeze mnie centralizacji, dzieląc się na dwie, czy trzy niezbyt sobie życzliwe ugrupowania. Z drugiej strony jednak okazało się, że nie może być mowy o podziale zadań ani też o rezygnacji z firmowania poszczególnych inicjatyw. Znaczący to, że konflikt nie jest wymyślony i że odrębność organizacyjna nie wynika z przypadku. Można oczywiście wyjaśnić wszystko odwołując się do podejrzeń o brzydki charakter, chorobliwe ambicje, czy nawet jeszcze znacznie gorsze rzeczy. Wszystko to oczywiście bywa, ale nie sądzę aby taka psycho-analityczno-agenturalna metoda interpretacji najlepiej objaśniała procesy społeczne. Jeśli więc już musimy się podejrzewać to z dwojga złego wolę o poglądy. Skoro więc jeden z liderów Ruchu — Moczulski, sam zadeklarował, że nurt niepodległościowy, do którego się przypisuje, jest odrębny w sposób zasadniczy ideowo i politycznie od nurtu liberalnego i nacjonalistycznego — podjąłem ten wątek w *Zasadach*. Spróbowałem tam zrekonstruować stanowisko ideowe autora Memoriału w dwóch wariantach całkowicie odrębnych i trzecim stanowiącym pewną odmianę jednego z głównych. Kiedy już *Zasady Ideowe* były rozpowszechniane (co wcale nie znaczy, że przeczytał je autor Memoriału), wówczas w *Opinii* ukazała się podpisana przez Moczulskiego deklaracja politycznego perso-

* Wyjątek stanowi omawiana powyżej deklaracja powołująca Zespoły Inicjatywy Obywatelskiej, postulująca pisanie wniosków obywatelskich.

nalizmu. Potwierdziła ona jedną z moich konstrukcji, przekreślając drugą — nie ukrywajmy, tę do której przywiązywałem znacznie większą wagę. Niestety, widocznie w odniesieniu do polemik ideowych Moczulski podziela stanowisko Socjusza, gdyż nie zechciał się dotąd ustosunkować do zarzutów, które stawiałem tej koncepcji. Czym bowiem jest nurt niepodległościowy — jeśli swoim wyłącznym programem ideowym uczyni odzyskanie niepodległości? Niczym więcej jak jednolitym frontem wszystkich Polaków-patriotów. Zatem nie jest to odrębny nurt ideowy — a i ruchem politycznym stać się może dopiero wówczas, gdy podejmie jakieś specyficzne działania dla realizacji wspólnego celu. Bez tego wszelkie wyodrębnienie ruchu niepodległościowego sprowadza się do insynuowania innym, że niepodległości „w istocie rzeczy nie chcą”.

Zdaję sobie sprawę, że R.O.P.Cz.iO. nie jest jednolity ani ideowo ani tym bardziej politycznie. Skłonny jestem sądzić, że tym co wspólne dla różnych działaczy tego ruchu jest pewna ogólna tendencja do nacisku na te sprawy i problemy, które wiążą się z interesami narodu jako całości, oraz — co być może nawet ważniejsze — niechęć do lewicy, czasem artykułowana wprost, a czasem przez utożsamienie wszelkiej lewicowości z kryptokomunizmem. Z kolei, w równie niejednolitym, szeroko pojętym, ruchu KOR-owskim występuje tendencja do nacisku na sprawy i problemy pojedynczego człowieka, a także różnych środowisk i grup społecznych. Zgadzam się w zasadzie z autorami trójgłosu lewica-prawica (Cywińskim, Macierewiczem, Tarniewskim) w 3-cim numerze *Głosu*, że — w kategoriach racjonalnych — podział na lewicę i prawicę w ramach opozycji polskiej jest dziś nieuzasadniony. Jednak właśnie w ruchu Korowskim bardzo wielu jest takich, którzy uczuciowo związani są z tradycyjną lewicą i jeszcze więcej takich, którzy te sentymenty skłonni są aprobować. Jak widać podziały ideowe w społeczeństwie nie zawsze i nie przede wszystkim — wyrastają z przesłanek racjonalnych.

Stoję na stanowisku współpracy i solidarności w konfliktach i przewycięzania ich przez jak najpełniejszą artykulację. Dlatego, choć nie wątpię, że podział organizacyjny w pewnych zadaniach, czy grupach zostanie przewycięzony — to jednak w wielu innych pozostanie. I dopóty będzie uniemożliwiał współpracę, dopóki nie wyartykułujemy się i co za tym idzie nie podzielimy ideowo i politycznie*.

Budujemy przyszlą Rzeczypospolitą w ruchach społecznych

* Za ważny krok w tym kierunku uważam ewolucję wydawanego w Gdańskim środowisku R.O.P.Cz.iO. pisma *Bratniak*, które wyraźnie stara się wypracować nową formułę ideologii narodowej.

niezależnych od państwa — jest w tym nadzieja, że uda nam się wypracować nową formułę samorządów; choć wiemy, że może się ona rozwijać tylko w strukturze demokracji parlamentarnej, to jednak warto pamiętać, że parlamentaryzm na całym świecie przeżywa kryzys i że my ten kryzys będziemy musieli przezwyciężyć — myślę, że właśnie przez ruchy samorządowe. Mamy w tym względnie niezwykłą wprost tradycję państwa podziemnego (1939-1945), a więc w zasadzie dobrowolnego zrzeszenia obywateli, instytucji, ruchów społecznych i politycznych. Trzeba nam teraz w innych zupełnie i chyba znacznie dogodniejszych warunkach tamte doświadczenia rozwijać i wykorzystywać.

Jacek KURON

Warszawa, wrzesień 1978 r.

TOM 288 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁAG

Tom III

w przekładzie Michała KANIOWSKIEGO

Str. 544.

Cena F. 110,00.

Książki

Odrąbana gałąź

Ponad 20 metrów półek bibliotecznych zajmują w Bibliotece Polskiej w Londynie same tylko wydane na Emigracji tomiki poetyckie. Ponad 20.000 „druków polskich i Polski dotyczących” ukazało się po roku 1939 poza Krajem. Wystarczy przytoczyć za autorką te dwie cyfry, aby uświadomić sobie, jak ogromna i bujnie rozrośnięta gałąź literatury polskiej została odrąbana od jej pnia przez tragiczny bieg wydarzeń dziejowych i tępą zaciekość ideologicznych strażników kultury PRL.

Tym większa waga „Szkiców...” * Marii Danilewicz Zielińskiej — książki, która w gruncie rzeczy zmuszona jest pełnić funkcje kilku książek na raz. Jest bowiem, po pierwsze, próbą syntetycznego uporządkowania piśmiennictwa emigracyjnego według gałęzi literackich i pokoleń. Jest, po drugie, zarysem bez mała już czterdziestoletniej historii tej literatury. Jest, po trzecie, szkicowym opisem socjologii życia literackiego na Emigracji: mówi o historii i zasadach funkcjonowania poszczególnych instytucji kulturalnych, czasopism, wydawnictw, bibliotek, fundacji, organizacji pisarskich itp. Po czwarte, jest to także książka krytycznoliteracka, która przy przedstawianiu kolejnych sylwetek pisarskich i dzieł nie unika elementów interpretacji i wartościowania — rzecz konieczna przy próbach wprowadzenia ładu w obręb współczesnej i wciąż rozwijającej się literatury. I wreszcie, po piąte, jest to również książka wspomnieniowa, nie stroniąca od „prywatnej” anegdoty: autorka była, bądź co bądź, uczestnikiem i pilnym obserwatorem wszelkich ważniejszych przedsięwzięć życia literackiego na Emigracji począwszy od lat wojennych.

Trudno byłoby oczekiwać, że jedna książka spełni te wszystkie funkcje w sposób doskonały i pełny. Sam jej skromny tytuł —

* Maria Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Instytut Literacki, Paryż, 1978, str. 416. „Biblioteka Kultury”, tom 289.

„Szkice” — uprzedza zresztą z góry zarzuty braku całościowego ujęcia i wyczerpującego potraktowania tematu. Powiedzmy szczerze, że książka budzi pewien niedosyt zwłaszcza od strony krytyczno-literackiej. Autorka, jak się zdaje, jest z temperamentu i upodobania raczej bibliografem i historykiem niż interpretatorem i krytykiem literatury: toteż analizy utworów literackich są tu na ogół dość pobieżne, opierają się głównie na streszczeniach (skądinąd cennych dla czytelnika krajowego, który do większości tekstów nie ma dostępu); uwagi wartościujące zbyt często wynikają z obserwacji mało istotnych dla całości poszczególnego dzieła czy dorobku danego pisarza. Niedostatki te równoważy jednak informacyjna zawartość książki. Pod tym względem „Szkice o literaturze emigracyjnej” będą z pewnością jeszcze przez długi czas książką niezastąpioną (dwutomowa „Literatura polska na Obczyźnie” pod redakcją Tymona Terleckiego, skądinąd w Kraju prawie niedostępna, jest od dawna przestarzała). Jest rzeczą dość szokującą zdawać sobie przy jej lekturze sprawę, jak wielu nazwisk (nie mówiąc o dziełach) pisarzy emigracyjnych czytelnik krajowy — nawet profesjonalnie zainteresowany literaturą współczesną — po prostu nie zna. Po jednej stronie wciąż rosnąca popularność utworów Wierzyńskiego, Wittlina, Gombrowicza, Miłosza, Stempowskiego, Herlinga-Grudzińskiego i innych — po drugiej — dziesiątki nazwisk mało znanych lub całkiem nieznanymi w Kraju. Czy zawsze układ ten jest odbiciem naturalnych hierarchii wartości artystycznych i myślowych? Z pewnością, wśród mało nam znanych dzieł wydanych na Emigracji, sporo — dostępuje to sama Danilewiczowa — korzysta ze swoistej taryfy ulgowej. Jak w każdej literaturze, tak i tutaj nie mało jest zapewne zwyczajnej grafomanii i twórczości niższego lotu.. Stopień naszej krajowej ignorancji czytelniczej jest jednak stanowczo zbyt wysoki — choć, rzecz prosta, najmniej w tym naszej własnej winy. Umożliwienie swobodnego przepływu publikacji sprawiłoby z pewnością, jak to pisze autorka, że krajowe biblioteki i księgarnie zasilone zostałyby potężną porcją *best-seller*ów. Że nie wszystkie byłyby na poziomie Miłosza i Gombrowicza? A czy cała literatura krajowa jest na ich poziomie?... Pamiętajmy, że literatura drugo- i trzeciorzędna jest równie jak arcydzieła potrzebna dla zdrowego funkcjonowania systemu kultury.

Dwa wątki myślowe, przewijające się przez wszystkie „Szkice...”, wydają się szczególnie pasjonujące. Pierwszy to sprawa niezwalczonej potrzeby słowa ojczystego, literatury, twórczości literackiej, jaka odżywa wciąż na nowo w istocie ludzkiej — nawet w najcięższych warunkach życiowych, które z pozoru pozwalają walczyć tylko o przetrwanie. Słowo literackie towarzyszyło Polakom na kazachstańskich posesjach, w obozach dla uciekinierów i dipisów, w oddziałach żołnierskich, w trudnych dniach emigracyjnej adaptacji. Wszędzie rodziły się czasopisma, wydawnictwa, prymitywne drukarnie zmagające się często z brakiem polskich czcionek. Wszędzie trafiali się ludzie władający piórem i ludzie łaknący lektury. Czy nie jest może nawet tak, że ciężkie

warunki egzystencji każą człowiekowi tym usilniej poszukiwać oparcia i pomocy w kulturze?

Wątek drugi — nie zawsze tak optymistyczny, ale równie interesujący — to skomplikowany problem literackich stosunków między Krajem a Emigracją, widziany z nieco dla nas egzotycznej emigracyjnej perspektywy. Czterdziestoletnia już prawie ewolucja tych stosunków przebiegała w sposób nader złożony. Przede wszystkim jest to historia kolejnych przyptyków i odpłyłów „materiału ludzkiego”: strumień pisarzy z różnych powodów wracających do Kraju (a były wśród nich nazwiska znaczne, żeby wymienić tylko Tuwima, Słonimskiego, Broniewskiego, Pruszyńskiego, Wańkowicza, Kuncewiczową, Choromańskiego, Parnickiego czy Cata-Mackiewicza) spotykał się z kolejnymi falami coraz to nowszej emigracji (Miłosz, Wat, Stawar, Hłasko, Kott, Mrozek, Tyrmand, Grynberg, Śluci, Wirpsza, Odojewski i wielu innych). Jednocześnie ewoluuje też stanowisko pisarzy emigracyjnych względem spraw tak istotnych, jak np. publikowanie czy niepublikowanie w Kraju: od stosunkowo najbardziej sztywnego — zbyt sztywnego — stanowiska, którego wyrazem była uchwała Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z 1956 roku („pisarze polscy na obczyźnie [...] winni nadal powstrzymywać się od wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne [...] dopóki nie będzie w Kraju rzeczywistej wolności słowa i druku”), aż po stanowiska coraz to bardziej elastyczne — nieraz zbyt elastyczne (jak wtedy, gdy pisarz emigracyjny, decydując się na publikowanie w Kraju, czyni to za cenę rezygnacji z wystąpienia o charakterze politycznym i godzenia się z ingerencjami krajowej cenzury).

Życie dopisało do tego ostatniego wątku kolejny i zupełnie nowy rozdział. Po roku 1976 — w którym skończyła pisać swą książkę Maria Danilewicz Zielińska — coraz częściej i naturalniejszym zjawiskiem staje się autentyczna współpraca literatury Kraju i Emigracji. Pisarze krajowi publikujący utwory pod własnym nazwiskiem w emigracyjnych oficynach i pisarze emigracyjni obecni w krajowych, wolnych od cenzury pismach i wydawnictwach — oto znak czasu, który dowodzi, że podzielona literatura, jeśli tylko poczuje się wolna, potrafi stać się na powrót jednością.

St. B.

Między brzegami

1. Na zdjęciu smutna, zacięta twarz. Danuta Bieńkowska urodzona w roku 1927 w Toruniu, zmarła w katastrofie kolejki

* Recenzja ukazała się w nrze 8-mym ZAPISU z października 1978.

górskiej w Norwegii, w lecie 1974. Deportowana w roku 1940 z matką i bratem do Rosji, spędziła dwa lata w obozach pracy w Komi, jakiś czas w Uzbekistanie, potem cztery lata w Persji i w Indiach. Ukończyła slawistykę w Londynie (praca magisterska o poetyce Aleksandra Błoka) i w roku 1955 przeniosła się do Kanady. Wykładała język polski i literaturę na uniwersytecie w Toronto.

Debiutowała w roku 1959 arkušem poetyckim *Między liniami* (wyd. Bolesław Świdorski, Londyn). W roku 1971 Instytut Literacki w Paryżu wydał tom jej wierszy pod tytułem *Pieśń suchego języka*. Pośmiertne, zbiorowe wydanie utworów Bieńkowskiej (prozy i poezji — wydanie nie obejmuje jej artykułów krytycznych) jest pięknym, wzorcowym wręcz dziełem Oficyny*: fotokopie pierwszych wydań tomików, przedmowa i nota biograficzna po angielsku, nota wydawcy, bibliografia prac literackich, historyczno-literackich, krytyczno-literackich i artykułów o twórczości Bieńkowskiej po polsku i po angielsku. Książkę zamyka nekrolog napisany przez autorkę na trzy lata przed śmiercią:

*Przez nikogo nie lubiana, ale niedająca
łatwo się zranić, uparta jak osioł, ale
nie w oślich sprawach, oddana w sposób
osobisty sprawom nieosobistym, kochanka
wielu mężczyzn, którzy jej nie kochali —
odeszła przez nikogo nie żegnana z żalem.
Lubili ją psy i koty. Pozostały po niej
dzieci, wiersze i kaktusy.*

Zacznijmy od prozy, której zbiór — *Północ i południe Szkice z Rosji* — układa się wokół pierwszych lat po deportacji, a drugi, o charakterze mniej literackim, a bardziej reportażowym, pod tytułem *Taksówką przez życie*, wokół późniejszych podróży po Europie. Pierwszy fragment nosi przydługi tytuł: *Droga do Rosji. Fragmenty z Dziennika. (Autentyk)*. W dołączonej tu notce objaśnia się, że wydarzenia tu opisane miały miejsce w lipcu-sierpniu 1940, ale spisane zostały w pięć-sześć lat później w Indiach. A także: że jest to pierwszy większy, nieukończony utwór Bieńkowskiej. Dziennik zaczyna się od deportacji ze Lwowa 1 lipca 1940 roku. Jego narratorką jak się można domyślić jest matka Danuty Bieńkowskiej i w *Dzienniku* zostały zachowane pozory spisywania go w trakcie podróży. Nie bardzo wiadomo kto pisał a kto opowiadał i jaki jest cel tych formalnych powikłań. Jakkolwiek by nie było jest to rzeczowa i wiarygodna relacja. Narratorkę (autorkę) cechuje świetny zmysł obserwacji, jest bezprezjonalna, spontaniczna a przy tym ostrożna w sądach. Niektóre obrazy zaskakują zwięzłością: „Potworny to widok tej staruszki zgiętej we dwoje z trzęsącymi się rękami, z chmurą

* Danuta I. Bieńkowska, *Między brzegami*. Wstęp: Luis Irirbane. Do druku przygotował Bohdan Budurowycz. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978, str. 447.

komarów nad sobą”. Lub pod datą 21 lipca: „Maszerujemy. Noc — taka jak wczoraj. Wieś — taka jak wczoraj. Las — taki jak wczoraj”. *Dziennik* jest sympatyczny przez niekłamana życzliwość dla ludzi, której w późniejszej twórczości Bieńkowskiej zabraknie, brak uprzedzeń (także uprzedzeń rasowych) i ciekawość świata, nieprzyłumiona nawet koszmarem tej drogi.

Odtąd ze zmiennym szczęściem: dobre jest opowiadanie *Bawetna* i miniatura o młodym enekawudyście zakochanym w zegarze z kukułką, bardzo słabe *O Polsce* i *Licytacja*; Bieńkowska nie jest jedynym pisarzem, któremu przy temacie „rzadko-naimoich-wargach” kołowaciele język. Ale w sumie, w przeciwieństwie do *Dziennika* są to opowieści *sensu stricto* literackie; Bieńkowska dba aż przesadnie o to, aby zmieniać narratorów i nie pisać „od siebie”. Z drugiego cyklu próz najlepsza jest autobiograficzna opowieść z dzieciństwa, *Ludzie i książki*, której fragmenty przywodzą na myśl *Dom koło Starego Pimena*, Maryny Cwietajewej.

Większość opowiadań pisana jeest w pierwszej osobie, ale ta pierwsza osoba nie jest osobą autorską. Czy chodzi o obiektywizację własnych przeżyć i nadanie im waloru powszechności, czy też o maskowanie się? Czy to próba sił w formach literackich, czy ucieczka od formy autobiograficznej najbardziej bezpośredniej? Faktem jest że Bieńkowska wiele spraw jakby celowo przemilcza.

W opowiadaniu *Tory* powiada, że jedyne, co zachowało pozory trwałości w jej życiu, to jazda: bycie wiezionym. Poczucie ustawicznego poruszania się w niewiadomym, a zmiennym kierunku: „Mogłabym pisać bez końca o statkach i pociągach. To nieprawda, że nie wiem. Wiem. Wiem o wszystkim dokładnie, każdą stację pamiętam, znalazłam koniec nitki i biegnę za nią, biegnę coraz dalej i głębiej wstecz. [...] Znowu jestem w pociągu, jestem w wielu pociągach, jadę w wielu kierunkach z nosem przciśniętym do szyby”.

Przychodzi także czas na podróż do Polski, pierwszą chyba od wyjazdu ze Lwowa, z okazji zbierania materiałów do pracy doktorskiej u Stefanie Żeromskim. Jest to podróż w poszukiwaniu nostalgii: „Przyjeżdżamy po coś, cośmy dawno utracili, czasem tak dawno, że nie odczuwamy już braku — po poczucie swojskości”. Aby jątrzyć tęsknotę, jeszcze silniej odczuć gorzki smak wykorzenia i po duchowe wartości, których nie ma co szukać w Anglii czy w Kanadzie. Prawie cały cykl *Taksówką przez życie* przesiąknięty jest typowo polskim, a w niczym nie znajdującym potwierdzenia przeświadczeniu, że Wschód reprezentuje bogactwo duchowe, a Zachód bęcwalstwo wypchanego portfela. Nie wiem, co rozczarowało tak bardzo Bieńkowską do Zachodu, bo ona sama niewiele o tym mówi. Nie wiem, co upoważnia tę zwrzuliwą i wykształconą kobietę do uwagi, że Lec jest bardziej zrozumiały w Jugosławii niż w Ameryce: „Dla amerykańskich odbiorców trzeba by te myśli uczesać, może wypomadać”. Rozumiem jednak, że są to sądy podyktowane goryczą

i poczuciem osamotnienia, które stało się, jeśli nie najgłębszym, to w każdym razie najbardziej uporczywym motywem jej twórczości. Ale samotność niejedno ma imię i skąd ta pewność, że jest ona udziałem — przywilejem niemal — tylko wykorzenionych: „Oni wszyscy lubią swój kraj i każdy z nich jedzie do siebie, gdzie ich ktoś przyjmie, przywita. I nawet Judy ma Sydney („złote plaże”), a mnie wypluje samolot jak paczkę na lotnisku, którego nie umiem nawet nazwać „domem”. Czy to dlatego, że nie zdobyła się na powrót do Polski, czy też dlatego, że świat w którym mniej lub więcej dobrowolnie została, rozczarował ją, bo nie potrafił zbudzić w niej ochoty i smaku do życia? Bieńkowska wydaje się niemal chorobliwie pozbawiona tego, co dawniej nazywało się *elan vital*. A może to po prostu smutek życia, każdego życia, którego nie potrafiła przezwyciężyć sztuką. Ma się wrażenie, że pisząc, popadała w coraz większą apatię.

Miała trzynaście lat wyjeżdżając z Polski. Mówiąc inaczej: Bieńkowska wyjechała z lekkim stosunkowo bagażem. Jej życie zawodowe nosiło wszelkie znamiona jeśli nie zawrotnego sukcesu, to na pewno pełnej sensu stabilizacji. Ani Anglia ani Kanada nie okradły jej z literacko-polskich zamiłowań. Wygląda raczej na to, że obydwana kraje tym zamiłowaniom sprzyjały. Jej sytuacja wśród emigrantów była uprzywilejowana: mogła jeździć do Polski i bodaj częściowo zaspakajać (lub rozdrażniać) tęsknotę. Ale Bieńkowska jakby świadomie wybrała swój psychiczny model. Bycie emigrantem jako egzystencjalistyczne skazanie na pozorną tożsamość.

2. W poezji uprawiała opis i retorykę na tematy codzienne i wzniosłe. Swoim podmiotom lirycznym chętnie nadawała inną płeć, odcinając się formalnie od autorskiego „ja”. Bieńkowska uprawiała lirykę „maski” czy „roli”, ale posługiwała się głosami innych aby mówić swoje. To trochę mniej niż „od siebie”. Ukryta za męczyzną czy dzieckiem, opowiadała wyłącznie o własnych pretensjach do świata. Jej wierszami nie rządzą żadne reguły poza zniechęceniem i *abschmack*'iem do życia. Bieńkowska nie umiała, albo nie chciała przetwarzać swoich przeżyć. Nie umiała się zatrzymać. Czasem z wiersza wybłyska bolesna, uderzająca się trafnością strofa, częściej jest to parę linijek ze strofy:

*Bo ja już z góry wiem,
Ze pustka równa się zeru,
Ze grzech nie daje się odjąć,
Ze uczucie nie daje się pomnożyć,
Ze z niczego nie robi się coś.*

Chyba że drzewa zakwitną...

I w tym miejscu powinna wiersz urwać, czego oczywiście nie robi. Natura jej talentu była opisowa, nierefleksyjna i nieobra-

zowa. Aspiracje zaś — dokładnie odwrotne. Czekanie na śmierć, umieranie za życia, przywoływanie śmierci — oto podstawowe motywy tej poezji. Śmierć jako szansa wyrwania się z jednostajności, a jeszcze bardziej — z przyziemności życia. W jednym z lepszych wierszy napisze:

*I nie wiem jak długo jeszcze.
Już bym wołała deszczem spłynąć, liściem opaść
W ziemię, w wieczny spokój.
Już bym wołała, żeby mię nie było, ani bólu.
Już bym Bogu przebaczyła, byle mi pozwolił odejść.
Lub żeby mi powiedział, jak długo jeszcze”.*

Poezja Bieńkowskiej jest lamentem, niestety bez koniecznego w lamencie zaśpiewu. Jest to poezja ponura, nie dopuszczająca innych przeżyć jak gniew i rozpacz, nie ewokująca żadnych pejzaży poza pejzażem bólu i uczuciowego spustoszenia. Poezja bardziej skłonna czarnowidztwu i uzalaniu się, niż napiętnowana tragedią. Pesymizm wymaga umiejętności uogólnienia poetyckiego, które rodzić się powinno z konkretnego obrazu, a nie ze zdań orzekających o stanie cierpienia. Wyobraźnia poetycka Bieńkowskiej nie była, jak się rzekło, skłonna obrazowaniu. Ale decydując się z wyboru czy z konieczności, na retorykę i opis, zapomniała że i retoryką i opisem rządzą pewne prawa. Prawa nasilenia, niespodzianki, kontrastu i zawieszenia głosu.

Skłonność do epigramatu i nieumiejętność dokonania myślowego skrótu. Obrazy pozbawione kompozycji i porównania pozbawione precyzji. Z braku precyzji — konieczność powtarzania, mnożenie porównań, bez dbałości o ich geometrię, o przyleganie członów. Bieńkowska pozbawiona była jak się wydaje poetyckich przesądów i zahamowań. To zdumiewające w zestawieniu z zahamowaniami psychicznymi, z których spowiada się w wierszach.

3. W Toronto przychodzi krótki moment pogodzenia się z życiem i w konsekwencji odejście na chwilę od werbalnego egzystencjalizmu. Sprawom zostają przywrócone proporcje i autoironia na moment zastępuje grymas zniechęcenia. *Pieśń suchego języka* otwiera wiersz *Powroty* dedykowany dzieciom. Codziennosc, która przedtem była wrogiem, teraz stała się sprzymierzeńcem w walce z ciemnością, z pragnieniem unicestwienia. Dzień zwyciężył na chwilę noc, decyzja odejścia została odroczone. Życie układa się wokół dzieci i wokół przedmiotów, wobec których także obowiązuje lojalność:

*Co pomyślą krzesła,
Gdy je będzie dotykała obca ręka?*

To co innemu poecie poczytałoby się za słabość, kapitulację wobec mieszczaństwa, odczuwa się u Bieńkowskiej jako heroizm: próbę wyjścia z własnego kokonu. Nie na długo jednak. Już w cyklu wierszy *Wszystko moje... (Nirwana)* powraca ton rezygna-

cji jako zadanej sobie i skrupulatnie odrabianej lekcji. Nirwana Bieńkowskiej nie jest buddyjskim stanem zawieszenia w łasce, ale zobojętnieniem nierozłącznie splątany z trywialnością życia:

*Zaczyna się Nirwana —
Kiwanie palcem w bucie,
Nic.*

Powiedziałam, że pisała łatwo i bez wątpień, że rzucała wiersze na papier, zamiast je formułować, ulepiac. Być może było odwrotnie. Jątrzył ją bowiem, choć rzadko dopuszczany do głosu, niepokój o własną poezję:

*Ten wiersz mruga błazeńsko
I tylko dotyk nożyc
Jest w nim dobry i prawdziwy.*

W młodości pisała prace o Aleksandrze Błoku, ale potem jakby opuściło ją zainteresowanie poezją. Jako krytyk zajmowała się teatrem i prozą, a w jej twórczości literackiej nie ma prawie śladu refleksji nad poezją. Nie chodzi tu o wpływy, a o wybór poetyckiego wzorca, który jest koniecznością i szansą poetów klasy średniej. Brak poetyki skazuje nie na wolność, lecz dowolność i przypadkowość. Tylko tak potrafię odpowiedzieć na pytanie: czego tu brakło, skoro wiem, że nie brakło bólu życia, przeżyć, wrażliwości i egocentryzmu. Odpowiedź, że brakło talentu jest odpowiedzią pozorną, bo każdy kto ma predyspozycję do pisania wierszy — a ma ją każdy, kto pisze wiersze przez lata — może być dobrym poetą. Więc brakło być może uporu i tej odrobiny akceptacji życia, która jest niezbędna do świadomego wysiłku nad rzeczą tak ulotną jak wiersz.

Bieńkowska pisała większość swoich wierszy w stanach depresji i w poczuciu wyrządzonej jej krzywdy. Nie miejsce tu na rozważanie czy były to krzywdy prawdziwe czy urojone. Ale nie potrafię zrozumieć, gdzie na przykład podziały się całe obszary jej życia, których śladu nie ma w jej twórczości: Persja i Indie choćby. Na dobrą sprawę nie ma w twórczości Bieńkowskiej nawet śladów Anglii i Kanady. W jednym z wierszy nazwała swoje życie „białym freskiem”. Jakież to przejmująco smutne i jak mało prawdopodobne. Jak wcześniej musiała się zasklepić. I jak kurczowo broniła się przed głębszym oddechem.

Przedostatni cykl, *Po tamtej stronie bólu*, przynosi wiersze, z których ja osobiście ułożyłabym tomik, zamiast tego monumentalnego wydania. To między innymi: *Jedna godzina życia*, *Pytanie*, *Jaszczurki wieczności lub erotyk nieerotyczny*, *Erotyk zapięty pod szyję* i *Pierwszy raz — córce mojej*. To te wiersze, w których Bieńkowska nie „przelewała” na papier swoich uczuć, ale pochylała się nad nimi jak obcy. Co nie znaczy, że z mniejszym bólem.

Janina KATZ HEWETSON

Przyszłość ostatniego imperium

Książka nosi tytuł — „Erozja imperium”*. Na okładce mapa: czerwone cielsko Rosyjskiej FSSR, a wokół rozsypany kolorowy puzzle pozostałych republik ZSSR — środkowoazjatyckich, bałtyckich, kaukaskich. Widać nawet w samym cielem RFSSR zieloną otwartą ranę terytorium zamieszkiwanego przez Tatarów i Baszkirów. Autorką książki jest Héléne Carrère d'Encausse, historyk francuski, znawca narodowości sowieckich.

Ukazanie się książki, jej sukces (uzyskała doroczną nagrodę francuskich dziennikarzy) stanowią wydarzenie znamienne dla ostatnich lat, są dowodem zmieniającego się we Francji stosunku do Związku Sowieckiego, do komunizmu i marksizmu. Jeszcze kilka lat temu „poważny” historyk francuski nie odważyłby się napisać podobnej książki w obawie przed oskarżeniem o chorobliwy antykomunizm, zaś prasa „liberalna” nie ośmieliłaby się jej chwalić.

Główną zaletą „Erozji imperium” jest fakt, że autorka rozpatruje problemy narodowościowe Związku Sowieckiego w nierozwalnym związku z problemami demograficznymi. Analiza porównująca położenie narodowości sowieckiego imperium i ich demografii naświetla z nieoczekiwanej strony charakter konfliktów i pozwala — na nowo — mówić o przyszłości.

Należy zauważyć, że pani Carrère d'Encausse korzysta prawie wyłącznie z danych statystycznych sowieckich. Jak wiadomo, dane te, delikatnie mówiąc, nie zasługują na stuprocentowe zaufanie. Lecz nawet takie dane pozwalają francuskiemu historykowi dojść do niezwykle interesujących wniosków.

Autorka porównuje trzy kompletne spisy ludności z lat: 1897, 1959, 1970. Przede wszystkim potwierdza ona cyfry rosyjskiego demografa profesora Kurganowa, na które powołuje się w „Archipelagu GUŁag” Aleksander Sołżenicyn: straty demograficzne ZSSR w latach 1914-1946 wyniosły 60 milionów ludzi. I nawet przy uwzględnieniu zaludnienia terytoriów zagarniętych przez ZSSR w wyniku drugiej wojny światowej — republik bałtyckich, Bessarabii, Karelii, Bukowiny, polskich terytoriów — straty przekroczyły 40 milionów ludzi.

Wyrównanie liczby ludności do stanu sprzed wojny nastąpiło w 1955 roku. Lecz w końcu lat pięćdziesiątych zaczyna się pojawiać postępująca regresja sowieckiego zaludnienia. W latach 1959-1970 przyrost ludności był prawie równy przyrostowi z okresu

* Héléne Carrère d'Encausse, *L'empire éclaté*, Ed. Flammarion, Paris, 1978.

między 1926 a 1939 rokiem. Zważywszy jednak, że lata sześćdziesiąte były pierwszym w historii ZSSR okresem całkowitego pokoju i polepszenia — nawet jeśli względnego — warunków życia, a lata trzydzieste epoką nieludzkiej kolektywizacji i jej milionowych ofiar, głodu, terroru, oczywistość regresji nie może podana być w wątpliwość. Na rok 1970 demografowie przewidywali — na podstawie rezultatów spisu z 1959 roku — liczbę ludności na 250 milionów. Spis podaje cyfrę o 10 milionów niższą. I o ile do spisu ludności w 1970 roku spodziewano się, że w roku 2000 ZSSR liczyć będzie 350 milionów obywateli, o tyle dziś wysuwa się cyfrę znacznie skromniejszą: 300-310 milionów.

Należy przypomnieć, że w roku 1900 Dymitr Mendelejew, na podstawie przyrostu z czterdziestu poprzedzających lat, przypuszczał, że w 2050 roku ludność imperium rosyjskiego wynosić będzie 800 milionów.

Statystyki demograficzne nie pozostawiają wątpliwości: przyrost ludności Związku Sowieckiego spada: w 1960 roku wynosił on 1,68 %, w 1970 — 0,94 %, w 1976 — 0,93 %. Lecz są to dane ogólne odnoszące się do całego kraju. Porównanie rezultatów spisu z 1970 roku z poprzednimi pozwala uwidocznic narastającą rozbieżność między różnymi regionami narodowościowymi. Kraj dzieli się na dwie części: zachodnią — zamieszkiwaną przez narody słowiańskie (Rosjan, Ukraińców, Białorusinów), bałtyckie (Łotyszów, Litwinów, Estończyków) — gdzie przyrost naturalny sytuuje się poniżej średniej krajowej — i wschodnią — Azję Środkową i Kaukaz — strefę szybkiego przyrostu naturalnego, znacznie wyższego od średniej krajowej. Strefę tę zamieszkuje w przeważającej większości ludność muzułmańska.

Autorka „Erozji imperium” zwraca uwagę przede wszystkim na spadek urodzeń ludności rosyjskiej. „Cyfra ta” — pisze ona — „jest w spisie za rok 1970 dużym zaskoczeniem”. Zaskoczeniem, ponieważ na przestrzeni dziesiątków lat liczba Rosjan niezmiennie rosła. Nie bierze się przy tym pod uwagę, że w XX-tym wieku Rosjanie ponieśli straty większe, niż inne narodowości imperium. Wielkie straty ponieśli Ukraińcy i Białorusini. Jednak przyczyną mniejszego przyrostu naturalnego Słowian w ostatnich latach wydaje się być zmiana ich stosunku do rozrodczości. I gdy w części zachodniej ZSSR zaczyna (od końca lat pięćdziesiątych) zarysowywać się regresja, w części wschodniej następuje zryw demograficzny. W ciągu jednego dziesięciolecia liczba ludności narodów muzułmańskich wzrosła z 24 do 35 milionów. Zmienia się również struktura wieku sowieckich muzułmanów: procent młodzieży jest znacznie wyższy i równowaga między mężczyznami i kobietami lepsza, niż w części zachodniej.

Cyfrы prognozy demograficznej dają wyobrażenie o tym stanie rzeczy. W roku 1970 ludność RFSSR stanowiła 53,7 % ludności kraju, ludność Azji Środkowej — 13,7 %, Kaukazu — 5,1 %. W roku 1970 będą wynosiły odpowiednio: 52 %, 15,9 %, 5,5 %, a w roku 2000 — 47,2 %, 23 %, 6,6 %.

Znaczy to, że do roku 2000 wzrost liczby ludności Związku

Sowieckiego nastąpi dzięki narodom muzułmańskim, co spowoduje powstanie palących problemów, dotyczących najbardziej życiowych spraw państwa.

Pierwszy problem — to problem siły roboczej. Bazą rozwoju ekonomicznego ZSSR była zawsze obfitość rąk do pracy. Kryzys demograficzny pociąga za sobą zmniejszenie liczby ludności aktywnej. Przeprowadzona przez Hélène Carrère d'Encausse prognoza ludności zawodowo aktywnej na okres 1971-2000 ukazuje wyraźny jej ubytek począwszy od roku 1976. Wystarczy powiedzieć, że o ile w latach 1971-1975 wzrost liczby ludności aktywnej wyniósł 1,9 %, o tyle w latach 1981-1985 wynosić będzie przypuszczalnie 0,3 %. Problem, jednakże, nie ogranicza się wyłącznie do wyczerpania źródeł siły roboczej. Dodatkowa komplikacja polega na tym, że przewidywany na rok 1970 początek deficytu siły roboczej odczuwać będą wszystkie republiki sowieckie z wyjątkiem środkowoazjatyckich i kaukaskich. Jedynym więc źródłem siły roboczej z początkiem lat osiemdziesiątych staną się republiki muzułmańskie. Jeśli spojrzymy na mapę ekonomiczną Związku Sowieckiego, stwierdzimy, że regiony rozwiniętego przemysłowienia znajdują się w zachodniej części kraju, tam, gdzie szczególnie ostro dawać się będzie we znaki brak siły roboczej, zaś nadmiar siły roboczej wystąpi na terenach słabo uprzemysłowionych.

Możliwe są dwa wyjścia z tej sytuacji: rozwijanie przemysłu tam gdzie jest siła robocza; przemieszczenie siły roboczej na tereny przemysłowe. Z wielu względów — politycznych i ekonomicznych — pierwsze wyjście wydaje się zupełnie nierealne. Drugie, zresztą, wydaje się również niemożliwe. Przede wszystkim dlatego, że mieszkańcy muzułmańskich republik nie chcą opuszczać ziemi rodzinnej, nie chcą dobrowolnie wyjeżdżać do innych niemuzułmańskich republik. Pozostaje, oczywiście, przesiedlanie przymusowe. Aby móc dokonać przesiedlenia setek tysięcy, czy milionów robotników z Azji Środkowej i Kaukazu na Syberię i na Daleki Wschód, gdzie w najbliższych latach szczególnie potrzebna będzie wielka ilość rąk do pracy, trzeba by nowego Stalina, powrotu do metod absolutnego terroru.

Drugim problemem, powstałym na skutek nierównomiernego rozwoju demograficznego Związku Sowieckiego, jest armia. Wydaje się oczywiście, że zmniejszenie rozrodczości narodów słowiańskich doprowadzi do coraz większego — aby użyć określenia sowieckich internacjonalistów — „zażółcenia” armii. Lecz oficerowie i generalicja pozostaną „biali”. Wśród oficerów mianowanych generałami w latach 1940-1976 — 91 % stanowili Słowianie. „Armia nasza — powiedział Breżniew w 1972 roku — jest wyjątkowa, ponieważ jest szkołą internacjonalizmu, wychowania w poczuciu braterstwa, solidarności i wzajemnego szacunku wszystkich narodów Związku Sowieckiego”. Już dziś można mieć poważne zastrzeżenia do szczerości tych słów. A cóż dopiero w przyszłości, gdy 40 % żołnierzy pochodzić będzie z republik muzułmańskich?

Problemy demograficzne są problemami politycznymi. Histo-

ria państwa sowieckiego w ciągu ubiegłych sześćdziesięciu lat jest historią prób rozwiązania kwestii narodowościowej. Lenin dążąc do wykorzystania ruchów nacjonalistycznych jako sojusznika rewolucji, godził się na powierzchowne, formalne ustępstwa, całą władzę skupiając w Moskwie; Stalin zdecydowanie i bezlitośnie likwidował wszelkie ruchy nacjonalistyczne; hasłem przewodnim polityki Breżniewa jest — zbliżenie narodów i stopienie ich w jeden naród sowiecki.

Hélène Carrère d'Encausse analizuje sytuację sowieckich narodowości w chwili obecnej, w roku 1978. Odpowiada na pytanie: jakie rezultaty dała polityka partii, której celem, bez względu na jej zakręty, pozostawało niezmiennie stłumienie autentycznych dążeń narodowościowych. Autorka „Erozji imperium” wydziela kilka grup narodowościowych. Grupę „apatrydów”, do której zalicza Tatarów Krymskich deportowanych z Krymu do Azji Środkowej, po wielu latach rehabilitowanych, jednakże bez prawa powrotu na rodzinny Krym; Niemców, których spotkał ten sam los i którym również nie wolno powrócić w rodzinne strony na Powołże; Żydów rozproszonych po całym terytorium Związku Sowieckiego, narażanych wszędzie na bezlitosną dyskryminację. Grupę „buntowników” stanowi tylko jeden naród — Gruzini, którzy, jak pisze francuski historyk, „najskuteczniej potrafili bronić swych wartości narodowych”. Ani solidarność słowiańska, ani poziom społeczno-kulturalny odpowiadający poziomowi Rosjan, nie zmniejszyły nacjonalizmu ukraińskiego. Ukraińcy umieszczeni zostali w grupie „braci-wrogów”. Specjalne miejsce poświęcone jest w książce Litwinom. Nawet przedstawiciel Sowietu do spraw wyznań i kultów przyznać musiał, że praktykujący katolicy stanowią co najmniej połowę mieszkańców republiki. Procent wierzących jest na Litwie nieporównanie wyższy, niż w sąsiednich republikach bałtyckich, gdzie przeważa luteranizm. Mimo, że Kościół katolicki prześladowany jest ze szczególną surowością, Litwini wytrwale i skutecznie stawiają opór kampanii antyreligijnej. Hélène Carrère d'Encausse zauważa, że luteranizm, jako nosiciel kultury niemieckiej, nie przyczyniał się do formowania świadomości narodowej. Na Litwie pojęcia: katolicyzm i naród litewski, zlewają się w jedno. Przywiązanie Litwinów do religii katolickiej przejawia się częściowo w demografii: spis z 1970 roku pokazał, że po roku 1959 Litwini byli jedynym narodem zachodniej części ZSSR, którego ludność wzrosła.

Najobszerniejsza i najciekawsza część książki poświęcona jest sowieckim muzułmanom. Wynika to nie tylko z faktu, że w Związku Sowieckim żyje ponad 50 milionów muzułmanów, ale również z ich stosunku do religii i problemów narodowych, co różni ich bardzo od innych narodów Związku Sowieckiego.

Islam, jak chrześcijaństwo, skupia w sobie liczne „kościoty”. Większość z nich posiada swych wyznawców także w ZSSR. Jednak w odróżnieniu od chrześcijan, którzy zapytani o religię odpowiedzą: prawosławny, katolik, luteranin, muzułmanie odpowiedzą nie sunnita czy szyita lecz muzułmanin. Islam w Związku

Sowieckim przedstawia sobą nie zgrupowanie różnych sekt, lecz wspólnotę jednowierców *umma*.

Walka z religią, prowadzona w całym kraju, nie ominęła również Środkowej Azji i Kaukazu. Na ogromnym terytorium republik muzułmańskich, zamieszkiwanym przez 50 milionów muzułmanów, otworzono zaledwie dwieście meczetów. Dwa uniwersytety muzułmańskie wypuszczają rocznie 50 duchownych. Na pierwszy rzut oka mogłoby się więc wydawać, że w kraju „dojrzałego” socjalizmu islam powoli wygasa.

Badania socjologiczne, przeprowadzone w ZSSR, ukazały szczególne zjawisko. Na pytanie: czy jesteś wierzący, średnio 50% mieszkańców wsi odpowiada twierdząco, procent ten znacznie maleje w miastach, a najniższy jest, gdy pytanie stawiane jest przedstawicielom elity danego narodu. Ale — na zapytanie: czy jesteś muzułmaninem? — przyniatająca większość zapytywanych daje odpowiedź twierdzącą. Muzułmańskie władze duchowne, biorąc to pod uwagę, prowadzą w ostatnich latach politykę zmierzającą do przysposobienia islamu do warunków życia społeczeństwa sowieckiego. W odróżnieniu od chrześcijaństwa, od dziającego sferę duchowną od świeckiej, islam obejmuje obie. Produkt Koranu i tradycji, doktryna muzułmańska wymaga od wiernych przestrzegania określonych obowiązków, które charakteryzują ich jako muzułmanów. Z pięciu podstawowych przykazań, dwa — wyznanie wiary i dawanie jałmużny — nie wychodzą poza życie prywatne, natomiast trzy pozostałe — pięć codziennych modlitw, post podczas Ramadanu i pielgrzymka do Mekki — rodzą konflikt między wiernymi i światem zewnętrznym. A światem tym jest świat sowiecki. Gospodarka sowiecka nie może dopuścić, aby pięć razy dziennie, w porze modlitwy, miliony obywateli przerywały pracę. Z powodów ekonomicznych władze zwalczały i zwalczały post w czasie Ramadanu. Pielgrzymka do Mekki pozostaje, oczywiście, w sferze marzeń.

Duchowienstwo muzułmańskie wprowadziło nowe formy przestrzegania tych przykazań — formy nie prowadzące do konfliktów z władzą sowiecką, a pozwalające muzułmanom utrzymać związek ze światem islamu. Nowe te formy nie tylko nie szkodzą interesom gospodarki ale im sprzyjają. Równocześnie umożliwiło to władzom duchownym umocnić jedność muzułmanów bez względu na stan ich wiary, utwierdzić poczucie wspólnoty bez względu na ich stosunek do religii. Wynikiem tej polityki — pisze Hélène Carrère d'Encausse — jest powstanie kolektywnej świadomości muzułmańskiej. Ważnym jej elementem okazała się teza o „pokojowym współistnieniu” islamu i komunizmu. Na konferencji muzułmańskiej w Taszkencie w 1970 roku padały wypowiedzi: „Przywódcy sowieccy nie wierzą w Boga ani Proroka — tym niemniej wcielają w życie zasady nakazane przez Boga, a objaśnione przez Proroka”, czy też „Ołśniony jestem geniuszem Proroka, który głosił społeczne nauki socjalizmu. I szczęśliwy jestem, że większość zasad socjalizmu jest urzeczywistnieniem nauk Mahometa”. Następuje odrodzenie idei „muzułmańskiego

socjalizmu" głoszono po raz pierwszy po rewolucji Październikowej przez tatarskiego komunistę Sułtana Galijewa*. Idea ta, szczególnie ostro zwalczana w Związku Sowieckim na przestrzeni dziesiątków lat, okazała się wyjątkowo żywotna.

Teza o „pokojowej koegzystencji” islamu i komunizmu (w tym stadle islam odgrywa, oczywiście, główną rolę) sprawdza się w konkretnej polityce, którą Francuzi nazywają *entrisme*. „Wierni, którzy pragną być dobrymi muzułmanami — mówi się w organie taszkienckiego muftiatu — winni uczestniczyć w budowaniu nowego życia i nowego społeczeństwa w swym kraju”. Ponadto muzułmanie oświadczają: „Dzieci nasze powinny być pionierami, komсомоłcami, członkami partii. Powinny wszędzie zajmować odpowiedzialne stanowiska”.

Jednakże islam sowiecki to nie tylko islam „oficjalny” — znajdujący się pod zarządem i kontrolą urzędu do spraw wyznań i kultów. Równoległe, jak przyznają źródła sowieckie, istnieją tajne bractwa sufickie — tarigat. Badacze sowieccy przyznają również, że w Północnym Kaukazie ponad połowa wierzących należy do tarigatu. Znaczy to, że liczba członków podziemnego, wyjątkowo zdyscyplinowanego bractwa, sięga blisko pół miliona. Tajna masowa organizacja, całkowicie obca ideologii sowieckiej jest zjawiskiem niezwykłym. W źródłach sowieckich brak jest informacji o liczebności tarigatu, natomiast nie przeczą one istnieniu i rozwojowi bractw.

Hélène Carrère d'Encausse dowodzi, że w pierwszym na świecie państwie socjalistycznym, wytworzył się równoległe do *Homo sovieticus* — *Homo islamicus*. Nie jest on dysydem, nie występuje przeciw władzy sowieckiej ani jej nie krytykuje. Jednakże uznaje inne duchowe wartości, obce *Homo sovieticus*. Autorka „Erozji imperium” widzi w *Homo islamicus* świadectwo porażki próby stworzenia nowego sowieckiego człowieka, dowód klęski sowieckiej polityki narodowościowej.

Książka Hélène Carrère d'Encausse, jakkolwiek dostarczająca licznych cennych informacji, grzeszy, według mnie, zbyt powierzchownym rozumieniem pojęcia nacjonalizmu. Dla autorki wszystkim jest nacjonalizmem. W ten sposób Piotra Szelesta, byłego pierwszego sekretarza KC Ukraińskiej KP, Kunajewa — pierwszego sekretarza Kazachskiej KP i innych wysokich działaczy partyjnych, dążących do wytargowania u Moskwy trochę więcej władzy dla siebie, stawia w jednym szeregu z prawdziwymi nacjonalistami, walczącymi o niezawisłość swoich republik, o odrodzenie. Autorka „Erozji imperium”, pochłonięta osiągnięciami islamu, nie zadaje pytania, na które zresztą nie można jeszcze odpowiedzieć, lecz postawić je można: czy w tej symbiozie marksizm się „islamizuje”, czy też islam ulega „marksizacji”, czy na skutek tego dziwnego zbratania islam nie traci swych własnych wartości? Ideologia sowiecka potrafiła zbrukać i odrzucić pojęcia

* *Kultura*, Nr 3/161 (1961), str. 154-156 i Nr 9/312 (1973), str. 78-88.

patriotyzmu, humanizmu, moralności itd. Czy islamu nie czeka ten sam los?

Hélène Carrère d'Encausse, jak wielu zachodnich historyków, uważa imperium sowieckie za bezpośredniego spadkobiercę imperium rosyjskiego. Nie ulega wątpliwości, że tak jest. Wydaje mi się jednak, że imperium sowieckie posiada specyficzne sowieckie cechy. Wystarczy przykład, że poziom życia Rosjan — narodu cięmiężycieli — jest znacznie niższy od poziomu życia narodowych republik. Jest to zjawisko niespotykane w historii.

Zasadniczy wniosek, do którego prowadzi rozważania autorki „Erozji imperium”, tj. że kwestia narodowościowa w Związku Sowieckim nie jest rozwiązana i że zagraża przyszłości imperium, wydaje się prawidłowy i poparty jest licznymi cyframi, faktami i dokumentami.

Michał HELLER

Czy naprawdę wiadomo „Kto jest kto”?

W państwach zachodnich różnego rodzaju słowniki biograficzne typu „kto jest kto” mają dużą popularność, ale wartość ich jest posiłkowa. Przeciętny obywatel nie ma trudności z poznananiem obszernego życiorysu i działalności osób, odgrywających rolę w życiu publicznym. Jawność tego życia i wolność prasy dają mu obfitą ilość wiadomości, uzupełniających skrótowe ujęcie takich leksykonów.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja w krajach Europy Wschodniej, rządzonej przez komunistów. Tam życiorys jakiegoś działacza — nawet na różnych stopniach hierarchii — staje się sprawą „państwową”. Obowiązuje też specjalny protokół w zakresie publikowania biografii, a nadto czuwa nad nim cenzura. Życiorysy zmieniają się pod wpływem różnych wydarzeń i dostosowywane są w publikacjach do aktualnego układu politycznego. Bywają więc ludzie z „lukami” w życiorysach, a bywają i tacy, którzy z powodów politycznych w ogóle życiorysu nie posiadają.

Jeśli więc jakiś dygnitarz czy oficjalny delegat wyjeżdża za granicę i władze krajowe prezentują sylwetkę swego przedstawiciela — to mało kto na Zachodzie będzie naprawdę wiedział, kim był i jest ów przybysz. Na tym właśnie wprowadzaniu w błąd opinii publicznej polega w systemie komunistycznym polityka „życiorysowa”.

Dlatego też zadania autorów wszelkiego typu „czerwonych „almanachów”, wydawanych na Zachodzie, są szczególnie ważne.

Nie powinny przecież polegać na przetłumaczeniu życiorysów oficjalnych, ani ograniczać się do suchego — czysto ewidencyjnego — wyliczania chronologii stanowisk służbowych. Ludzie figurujący w takim wydawnictwie są przecież na ogół na Zachodzie nieznani i nikt niemal nie wie, jakie były ich polityczne losy w przeszłości.

Rzecz jasna, że niezbędne jest zachowanie zwięzłości biografii i wybór najważniejszych w niej zapisów. Ale często konieczne jest jakieś — choćby lakoniczne — zaznaczenie przyczyny lub okoliczności niektórych pozycji w życiorysie. Ma to szczególną wagę w okresie coraz wyraźniejszego w wielu krajach bloku sowieckiego sprzeciwu społeczeństwa wobec istniejącego systemu władzy.

Wydana niedawno w Monachium w języku angielskim księga „Who's who in the Socialist Countries” jest pierwszym chyba tego typu — a na pewno największym — wydawnictwem. Obejmuje 10.000 nazwisk z 16 krajów rządzonych przez komunistów. Część sowiecką opracował Borys Lewicki, a pozostałe kraje — Juliusz Stroynowski. Zajmują się tylko personaliami polskimi, obejmującymi 1.393 nazwiska.

Przy pierwszym przeglądzie rzuca się w oczy zbędność kilku-set pozycji, a jednocześnie brak wielu innych — bardzo ważnych i potrzebnych. Staram się spojrzeć na te nazwiska z punktu widzenia czytelnika zagranicznego. Natrafia on na wielu postów do sejmu lub członków Komitetu Centralnego partii. Widząc ich obfitość, gotów jest pomyśleć, że w PRL i w PZPR istnieje rzeczywiście demokracja, skoro tylu postów i członków KC zasłużyło na wyróżnienie w gronie najwybitniejszych osób w kraju.

Wiadomo przecież dobrze (nam — ale nie cudzoziemcom), że sejm w Polsce nie ma najmniejszego znaczenia, że jest instytucją dekoracyjną, a postowie są figurantami. Dla zachowania pozorów parlamentarizmu przydziela się zawsze odpowiednią ilość mandatów robotnikom, chłopom, urzędnikom, inżynierom czy dyrektorom. Często zresztą tylko na jedną kadencję. A tymczasem J. Stroynowski wymienia całe dziesiątki tego typu osób — nawet tych, którzy już w sejmie nie zasiadają — i obdarza ich tytułem „Polish Politician” lub nieraz dla rozmaitości „Polish Parliamentarian”.

W podobny sposób do grona wybitnych polityków trafiają w „Who's who” liczni członkowie (i zastępcy) KC PZPR. Też nie trzeba chyba udowadniać, że tytuł ten może dla wielu ludzi w partii „brzmieć dumnie”, ale rola członków KC nie przekracza — w olbrzymiej ich większości — zadań zwykłych statystów. Nie wymieniam długiej listy tych „parlamentarzystów” i „polskich polityków” z uwagi na oszczędność miejsca. Często poza nazwiskiem i datą urodzenia tekst biograficzny ogranicza się do paru ogólnikowych zdań.

Zagraniczny czytelnik „Who's who” — jeśli uwierzy tylko zapisom w tej książce zawartym, to dojdzie do wniosku, że w Polsce panuje polityczna sielanka, że nie ma żadnej publicznej opozycji

ani jej przejawów. Jeśli czyta korespondencje z Polski w prasie zachodniej, stanie wobec dylematu: czy wierzyć „Who's who”, czy polegać na własnej prasie.

Jak wynika z przedmowy, książkę opracowywano od stycznia 1976 do maja 1977 roku, a więc obejmuje okres, w którym były masowe wystąpienia przeciwko projektom nowelizacji konstytucji PRL, odbywały się procesy robotników Radomia i Ursusa, powstał KOR, a później Ruch Obrony Praw Człowieka (ROPCiO).

Niektóre nazwiska osób związanych z tymi akcjami społeczeństwa znajdują się wprawdzie w „Who's who”, ale brak przy nich najmniejszej wzmianki o udziale w tych głośnych w kraju i za granicą wydarzeniach. Tę samą pieczęć milczenia zastosowano wobec sygnatariuszy „Listu 34” z 1964 roku. W księdze wymieniony jest oczywiście prof. Edward Lipiński, ale w jego biografii nie ma ani słowa, że przeszło pół wieku jest socjalistą, że podpisał „List 34-ch”, że przekazywał w grudniu 1975 roku marszałkowi sejmu „memoriał 59-ciu” w sprawie zmian konstytucji i że był we wrześniu 1976 roku jednym z założycieli KOR.

Nie znajdują w księdze nazwisk osób, które z tytułu swej działalności publicznej, pisarskiej, artystycznej czy politycznej miałyby podstawę do znalezienia się na jej kartach, skoro zamieszczono na nich wiele innych o nie większych kwalifikacjach. Dla przykładu parę nazwisk „niezauważonych” sygnatariuszy „memoriału 59” i członków KOR: Stanisław Barańczak, Ludwik Cohn, Jacek Kuroń, Halina Mikołajska, Adam Michnik, Antoni Pajdak, ks. Jan Zieja.

Zabrakło również miejsca dla pisarza Jana Józefa Lipskiego, sygnatariusza tegoż memoriału i członka KOR, chociaż nie poskąpiono go „polskiemu parlamentarystom”, Janowi Lipskiemu, przewodniczącemu Kółka Rolniczego pod Rypinem, który już zresztą od paru lat w sejmie nie zasiada.

Nasuwa się spostrzeżenie, że pisarze „dworscy”, dobrze widziani w domu partii, łatwo znaleźli miejsce dla siebie na łamach książki, natomiast wielu niezależnych — lub posiadających kreski w zapisach Wydziału Kultury KC — nie przedostali się na karty „almanachu”. Taki los spotkał — wymieniam dla przykładu — Jana Józefa Szczepańskiego, Hannę Malewską, Andrzeja Szcypiorskiego, Olgierda Terleckiego. Jest Mirosław Żuławski, zyczeniwi traktowany przez „biały dom”, ale nie ma długoletniego wiceprezesa (a obecnie prezesa) polskiego PEN-Clubu — Juliusza Żuławskiego, sygnatariusza „memoriału 101” w sprawie zmian konstytucji.

Przy wielu działaczach komunistycznych wymienia się ich działalność konspiracyjną w AL. Przemilcza się natomiast — w sposób rzucający się w oczy — przynależność wielu wybitnych osobistości do AK. Pozbawiono takiej wzmianki znanych profesorów, jak np. J. Groszkowski, A. Gieysztor, J. Kielanowski, K. Kumaniecki, J. Kostrzewski. W nocy życiorysowej Prymasa Wyszyńskiego też pominięto fakt, że był kapelanem AK.

Nie pojmuję motywów, jakimi kierował się autor przy pominięciu nazwisk wielu głośnych kiedyś działaczy partyjnych, a teraz traktowanych przez PZPR negatywnie lub wstydliwie. Nie znalazłem np. nazwiska Władysława Bienkowskiego, czołowego przed wielu laty polityka PZPR, a dziś przekonanego jej krytyka, znanego z wielu publikacji wydanych przez *Kulturę*. Nie ma też Jerzego Albrechta, Władysława Matwina, Janusza Zarzyckiego, a nawet przewodniczącego PKWN i I-go premiera — Osóbki-Morawskiego.

Nie rozumiem też, dlaczego księga nie wspomina takich przywódców partii, których działalność odczuwało społeczeństwo przez długie lata (a i teraz nie brak jej śladów), jak Jakub Berman czy Stanisław Radkiewicz, a z niedawno zmarłych — Hilary Minc czy Roman Zambrowski. Nota redakcyjna zaznacza bowiem, że w księdze uwzględnia się osobistości zmarłe, jeśli odegrały znaczną rolę w swych krajach.

Wiadomo, że gierkowskie kierownictwo partyjne co najmniej niechętnie — jeśli nie wrogo — traktuje Ochaba. Jaki zarys jego politycznej sylwetki będzie miał zachodni czytelnik po przeczytaniu noty biograficznej, rojącej się od suchego wyliczenia licznych funkcji i dat? [Nie znajdzie przecież w tej nocy stwierdzenia, że Ochab został wiceministrem Obrony Narodowej i szefem Głównym Zarządu Politycznego Wojska wtedy, gdy Rokossovski obejmował swe funkcje jako polski marszałek. Ta okoliczność ma chyba swą wymowę. Wystarczyłoby tylko wspomnieć o tym]. Przeczyta, że Ochab został później I-szym sekretarzem PZPR. Nie dowie się jednak, że objął to stanowisko po Bierucie, że złożył w Pekinie wizytę poprzedzającą polski Październik, w czasie którego dobrowolnie ustąpił miejsca Gomułce.

Księga mówi, że w 1968 roku przestał być przewodniczącym Rady Państwa. Powodów nie podaje, a była to rezygnacja Ochaba jako protest przeciwko wydarzeniom marcowym. Na tej dacie urywa się jego życiorys. A tymczasem głośny był jego list programowy, ogłoszony w listopadzie 1971 roku przed VI-tym zjazdem PZPR. Dalszym ciągiem tego krytycznego wystąpienia był protest Ochaba i 13 działaczy partyjnych, skierowany w grudniu 1977 roku, przeciwko niedotrzymaniu przez Gierka zobowiązań danych społeczeństwu. (Oczywiście tego ostatniego dokumentu autor nie mógł już zamieścić, ale potwierdzał on postawę Ochaba, wyrażoną przed VI-tym zjazdem).

Ze zdziwieniem czyta się życiorys Gomułki. Przedwojenne wyroki sądowe, skazujące Gomułkę za antypaństwową aktywność w KPP, przedstawia J. Stroynowski jako uwężnienie „za antyfaszystowską działalność”. W taki właśnie sposób określa dziś propaganda PZPR przeszłość więzienną swoich przywódców.

Życiorys pomija powrześniowy okres pobytu Gomułki we Lwowie, choć nawet pisywał tam do *Czerwonego Sztandaru*. Nie ma ani słowa o odchyleniu pravicowo-nacjonalistycznym, które w latach 1948-49 było formalnie główną przyczyną upadku Go-

mułki. Nie wiadomo, dlaczego po raz drugi przestał być I-szym sekretarzem partii. Czyżby dla autora zapisu wydarzenia grudniowe na Wybrzeżu w 1970 roku były bez znaczenia?

O degradacjach w partii za odchylenie pravicowe jest tylko mowa w życiorysach Kliszki i Logi-Sowińskiego. Pominięto ten polityczny grzech nie tylko u Gomułki ale również u Spychalskiego i Moczara.

Biografia Cyrankiewicza nie zawiera choćby dosłownie kilku — ale o istotnym znaczeniu — słów, że był premierem i w czasie zająć poznańskich i w dniach buntu robotniczego na Wybrzeżu. Czytelnik dowie się, że przestał być premierem w roku 1970, ale nie będzie wiedział ani dlaczego, ani choćby w którym miesiącu tego roku.

„Who's who” poświęca sporo uwagi belgijskiemu okresowi Gierka i obdarza go niezasłużonym komplementem „jednego z organizatorów belgijskiego ruchu oporu”. Bardzo to zapewne zdziwi czytelników w Belgii. Z konieczności pomijam różne nieścisłości w wielu życiorysach, ale zwracam uwagę na jedną choćby niedokładność w prezentacji Gierka, jako że jest naczelną urzędowo figurą. Gierek nie jest nieprzerwanie członkiem Politbiura „od 1956 roku”. W rzeczywistości w Biurze Politycznym był w 1956 roku od lipca do października. W październiku utracił to stanowisko i powrócił na nie ponownie dopiero w marcu 1958 roku. Ma to też swoją wymowę.

Z wyróżniającą się dokładnością i drobiazgowością potraktowane zostały w księdze liczne nazwiska naukowców — znanych i nieznanymi. Wylicza się krok po kroku ich karierę naukową i obficie cytuje tytuły ogłoszonych prac i książek. Robi to wrażenie streszczeń z obszernie przedstawianych sylwetek na łamach miesięcznika *Nauka Polska*. W almanachu ogólnym dysproporcja miejsca poświęcanego naukowcom jest rażąca w porównaniu ze zwięzłością stosowaną wobec innych. Można sądzić, że nie zastosowano celowej selekcji ani w doborze najważniejszych czy najbardziej znanych nazwisk, ani w treści poświęconych im not. Ta przypadkowość daje się zauważyć i w wielu innych życiorysach.

Nie wiem, jak wyglądają osobiste archiwa Juliusza Stroynowskiego, które — według przedmowy — obejmują ponad 20.000 osób z wielu krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Nasuwa mi się jednak uwaga, że polski dział w tych archiwach albo nie został w pełni wykorzystany, albo ma poważne luki, co znalazło swój wyraz w książce. Piszę to z zalem, bo przecież „Who's who” mogło by się stać ważnym i niezwykle pożytecznym „kluczem politycznym” dla publicystów, historyków, działaczy politycznych i naukowców. Obawiam się, że tej roli — mimo wysiłku włożonej pracy — w zamierzonym stopniu nie spełni.

Listy Romana Ingartena

W tomie 119 *Slavistische Beiträge*, Monachium 1978, prof. dr Heinrich Kunstmann wydał siedem listów Romana Ingardena do niemieckiego filozofa Hansa Corneliusa. Listy te, podobnie jak już wcześniej ogłoszone listy Witkacego do Corneliusa, pochodzą ze spuścizny po wdowie Corneliusa — wydaje się, że ta jeszcze nie wyeksplorowana spuścizna jest istną kopalnią poloników.

Pierwszy list jest datowany we Lwowie, dnia 19. XI. 1935 r., ostatni nosi datę potrójną (był pisany na raty): 16. X. 1938, 29. X. 1938 i 16. XI. 1938. Korespondencja ta wiąże się z pobytami Corneliusa w Polsce w roku 1937 i także z faktem, że Cornelius, w obliczu — jak pisze Kunstmann — zbliżającego się apogeum barbarzyństwa hitlerowskiego szukał kontaktu z krajem, gdzie podówczas filozofia kwitła.

Znaczenie tych listów polega na tym, że dają w formie skondensowanej obraz pozycji filozoficznej Ingardena: jako uczeń Husserla nie zgadzał się zarówno ze stanowiskiem Corneliusa, który podówczas zbliżał się do neokantyzmu, jak i z polską szkołą logistyczną, lwowsko-warszawską, której początki dał Kazimierz Twardowski. Charakterystyczny cytat z listu trzeciego (9. XI. 1937 r.): „W ostatnich latach przybyło nam przede wszystkim różnych logistów albo logistycznie zabarwionych pozytywistów, którzy z małymi wyjątkami okazali tak mało filozoficznej kultury i skierowali uwagę słuchaczy na tak mało znaczące logiczne problemy poszczególne, że nasza młodzież ulega fałszywemu mniemaniu, jakoby na świecie już nie było żadnej filozofii, lecz jedynie logistyka”.

Wiadomo, że listy Corneliusa do Witkacego zaginęły. Możliwe wszelako, że w papierach po Ingardenie (a także po Ajdukiewicz, który też z Corneliusem korespondował) znajdują się listy tego niemieckiego filozofa. Jeśli są, to ogłoszenie ich wydaje się pilne.

Witold WIRPSZA

Nadesłane nowości wydawnicze

NOWAK (Jan) (Zdzisław Jeziorański). *Kurier z Warszawy*. Przedmowa Edwarda Raczynskiego. Str. 536. (Wyd. Odnova, Londyn, 1978).

MICEWSKI (Andrzej). *Współrzędzić czy nie kłamać?* PAX i Znak w Polsce 1945-1976. Str. 269 i 3 nlb. (Wyd. Libella, Seria „Historia i teraźniejszość” poz. 2, Paryż, 1978; cena F. 50,00).

IWANIUK (Wacław). *Nemesis idzie pustymi drogami*. Wiersze. Str. 93 i 3 nlb. Linoryty S. Gliwy. (Wyd. Oficyny Stanisława Gliwy, Londyn, 1978; cena £ 9,00 łącznie z kosztami przesyłki).

RESZCZYŃSKA - STYPIŃSKA (Marta). *Słowo i milczenie*. Wiersze. Str. 110 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1978).

WICIAK SUCHNICKA (A.). *Od-blaski*. Powieść. Str. 122. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1978).

KMIETOWICZ (Frank). *Bogiem sławienia*. Powieść. Str. 171 i 3 nlb. (Wyd. Towarzystwo Orkana, Windsor, Ont., 1979; cena \$ can. 5,00).

ZYCHIEWICZ (Tadeusz). *Rok Mar-ka*. *Nasza Rodzina* — numéro spécial 1979. Str. 152 i 26 nlb. (kalendarz na 1979 r.). (Wyd. Association Notre Famille, Paryż, 1978).

KWIATKOWSKI (Michał), BOROWICZ (Tadeusz), GIERTYCH (Jędrzej). *Przeciw orientacji niemieckiej*. (Cykl artykułów). Str. 61 i 3 nlb. (Nakładem „Narodowca”, Lens, 1978; cena bez przesyłki: F. 8,50).

WITTLIN (Józef). *Poezje*. Wstęp Juliana Rogozińskiego. Str. 155 i 5 nlb. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, seria „Biblioteka poetów”, Warszawa, 1978; cena zł. 25,00).

MARTIN-SANTOS (Luis). *Czas milczenia*. Przełożył Florian Śmieja, posłowiem opatrzył Piotr Sawicki. Str. 252 i 4 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1978; cena zł. 50,00).

Ameryka Północna. Studia — tom 2. Pod redakcją Mariana Marka Drozdowskiego. Str. 705 i 3 nlb. (Polska Akademia Nauk, Instytut Historii; wyd. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1978; cena zł. 90,00).

Apel do społeczeństwa. Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”, Warszawa, październik 1978 r. Str. 12. (Wyd. Aneks, Londyn, 1978; cena £ 1,00).

WILK (Franciszek). *Profesor Stanisław Kot — Życie i dzieło*. Str. 53 i 1 nlb. (Wyd. Jutro Polski, Londyn, 1976).

Studia z dziejów polsko-węgierskich stosunków kulturalnych pod redakcją Istvána Csaplárosa. Tom poświęcony pamięci prof. dr. Jana Reychmana, długoletniego Kuratora Katedry Filologii Węgierskiej

UW. Str. 328. (Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego, Katedra Filologii Węgierskiej, Warszawa, 1978; cena zł 76).

Szkie i dialog. Kwartalnik społeczno-kulturalny nr 3, rok 1978. Str. 51 (powielacz). (Wyd. Polski Instytut Ewangelicki, Sztokholm).

CZAPSKI (Joseph). *Terre inhumaine*. Przekład z polskiego M.-A. Bohomolec i Autor. Przedmowa Daniel Halévy. Str. 275 i 5 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lausanne, 1978).

RUDNICKI (Adolf). *Que le meilleur gagne*. Tłumaczył z polskiego Jean-Yves Erhel. Str. 193 i 1 nlb. (Wyd. Le Sagittaire, Paris, 1978).

MICKIEWICZ (Adam). *Ballades*. Présentation, vocabulaire, questionnaires par Edmond Marek. Str. 55 i 3 nlb. (powielacz). (Wyd. Université de Lille, seria „Classiques polonais”, Lille, 1977).

Recueil de textes polonais (classes terminales — baccalauréats — concours). Str. 41 i 1 nlb. (powielacz). (Wyd. Université de Lille, Lille, 1978).

MAREK (Edmond). *Paysages et régions naturelles de la Pologne*. Str. 55 i 1 nlb. (powielacz). (Wyd. Université de Lille III, Lille, 1978).

VINTON (Bobby). *The Polish Prince*. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. M. Evans and Co., New York, 1978; cena \$ 8,95).

ZOLOBKA (Vincent). *Polonica Canadiana*. A bibliographical list of the Canadian Polish Imprints 1958-1970. Viktor Turek, Vincent Zolobka — Cumulative supplement 1948-1957. Przedmowa dr B. B. Budurowycz. Str. 414 i 2 nlb. (Wyd. Canadian-Polish Research Institute — Canadian Polish Congress, seria: Studies nr 13, Toronto, Ont., 1978).

Autograph Letters of Thaddeus Kosciuszko in the American Revolution. Redakcja Metchie J. E. Budka. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. The Polish Museum of America, Chicago, Ill., 1977).

- Historical Abstracts. Part A — Modern History Abstracts (1450-1914).* Annual Index, Volume 23, No 4, Winter 1977. Str. 577-823, i 1 nlb. (Wyd. American Bibliographical Center-Clio Press, Santa Barbara, Cal.).
- Historical Abstracts. Part B — Twentieth Century Abstracts 1914-1977.* Annual Index, Volume 23, No 4, Winter 1977. Str. 587-826. (Wyd. American Bibliographical Center-Clio Press, Santa Barbara, Cal.).
- MAGOCSI (Paul Roberto). *The Shaping of a National Identity Subcarpathian Rus', 1848-1948.* Str. 640. (Wyd. Harvard University Press, Cambridge, Mass. — London, 1978).
- KRZYŻANIAK (Marian). *Savings Behavior of Poor and Rich in Taiwan 1964, 1966, 1968 and 1970.* (Nadbitka z *The Journal of Developing Areas*, volume 11, No 4, July 1977, str. 447-463; wyd. Western Illinois University, Macomb, Ill.).
- SYMONS - SYMONOLEWICZ (Konstantin). *Polish Contributions to American Scholarship — The Fields of Sociology and Cultural Anthropology (1918-1976).* (Nadbitka z *Poles in America: Bicentennial Essays*, wyd. Frank Mocha, Stevens Point, Wisc., 1978).
- Nationalism and Human Rights. Processes of Modernization in the USSR.* Edited by Ihor Kamenetsky. Str. 246 i 2 nlb. (Wyd. Association for the Study of the Nationalities (USSR and East Europe), Inc. by Libraries Unlimited, Inc., Littleton, Colo., 1977).
- LAUB (Gabriel). *Alle macht den Spionen! Ein Schock neuer Satiren mit einem Dutzend Cartoons von Manfred Limmroth.* Str. 156 i 4 nlb. (Wyd. Albrecht Knaus Verlag, Hamburg, 1978).
- Slavistische Beiträge.* Band 119. Referate und Beiträge zum VIII. Internationalen Slavistenkongress, Zagreb 1978. Str. 451 i 1 nlb. (Wyd. Verlag Otto Sagner, München, 1978).
- Slavistische Beiträge.* Ban 120. Slavistische Linguistik 1977 — Referate des III. Konstanzer Slavistischen Arbeitstreffens, Bochum 27. 9. 77 - 29. 9. 77. Redagowali Wolfgang Girke i Helmut Jachnow. Str. 260. (Wyd. Verlag Otto Sagner, München, 1978).
- Die Welt der Slaven.* Halbjahreschrift für Slavistik, Jahrgang XXII, 2, N.F. 1. 2. Str. 448. Wyd. Verlag Otto Sagner, München, 1977).
- MAJSTRENKO (Iwan). *Nacionalnaja politika KPSS w jejo istoričeskom razvitii.* Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. Suczastnist', München, 1978).
- POPOWSKI (Mark). *Uprawiająca nauka.* Str. 319 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange, Ltd., London, 1978).
- DOMBROWSKI (Ju.). *Chranitiel driennostiej.* Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1978).
- Rossija i Jewrije.* Sbornik pierwyj. Str. 228 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1978).
- SWIETOW (F.). *Otwierzi mi dwiery.* Str. 560 i 4 nlb. (Wyd. Les Editeurs Réunis, Paryż, 1978).
- LEONTIEW (Konstantin). *Otiec Kliment Ziedergolm — Ieromnach Optinoj Pustyni.* Str. 123 i 1 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1978 — przedruk z wydania drugiego, Moskwa, 1882).
- 1900 — *talsberättare* — Antologia. Str. 336. (Wyd. Natur och Kultur, Stockholm, 1978).
- MLYNAR (Zdeněk). *Mráz přichází z Kremlu.* Str. 339 i 3 nlb. (Wyd. Index ? Společnot pro československou literaturu v zahraničí, Kolonia, 1978).

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 289 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

SZKICE O LITERATURZE EMIGRACYJNEJ

Wczesny okres wojenny. — Literatura Polski Walczącej. — Londyn 1942. — Polacy w Rosji: Literatura zżytkowa. — Od Teheranu do Jerozolimy. — Rozdział włoski. — Londyn u kresu wojny i w latach powojennego chaosu. — Czasopisma literackie. Książka zaopatrzona jest w Indeks Nazwisk.

Str. 416.

Cena F. 85.

TOM 290 — MARIA CZAPSKA

CZAS ODMIENIONY

to dalszy ciąg wspomnień Autorki („Europa w rodzinie”), to jej losy w czasie pierwszej wojny światowej kiedy z Mińska przez Petersburg i Warszawę — rewolucja rosyjska i wyzwolenie Polski — dociera do uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Str. 160.

Cena F. 35.

TOM 291 — WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

Seria „Bez Cenzury”

SOCJALIZM PO 60 LATACH

Str. 64.

Cena F. 18.

TOM 293 — SERIA „BEZ CENZURY”

RYSZARD KRYNICKI

NASZE ŻYCIE ROŚNIE

Wiersze

Wybór poezji młodego wybitnego poety krajowego.

Str. 104.

Cena F. 25,00.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-11-78

Laureatem dorocznej nagrody im. Jana Cybisa został poznański malarz, Jan Berdyszak. Poprzednio nagrodę im. Jana Cybisa otrzymali: Tadeusz Dominik, Krzysztof Bucki, Jan Dziendziora, Witold Damasiewicz i Jacek Sempoliński. ■ 50 mln. cytryn ostemplowano w Gdańsku aby odróżnić lepszy gatunek od gorszego. W wyniku żmudnej procedury stemplowania każdej cytryny oddzielnie, zgniło 39 ton tych owoców o wartości ponad miliona złotych.

20-11-78

Tegoroczną nagrodę im. Władysława Pietrzaka otrzymał Zbyszko Bednorz, pisarz związany swoją twórczością ze Śląskiem.

22-11-78

Pięciu księży litewskich ogłosiło w Moskwie powstanie Komitetu Katolickiego Obrony Praw Wierzących i wystosowało apel do Papieża Jana Pawła II. Są to księża: Alfonsas Svareinkas, Jonas Kauniatskas, Sigitas Tamkiavicius, Vinsas Velavicius i Jaunas Zdebskis — proboszczowie parafii na Litwie.

23-11-78

Hotele w PRL, zarządzane przez Orbis, przyniosły w ub. roku 165 mln. złotych deficytu. Tak samo gastronomia orbisowska wykazała deficyt w wysokości 51 mln. złotych.

24-11-78

Zmarł w Warszawie, w wieku 64 lat, Antoni Olcha, poeta i prozaik, w latach 30-tych redagował pismo *Nova Wieś*, w latach 1955-1971 był członkiem zarządu Polskiego PEN-Clubu.

25-11-78

Ministerstwo Zdrowia PRL przerwało import wszystkich leków z Zachodu i z Jugosławii. Od 1. 10. 1978 roku w aptekach nastąpiło ograniczenie sprzedaży wszystkich leków polskiej produkcji do jednego opakowania na każdą receptę.

26-11-78

W kwietniu 1978 roku minister rolnictwa przekazał wojewodom wytyczne centralnego planu przewidującego sprzedaż indywidualnym rolnikom 104 tys. ha leżącej odłogiem ziemi z Państwowego Funduszu Ziemi. W 15 województwach plan ten skorygowano *in minus* i sprowadzono go do 88 tys. ha. Jednak i realizacja tych zanizonych założeń natrafia na trudności. Poszczególne województwa jeszcze obniżały liczbę hektarów przeznaczonych na sprzedaż indywidualnym rolnikom. W woj. kieleckim obniżono ją o 600 ha. W woj. gorzowskim na sprzedaż oferowano 25 ha z 1.400 ha przeznaczonych na ten cel. Równocześnie urzędy wojewódzkie powodują biurokratyczne komplikacje przy tego rodzaju transakcjach. W ciągu trzech kwartałów 1978 roku chłopi, mimo tych przeszkód, kupili 55 tys. ha.

27-11-78

Zmarł w Warszawie, w wieku 69 lat, Stanisław Witold Balicki, krytyk i publicysta, organizator życia teatralnego w PRL.

30-11-78

W NRD ponad 1,5 mln. uczniów uczy się języka rosyjskiego, a wszystkie szkoły dwukrotnie w ciągu roku biorą w olimpiadach tego języka.

1-12-78

Władze sowieckie ogłosiły, że we wrześniu 1978 roku został wydany dekret o „odpowiedzialności administracyjnej w zakresie wykroczeń przeciwko zarządzeniom dotyczącym zakładania przedsiębiorstw poligraficznych, nabywania, sprzedaży, używania, rejestrowania i posiadania aparatów do powielania”. Urzędnicy, którzy zostaną uznani za winnych popełnienia tego rodzaju wykroczeń, mogą zostać skazani na karę grzywny do 100 rubli, a zwykli obywatele na karę grzywny do 50 rubli. Prawdopodobnie władze obawiają się, że fotokopiujący mogliby pewnego dnia przyjść z pomocą *samizdatowi*, którego jedynymi narzędziami pracy są zwykle maszyna do pisania i kalka. Rada Najwyższa wydała również nową ustawę w zakresie obywatelstwa. Według Agencji TASS przewiduje ona, że każda osoba „ubiegająca się o obywatelstwo sowieckie winna udowodnić przez swoje zachowanie, że jest godna tego zaszczytnego tytułu, gotowa do noszenia go z honorem oraz do obrony interesów i powagi sowieckiego państwa”. Tego rodzaju ustawa pozwala władzom pozbawiać oponentów obywatelstwa.

4-12-78

Zmarł w Warszawie, w wieku 74 lat, Stefan Wierbłowski, działacz KPP, członek KC PPR oraz naczelny redaktor miesięcznika *Nowe Drogi*.

9-12-78

Na cmentarzu powązkowskim w Warszawie pochowano prochy popularnego pisarza z okresu międzywojennego, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „sprowadzone z zagranicy”. ■ Lauretami dorocznych nagród kulturalnych tygodnika *Przyjaźń*, przyznawanych za wybitne osiągnięcia artystyczne w dziedzinie prezentacji dramaturgii radzieckiej zostali: Aleksandra Śląska, Janusz Warmiński, Stanisława Celińska i Jerzy Nowak.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-11-78

Z ogromnym opóźnieniem dowiedzieliśmy się, że w dniu 19 czerwca 1978 zmarła w Sydney (Australia) Maria Antonina Boniecka, Żołnierz A.K., członek Związku Literatów Polskich. Maria Boniecka była pierwszym redaktorem *Ziemi i Morza*, pierwszego w pewnym sensie prawie niezależnego pisma, które po Październiku 1956 zaczęło wychodzić w Polsce.

17-11-78

Na wieczorze w „Centre du Dialogue” Andrzej Kijowski wygłosił odczyt pt. „Literatura polska dzisiaj”.

22-11-78

W Londynie odbyła się konferencja prasowa z okazji ogłoszenia rosyjskiej „Deklaracji o prawach narodowych” przez przedstawicieli rosyjskiego Ruchu Obrony Praw Człowieka: Władimira Bukowskiego i Władimira Maksimowa, redaktora *Kontinentu*. Zebraniu przewodniczył prof. L. Kołakowski.

23-11-78

Francuskie ministerstwo Spraw Wewnętrznych ogłosiło listę cudzoziemców zamieszkałych we Francji. Ogólna ilość wynosi na dzień 1. 1. 1978 roku 4.236.994. Najwięcej jest Portugalczyków — 881.985, Algierczyków — 829.572, Włochów — 528.809, Hiszpanów — 486.299. Polaków zaś jest tylko 79.487. W ogólnej ilości cudzoziemców jest emigrantów — 98.538 i apatrydów — 3.889.

25-11-78

W Londynie zmarł, w wieku 88 lat, prof. dr Bronisław Hełczyński, żołnierz Legionów J. Piłsudskiego, szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP. Prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego, Prezes Światopól, Prezes Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie.

26-11-78

Kościół prawosławny w Finlandii obchodził 60-lecie swojej niezależności. Obecnie ma być ogłoszony Kościołem autokefalicznym.

1-12-78

W Paryżu Institut National d'Etudes Slaves zorganizował *Colloque franco-polonais* na temat „La théorie de la littérature et méthodologie de la recherche littéraire”. W kolokwium wzięli udział prof. H. Markiewicz z Krakowa, R. Mayenowa z Warszawy, Jan Błoński z Krakowa, L. Pszczołowska i T. Kostkiewiczowa z Warszawy. Zaproszony na to kolokwium Michał Głowiński z Warszawy nie otrzymał paszportu. Głowiński jest bardzo znany w naukowych sferach Zachodu, a m.in. w Stanach Zjednoczonych. Uczestnicy kolokwium wysłali do Głowińskiego depeszę wyrażającą żal z powodu jego nieobecności i solidarność w stosunku do przyczyn tej nieobecności. ■ W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt Jacka Wejrocha, współpracownika *Więzi* i *Tygodnika Powszechnego*, na temat „Szczególnie miejsce filmu we współczesnej kulturze polskiej”.

5-12-78

W gmachu POSK-u w Londynie odbył się wieczór poświęcony książce Jana Nowaka „Kurier z Warszawy”. ■ W Londynie odbył się trzynasty zjazd delegatów Kół A.K., w którym wzięło udział 46 delegatów, w tym 19-tu na zasadzie scedowania pełnomocnictw. Dokonano wyboru 30-osobowej Rady Naczelnej Koła.

6-12-78

Ośrodek Naukowy Polskiej Akademii Nauk w Paryżu zorganizował uroczystą sesję z okazji 85-lecia (!) utworzenia tego ośrodka.

8-12-78

W lokalu Twa Historycznego w Paryżu odbyło się Walne Zebranie Twa Polsko-Ukraińskiego, na którym wybrano nowy zarząd na nadchodzące dwa lata w składzie: prof. Jerzy Langrod (Prezes), Wasyl Mychaltschuk (wiceprezes), Bazyl Mułek, Marek Pańkowski, Olga Witochyńska, Władysław Żeleński. Po czym prof. Bohdan Osadczyk z Berlina wygłosił odczyt „Polacy i Ukraińcy — tu i tam”, który wywołał ożywioną dyskusję.

9-12-78

Księgarnia Polska w Paryżu zorganizowała tradycyjny Kiermasz Gwiazdkowy, w czasie którego podpisywali swoje książki: Maria Czapska, Józef Czapski, Szymon Laks i Tadeusz Wyrwa. Jednocześnie miał miejsce wernisaż obrazów Romy Elster.

10-12-78

Z okazji 30-letniej rocznicy Deklaracji Praw Człowieka odbył się w Paryżu wieczór poświęcony tej rocznicy, w którym wzięli m.in. udział Raymond Aron, André Glucksmann, Eugene Ionesco, Vladimir Jankelevitch, André Lvov i Yves Montand.

11-12-78

W Polskim Londynie mówi się, że Prezydent Ostrowski definitywnie chce złożyć swój urząd w kwietniu 1979 roku, a ambasador Edward Raczyński, który jest jego następcą, chce ustąpić. Konsultacje mają się rozpocząć po Nowym Roku — mówi się, że największe szanse ma Stefan Soboniewski, czołowy działacz S.P.K. P. Soboniewski przed wojną był sekretarzem ministra Spraw Wewnętrznych, gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego, a później starostą w Kaliszu.

P. Soboniewski nie jest jedynym kandydatem na prezydenta: Liga Niepodległości i PPS wysuwają mec. Mieczysława Chmielewskiego, Grupa Społeczna — Zygmunta Szadkowskiego, PSL — Stefana Korbońskiego. Amb. Edward Raczyński, który na piśmie zrezygnował z następstwa, nalega na wybranie Kazimierza Sabbata.

12-12-78

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało odczyt Jana Nowaka o jego świeżo wydanej książce pt. „Kurier z Warszawy”.

KRONIKA KANADYJSKA

17. 12. 1978 roku zmarł w Vancouver, w wieku 88 lat, Bolesław S. Liszkowski, żołnierz Pierwszej Brygady Legionów i Wojska Polskiego we Francji i w Wielkiej Brytanii w czasie ostatniej wojny, ostatni Prezydent miasta Lublina w okresie międzywojennym, b. Prezes Kongresu Polskiego w British Columbia w Kanadzie. ■ Czterech pisarzy ukraińskich przesładowanych przez reżym sowiecki otrzymało honorowe członkostwo kanadyjskiego ośrodka Międzynarodowego PEN-Clubu. Są to: poeta Ihor Kałyneć, poeta i tłumacz Swiastolaw Karawanskyj, poeta i krytyk literacki Iwan Switłychnyj oraz krytyk Jewhen Swerstiuk. ■ 4. 12. 1978 roku w Montrealu zmarł, w wieku 87 lat, gen. Tadeusz Kasprzycki, dowódca Kompanii Kadrowej Legionów, ostatni minister Spraw Wojskowych RP w okresie międzywojennym. ■ Roman Buczek został redaktorem *Związkowca*.

TOWARZYSTWO KULTURY POLSKIEJ

Upowszechnianie i umacnianie polskiej kultury jest główną treścią Towarzystwa Kultury Polskiej w Edmontonie, istniejącego już od kilku lat, ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy szczególnie uaktywnionego. Przyczyniły się do tego w jakimś stopniu wizyty prof. Zofii Żdybickiej z KUL, dla której Towarzystwo zorganizowało parę odczytów i seminariów w Uniwersytecie w Alberta na początku 1978 roku, wykład gościnny prof. Wilczyń- teczki z Australii o polskiej gospodarce, a także zorganizowana niedługo potem przez Towarzystwo dyskusja uniwersytecka o opozycji w Polsce. Wizyta prof. Żdybickiej była szczególnie doniosła i sprowadziła masę publiczności zainteresowanej zakonnica-profesorem filozofii, którą zwłaszcza interesuje

istota Boga. Przy okazji swego pobytu w Edmontonie prof. Zdybicka zainicjowała utworzenie miejscowego Koła Przyjaciół KUL'u. Wydarzeniem było przyjęcie Towarzystwa do Kongresu Polonii Kanadyjskiej jako członka afiliowanego, co stworzyło płaszczyznę do dalszej owocnej współpracy z resztą organizacji polonijnych w Edmontonie.

Jako wkład do Tygodnia Polskiego zainicjowanego przez Kongres i realizowanego głównie przez miejscowe koło Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Towarzystwo przygotowało dziesięć odczytów publicznych na Uniwersytecie Alberta, dotyczących takich spraw jak liczebność Polaków w Polsce i za granicą, bogactwa naturalne Polski i ich wykorzystanie, porównanie przemian społeczeństw polskiego i kanadyjskiego, sztuka polska, literatura polska, stosunki polsko-ukraińskie w skali historycznej, stosunki polsko-rosyjskie w skali historycznej, polska inteligencja techniczna w Kanadzie, teraźniejszość i przyszłość Polonii kanadyjskiej, stosunki między Polakami i innymi grupami etnicznymi w Kanadzie. Te wykłady zostały szeroko rozreklamowane zarówno wśród miejscowej Polonii jak i wśród szerszego miejscowego społeczeństwa. Wygłaszają je niemal wyłącznie profesorowie-Polacy z Uniwersytetu w Alberta. Odczyty cieszą się dużym powodzeniem (wykłady są w języku angielskim). Poza tą akcją odczytową Towarzystwo wyświetliło dla osób zainteresowanych serię filmów Jakuba Bronowskiego o rozwoju kulturalnym człowieka.

Towarzystwo współpracuje z Kołem Młodzieżowym przy Stowarzyszeniu Kombatantów Polskich, gdzie członkowie Towarzystwa co czas pewien wygłaszają pogadanki (po polsku na prośbę młodzieży) o sprawach polskich i polonijnych. Jest to kontakt o bardzo dużym znaczeniu na przyszłość ze względu na bardzo dobrą atmosferę w omawianym Kole Młodzieżowym, które z własnej inicjatywy rozpoczęło cykl dyskusji, na które zapraszana jest cała miejscowa Polonia (dyskusje mają miejsce w Domu Polskim). Również dobrze układa się współpraca z miejscowym Klubem Akademickim, który skupia obecnie głównie inteligencję zawodową oraz ludzi *business'u*. Przewiduje się na przyszłość organizowanie wspólnych z tym Klubem spotkań towarzyskich i kulturalnych, na które zapraszane będą w charakterze prelegentów miejscowe osobistości ze świata polityki, prasy, telewizji itd.

Towarzystwo stara się również współpracować z Zakładem Studiów Europy Wschodniej przy Uniwersytecie w Alberta (niektóre wizyty profesorów z zewnątrz finansowane są po społu), Ministerstwem Kultury rządu prowincjonalnego, Towarzystwem Studiów Centralno-Wschodnio-Europejskich i Towarzystwem Historii Edmontonu.

Tym niemniej trudno jest Towarzystwu, mimo starań, skupić wokół siebie młodzież uniwersytecką polskiego pochodzenia. Drugą słabą stroną jest stanowczo za mały wpływ Towarzystwa na to co dzieje się w Polonii, a zwłaszcza w parafii i w największych liczebnie stowarzyszeniach polonijnych. Zainteresowanie odczytami jeszcze nie utrzymało się wśród miejscowych Polaków, a przecież mogłoby to między innymi stanowić dogodny pomost porozumienia między różnymi pokoleniami.

Aleksander MATEJKO

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Zmarł w Nowym Jorku w dniu 16. 10. 1978 Bohdan Kawecki, b. wiceprokurator Sądu Okręgowego w Wilnie, długoletni członek Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych, popularny pisarz i felietonista. ■ 25. 11. 1978 odbyło się w Nowym Jorku plenarne posiedzenie Polskiej Rady Jedności w USA. Przewodniczącym pozostał nadal Stefan

Korboński, poza tym Wojciech Wasiutyński został wybrany przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych, zaś Jerzy Ptakowski przewodniczącym Komisji Spraw Krajowych. ■ „Dolina Issy” Czesława Miłozza ma się ukazać w języku angielskim w wydawnictwie Farrar and Strauss. Książkę przekłada prof. Iribarne z Toronto. Nie jest wykluczone, że „Dolina Issy” będzie sfilmowana. ■ 11. 11. 1978 Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce zorganizował całonocne sympozjum historyczno-naukowe. W czasie sesji zostały wygłoszone referaty: prof. Piotr Wandycz „Fakty dokonane i dyplomacja — rola Józefa Piłsudskiego”, prof. Charles Morley „Naród polski po 150 latach obcych rządów i problem integracji”, prof. Ludwik Teclaff „Podstawy prawne odrodzonego państwa w świetle sytuacji międzynarodowej”, prof. Wacław Soroka „Mocarstwa zachodnie a Polska” oraz prof. M. K. Dziewanowski „Rosja a Polska”. ■ 20. 11. 1978 w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku odbył się odczyt Artura Sandauera „Poezja w Polsce po 1947 r. — wybrane debiuty”. Powszechnie zdziwienie wywołał fakt, że odczyt ten odbył się w Instytucie Naukowym, a nie np. w Fundacji Kościuszkowskiej, do której autor lepiej by pasował. ■ W Stanach Zjednoczonych ukazały się w ostatnim czasie następujące książki w języku angielskim, o tematyce polskiej: Beam, Jacob D., *Multiple Exposure*, New York, W.W. Norton & Co., 1978; Kaciewicz, George, *Great Britain, The Soviet Union and the Polish Government in Exile*, The Hague, Martinus Nijhoff, 1978; Korboński, Stefan, *The Polish Underground State: A Guide to the Underground, 1939-1945*, New York, Columbia University Press, 1978; Lerski, George J., *Herbert Hoover and Poland*, Stanford, Hoover Institution Press, 1978; Lukas, Richard C., *The Strange Allies: The United States and Poland, 1941-1945*, Knoxville, University of Tennessee Press, 1978; Mocha, Frank, *Poles in America*, Stevens Point, Wis., Worzalia Publishing Co., 1978; Raina, Peter, *Political Opposition in Poland, 1954-1977*, London, Poets and Painters' Press, 1978; Schneiderman, S. L., *The River Remembers*, New York, Horizon Press, 1978; Zawodny, J. K., *Nothing But Honor — The Story of the Warsaw Uprising, 1944*, Stanford, Hoover Institution Press, 1978; Cottam, K. J., *Boleslaw Limanowski (1835-1935): A Study in Nationalism and Socialism*. Boulder, Colorado: East European Quarterly, 1978, xii, 365, \$ 18,50 (Distributed by the Columbia University Press). Te interesujące dane bibliograficzne zaczyna systematycznie publikować „Północno-amerykańskie Studium spraw Polskich” w swych komunikatach, skąd przedrukujemy powyższe dane. ■ Prezes ZNP Alojzy Mazewski został ponownie wybrany prezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej. Wraz z nim do Komitetu Wykonawczego wchodzi: Helena Zielińska — prezeska Związku Polek w Ameryce i Kazimierz Łukomski; sekr. — Jadwiga Bielańska — prezeska Okręgu 2 Sokoła Polskiego i skarbnik Józef Drobot — prez. ZPRK. ■ 24. 11. 1978. Na uroczystym obiedzie wydanym w Nowym Jorku 24 listopada z okazji Trzeciego Światowego Kongresu Wolnych Ukraińców przedmawiał profesor Andrzej Ehrenkreutz w podwójnym charakterze przedstawiciela prezesa Mazewskiego i przewodniczącego komitetu wykonawczego Studium Spraw Polskich. „Polska nie może odzyskać i utrzymać swej niepodległości bez odrodzenia wolnej Ukrainy” — oświadczył profesor Ehrenkreutz. Krótki przegląd historycznych przykładów przyjaźni i współdziałania między Polakami i Ukraińcami zakończył słowami: „Po wojnie miesięcznik paryski *Kultura* redagowany przez Jerzego Giedroycia wysuwał piórem śp. Juliusza Mieroszewskiego sprawę niepodległości Ukrainy”. Pełny tekst przemówienia profesora Ehrenkreutza ukazał się w niedzielnym angielskim wydaniu dziennika ukraińskiego *Svoboda* z 3 grudnia.

Z OSTATNIEJ CHWILI

„POLONIA JUTRA” WE FRANCJI

Konferencja jaka odbyła się 25 listopada 1978 roku w jednej z sal paryskiego „Palais des Congrès” stanowi bez wątpienia ważne wydarzenie w życiu Polonii francuskiej.

Celem konferencji była odpowiedź na pytanie: „Co dalej po Toronto?” albo „Jak wprowadzić w życie we Francji uchwały światowego zjazdu Polaków?”. Udział w obradach p. Władysława GERTLERA, Prezesa Rady Koordynacyjnej Polonii światowej (a także prezesa Kongresu Polonii Kanadyjskiej) podniósł ich znaczenie.

Styl konferencji był jak na tradycje Polonii francuskiej zupełnie nowy: zebrać Polaków w pięknym Palais des Congrès, wymagać od nich zapłacenia 125 F. na koszt organizacji i obiadu, zaprosić mówców na poziomie, w kilku wypadkach działaczom polonijnym nie znanych, choć mieszkającym od lat we Francji. Przybyło jednak zarejestrowanych przeszło 180 osób, w tym prawie połowa z prowincji.

Konferencja była firmowana przez Biuro Koordynacyjne Polonii Francuskiej, któremu prezesuje ks. prałat Bernacki, a sekretarzuje p. Jerzy Starnawski. Organizacją konferencji zajęła się ekipa „Wspólnoty Polsko-Francuskiej” z Jerzym Brodzkim na czele. Na 14 mówców przewidzianych w programie „Wspólnota” dostarczyła dziewięciu. W czasie konferencji wyświetlono film o intronizacji Papieża Jana Pawła II zrealizowany przez pp. St. Waszaka i J. Bortnera.

Na sesji przedpołudniowej, na której przewodniczył prof. Henryk Adamczewski, Prezes „Wspólnoty” przemówił Wł. Gertler, a następnie Jerzy Jankowski zdał sprawozdanie z przebiegu „Polonii Jutra” w Toronto. Następnie ks. Henryk Repka, rektor Polskiej Misji Katolickiej w krajach Beneluksu mówił o tym „Co mogą zrobić polscy katolicy w wolnym świecie, aby dopomóc Ojcu Świętemu w jego trudnej misji”.

Sesji popołudniowej przewodniczył dr Jerzy Mond. Obejmowała ona dwie części: 1. Problematyka zjednoczenia Polonii francuskiej i 2. Działalność na najbliższą przyszłość.

W części pierwszej o tym „Jak Polonia francuska może zastosować zasady ustalone na Konferencji w Toronto?” — mówił ks. Prałat Bernacki. „Czym jesteśmy — własne oblicze ideowe Polonii” — analizę tego istotnego zagadnienia przeprowadził inż. Janusz Deryng. Na pytania „Czy awans społeczny grozi asymilacją, czy Polonia jutra jest tylko sprawą młodzieży?” — odpowiedział dr Zbigniew Wołkowski. O „Roli kobiet w przygotowaniu Polonii jutra” — mówiła Anna Kapellowa, prezeska Związku Polek. Temat „Polonia światowa a Polonia francuska” przedstawił Jerzy Starnawski.

Część druga sesji została otwarta referatem Edwarda Papalskiego, wiceprezesa „Wspólnoty Polsko-Francuskiej” i prezesa znanego we Francji stowarzyszenia „Millenium”: „W jaki sposób można rozwinąć nasze życie organizacyjne?”. Na temat „Polonia jutra a Europa jutra” mówił Jerzy Jankowski, poświęcając swoje przemówienie sprawie nadchodzących wyborów europejskich. Sprawę „Pomocy Polonii w Związku Sowieckim” zreferował Ksawery Rey. O „Roli prasy w życiu Polonii” mówił red. Antoni Maluty. Ostatnim referentem był prof. Henryk Adamczewski, który przedstawił projekt II-go Kongresu Nauki współczesnej i Kultury Polskiej w świecie oraz Uniwersytetu Letniego Wspólnoty Polsko-Francuskiej.

J. J.

10 grudnia 1978 r. telewizja francuska nadała po raz pierwszy w swoim programie niedzielnym „Le Jour du Seigneur” mszę z kościoła polskiego w Maries-les-Mines (Pas de Calais). Nadanie mszy poprzedził wywiad z prof. M. Adamczewskim, prezesem „Wspólnoty Polsko-Francuskiej” na temat Polonii francuskiej. Msza i kazanie wygłoszone przez urodzonego we Francji ks. Kleszewskiego były w języku francuskim, chociaż niektóre teksty liturgiczne odczytano po polsku. Chór „Millenium” pod batutą swego prezesa Edwarda Papalskiego śpiewał też w dwu językach. Po mszy rozmowa z ks. Ankierskim przeprowadzona przez przedstawiciela telewizji dotyczyła problemów duszpasterstwa wśród Polaków we Francji.

WYRÓŻNIENIE PIOTRA SŁONIMSKIEGO

Francuska Akademia Nauk przyznała nagrodę Charles-Leopold-Mayer (220.000 franków) *ex aequo* Rogerowi Monier, kierownikowi badań nad komórkami rakowymi w Villejuif, za prace z zakresu biologii molekularnej i Piotrowi Słonimskiemu, profesorowi uniwersytetu Pierre et Marie Curie, za prace z zakresu genetyki mitochondrii drożdży jak również za całokształt jego pracy nad enzymami oddechowymi.

POLSKA KSIĘGARNIA
ORBIS

Przedstawicielstwo *KULTURY* i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.
Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

Listy do Redakcji

Lethbridge, Alta, 6 listopada 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czesław Miłosz w swym artykule „Ogród nauk — Polonistyka” w nrze 9/372 *Kultury* zarzuca Dmowskiemu chęć wyleczenia kultury polskiej z zacości. Uważam zarzut ten za nieuzasadniony. Jeżeli tak mogło być w okresie wczesnym działalności publicystycznej Dmowskiego, kiedy on pisał „Myśli nowoczesnego Polaka”, w których widoczny jest wpływ darwinizmu socjologicznego, to z pewnością opinia Miłosza jest niesłuszna w odniesieniu do lat 1930-tych. W tym późnym okresie swego życia Dmowski odszedł daleko od materializmu biologicznego i zbliżył się do filozofii katolickiej, czemu dał wyraz w broszurze „Kościół, Naród i Państwo”. W przedmowie do czwartego wydania „Myśli” z 1933 roku przyznaje Dmowski, że w ciągu paru dekad lat myśl jego ewoluowała. „Ja sam — pisze — nauczywszy się sporo, na mnóstwo rzeczy inaczej, niż wówczas, patrzę”.

Z artykułu Miłosza dowiedziałem się, nie bez zdziwienia, że autor „Łąki”, którą niegdyś umiałem na pamięć, był zwolennikiem filozofii Schopenhauera, co Miłosz jakby z zażenowaniem wyjawia. Nie wiem czy Dmowski czytał dzieła Schopenhauera, to wszakże jest oczywiste i pewne, że Dmowskiego droga życiowa była ilustracją przewodniej myśli autora „Die Welt als Wille und Vorstellung” — to jest, że świat jest urzeczywistnieniem woli istnienia i woli życia nie tylko osobistej, ale przede wszystkim zbiorowej.

Wiele lat temu służyłem wykładów Gilsona i Maritaina. Ich konstrukcje myślowe niezwykle jasne i subtelne przemawiają nieporównanie mniej do wyobraźni czytelnika wykształconego, niż na przykład idee Bergsona czy Teilhard de Chardina. Toteż wpływ ich nie sięgnął głębiej i nie zdołał zapobiec postępującej laicyzacji wśród katolików lewicowych, z których spora część przeszła wprost do partii komunistycznej lub do skrajnych ugrupowań trockistowskich. Tak działo się po drugiej wojnie we Francji i poniekąd w Polsce, gdzie niektórzy katolicy lewicowi stali się wybitnymi komunistami, inni natomiast przeszli do zespołu PAX-u.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku,

I. J. ADEL-CZŁOWIEKOWSKI

Drogi Panie Redaktorze,

Sydney, 30 lipca 1978.

Jednym może się podobać sposób pisania Brukselczyka, innych może drażnić jego *besserwisser*owski styl. Nie można mu jednak na ogół zarzucić braku jasności wyводу lub niewyraźnej pointy felietonu.

Niestety nie da się tego powiedzieć o deliberacjach „Między rozumem a brzegiem pucharu” (*Kultura* Nr 7/370-8/371). Co właściwie chciał nam Brukselczyk powiedzieć? Ze ponieważ nie było czasu na zbojkotowanie

finałów piłkarskich w Argentynie... wobec tego (?) nie należy proponować bojkotu — odległej o 2 lata — Olimpiady w Moskwie? Cóż za dziwna logika! Ze należy presję na Kraj Wielkiego Socjalizmu ograniczyć do naukowców i lekarzy? A właściwie dlaczego?

Mordy, tortury i deptanie praw człowieka pozostają tym samym bez względu na szerokość geograficzną ich popełniania, kolor skóry czy język oprawcy. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale chyba liczy się skala? I chyba nie Brukselczykowi i nie na łamach *Kultury* trzeba wyjaśniać *quantum* różnice kraju Gułagu?

W marcu 1976 Videla w Argentynie dokonał zamachu stanu. Wprowadził on krwawą dyktaturę wojskową na miejsce... demokracji parlamentarnej Izabeli Peron. Był to smutny, tragiczny okres bratobójczej walki, ale bądź co bądź demokracja. Nie można wykluczyć i można w ogóle mieć jakąś nadzieję, że w niedalekiej przyszłości zasady demokracji — tym razem bez chaosu i rozlewu krwi — powrócą do Argentyny.

I w tym właśnie momencie nie starcza, niestety, więcej miejsca na wirtuozowskie analogie Brukselczyka w odniesieniu do Kraju Rad...

Konsekwentne, jak najszersze lansowanie hasła: *No Moscow Games Without Human Rights, od teraz, przez cały rok bieżący i następny*, pozwala przynajmniej na utrzymywanie tej zasadniczej sprawy w centrum uwagi opinii publicznej świata.

Może to jedynie dodatnio odbić się na losie dysydentów i zapewnić, choćby powolne, sukcesy w ich walce.

Przesyłam najlepsze pozdrowienia,

J. BONIECKI

Zamieszczam z niechęcią list naszego Przyjaciela. Wydaje mi się bowiem oczywiste, że tak jak nie można było przeprowadzić bojkotu finałów piłkarskich w Argentynie — bo szal rozgrywek futbolowych jest jedną ze znamiennych cech naszej współczesnej cywilizacji, tak samo, przy fascynacji Zachodu Rosją, bojkot Olimpiady w Moskwie ma jeszcze mniejsze szanse powodzenia. Zresztą, kto wie, czy napływ setek tysięcy turystów nie przyczyni się wydatnie do zmiany klimatu w ZSSR. Proszę sobie przypomnieć rolę festiwalu w Polsce w roku 1955.

REDAKTOR

Toronto, 23 czerwca 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dla prawdy historycznej pragnę sprostować na łamach *Kultury* iż nie wydałem i chyba nigdy nie wydam aż 20 tomików wierszy, jak błędnie podała pani Maria Danilewicz Zielińska, w swoim ogromnie źródłowym, z benedyktyńską pasją napisanym studium *Szkice o literaturze emigracyjnej*.

Dla tejsze samej prawdy, nikomu właściwie poza statystyką niepotrzebnej, chciałbym na tym miejscu utrwalić, o ile naturalnie Pan Redaktor pozwoli, iż dotychczas wydałem:

1. *Pełnia czerwca*, poemat, Biblioteka grupy literackiej „Wołyń”, Chełm lub 1936;
2. *Dzień Apokaliptyczny*, Arkusz Poetycki pod red. Józefa Czechowicza, wyd. Hoesicka, Warszawa, 1938;
3. *Czas Don Kichota*, wiersze, wyd. Światowego Związku Polaków z Zagranicy, Londyn, 1946;

4. *Dni białe i dni czerwone*, dziennik poetycki z działalności 1 Dyw. Pancerniej Maczka, Bruksela, 1947;
5. *Pieśń nad pieśniami*, poemat, z rys. Józefa Czapskiego, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1953;
6. *Milczenia*, wiersze 1949-1959, Instytut Literacki, Paryż, 1959;
7. *Wybór wierszy*, Instytut Literacki, Paryż, 1965;
8. *Ciemny czas*, Instytut Literacki, Paryż, 1968;
9. *Lustro*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971;
10. *Nemexis idzie pustymi drogami*, wiersze, Oficyna Gliwy, Londyn, 1978.

Łączę wyrazy poważania,

Wacław IWANIUK

Rzym, 18 grudnia 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z przykrością stwierdzam, że *Kultura* wprowadziła zmiany do mojego oświadczenia prasowego. Oświadczeniem tym, które zgodnie z jego przeznaczeniem obiegło prasę na kilku kontynentach, zainteresował się również p. Dominik Morawski rzymski korespondent *Kultury*. Przełożył je z angielskiego na polski, zaopatrzył własną notką wyjaśniającą (czytał mi ją przed wysłaniem) i przesłał do Maisons-Laffitte. Wkrótce powiadomił mnie, że cały materiał ukaże się w całości w grudniowym numerze *Kultury*.

Po przejrzaniu wydrukowanego tekstu rzuciły mi się w oczy dokonane w nim zmiany, które w dużej mierze przeinaczają intencję i cel mojego skromnego wysiłku.

A więc: pisząc o wewnętrznej strukturze Kościoła w komunistycznej Polsce dodałem, że „wobec trudnych stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem każda kwestia nie mająca charakteru ściśle liturgicznego podlega decyzji Urzędu Prymasa Polski”. Redakcja zmieniła tę myśl na „podlega decyzji władz PRL”.

Niepojęte jest również usunięcie całego mego zakończenia i zastąpienie go bezpłciowym zwrotem, sztucznie doczepionym do całości, jak również opuszczenie ogromnie ważnej części notatki p. Morawskiego. Napisałem: „Wierzmy, że Papież Jan Paweł II, jako jeden z najwybitniejszych synów Polski, Kraju, który przez stulecia musiał walczyć o swą niepodległość i bezpieczeństwo, rozumie te same cele ludu żydowskiego i państwa Izraela”.

Mało tego. Z notatki wyjaśniającej wyrzucono dwa zagadnienia. Pominięto źródło mego powołania się na stanowisko Papieża wobec *Nostra Aetate* (co dla stosunków katolicko-żydowskich jest istotne), ale co najważniejsze wyrzucono ostatnią uwagę: *Dr Lichten ufa, że jego oświadczenie wydane dla prasy światowej przyczyni się do wyjaśnienia nieścisłych informacji i opinii na temat stosunku Jana Pawła II do Żydów*”.

Niestety redaktorskie nożyce nie oddały przysługi ani mnie ani *Kulturze* ani sprawie, o której pisałem, a to jest przecież najważniejsze.

Z szacunkiem,

Józef LICHTEN

Istotny w liście p. Lichtena jest tylko punkt: twierdzenie, że „wobec trudnych stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem każda kwestia nie mająca charakteru ściśle liturgicznego podlega decyzji urzędu Prymasa Polski”. Wydawało nam się to przejęzyczeniem, bo wiadomo przecież jak szeroki jest zakres ingerencji władz PRL w ramach stosunków pomiędzy

Kościółem a Państwem. Jeżeli p. Lichten miał w swoim twierdzeniu na myśli „każdą kwestię” dotyczącą wyłącznie wewnętrznego życia Kościoła, to powinien był rzecz uściślić (na przykład, imprezy takie jak pielgrzymki lub spotkania urządzone w kościołach — filmy, wykłady, sacrosongi — odbywają się przy „patrzaniu przez palce” władz PRL, ale z drugiej strony nie wymagają zezwoleń biskupów a tym bardziej „urzędu Prymasa Polski”). Zwłaszcza, że w następnym zdaniu pisze o „komunistycznych restrykcjach i represjach”.

Nie bardzo rozumiemy, dlaczego p. Lichten za „bezpłciowy i sztucznie doczepiony” uważa zwrot: „Wierzmy, że Jan Paweł II rozumie cele ludu żydowskiego i państwa Izrael”. Słowa, które z tego zakończenia wypadły są ważne w oświadczeniu dla prasy zagranicznej, ale zbyteczne chyba dla czytelnika polskiego.

Skoro p. Lichten przedstawił w swoim oświadczeniu stanowisko Kardynała Wojtyły wobec *Nostra Aetate*, pominięcie (w notatce wyjaśniającej) źródła tego powołania się może być uznane za dowód „przykrych zmian” tylko przez umysł skłonny — mówiąc bardzo delikatnie — do przesady.

W teście notatki wyjaśniającej zdanie „Dr Lichten ufa etc...” wydało nam się zwykłym powtórzeniem treści i tonu całego jego oświadczenia.

REDAKCJA

Adelaide, 17 września 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

W lipcowym-sierpniowym numerze *Kultury* Zbigniew Byrski słusznie stwierdza, że zbliżenie Chińsko-Amerykańskie przekreśla raz na zawsze globalne plany Sowietów.

W oparciu o posiadaną już bazę przemysłową, utalentowanie i mrówczą pracowitość 900 milionów Chińczyków oraz przy pomocy amerykańskiej technologii i olbrzymich obrotów handlowych z Japonią (mających przekroczyć 100 miliardów dolarów w ciągu 12 lat), Chiny stać się mogą najpotężniejszym mocarstwem na kuli ziemskiej przed upływem następnej dekady. Położenie geopolityczne Sowietów zostanie nieodwracalnie zmienione i stworzone zostaną warunki, w których wyzwolenie się narodów satelickich spod hegemonii sowieckiej będzie możliwe. Sowieckie uderzenie prewencyjne na Chiny jest jeszcze możliwe, ale już mało prawdopodobne. Przewrót wewnętrzny — mający na celu skończenie z awanturniczą i katastrofalną dla Sowietów wojną polityczną i ideologiczną na dwa fronty — oraz ułożenie — w obliczu zagrożenia w Azji — stosunków z Ameryką i państwami Europy, są bardziej prawdopodobne i mogłyby przyspieszyć odzyskanie niepodległości przez narody satelickie.

Nie podzielam natomiast obaw p. Byrskiego, co do zagrożenia Europy przez Chiny już na przełomie wieków. Pan Byrski opiera swoje obawy na założeniu, że Rosja Sowiecka zostanie zniszczona. Oczywiście ewentualności takiej nie możemy w naszych kalkulacjach wykluczać, ale przede wszystkim nie możemy wykluczyć o wiele bardziej prawdopodobnego biegu wypadków, a mianowicie osłabienia Rosji Sowieckiej w wyniku wojny z Chinami oraz drastycznego zmniejszenia się jej wpływów w Europie z uwagi na zagrożenie w Azji, ale nie zupełnego jej zniszczenia.

Wojny nie często kończą się bezwzględną kapitulacją, a właśnie z uwagi na niebezpieczeństwa, o których p. Byrski wspomina, celem Stanów Zjednoczonych jest przypuszczalnie osłabienie Sowietów, tak żeby nie mogły zagrazać Europie, Środkowemu-Wschodowi i prowadzić awanturniczej polityki w Afryce, ale nie zupełne zniszczenie Rosji Sowieckiej. Potwierdzają to wypowiedzi

szeru wybitnych polityków i publicystów amerykańskich, którzy wyrazili w ciągu ostatnich lat przekonanie, że nie leży w interesie Stanów Zjednoczonych dopuszczenie do totalnej klęski żadnej ze stron w ewentualnym konflikcie sowiecko-chińskim. Należy więc liczyć się z dążeniem Ameryki do zachowania równowagi sił na terenie Azji, tak jak na przestrzeni stuleci Anglia dążyła do zachowywania równowagi sił na terenie Europy.

Podstawą zbliżenia chińsko-amerykańskiego nadal pozostaje porozumienie zawarte przez prezydenta Nixona i dr. Kissingera z Mao Tse-tungiem i Czu En-laiem. Porozumienie to, ujęte w formie tzw. komunikatu szanghajskiego, ogłoszono 28 lutego 1972 roku. Posiada ono cechy przymierza, obie ze stron zobowiązują się do przeciwstawiania się próbom dominowania rejonu Azji i Pacyfiku przez inne mocarstwa, ale również same zobowiązują się nie dążyć do hegemonii na tych obszarach. O ostrożności Stanów Zjednoczonych świadczy zawarta w wymienionym komunikacie deklaracja, że Ameryka największą wagę przywiązuje do dobrych stosunków z Japonią.

Działalność ideowej emigracji na rzecz lepszego jutra dla Narodu opierać musimy na trafnej ocenie zachodzących w świecie przemian.

Łączę wyrazy szacunku,

Andrzej SZCZYGIELSKI

Getynga, 8 grudnia 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Listopadowy numer *Kultury* przynosi pod tytułem „I znowu tupot nóg żołdakich...” wiersz Władysława Sebyły, który — według notatki redakcyjnej — ukazał się w jednym z ostatnich numerów przedwojennego tygodnika *Pion*, a więc w sierpniu 1939 roku.

W rzeczywistości wiersz ogłoszony został pod nazwą „Bez tytułu” w numerze 3 (172) *Pionu* z dnia 21 stycznia 1937. Pierwodruk różni się w kilku miejscach od tekstu zamieszczonego w *Kulturze*. W wersji pierwszym jest: *I znowu tupot nóg żołdakich*, w wersji dwojgiem: *Ojczyzno moja, a ty trwasz*, w wersji dwunastym: *zwracając w cztery strony uraże*. Pomijam szereg drobniejszych różnic oraz całkiem odmienną interpunkcję.

Chodzi mi przede wszystkim o pietyzm wobec tekstu poety, ale także o to, że — jak pisał niedawno w *Kulturze* Czesław Miłosz — w Polsce „prawie żaden utwór literacki nie może się obyć bez daty, kiedy powstał” i że „za utworami z lat 1937, 1938 kryje się rzeczywistość [...] już nieznana nowym pokoleniom”. W sierpniu 1939 roku nie trudno było być prorokiem: Broniewskiego „Bagnet na broń” ukazał się już w kwietniu 1939. Natomiast w styczniu 1937. Nikomu się wówczas nie śniło, że znowu przyjdzie iść z gołymi rękami na „żelazny mur”. Sebyła był jednym z nielicznych, którzy to przewidzieli czy raczej przeculi.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku,

Andrzej VINCENZ

Boston, Mass., 29 listopada 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Stanisław Swianiewicz, autor artykułu „400-lecie Uniwersytetu Wileńskiego” (*Kultura*, październik 1978), na stronie 5-tej pisze: „Biskup Protasiewicz założył w Wilnie Kolegium, do prowadzenia którego zaprosił

niedawno powstały zakon Jezuitów, specjalnie nastawiony do zwalczania reformacji i mający już doświadczenie w organizowaniu oświaty. Wśród pierwszych nauczycieli byli, między innymi, ks. Jakub Wujek, sławny potem tłumacz Biblii z greckiego na polski [...]”.

Pozwalam sobie tu niniejszym sprostować, że ks. Wujek nie tłumaczył Biblii z greckiego na polski, lecz z Wulgaty, napisanej wyłącznie po łacinie. Wulgata (z łac. *vulgatus* = pospolity, powszechny) była produktem wysiłku Hieronima, który przetłumaczył Biblię z hebrajskiego i greckiego (oryginalne języki Biblii) w latach 382-404 n.e. na łacinę.

Leży tu przede mną egzemplarz Biblii Wujka, zatytułowany na 1-szej stronie tak: „BIBLIA to jest KSIĘGI STAREGO i NOWEGO TESTAMENTU, z łaciny na język polski przełożone przez Ks. D. Jakóba Wujka”.

Wyrazy poważania i pozdrowienia łączę,

Dr Irena ZIEMBIŃSKA

PROTEST NA WYSTĄPIENIE „KULTURY”

52 Walny Zjazd Delegatów Związku Polaków w Argentynie solidaryzuje się z listem Zarządu Związku, skierowanym do p. Jerzego Giedroycia, Redaktora *Kultury* w Paryżu, wyrażając protest i potępienie artykułu „Brukselczyka” pt. „Między Rozumem a Brzegiem Pucharu” zamieszczonego w Nr. 7/370-8/371 tego miesięcznika, w którym to artykule został znieważony Naród Argentyński i jego Władze z Prezydentem Gen. Jorge Rafael Videla.

Spółeczeństwo polskie w Argentynie wyraża swoje oburzenie na fakt, że *Kultura* zamiast obrony sprawy polskiej w świecie używa swoich łamów na akcję służącą wrogom Polski.

Zamieszczamy powyższy protest Polonii Argentyńskiej, z którego dowiadujemy się, że potępienie tamtejszego reżymu jest „akcją służącą wrogom Polski”!

Jednocześnie otrzymaliśmy obszerny list Związku Polaków w Argentynie, który domaga się ogłoszenia w całości ich poprzedniego oświadczenia, zacytowanego z małym skrótem przez Brukselczyka. Związek Polaków w Argentynie stwierdza m.in.: „nasze stanowisko jest po stronie Argentyny”. Powyższego listu nie zamieścimy uważając że jest co najmniej przesadą stawianie znaku równania między „sprawą polską” a obroną reżymu dyktatorialnego w Argentynie. Całą sprawę uważamy za zamkniętą.

REDAKTOR

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Krzysztof Krzysztoforska. — Listu nie zamieścimy.

V. W. Starcewski. — Listu nie zamieścimy. Nie zamierzamy wracać do sprawy p. Bronieckiego.

Zygmunt Kiersnowski. — Listu nie zamieścimy. Na ataki na felieton Brukselczyka o Argentynie odpowiedzieliśmy poprzednio i nie zamierza-

my do tej sprawy wracać. Porównanie zaś rządów generałów argentyńskich z rządami „pułkowników” w Polsce w okresie międzywojennym? Na to można tylko odpowiedzieć rozłożeniem rąk!
VIC, Sydney. — Nie zamieścimy.

REDAKCJA

WYJAŚNIENIE

W numerze grudniowym *Kultury* ogłosiliśmy orędzie Jana Pawła II do Polaków. W *Die Welt* z 14 grudnia ukazał się przekład niemiecki tego orędzia z *Kultury*, co redakcja dziennika niemieckiego zaznaczyła, dodając równocześnie niezgodnie z prawdą że władze PRL nie dopuściły do ogłoszenia orędzia Jana Pawła II w Polsce. Władze PRL zdementowały twierdzenie *Die Welt* w komunikacie, który mógłby nasuwać podejrzenie że pochodzi ono od nas. Wyjaśniamy, że orędzie papieskie przedrukowano w *Die Welt* bez naszej wiedzy. Tym bardziej więc nie my jesteśmy odpowiedzialni za notkę redakcyjną dziennika niemieckiego o rzekomym pierwodruku polskim orędzia w *Kulturze*.

SPROSTOWANIE

W „Wydarzeniach miesiąca” w nr. 11-tym z br. w związku z wystawą polskiej plastyki w Winterthur mylnie podano nazwisko Barbary Borowieckiej — powinno być B. Bokarska. Za tę pomyłkę przepraszamy.

Dokumenty

Warszawa, 10. VI. 1978.
N. 1414/78/P

Wielmożny Pan Minister
Profesor Kazimierz KAKOL
Kierownik Urzędu do Spraw Wyznań
Warszawa

List podpisany przez Pana Ministra z dnia 29 kwietnia 1978 (Nr RK-540/8/78) — mógłby pozostać bez odpowiedzi, z uwagi na sposób formułowania zarzutów i ich *meritum*. Jednak nie chcę podtrzymywać takiej metody korespondencji między nami.

Wystąpienie z „protestem i zdecydowanym zastrzeżeniem wobec utrzymywanej się praktyki nadużywania obiektów sakralnych itd.” jest typowym uproszczeniem i bezzasadnym uogólnieniem i wymaga ono postawienia kilku pytań oraz wyjaśnień dotyczących:

- 1) zakresu misji Kościoła;
- 2) określenia działalności politycznej;
- 3) wrogości w stosunku do socjalistycznego państwa.

Uściślenie tej terminologii dałoby odpowiedź czy zarzuty stawiane Duszpasterstwu Akademickiemu są słuszne. Ponieważ Pan Minister z kilku pojedynczych wypadków stworzył problem i wyciągnął wnioski niewspółmierne zmuszony jestem odpowiedzieć na zarzuty czynione Kościołowi problemowo.

I.

Współczesnemu życiu politycznemu nadano szeroki zakres; obejmuje ono wszystkie dziedziny życia, tak że dla obywatela nie ma terenu dla jego zainteresowań indywidualnych. Obywatel został niemal całkowicie wyparty z terenu swoich praw. Przy ograniczeniu jego praw, zostały mu narzucone obowiązki, które Państwo uważa za konieczne do wykonania. Zakres tych obowiązków, głównie w dziedzinie gospodarczej i zawodowej jest tak wielki, że obywatel niemal nie ma czasu i miejsca dla swojego życia osobistego.

Ta sytuacja doprowadziła do przerostu pojęcia „działalność polityczna”. Stąd wszystko, co nie wiąże się z obowiązkami, narzuconymi obywatelowi przez Państwo, jest podejrzane. Przy rozbudowanym ponad wszelką miarę systemie policyjnej infiltracji w prywatne życie obywatela staje się to trudnym do wytrzymania.

Nic dziwnego, że rodzą się opory wśród obywateli, ograniczonych w swoich prawach osobistych i społecznych. Człowiek ma „prawo do obrony swych praw” (encyklika „Pacem in terris”).

Tu i ówdzie występują takie właśnie próby „obrony minimum tych praw”. Ale obrona praw nie jest działalnością *par excellence* polityczną tylko powinnością obywatela. A już nie można nazwać tego „wrogością w stosunku do socjalistycznego państwa”.

Jeżeli więc występują tu i ówdzie pewne inicjatywy w tej dziedzinie —

rodzi się pytanie, czy władze państwowe nie wchodzą zbyt daleko w obywatelskie potrzeby człowieka.

Ze tak jest, świadczy o tym programowanie wychowania obywatelskiego, zwłaszcza w szkolnictwie.

Jeżeli w programach tych jest tak często zniekształcony obraz dziejów Polski, kultury narodowej — graniczący z niewiedzą, cóż dziwnego, że ludzie we własnym zakresie usiłują naprawić to krzywe widzenie przeszłości Narodu — i przez odpowiednie wykłady i rzeczowe informacje zaczerpnięte ze źródeł naukowych dopełniają swoją niewiedzę, w dziedzinie ostatnich 2 wieków dziejów Polski, a zwłaszcza po odrodzeniu Ojczyzny.

Szkodliwość metody dialektyki materialistycznej jest tak widoczna, w nazywaniu jej historii i kulturze narodowej, że na tym poznają się nawet młodzi studenci. Widzą oni luki w tej interpretacji i chcą je dopełnić. Przecież nie jest rzeczą możliwą tłumaczenie faktów politycznych, gospodarczych i społeczno-moralnych, mających miejsce przed wiekami, metodą diamentu, przez szkła współczesności. Wnioski są błędne w sposób oczywisty.

W imprezach „latającego Uniwersytetu”, są tylko skromne próby dopełnienia braków wykształcenia publicznego, odsłonięcie pokrytych milczeniem faktów z okresu minionego, sprostowanie oczywistych faktów, często błędnie podawanych w nauczaniu szkolnym czy uniwersyteckim. Z tego powodu nie można tu zarzucać wrogiej postawy wobec Państwa, każdy człowiek inteligentny ma prawo to czynić.

Czy te wykłady mają charakter polityczny, czy humanistyczny? Czy mają charakter działalności nielegalnej? Czy są „wrogię w stosunku do socjalistycznego państwa”? — Nie mogłem tego dostrzec w dostarczanych mi referatach wykładowców. — Czemu więc rozszerza winę i mnoży poczet wrogów, których Państwo i tak ma wielu i w kraju i zagranicą, na skutek popełnianych stale błędów. Użycie tyle energii policyjnej przeciwko prelegentom i słuchaczom jest dalszym mnożeniem tych błędów. Podobne jest do wyprawy Goliata na Dawida.

Przechodzę do innego zagadnienia, które jest tak doniosłe dla obecnej sytuacji Polski, która musi zachować pokój wewnętrzny, by przewyciężyć mnożące się kryzysy społeczno-gospodarcze. Do nich dołącza się dziś zagrożenie pokoju Polski na płaszczyźnie międzynarodowej, o czym jest powszechnie wiadomo. Jeżeli system rządzenia będzie dalej kopał przepaść między Partią a Narodem, może to doprowadzić do niebezpiecznego podziału społecznego „wy i my”.

Panie Ministrze! To jest tragiczna sytuacja. Jakaś kategoria obywateli dziś odpowiedzialnych za Państwo musi to widzieć! Musi zabrać głos, choćby za cenę dla siebie dotkliwą. Nie ma dziś w Polsce ludzi, którzy byliby wolni od obowiązku mówienia prawdy! Kto przemilcza sytuację, jest potencjalnym szkodnikiem Państwa i ustroju.

Trzeba tu — wśród tych tchórzliwych milczków — szukać „wrogów socjalistycznego Państwa”, a nie wśród tych, którzy chcą poznać prawdę o Polsce, zniekształconą przez oficjalne nauczanie.

Nie mogę, Panie Ministrze, dopatrzeć się w pracy „latającego uniwersytetu” — zarzucanych mu przestępstw. Jest to rozpaczliwa obrona swego prawa do prawdy i prawa do obrony. W historii narodów mamy wiele podobnych faktów.

Szkodnikiem walczącym z ustrojem demokratycznym jest potęgający się system przerostu ingerencji policyjnej, UB, ORMO i wszelkiego rodzaju tajnych wywiadowców, którzy wsządzie zagrożenie ustroju i tym systemem umacniają nie tyle interesy klasy rządzącej, co swoją własną pozycję.

Panie Ministrze, mam obowiązek to powiedzieć, gdyż jestem przekonany, że Pan Minister pełni obowiązki na kluczowym punkcie spotkania wartości moralno-społecznych i religijnych, z jednej strony, a systemem rządzenia

z drugiej. — Niejako obowiązkiem *ex officio* Pana Ministra jest to rozumieć, niezależnie od sugestii aparatu policyjnego i o tym mówić władzom kierowniczym Państwa. A to dla pokoju społecznego w kraju i równowagi praw i obowiązków obywateli.

II

To co powiedziałem w części pierwszej mojego listu — może służyć za podkład do oceny sprawy „Caritas”. Pan Minister wie, że konfiskata kilku tysięcy instytucji społeczno-wychowawczych i opiekuńczych Kościoła, była posunięciem dla Władzy Państwowej wysoce niepopularnym. Pamiętamy to do dziś, gdyż to obciąża hipotekę nowej władzy i pozostawia trwały uraz środowiska katolickiego do tej władzy. Zwłaszcza, że łączy się z tym krzywdą zasłużonych dla Polski licznych zgromadzeń zakonnych, które w następstwie swej służby społecznej, były pozbawione mienia i opieki dla wypracowanych członków zgromadzeń.

Aneks do porozumienia, w sprawie Caritas, nie mógł przyczynić się do złagodzenia krzywdy, wyrządzonej społeczeństwu katolickiemu. Dotąd patrzemy na tę sprawę poprzez wymiar wyrządzonej nam krzywdy. Ilu ludzi zmarnowano wtedy, przy likwidowaniu kościelnego „Caritas”? Wystarczy, że wspomnę mojego kolegę, który był diecezjalnym Dyrektorem „Caritas”, przetwał Dachau i został zniszczony w więzieniu polskim, za rzekome wykroczenia w urzędowaniu kościelnej „Caritas”, których mu nigdzie i nigdy nie dowiedziono.

To, że Episkopat zajął pozytywne stanowisko w stosunku do ewentualnej pracy niektórych księży w „Zrzeszeniu Katolików dla niesienia pomocy biednym i potrzebującym”, za zgodą Ordynariuszów — zgodnie z zasadami i praktyką Kościoła Katolickiego — nie oznaczało zakończenia problemu. Pomijając to, że księża dziś pracujący w Caritas nigdy nie zwracali się do swoich Biskupów o zezwolenie na pracę w Zrzeszeniu — dali się oni wciągać coraz bardziej do pracy dywersyjnej przeciwko Episkopatowi. W swoich wydawnictwach (*Kapłan-Obywatel, lub Myśl społeczna*) prowadzili stale kampanie przeciwko Episkopatowi. Dali się używać do różnych inicjatyw, dzielących Duchowieństwo i Biskupów. Prowadzili szkodliwą propagandę przeciwko Kościołowi polskiemu — za granicą.

A już żadną miarą nie mieli prawa do organizowania księży i wciągania ich do „Zrzeszenia Katolików”, które nie mogło zmienić swojego charakteru i stać się organizacją księży, zamiast pozostać zespołem świeckich katolickich instytucji opiekuńczych. Ostatnie uzależnienie od siebie księży przez ubezpieczenie — jest też tego dowodem.

Nie można więc *al pari* stawiać tego zagadnienia, z akcją polityczną „godzącą bezpośrednio w całość stosunków między Państwem i Kościołem”. Wprost przeciwnie sprawa przynależenia księży do „Zrzeszenia” powinna być jednym z wstępnych elementów normalizacji stosunków Kościoła i Państwo. Do tych wstępnych elementów normalizacji zaliczam naprawienie krzywd wyrządzonych Kościołowi w Polsce w okresie wypaczeń stalinizmu — biorąc przykładowo — jak zwrot Episkopatowi kościelnej „Caritas”; zwrot drukarni i wydawnictw katolickich, zwroćcenie zakonom ich instytucji opiekuńczych i siedzib tych instytucji; zwrot Niższych Seminariów Duchownych i szkół katolickich; zwrot różnych pomieszczeń będących własnością Kościoła, a zabranych przez władze państwowe bez podstawy prawnej, a nieraz skutkiem błędnej czy tendencyjnej interpretacji tych przepisów.

Ograniczam się do tych przykładów.

Zabieganie o naprawienie tych krzywd wcale nie jest walką polityczną z ustrojem. Owszem sprawiedliwość przynana społeczeństwu katolickiemu, może stać się korzystnym elementem do umocnienia pokoju społecznego

w Polsce — i „niezbędnym warunkiem poprawnych stosunków między Państwem a Kościołem”.

Ufam, że Pan Minister odczyta w tym, tak jasnym sposobie stawienia sprawy — znak mojego zaufania do linii postępowania jakiej Pan Minister się trzyma w prowadzeniu całokształtu spraw podlegających powierzonemu Panu resortowi administracji publicznej. Wymianę korespondencji na obiektywnym poziomie, wolną od krzywdzących sugestii, uważam za pozytywną i jedynie wskazaną.

Wyrazy należnego szacunku łączę,

† STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Warszawa, dnia 9 listopada 1978.

OSWIADCZENIE

W ostatnich miesiącach aparat Służby Bezpieczeństwa i z jego inspiracji niektóre organizacje partyjne oraz dyrekcje zakładów pracy podjęły nową formę oszczerczej propagandy skierowanej przeciw ruchowi demokratycznemu. Rozpowszechniane są informacje, iż niezależne wydawnictwa w Polsce korzystają z pomocy technicznej pochodzącej z wrogich Polsce źródeł w Zachodniej Europie i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

W związku z tym Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” uważa za właściwe oświadczyć, co następuje:

W myśl Konstytucji drukarnie, tak jak wszystkie środki służące do rozpowszechniania informacji, stanowią własność społeczeństwa. W jawnej sprzeczności z ustawą zasadniczą władze PRL wywłaszczyły społeczeństwo polskie z jego prawa do swobodnego rozpowszechniania i uzyskiwania informacji. O złowrogich skutkach tego stanu rzeczy dla kultury narodowej i życia publicznego pisaliśmy wielokrotnie. Niezależna prasa i wolne od cenzury wydawnictwa stanowią doniosłą społecznie próbę przeciwdziałania tym zagrożeniom. Obok informacji i publicystyki społecznej i politycznej publikuje się dzieła stanowiące integralny składnik literatury polskiej (Brandys, Gombrowicz, Konwicki, Miłosz, Piłsudski, Żeromski). Dla tej działalności niezbędne są środki techniczne. Często wykonuje się je domowym sposobem, co oczywiście nie może zaspokoić potrzeb wciąż rozwijającego się ruchu czytelniczego. Niekiedy korzysta się z urządzeń technicznych stanowiących własność instytucji państwowych. Znaczna część sprzętu poligraficznego pochodzi z darów Polaków, zamieszkujących stale poza granicami kraju.

Działalność wydawniczą uważamy za swój moralny obowiązek. Jeśli zdarza się, iż w związku z tą działalnością naruszane są przepisy, to cała za to odpowiedzialność powinni ponieść ludzie, którzy pozbawiają społeczeństwo należnych mu praw. Pomawianie ofiarnych rodaków, zamieszkujących na obczyźnie, o wrogość Polsce jest nonsensem kompromitującym wyłącznie tych, którzy go rozpowszechniają.

Wyrażamy wdzięczność i uznanie wszystkim ludziom dobrej woli w kraju i poza krajem, którzy swoją działalnością i ofiarnością przyczyniają się do udostępnienia wolnego słowa społeczeństwu polskiemu.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Opole Stare, 16 listopada 1978.

REZOLUCJA

My, niżej podpisani mieszkańcy wsi Opole Stare, Grzędów, Opole Nowe, Iganie Nowe, Wylazy, Dąbrówka wspólnym wysiłkiem wybudowaliśmy kaplicę w Opole Starym. Kaplica ta jest votum więźniarek i więźniów obozów koncentracyjnych z ostatniej wojny i przez nich jest fundowana. Budowę kaplicy rozpoczęliśmy w 1973 roku i wtedy to ówczesne władze powiatowe w Siedleach gotową już kaplicę zburzyły. Podczas burzenia kaplicy władze sprofanowały urnę z prochami z Dachau, Ravensbrück, Oświęcimia, Treblinki, Katynia, Palmir i innych miejsc martyrologii narodu polskiego. Od tamtej pory nabożeństwa na naszym terenie odbywały się w prywatnym mieszkaniu pana Stanisława Karpika. Budowę kaplicy rozpoczęliśmy znowu w 1976 roku i budowaliśmy ją do dziś. Władze gminne i wojewódzkie wielokrotnie żądały od nas przerwania budowy. My przestać budowy nie mogliśmy ponieważ do najbliższego kościoła parafialnego w Niwiskach mamy 5-6 km. Zwłaszcza, że w naszych wsiach jest wiele dzieci i osób starszych uważamy, że kaplicę musimy mieć na miejscu. Poza tym w okolicznych wsiach nie mamy punktu katechetycznego i nasza kaplica służyć ma jako taki punkt. Obecnie, gdy budowę kaplicy skończyliśmy władze gminne z Siedlec przysłały nam decyzję nakazującą rozebranie kaplicy i grożącą, że jeśli my tego nie zrobimy — władze rozebiorą ją same.

Pamiętamy zburzenie kaplicy w 1973 roku i szkany, które objęły nas wszystkich, a przede wszystkim Stanisława Karpika, którego karano grzywną, stosowano mu nakaz meldowania się, wielokrotnie bezpodstawnie go aresztowano, bito, włamywano mu się do mieszkania, które demolowano i grabiono, bezpodstawnie zamykano go do zakładów psychiatrycznych itd. W tej sytuacji, obawiając się, żeby to wszystko się nie powtórzyło postanowiliśmy założyć na naszym terenie Podlaski Komitet Samoobrony Ludzi Wierzących. Do Komitetu wchodzi: Maria Ambrosiak, Regina Grudzińska, Genowefa Jowiak, Henryk Józwiak, Stanisław Karpik, Konstanty Paczuski, Maria Pasut, Aleksandra Piesak, Adam Rutkowski, Ryszard Świnarski.

Poświadczamy wysłać telegram do fundatorów kaplicy — votum na ręce pani Anieli Babiej w Boras, Szwecja i pana Maksymiliana Pelca, prezesa Polonii w Hamburgu. Ponadto postanowiliśmy wysłać stanowczy protest do wojewody siedleckiego. Zobowiązujemy Komitet do organizowania samoobrony przed ewentualnymi próbami zniszczenia kaplicy i do informowania opinii publicznej w kraju i za granicą o sytuacji ludzi wierzących na naszym terenie. Występować będziemy o równouprawnienie ludzi wierzących w całym kraju i dlatego w dniu dzisiejszym zbieramy podpisy pod petycją do Sejmu o udostępnienie radia i telewizji dla transmisji Mszy św. i audycji religijnych.

Zwracamy się do całego społeczeństwa, do całego Kościoła Katolickiego w Polsce, do kombatantów i byłych więźniów obozów zagłady i do wszystkich ludzi dobrej woli w kraju i za granicą o pomoc.

O naszej sytuacji i naszym Komitecie informujemy hierarchię kościelną, Sejm i Radę Państwa oraz różne Instytucje społeczne.

Dnia 26 listopada, w uroczystość Chrystusa Króla, odbyło się poświęcenie kaplicy przez proboszczów: księdza Bronisława Wyszyńskiego i księdza Kazimierza Marciszewskiego. Następnie odprawiona została w niej uroczysta Msza św. Obecni złożyli pod rezolucją 190 podpisów. Akcja zbierania podpisów trwa. Podpisy pod niniejszą rezolucją zostaną zdeponowane u księdza biskupa ordynariusza siedleckiego.

OŚWIADCZENIE

W związku z informacją o ukazaniu się w piśmie *The Economist* z dn. 7. X. 1978 roku, wiadomości o tym, że Ogólnopolskie Spotkanie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, które odbyło się 10. VI. 1978 w Zalesiu k/Warszawy, wykluczyło Leszka Moczulskiego z tego Ruchu lub, że podnoszono w stosunku do niego zarzuty o działalność antysemitką — oświadczam, że wiadomość ta *nie odpowiada rzeczywistości*.

(—) Karol GŁOGOWSKI

Współprzewodniczący Spotkania Ruchu
w dn. 10. VI. 1978.

Łódź, dn. 24. X. 1978 r.

Oświadczenie powyższe zostało złożone w naszej obecności,

(—) A. MAZUR, (—) A. WILK, (—) podpis nieczytelny.

OŚWIADCZENIE

W związku z notatką „*Oposition in Poland*” (*The Economist*, 7. X. 1978 r.) wyjaśniam, że na III-cim Ogólnopolskim Spotkaniu Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, które odbyło się 10. VI. 1978 roku w Zalesiu Górnym k/Warszawy wyjaśniam, że:

1) nie jest zgodne z prawdą, że Leszka Moczulskiego usunięto z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela,

2) również zaistniała nieścisłość, że Leszka Moczulskiego usunięto z redakcji *Opinia*, gdyż w konsekwencji nieporozumień w Kolegium *Opinii* sam opuścił zespół i wydaje czasopismo *Droga* również czasopismo uczestników Ruchu Obrony,

3) na Spotkaniu również nie stawiano zarzutów skłonności do antysemityzmu. Problem powyższy w ogóle na Spotkaniu nie był omawiany jako bezprzedmiotowy.

(—) B. STUDZIŃSKI

Współprzewodniczący na Spotkaniu Ruchu
z 10. VI. 1978.

23. X. 1978 r.

Powyższe Oświadczenie zostało złożone w naszej obecności,

(—) A. WILK, (—) Marek M. SKUZA.

OŚWIADCZENIE

Komisja w składzie: Marian Bogacz, Andrzej Mazur, Marek Skuza, ks. Bronisław Sroka S.J., ks. Ludwik M. Wiśniewski O.P. — powołana w dniu 10 czerwca 1978 na III-cim Ogólnopolskim Spotkaniu uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, zobowiązana, za obopólną zgodą stron w sporze, do rozpatrzenia zarzutów stawianych Leszkowi Moczulskiemu, po wnikliwym i sumiennym zbadaniu spraw jej poleconych, kierując się przekonaniem, że Ruch pragnący bronić ludzkiego prawa do prawdy, musi sam swoją działalność budować na prawdzie — w trosce o prawdę i dobre imię każdego człowieka, oświadcza, co następuje:

Mimo chaotycznego i wielotorowego gospodarowania funduszami R.O. nie ma podstaw do postawienia komukolwiek zarzutu, iż popełnił nadużycia na swoją korzyść.

Do innych zarzutów stawianych przez Kolegium *Opinii* na II-cim Spotkaniu R.O. Komisja nie ustosunkowuje się, ponieważ w toku jej działania nie zostały one podtrzymane przez adwersarzy. W tym stanie rzeczy należy uznać pozostałe zarzuty, stawiane Moczulskiemu za zwykłe nieporozumienie.

Komisja czuje się moralnie zobowiązana, by zwrócić się z serdecznym apelem do obu zważnionych stron o podjęcie uczciwych prób, zmierzających do pojednania, odnowienia współpracy i przywrócenia zdrowej atmosfery w R.O.

Z uwagi na specyfikę warunków działania — Komisja postanowiła nie ujawniać żadnych szczegółów, które uprawniły ją do przedłożonych wniosków.

Dn. 29. X. 1978.

(Podpisy:)

(—) Marjan BOGACZ, (—) Ks. Bronisław SROKA S.J.,
(—) Marek M. SKUZA, (—) Ks. Ludwik M. WIŚNIEWSKI O.P., (—) A. MAZUR.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Warszawa, 4 grudnia 1978.

Do Pana Ministra Zdrowia
i Opieki Społecznej
prof. Mariana Śliwińskiego
Warszawa

LIST OTWARTY

Zwracamy się do Pana, Panie Ministrze, w sprawie biologicznego zagrożenia naszego społeczeństwa. Zagrożenie to powoduje sytuacja na krajowym rynku farmaceutycznym. Chroniczny brak leków, od najbanalniejszych aż po preparaty hormonalne, środki psychotropowe i płyny infuzyjne (tzw. kroplówki) stwarza realne niebezpieczeństwo dla zdrowia i życia obywateli. Zagrożeni są wszyscy. W szczególności przejmujący się jednak los uboższych warstw ludności. Poniżej podajemy niektóre dane za dwoma *Informatorami Zaopatrzenia Farmaceutycznego*, rozesłanymi do wszystkich aptek a przeznaczonymi wyłącznie do wewnętrznego użytku. Informatory te obejmują miesiące: sierpień, wrzesień, październik, listopad, grudzień 1978 oraz styczeń 1979. Odnotowują one:

W grupie antybiotyków brak m.in. ampicyliny i streptomycyny (niezbędnej przy leczeniu gruźlicy), karbonyliny i syntarpeny (niezbędnej przy różnego typu zakażeniach); w grupie leków nasercowych: brak m.in. aminofiliny i delamosidu w iniekcjach (niezbędnej przy niewydolności mięśnia sercowego); w grupie leków hormonalnych: brak m.in. niektórych postaci hormonów nadnerczowych, preparatów tarczycy i trzustki, leków stosowanych w ginekologii; w grupie cytostatyków brak m.in. leków niezbędnych przy leczeniu nowotworów i białaczki; w grupie witamin: brak m.in. witaminy B complex w iniekcjach, niezbędnej dla chorych nie mogących przyjmować leków doustnie, w III kwartale poważny niedobór w zaopatrzeniu w witaminę D 3 (niezbędną w profilaktyce krzywicy u dzieci); wśród innych: brak elementarnych środków odwadniających stosowanych przy obrzęku płuc, obrzęku

mózgu, niewydolności nerek; brak preparatów wapnia w różnych postaciach brak płynów infuzyjnych (kroplówki) praktycznie wszystkich, brak leków do stosowania zewnętrznego, brak leków działających na ośrodkowy system nerwowy; brak artykułów sanitarnych i gumowych (rękawiczek chirurgicznych, strzykawek do jednorazowego użytku, waty i ligniny).

Wymieniliśmy zaledwie niektóre braki wskazane przez lekarzy jako najważniejsze wśród ważnych. W pewnych grupach leków są one stuprocentowe. Na liście takich stuprocentowych braków *Informator Zaopatrzenia Farmaceutycznego* (obejmujący czas od listopada 1978 do stycznia 1979) zamieszcza 60 preparatów oraz przewiduje przerwę ciągłości zaopatrzenia około 150 leków i 20 artykułów sanitarnych.

Świadomość groźby przerwania ciągłości zaopatrzenia w leki uniemożliwia lekarzom podjęcie decyzji wyboru kuracji, która miałaby zostać przeprowadzona do końca. Tę sytuację pogarsza całkowity brak wyjaśnień przyczyn przewidywanej przerwy w zaopatrzeniu lub wręcz nieobecności danego leku na rynku, nawet gdy chodzi o leki nieimportowane. Lekarz zmuszony jest do podjęcia się leczenia nie mając żadnej wiedzy o perspektywach ewentualnych zmian tego stanu rzeczy w bliższej i dalszej przyszłości. Przemysł farmaceutyczny był do niedawna jednym z głównych dostawców leków dla całego przemysłu chemicznego. Pomimo to inwestycje POLFA nie przekraczały 20 % zapotrzebowań. Od wielu lat nie wybudowano w Polsce ani jednej fabryki leków. Od 3 lat na przykład wstrzymuje się budowę fabryki Tarchomin II. Marnuje się w ten sposób 10 mln. dolarów wydanych już na amerykańskie urządzenia i licencje, czyli 1/3 dewiz potrzebnych rocznie na zakup surowców dla farmacji.

Dokonywanie oszczędności przez państwo kosztem zdrowia i życia obywateli jest niedopuszczalne. Tymczasem właśnie w ramach oszczędności, w pierwszym kwartale br. obcięto przemysłowi farmaceutycznemu 90 % dewiz na zakupy leków gotówką, a o 2/3 zmniejszono sumę walut przeznaczoną na zakup leków drogą operacji kredytowych. Przewidziano też tylko 70 % dewiz w pierwszym półroczu br. na zakup leków gotowych. Przy tym suma na import leków wynosi rocznie około 30 mln. dolarów. Jest to zaledwie ułamek procenta sumy otrzymywanej rocznie przez poszczególne gałęzie przemysłu maszynowego. Lekceważenie przemysłu farmaceutycznego przy podstawowych niedostatkach zaopatrzenia w żywność musi doprowadzić to społeczeństwo do tragicznego stanu zdrowia. Już dziś lekarze położnicy obserwują objawy niedożywienia wśród gorzej zarabiających matek co ma oczywiście znaczenie dla rodzonych przez nie dzieci, tym bardziej, że chronicznie brakuje odżywek dla niemowląt. Znajdujemy się, a w każdym razie uboższe warstwy społeczne na drodze do zrównania się z poziomem Trzeciego Świata. W tej sytuacji, jeśli radykalna zmiana nie jest możliwa, KSS „KOR” zgłasza gotowość zwrócenia się do Polonii zagranicznej z prośbą o zorganizowanie akcji dostarczania ludziom chorym w Polsce najpotrzebniejszych leków nieobecnych na krajowym rynku. Nieustanna pomoc od lat udzielana przez Polonię naszemu społeczeństwu jest mu dobrze znana i ma dla niego ogromne znaczenie. Wierzmy, że jak zawsze tak i teraz, Polonia odpowiedziałaby ze zrozumieniem na apel spowodowany stanem biologicznego zagrożenia naszego społeczeństwa.

Jednocześnie dziś już zwracamy się do Pana Ministra o wyrażenie zgody na to, aby podległy mu aparat podjął się pośrednictwa między chorymi a ofiarodawcami, którym wskazane przez Pana instytucje przekazywałyby nazwiska i adresy pacjentów oraz nazwy leków na podstawie wystawionych recept. Chorzy, lub ich rodziny otrzymywaliby lekarstwa bezpośrednio na swój adres, co uniemożliwiłoby ewentualne nadużycia. Na pozytywną odpowiedź Pana Ministra, Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” będzie oczekiwał 4 tygodnie. Dłuższe milczenie będzie musiał uznać za odpowiedź od-

mowną. W tym przypadku sam zwróci się z apelem do obywateli aby podjęli akcje organizowania społecznych komitetów pośredniczących między chorymi a Polonią. Inaczej sytuacja zdrowotna ludności w naszym kraju będzie się pogarszała z miesiąca na miesiąc, stwarzając perspektywę nieodwracalnej klęski.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”
(Za zgodność: Jan KIELANOWSKI).

RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA i OBYWATELA
W POLSCE

Warszawa, 21 listopada 1978.

OŚWIADCZENIE

Pluralistyczny charakter RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA i OBYWATELA w Polsce i formuła otwartego uczestnictwa przyczyniły się do pożytecznego i szybkiego rozwoju RUCHU OBRONY, lecz umożliwiły także powstawanie powołujących się na szeroką formułę RUCHU OBRONY „zespołów inicjatyw” — podważających ducha naszych zasad ideowych.

Z ubolewaniem stwierdzamy, iż akcji tej patronuje również dwóch sygnatariuszy deklaracji założycielskiej RUCHU OBRONY — Leszek Moczulski i Karol Głogowski, którzy w wydawanym przez powołaną przez siebie Radę ZInO piśmie „Rejestr” (z 15 października 1978 r.) zaliczyli do nurtu demokratycznego w Polsce także i totalitarną PZPR.

Stwierdzamy, że Leszek Moczulski i Karol Głogowski swoim postępowaniem wyłączyli się sami z RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA i OBYWATELA w Polsce i nie możemy z nimi współpracować.

Jacek BARTKOWIAK, Łódź; Maria BOGACZ, Warszawa; Janusz CZARSKI, Lublin; sygn. dekl. załóż. RO — Andrzej CZUMA, Warszawa; Benedykt CZUMA, Łódź; Antoni GOŁDA, Mińsk Mazowiecki; Marian GOŁĘBIEWSKI, Warszawa; Józef M. JANOWSKI, Zduńska Wola; sygn. dekl. załóż. RO — Kazimierz Janusz, Warszawa; sygn. dekl. załóż. RO — Stefan KACZOROWSKI, Łódź; Zbigniew KARPOWICZ, Lublin; Janusz E. KRZYŻEWSKI, Warszawa; Jerzy MALINOWSKI, Lublin; Tomasz MRÓZ, Lublin; sygn. dekl. załóż. RO — Marek MYSZKIEWICZ-NIESIOŁOWSKI, Łódź; Andrzej NASTULA, Lublin; Zdzisław PAWŁAK, Łódź; Marian PIĘKA, Lublin; Janusz ROŻEK, Górnek/Milejowa; Leszek SKONKA, Wrocław; Edward STANIEWSKI, Warszawa; sygn. dekl. załóż. RO — Bogumił STUDZIŃSKI, Zalesie Górne; sygn. dekl. załóż. RO — Piotr TYPIAK, Warszawa; sygn. dekl. załóż. RO — Andrzej WOŹNICKI, Łódź; Tadeusz ZACHARA, Lublin; Jan ZAPOLNIAK, Gdańsk; oraz sygn. dekl. załóż. RO — Wojciech ZIEMBIŃSKI, Warszawa — uwierzytelniający powyższe podpisy.

(W załączeniu odpis z pisma „REJESTR Nr 1 z 19. X. 1978):

ODPIS Z PISMA „REJESTR” NR 1 z 16. X. 1978

Str. 11:

„[...] Podczas spotkania wyłoniono Radę zespołów inicjatywy Obywatelskiej Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce w składzie:

Krzysztof Gąsiorowski, Karol Głogowski, Zdzisław Jamrózek, Stanisław Januszewski, Andrzej Mazur, Leszek Moczulski, Andrzej Ostoja-Owsiany, Wiesław Parchimowicz, Adam Pleśnar, Marek M. Skuza, Stanisław Sudoł, Tadeusz Szczudłowski, Apolinary Wilk. [...] Łódź, dn. 17 września 1978 r."

Str. 12:

APEL

[...] Z zycziwą uwagą obserwujemy i odnotowujemy wszystkie przejawy zainteresowania tymi problemami. Cieszy nas, że niektóre środowiska społeczne np. Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie czy ODiSS zorganizowały specjalne sympozja poświęcone tematowi praw człowieka w ujęciu chrześcijańskim. Oba wymienione środowiska przyczyniły się także do spopularyzowania w Polsce Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka, publikując te dokumenty w „Więzi” i w „Chrześcijaninie w świecie”. Zagadnienia te ostatnio znalazły się w polu zainteresowania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, z inicjatywy której odbyła się w Warszawie międzynarodowa konferencja partyjno-naukowa n.t. „Rozwój demokracji i realizacja praw człowieka w ustroju socjalistycznym”.

Odnotowując z satysfakcją te inicjatywy różnych środowisk społecznych równocześnie zwracamy się z apelem do tych, które jeszcze nie włączyły się do tego zasadniczego dla rozwoju życia publicznego w naszym kraju nurtu demokratycznego, by nie zwlekając uczyniły to dla dobra narodu i państwa polskiego.

Warszawa, 7. X. 1978 r.

RADA „ZInO” (RADA ZESPOŁÓW INICJATYWY OBYWATELSKIEJ)

OŚWIADCZENIE

RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA i OBYWATELA w Polsce
z dnia 25 listopada 1978 roku

My niżej podpisani, uczestnicy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, wyrażamy pełną solidarność i gorące uznanie dla naszych braci Litwinów, którzy od lat pełnią niezłomną służbę Bogu i Ojczyźnie, a w szczególności dla powołanego ostatnio Katolickiego Komitetu Obrony Praw Wiernych.

Powodowani historyczną wielowiekową przyjaźnią litewsko-polską i naszą tradycją, jesteśmy przekonani, że wspólna praca na rzecz powszechnie uznanych swobód obywatelskich i poszanowania godności osoby ludzkiej będzie owocowała, a Kościół w naszych krajach będzie Kościołem głośnego i żywego wyznawania wiary.

Mieczysław Boruta-Spiechowicz, Marian Bogacz, Andrzej Czuma, Benedykt Czuma, Marian Gołębiewski, Tadeusz Grabowski, Józef Janowski, Kazimierz Janusz, Stefan Kaczorowski, Janusz Edward Krzyżewski, Henryk Monkiewicz, Marek Myszkiewicz-Niesiołowski, Andrzej Nastula, Bohdan Papiernik, Kazimierz Pluta-Czachowski, Marian Piłka, Edward Staniewski, Bogumił Studziński, Andrzej Woźnicki, Wojciech Ziemiński.

Kazimierz ŚWITON

Katowice, 1. 11. 1978.

ARESZT ŚLEDZCZY W KATOWICACH

Od kilku tygodni przebywam w więzieniu odosobniony i całkowicie odcięty od świata tylko dlatego, że naiwnie uwierzyłem w praworządność w naszej Ojczyźnie, że stwierdziłem, że Konstytucja PRL to dokument najwyższej wagi, którego artykułami kierować się winni wszyscy Polacy i wszystkie organy władzy bez wyjątku. A także dlatego, iż wierzyłem, iż postanowienia zawarte w podpisanych przez Gierka w Helsinkach dokumentach i ratyfikowanych w Polsce Paktach Praw Człowieka będą należycie przestrzegane przez władze, o czym Gierek wiele razy publicznie zapewniał.

Osadzono mnie w więzieniu również i za to, że w ramach ogłoszonej przez rząd dyskusji między społeczeństwem a władzą zabrałem swój skromny głos. Wynika więc z tego, że dokumenty te traktowane są przez obecną władzę jako bezwartościowa makulatura, dlatego z całą pewnością mogą stwierdzić, że zapewnienia, którymi tak hojnie częstuje nas ekipa Gierka to tylko frazesy, puste słowa, to parawan dla opinii światowej, za którym w praktyce kryje się terror i bezprawie stosowane wobec tych, którzy jawnie głoszą swoje odmienne poglądy i odważnie występują w obronie swych ludzkich i obywatelskich praw do wolności. Stosuje się wobec nas wszelkiego rodzaju szykany i represje polegające na bezprawnym przetrzymywaniu w areszcie, inwigilacji w dzień i w nocy, pozbawia się nas prawa do wykonywania zawodu, ogranicza poruszanie po kraju itd. Jesteśmy niewolnikami we własnej ojczyźnie. Taka jest rzeczywistość. Dlatego wołam z za krat więzienia, wołam do wszystkich ludzi dobrej woli na świecie: nie pozwólcie się oszukiwać przez nasze władze, nie wiercie tym, którzy twierdzą, że prawa człowieka w Polsce należycie przestrzegane, a podstawą ustroju jest praworządność.

Dlatego wołam do Ciebie, bracie nasz, przyjacielu i rodaku Janie Pawle II-gi. Nie zapominaj w swoich modlitwach o naszej ukochanej, zniewolonej ojczyźnie! Stawaj w obronie tych, którzy w Polsce chcą żyć jak ludzie wolni. W czasie, gdy ty obejmowałeś rządy w stolicy Piotrowej mnie wtrącono do więzienia za prawdę, za prawo do wolności, za to że jestem katolikiem wierzącym i praktykującym, oraz za to że stanowczo domagałem się odstepienia kościołowi środków masowego przekazu, a także za to tylko, że starałem się ochronić moją ciężko chorą żonę przed ciosami czterech cywilnych osobników z SB, którzy zaatakowali nas w chwili, gdy po odbytych spotkaniu parafian z ks. biskupem Herbertem Bednorzem udawaliśmy się do domu.

Dlatego wołam do was bracia i siostry Polacy przebywający na obczyźnie: przestrzegajcie rządy państw w których żyjecie, aby nie wierzyły w oświadczenia rzekomych „polskich przywódców”, iż zaciągane przez nich pożyczki niezbędne są z takich czy innych względów gospodarczych i służyć będą ogólnonarodowemu dobru, ponieważ pieniądze te służą utrzymaniu przez nich władzy. Budują przy tym sobie i swoim rodzinom okazałe wille i pałace bogato zdobione srebrem i złotem, oraz drogimi dziełami sztuki.

Dlatego wołam do was bracia — związkowcy z wolnego świata: pomóżcie nam i poprzyjcie nasz młody i rozwijający się dopiero wolny ruch związkowy zapoczątkowany powołaniem do życia w dniu 23. 2. 1978 Komitetu Wolnych Związków Zawodowych w Katowicach. Obecnie oficjalnie istniejące w Polsce Związki Zawodowe zamiast występować w obronie interesów świata pracy, koordynowały swe działania w interesie władzy zmuszając pracowników do wzmożonej wydajności za nieproporcjonalne wynagrodzenie, do tzw. społecznych czynów itp. Dlatego nakazem chwili było, aby zapoczątkowany został w Polsce wolny ruch związkowy, niezależny od władzy i PZPR, którego wy-

siłki zmierzać będą do należytej ochrony interesów każdego pracownika. Pomimo że podpisana przez rząd PRL konwencja pracy przewiduje tworzenie niezależnych organizacji związkowych, ruch nasz jest brutalnie tłumiony przez władze, tj. Służbę Bezpieczeństwa i MO, bo z działalności tego resortu wynika, że władza jest w jego rękach splamionych krwią.

Dlatego wołam szczególnie głośno do was — bracia rodacy: ocknijcie się z letargu, przezwycięźcie strach jaki was ogarnia, musimy zjednoczyć swe wysiłki i przeciwstawić się czerwonej burżuazji, która kosztem naszej robotniczej krwi, wyzyskując nas jak w okresie kapitalizmu, zabezpiecza materialnie siebie i swoich bliskich, licząc się z ewentualnym odsunięciem od władzy.

Wołam także do was — rodacy emeryci i renciści, którzyście w pierwszych latach po wojnie włożyli serce i siły i zdrowie w odbudowę naszej ukochanej ojczyzny, a otrzymujecie obecnie w zamian ochłapy z partyjnego stołu: stanowczo domagajcie się podwyżki rent i emerytur.

Dlatego wołam do was — matki Polki i proszę abyście wychowując swe dzieci wpajały im odwagę, patriotyzm i miłość do naszej ojczyzny — Polski, tak jak to czyniły nasze matki w przeszłości.

I wreszcie najgłośniej wołam z za krat więzienia do was — młodzieży polska, abyście czynnie występowali przeciw bezprawiu, kłamstwu i obłudzie. Przede wszystkim od was zależy jaka będzie przyszłość naszej ojczyzny. Od was również zależy czy prawa człowieka będą należycie przez władze przestrzegane. Czy w najbliższej przyszłości żyć będziemy w wolnej, niepodległej, suwerennej ojczyźnie. Wy specjalnie, wy młodzi, macie obowiązek domagać się prawdy historycznej, choć na pewno jest to obowiązek każdego obywatela. Lekceważąc go skazujecie tym samym na zagładę naszą narodową kulturę i wtedy nadejdzie chwila — jak to już wiele razy zdarzało się w naszej historii — że zostaniemy pochłonięci przez naszego wschodniego sąsiada, zostaniemy 16-tą republiką ZSRR. Czy rzeczywiście chcielibyście tego? Na pewno nie. Dlatego wzywam was krzycząc z za krat więzienia: występujcie w obronie należnych wam praw, których przestrzeganie nie jest obecnym władzom na rękę. A z mojej strony zapewniam, że rozpoczną walkę będę prowadził nadal. Zapewniam również, że jestem niewinny zarzutów z art. 23 § 1 k.k. — tj. o czynną napaść na trzech funkcjonariuszy MO — jest fabrykowanym na podstawie fałszywych zeznań SB i MO, ohydny kłamstwem przy pomocy którego Służba Bezpieczeństwa stara się wyeliminować mnie z życia i działalności społecznej.

Kazimierz ŚWITON

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

OŚWIADCZENIE

Warszawa, 18. 12. 1978.

W ostatnich czasach zaszły w kraju wypadki alarmujące opinię publiczną. Szczególny niepokój budzi sprawa Kazimierza Świtonia, o której pisaliśmy wielokrotnie. Represje przeciwko Kazimierzowi Świtoniowi nie zakończyły się z dniem odbycia przez niego kary 2-ch miesięcy aresztu orzeczonej 16. 10. 1978 przez Kolegium Karno-Administracyjne przy Naczelniku Miasta Katowice, za rzekome wywołanie zbiegowiska. Świton nadal przebywa w więzieniu. 29 listopada 1978 roku zostało zakończone śledztwo w sprawie czynnej napaści Świtonia na czterech funkcjonariuszy MO i zdemolowania przez niego samochodu, w którym przewożono go do Komendy Milicji. Zarzucany mu czyn miał być popełniony w tym samym miejscu i czasie co czyn osądzony przez kolegium. Uderza fakt, że milicjanci zeznający o zaj-

ściu sądzonym przez kolegium ani słowem nie wspomnieli o tym, aby mieli być przedmiotem napaści ze strony Świtonia, mimo że drobiazgowo opisywali przebieg zatrzymania i przewiezienia Świtonia do komendy. Zarzut dokonania przez Świtonia napaści pojawił się już po osądzeniu sprawy przez Kolegium, przy czym powtórzyła się tu prawidłowość obserwowana przez nas już w wielu wypadkach: skarga oskarżonego na brutalne zachowanie się wobec niego policji powoduje odwołanie zarzutu i oskarżenie zatrzymanego o czynną napaść na milicjantów. Analogiczny przebieg miała np. sprawa teatru „8-go dnia”, czy też Cyburskiego i innych, opisana w „dokumentach bezprawia”. We wszystkich tego rodzaju sprawach milicjanci są świadkami uprzywilejowanymi i ich wyłączenie zeznania stają się podstawą wyroków skazujących. Zastosowanie tego mechanizmu grozi Kazimierzowi Świtoniowi karą kilkuletniego więzienia. Sprawa Świtonia została sfingowana, podobnie jak sfingowane były procesy radomskie i ursuskie, jak w latach 50-tych procesy przeciwko żołnierzom AK. Znowu przestępcy oskarżają swą ofiarę korzystając z tej bezsilności. Sprawa Świtonia rzuca światło na stan terroru panującego na Śląsku. Rewizje, zatrzymania, zwolnienia z pracy (wszyscy synowie Świtonia na polecenie SB zostali zwolnieni z pracy, a najmłodszy usunięty również ze szkoły), wreszcie formalna łapanka na dworcu w Katowicach w dzień po rozprawie Świtonia, są wyrazem eskalacji bezprawia mającego na celu zastraszenie śląskiego społeczeństwa.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

BIBLIOTEKA « KULTURY »

WZNOWIENIA

WITOLD GOMBROWICZ
D Z I E N N I K I

(Tomy VI, VII i VIII „DZIEŁ ZEBRANYCH”)

Dziennik T. I. (1953-1956) str. 304 — F. 55,00
Dziennik T. II (1957-1961) str. 256 — F. 50,00
Dziennik T. III (1961-1966) str. 224 — F. 40,00.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 299 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powtanie — Rozwój — Rozkład
Tom III

Zawiera m.in. rozdziały: Pierwsza faza marksizmu sowieckiego. — Początki stalinizmu. — Spory teoretyczne w marksizmie sowieckim lat 20-tych. — Marksizm jako ideologia państwa sowieckiego. — Antonio Gramsci — rewizjonizm komunistyczny. — Georg Lukács — rozum na służbie dogmatu. — Lucien Goldmann. — Szkoła frankfurcka i teoria krytyczna. — Herbert Marcuse — marksizm jako utopia Nowej Lewicy. — Ernst Bloch — marksizm jako gnoza futurystyczna. — Rzut oka na przemiany marksizmu lat ostatnich.

Str. 536.

Cena F. 110,00.

Tom II-gi — zawierający 544 strony kosztuje F. 110,00.

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

Styczeń 1979

	Stron	F.
Allilujewa, S.: <i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	256	20,00
Arzak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i> (Seria „Dokumenty”)	128	12,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Socjalizm po 60 latach</i> (Seria „Bez Cenzury”)	64	18,00
Bierezin, J.: <i>W a m</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Szkice i opowiadania</i>	272	20,00
Bobkowski, A.: <i>Szkice piórkiem</i> (Francja 1940-1944) t. I/II	760	25,00
Brandys, Kazimierz: <i>Nierzeczywistość</i> (Seria „Bez Cenzury”) ..	128	25,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>O k o</i>	228	12,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Szkice o literaturze emigracyjnej</i> ..	416	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IV „Kosmos”	160	15,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IX „Opowiadania” ..	208	24,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. III „Pornografia” ..	168	15,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. V „Teatr”	224	18,50
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „Varia”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. XI <i>Wspomnienia Polskie</i>	256	55,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grzędziński, J.: <i>Maj 1926</i> (Seria „Dokumenty”)	112	9,00
Gulley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Drugie przyjscie</i>	250	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i>	192	25,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	10,00
Hersch, J.: <i>Polityka i rzeczywistość</i>	225	9,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwanow, I.: <i>Jest' li ziźń na Marsie?</i>	102	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Kalinowski, Fr.: <i>Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii</i> (1940-1945)	372	36,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb</i> (1943)	223	8,00
Koestler, A.: <i>Fragmenty wspomnień</i> (Seria „Archiwum Re- wolucji”)	240	13,50
Kołakowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. II	544	110,00
Kołakowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. III	536	110,00
Korboński, St.: <i>Polskie Państwo Podziemne</i>	288	40,00
Koszeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	15,00
Kowalik, J.: <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie</i> (1939-1962)	80	9,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie rośnie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cen- zury”)	104	25,00
Kulski, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci</i> (Seria „Do- kumenty”)	144	12,00
<i>Kultura masowa</i> — opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”) ..	145	6,00
Kuroń, J.: <i>Zasady ideowe</i> (Seria „Bez Cenzury”)	96	20,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Złota Hramota</i>	190	9,00

	Stron	F.
Mackiewicz, St.: <i>Polityka Becka</i>	190	17,00
Madej, B.: <i>Piękne kaladzie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Mieroszewski, J.: <i>Modele i praktyka</i>	224	20,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i>	256	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i>	176	22,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i>	224	50,00
Mostwin, D.: <i>Ameryko! Ameryko!</i>	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zaspie wszystko, zawieje...</i>	484	45,00
Orłóś, K.: <i>Cudowna melina</i>	180	20,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i> ..	200	13,50
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
PPN — <i>Polskie Porozumienie Niepodległościowe</i>	160	35,00
Preiss, P.: <i>Biurokracja totalna</i>	208	18,50
<i>Program Związku Komunistów Jugosławii</i> (Seria „Doku- menty”)	276	8,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) ..	288	18,50
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Stawka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GULag</i> , T. II (Cz. III i IV) z przesyłką	606	72,50
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GULag</i> , T. III (Cz. V, VI i VII)	544	110,00
Staliński, T.: <i>Ludzie w akwarium</i>	148	25,00
Staliński, T.: <i>Romans zimowy</i>	208	24,00
Staliński, T.: <i>Sledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Doku- menty”)	128	9,00

	Stron	F.
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	50,00
Swinarski, A. M.: <i>Sasza i bogowie</i>	280	15,00
Tarniewski, M.: <i>Ewolucja czy rewolucja</i>	288	40,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
Vincenz, St.: <i>Po stronie pamięci</i>	256	13,50
<i>We własnych oczach (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)</i>	524	24,00
Weil, S.: <i>Wybór pism, opr. i przekład Cz. Miłosz</i>	384	15,00
<i>Węгры, opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)</i>	126	9,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara (Poezje)</i>	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej (Antologia)</i>	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia, t. I/III</i>	1324	99,00
Wittlin, J.: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i>	654	34,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszyński, W.: <i>Literatura (Seria „Bez Cenzury”)</i>	180	45,00
Wygodzki, St.: <i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i>	208	16,50
Zaremba, P.: <i>Historia Polski, Cz. I</i>	588	25,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia (Seria „Dokumenty”)</i>	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj? (Seria „Dokumenty”)</i>	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 łącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie. Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 20, 40 i 41 są wyczerpane. Ukazał się <i>Zeszyt</i> 46 (listopad 1978). Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i>	40,00	

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

WPLATY NA KSS « KOR »

Bezimiennie z Thonon-les-Bains (Francja)	F. 150,00
T. Omiński, Sydney (Australia)	F. 249,00
M. A., Perth, (Australia)	F. 147,00
Dr Danuta Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada)	F. 420,00
Polonia w Jönköping (Szwecja)	F. 250,00
Marek Rejmer, Likasi (Zaire)	F. 30,00
Julian Zubek, La Madeleine (Francja)	F. 50,00
<i>Wiadomości Polskie</i> , Sydney, dary od: S. D. Grabowsky, Picnic Point — \$A 20,00; M. S. Jankowsky, Greenacre — \$A 5,00; K. Nowakowski, Narrandera, N.S.W. — \$A 10,00; W. Nowaliński, Ashcroft — \$A 10,00; S. J. Żywczakowie, Canberra — \$A 15,00	razem \$A 60,00
	F. 294,00

WPLATY NA ROPCİO

Tadeusz Brzostek, Paryż — z okazji wyniesienia Kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową	F. 100,00
Polacy z Południowej Australii (Z. W. Dembscy — \$A. 20,00, Komitet Rodzicielski Szkół Polskich — \$A. 10,00, Polish Youth Assn, in Australia, Inc., So. Australia Branch — \$A. 10,00, ks. Mirosław Gębicki — \$A. 20,00, J. Dubicki — \$A. 10,00, Polsko-Australijska Liga Kobiet — \$A. 50,00 = \$A. 120,00	F. 597,84
W. Skorek, Newtown (Australia)	F. 49,80
<i>Wiadomości Polskie</i> , Sydney, dary od: H. M. Arterowie, Punchbowl — \$A. 10,00, Z. Dobrowolska, Bass Hill, N.S.W. — \$A. 300,00	razem \$A. 310,00
	F. 1568,00

WPLATY NA PPN

Tadeusz Brzostek, Paryż — zamiast kwiatów w dniu imienin ks. Prałata St. Bernackiego, Rektora Misji Katolickiej we Francji	F. 100,00
Tadeusz Brzostek, Paryż — zamiast kwiatów na grób zmarłego kol. B. Jagielowicza, prez. Zw. Inwalidów we Francji	F. 100,00

Jacqueline Dyjas, Paryż — na fundusz opracowania historii i kultury Polski i Ukrainy: oby Fundusz ten urosł jak najszybciej na ten wspaniały cel. Brawo za to dr. T. Maciejczykowi! F. 200,00

DZIĘKUJEMY

DALSZY CIĄG SPISU TREŚCI

—	Wydarzenia miesiąca	206
—	◆	
—	Emigracja we Francji	212
—	◆	
I. J. Adel-Człowiekowski, J. Boniecki, W. Iwaniuk, J. Lichten, (i odpowiedź Redakcji), A. Szczygielski, A. Vincenz, I. Ziemińska, Protest na wystąpienie Kultury (i odpowiedź Redakcji):	Listy do Redakcji	214
—	Odpowiedzi Redakcji	219
—	◆	
Redakcja:	Wyjaśnienie	220
Redakcja:	Sprostowanie	220
DOKUMENTY		
Stefan Kardynał Wyszyński:	List do Kierownika Urzędu do Spraw Wyznań	221
KSS „KOR”:	Oświadczenie z dn. 9. 11. 78	224
Mieszkańcy wsi Opole Stare i wsi okolicznych:	Rezolucja w sprawie kaplicy w Opolu Starym	225
Karol Głogowski, B. Studziński oraz Komisja powołana przez ROPCio:	Trzy oświadczenia w sprawie Leszka Moczulskiego	226
KSS „KOR”:	List Otwarty do Min. Zdrowia i Opieki Społecznej	227
ROPCio:	Oświadczenie w sprawie L. Moczulskiego i K. Głogowskiego	229
ROPCio:	Oświadczenie Solidarności z Katolickim Ruchem Litewskim	230
—	◆	
Kazimierz Światoń:	Areszt śledczy w Katowicach	231
KSS „KOR”:	Oświadczenie w sprawie K. Światonia	232
—	Katalog wydawnictw „Biblioteki Kultury”	234

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal : 1^{er} Trimestre 1979.



KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen. Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362 ; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115 ; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCY : St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tel. 475-8886. L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd, Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 ; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128 ; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234 ; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103.	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554 ; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt. 11, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817 ; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 86 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 180; półroczna — F. 95.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »
TOM 295 — SERIA „BEZ CENZURY”

JACEK KUROŃ

ZASADY IDEOWE

Str. 90.

Cena F. 20,00.

♦
TOM 297 — JULIAN WOŁOSZYNOWSKI

BYŁO TAK

Wznowienie wydanej w Kraju przed wojną *literackiej historii Polski* od zarania dziejów do śmierci Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Książka ta, w której nasza historia podana jest na kanwie najważniejszych wydarzeń światowych, wydaje nam się godna przypomnienia w chwili kiedy Polska święci 60-lecie odzyskania Niepodległości.

Str. 200.

Cena F. 45,00.

♦
TOM 298 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY SZÓSTY

Zawiera m.in. prace: M. Danilewicz Zielińskiej — *Wspomnienia o Bibliotece Narodowej*; J. Drewnowskiego — *Władza a opozycja*; Wł. Żeleńskiego — *Zabójstwo Pierackiego i rozrachunki polsko-ukraińskie*; ks. inf. T. Skalskiego — *Garstka wspomnień z mego życia (2)*; Z. Baua — *35-lecie Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku*; oraz bogaty dział POLEMIK, RECENZJI i LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 35,00.